

SZYFR  
ALEKSANDRA  
WIELKIEGO



WILL ADAMS

# SZYFR ALEKSANDRA WIELKIEGO



WILL ADAMS

**WILL ADAMS**

**SZYFR ALEKSANDRA**

**WIELKIEGO**

*Z angielskiego przełożył ANDRZEJ SZULC*

Po śmierci Aleksandra Wielkiego w Babilonie w roku 323 p.n.e. jego zwłoki przewieziono w uroczystym kondukcie do Aleksandrii w Egipcie, gdzie został pochowany i gdzie można je było oglądać przez sześćset lat.

Mauzoleum Aleksandra uważano za jeden z cudów świata. Odbywali tam pielgrzymki cesarze rzymscy, między innymi Juliusz Cezar, Oktawian August i Karakalla. Ale po licznych trzęsieniach ziemi, pożarach i wojnach Aleksandria podupadła i grobowiec zaginął.

Mimo wielu prac wykopaliskowych nigdy nie został odnaleziony.

## **Prolog**

Pustynia Libijska, rok 318 p.n.e.

W najniższym punkcie jaskini było źródło świeżej wody przypominające pojedynczy czarny pazur na

końcu zwęglonej, okaleczonej kończyny. Jego powierzchnię pokrywała gruba warstwa porostów i brudu, której od długich stuleci nie naruszało nic, z wyjątkiem odnóży owadów lub pęcherzyków gazu wydzielającego się spod dna pustyni.

Kozuch osadów pękł nagle i z wody wyłoniła się głowa i ramiona mężczyzny. Miał

obróconą ku górze twarz, otwarte usta i rozszerzone nozdrza, i natychmiast po wynurzeniu zaczerpnął haust życiodajnego powietrza, jak ktoś, kto o wiele za długo przebywał pod wodą.

Jego oddech nie uspokoił się wcale po kilku chwilach; na odwrót, stał się jeszcze bardziej desperacki, zupełnie jakby mężczyźnie serce miało wyskoczyć z piersi. W końcu jednak najgorsze minęło.

W jaskini nie było żadnego światła, nie fosforyzowała nawet woda i kiedy mężczyzna zdał sobie sprawę, że zamienił po prostu jeden sposób śmierci na drugi, radość ustąpiła rychło rozpacz. Obmacawszy brzegi sadzawki, znalazł niską skalną półkę i wynurzył się z wody, żeby usiąść. Prawie natychmiast sięgnął po schowany pod mokrą tuniką sztylet, ale prawdopodobieństwo pościgu było nader nikłe. Płynąc tutaj, musiał przez cały czas walczyć i kopać przeciwników. Chętnie zobaczyłby, jak próbuje tu za nim dopłynąć gruby Libijczyk, który chciał dźgnąć go mieczem; z pewnością utknąłby w wąskim przesmyku i nie wydostałby się stamtąd, póki nie zrzuciłby trochę sadła.

Coś zafurkotało przy jego policzku. Mężczyzna krzyknął przerażony i podniósł rękę.

Echo jego krzyku było dziwnie długie i głębokie jak na niewielką jaskinię. Coś innego zatrzepotało tuż obok. Dźwięk przypominał ptasie skrzydła, ale żaden ptak nie potrafiłby latać w takich ciemnościach. Może to nietoperz. Widział wcześniej o zmroku całe ich kolonie rojące się w dalekich sadach niczym muchy. Poczul przypływ nadziei. Jeżeli żyły tu nietoperze, musiało stąd być jakieś wyjście. Obmacał rękoma skalne ściany i zaczął się wspinać po najmniej stromej. Nie był zbyt sprawny fizycznie i wspinać się po ciemku było koszmarem, ale znajdował przynajmniej liczne punkty oparcia. Kiedy docierał do miejsca, z którego nie mógł posuwać się dalej, cofał się i szukał innej drogi. A potem jeszcze innej. Mijały godziny.

Mężczyzna był głodny i zmęczony. Za którymś razem spadł, krzycząc z przerażenia.

Gdyby złamał nogę, byłoby już po nim, lecz on rozbił tylko głowę i stracił na jakiś czas przytomność.

Ocknąwszy się, nie wiedział przez chwilę, gdzie jest i jak się tu znalazł. Kiedy to sobie uświadomił, ogarnęła go taka rozpacz, że zastanawiał się, czy nie wrócić tą samą drogą, którą tu przybył. I tak nie dałby jednak rady ponownie przepłynąć pod wodą. Nie. Lepiej było podążać dalej. Wspiął się znowu po skale. A potem jeszcze raz. I w końcu, przy którejś próbie, dotarł do skalnej półki położonej wysoko nad dnem jaskini, tak wąskiej, że mógł na niej najwyżej klęknąć. Zaczął czołgać się do przodu i w górę, po lewej stronie mając skalną ścianę, po prawej pustkę. Zdawał sobie świetnie sprawę, że jeden błąd może go kosztować życie. Świadomość tego nie paraliżowała go, lecz przeciwnie, zaostrzała koncentrację.

Wkrótce zamknął się wokół niego tunel i miał wrażenie, że pełźnie we wnętrznościach kamiennego

węża. Po jakimś czasie ciemność się rozproszyła. A potem zrobiło się jasno i zszokowany zobaczył przed sobą zachodzące słońce, tak oślepiające po długim przebywaniu w ciemności, że musiał zasłonić oczy ramieniem.

Zachodzące słońce! Od zasadzki zastawionej przez Ptolemeusza minął co najmniej jeden dzień. Podpełził bliżej do krawędzi i spojrzał w dół. Nie zobaczył nic poza ostrymi skałami i pewną śmiercią. Spojrzał w górę. Tam też było stromo, ale mógł chyba wspiąć się po skale. Słońce powinno zaraz zająć. Mężczyzna zaczął się natychmiast wspinać, nie patrząc w górę ani w dół, zadowolając się samym faktem, że posuwa się naprzód, w ogóle się nie spiesząc. Cierpliwość okazała się dobrym doradcą. Wapienna skała kilka razy ukruszyła się pod jego dłonią lub stopą. Gdy dotarł do wystającego nawisu, na horyzoncie gasły ostatnie promienie słońca. Nie było teraz dla niego drogi odwrotu, zmobilizował się więc i podciągając na palcach, dłoniach i łokciach, gorączkowo odpychając kolanami i stopami, zdzierając do krwi skórę o szorstką skałę, wdrapał się w końcu na górę, przewrócił na plecy i spojrzał z wdzięcznością na nocne niebo.

Kelonimus nigdy nie twierdził, że jest dzielny. Znał się na leczeniu i księgach, nie na wojowaniu. Mimo to czuł się winny wobec swoich towarzyszy. Razem żyć, razem umierać.

Taką złożyli przysięgę. Kiedy dopadł ich w końcu Ptolemeusz, pozostali wypili bez słowa skargi przygotowany przez Kelonimusa wywar z liści laurośliwy, bojąc się, że wyśpiewają wszystko na torturach. On jeden bardzo długo z tym zwlekał. Czuł straszliwy lęk przed przedwczesną utratą tego wszystkiego: wspaniałego daru życia, wzroku, węchu, dotyku, smaku, cudownej zdolności myślenia. Już nigdy nie zobaczyć wysokich ojczystych gór, zielonych, bujnych brzegów rzek, jodłowych i sosnowych lasów! Już nigdy nie usłyszeć kroków mędrców na targu. Nie poczuć obejmujących go matczyńskich rąk, nie podroczyć się z siostrą i nie pobawić z dwoma siostrzeńcami! Udał więc tylko, że łyka truciznę. A potem, kiedy inni konali dookoła, uciekł do jaskiń.

Księżyc oświetlał przed nim drogę, ukazując otaczającą go pustynię i uświadamiając mu bezmiar samotności. Jego towarzysze byli tarczownikami w armii Aleksandra, nieustraszonymi władcami ziemi. W ich towarzystwie czuł się bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Bez nich czuł się słaby i bezbronny, porzucony w krainie obcych bogów i niezrozumiałych języków. Schodził coraz szybciej i szybciej po stoku, bojąc się, że opęta go Pan, aż w końcu puścił się biegiem i po kilkudziesięciu krokach potknął o koleinę i padł na zbity piasek.

Podnosząc się z ziemi, poczuł dreszcz grozy, jednak z początku nie wiedział, co jest jego przyczyną. Po chwili z mroku zaczęły się wyłaniać dziwne kształty.

Rozpoznawszy je, zaczął płakać. Podeszedł do pierwszej pary. Bilip, który dźwigał go, gdy stracił siły pod Areg. Iatrokles, który opowiadał mu cudowne historie o dalekich krainach. Następni to Kleomenes i Herakles. Byli martwi jeszcze przed ukrzyżowaniem, ale w ten sposób karało się w Macedonii zbrodniarzy i zdrajców, i Ptolemeusz chciał, by wiadano, że obwinia tych ludzi o zdradę. A przecież to nie oni zdradzili konającego Aleksandra, który dał wyraźnie do zrozumienia, gdzie pragnie zostać pochowany. To nie oni przedłożyli osobiste ambicje nad życzenie swojego króla. Nie. Ci ludzie chcieli zrobić to, co powinien uczynić sam Ptolemeusz: zbudować Aleksandrowi grób w miejscu, z którego widać byłoby dom jego ojca.

Wzrok Kelonimusa przyciągnęła symetria krzyży. Stały parami. Ustawiono je parami wzdłuż całej drogi. A przecież ich oddział liczył trzydziestu czterech mężczyzn.

Kelonimus oraz trzydziestu trzech innych. Trzydzieści trzy było liczbą nieparzystą.

Jak mogli je ustawić parami? Zatrzepotał w nim cień nadziei. Może komuś jeszcze udało się zbiec. Ruszył szybkim krokiem aleją śmierci. Owszem, po obu stronach wisieli jego starzy przyjaciele, lecz nie było tam jego brata. Minął dwadzieścia cztery krzyże i nie widział

brata. Dwadzieścia sześć. Modlił się w duchu do bogów i przez cały czas wzbierała w nim nadzieja. Dwadzieścia osiem. Trzydzieści. Trzydzieści dwa. Nie odnalazł swojego brata. I nie było więcej krzyży. Na chwilę ogarnęła go olbrzymia euforia. Nie trwała jednak długo.

Uświadomił sobie nagle, co zrobił

Ptolemeusz, i poczuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż między żebra. Krzycząc z rozpacz i gniewu, ukląkł na piasku.

Kiedy się w końcu uspokoił, Kelonimus był innym człowiekiem. Odtąd przyświecał

mu w życiu tylko jeden cel. Złamał już raz przysięgę daną współtowarzyszom. Nie złamie jej ponownie. Razem żyć, razem umierać. Był im to winien. Bez względu na to, ile będzie go to kosztowało.

## Rozdział 1

Rafy Ras Mohammed, Synaj, Egipt

Daniel Knox drzemał sobie miło na dziobie, kiedy dziewczyna podeszła do niego i osłoniła przed popołudniowym słońcem. Otworzył oczy i widząc, z kim ma do czynienia, ostrożnie jej się przyjrzał. Max dał mu jasno do zrozumienia, że tego dnia mała należy do Hassana alAssyutiego, a Hassan znany był z tego, że nie patyczkował się z tymi, którzy wchodzili mu w drogę.

- Tak? - zapytał.

- Naprawdę jesteś Beduinem? - zaszczebotała. - To znaczy... ten facet, Max, powiedział, że jesteś Beduinem, ale w ogóle na niego nie wyglądasz. To znaczy, nie zrozum mnie źle, może i wyglądasz, to znaczy twoja cera, włosy i brwi są jakby...

Nic dziwnego, że wpadła w oko Hassanowi, pomyślał Knox. Facet lubił młode blondynki, a ta miała czarujący uśmiech, olśniewające turkusowe oczy, atrakcyjną cerę z bladymi piegami i różowymi śladami po trądziku oraz zgrabną figurę, znakomicie wyeksponowaną przez oliwkowozielone i cytrynowożółte bikini.

- Matka mojego ojca była Beduiną - wyjaśnił, by pomóc jej wydostać się z labiryntu.

- To wszystko.

- Kurczę! Beduińska krew! - Potraktowała to jako zaproszenie, żeby usiąść. - Jak wyglądała?

Knox podparł się łokciem i zmrużył oczy przed słońcem.

- Umarła, zanim się urodziłem.

- Och, przepraszam. - Mokry jasny lok spadł jej na policzek. Ściągnęła obiema dłońmi włosy w prowizoryczny kucyk, przęcając przy tym biust. - Wychowałeś się tam? To znaczy na pustyni?

Knox się rozejrzył. Siedzieli na pokładzie należącego do Maksa Stratiego statku nurkowego, który przycumowano do boi na wychodzącym w Morze Czerwone szlaku.

- Na pustyni? - zdziwił się.

- Te! - parsknęła, klepiąc go żartobliwie w pierś. - Wiesz, o co mi chodzi!

- Jestem Anglikiem - powiedział.

- Podoba mi się twój tatuaż - stwierdziła, wodząc palcem po niebieskożółtej szesnastoramiennej gwiazdzie na jego prawym bicepsie. - Co to jest?

- To gwiazda z Werginy - odparł. - Symbol Argeadów.

- Czyj symbol?

- Starej macedońskiej królewskiej rodziny.

- Mówisz o Aleksandrze Wielkim?

- Brawo.

Dziewczyna zmarszczyła nos.

- Jesteś jego fanem? Zawsze słyszałem, że był po prostu pijanym brutalem.

- Źle słyszałaś.

Uśmiechnęła się, chcąc, żeby ją oświecił.

- Więc dobrze. Opowiedz mi o nim.

Knox zmarszczył czoło. Od czego można zacząć w przypadku kogoś takiego jak Aleksander?

- Oblegał miasto o nazwie Multan - rzekł. - To było pod koniec kampanii. Jego żołnierze mieli dosyć wojowania.

Chcieli po prostu wrócić do domu. Lecz Aleksander wcale się tym nie przejmował.

Skoczył pierwszy na mury. Obrońcy odepchnęli inne drabiny oblężnicze i został sam. Każdy normalny człowiek zeskoczyłby na dół w bezpieczne miejsce, prawda? Wiesz, co zrobił

Aleksander?

- Co?

- Zeskoczył z murów do środka miasta. Sam jeden.

Tylko w ten sposób mógł zmusić swoich ludzi, żeby poszli za nim.

I zrobili to. Zdobyli cytadelę, żeby go uratować, i zdążyli dosłownie w ostatniej chwili. Rany, które odniósł tego dnia, przyczyniły się prawdopodobnie do jego śmierci, ale przeszły również do legendy.

- Przechwalał się, że ma rany wszędzie, z wyjątkiem pleców.

Dziewczyna się roześmiała.

- Musiał być z niego niezły psychol - podsumowała.

- To były inne czasy - powiedział Knox. - Kiedy wziął do niewoli matkę władcy Persji, osobiście się nią opiekował. Po jego zgonie wpadła w taką rozpacz, że zagłodziła się na śmierć. Pomyśl: nie po śmierci własnego syna, ale po śmierci Aleksandra. Nie robi się czegoś takiego dla psychopaty.

- Kurczę - mruknęła.

Było jasne, że ma dosyć opowieści o Aleksandrze. Uklękła, oparła dłoń po drugiej stronie Knoksa i sięgnęła ponad nim do czerwono-białej turystycznej lodówki.

Zrzuciła pokryw - p kę i zaczęła sprawdzać, która z leżących w środku butelek i puszek jest najzimniejsza, nie spiesząc się, pozwalając, by jej piersi dyndały luźno w biustonoszu, prawie całkowicie widoczne, z brodawkami różowymi niczym płatki róży. Knox poczuł, że zaschło mu w ustach; świadomość, że jest się urabianym, nie zmniejsza wcale skuteczności zabiegu. Siłą rzeczy przypomniał sobie jednak o Hassanie i krzywiąc się, odwrócił wzrok. Dziewczyna usiadła z powrotem z otwartą butelką w ręku i figlarnym uśmiechem na ustach.

- Chcesz się napić? - zapytała.

- Nie, dziękuję.

Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk.

- Więc znasz Hassana od dość dawna?

- Nie.

- Ale jesteś jego przyjacielem, tak?

- Facet mi płaci, kochanie. To wszystko.

- Ale jest koszerny, tak?

- To nie najlepsze słowo w odniesieniu do muzułmanina.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Knox wzruszył ramionami. W jej sytuacji trochę za późno było się wycofywać.

Hassan poderwał ją w nocnym klubie, nie w szkółce niedzielnej. Jeżeli jej się nie podobał, powinna powiedzieć "nie". To bardzo proste. Czym innym jest naiwność, czym innym głupota. Nie wyglądała na kobietę, która nie wie, co robi ze swoim ciałem.

W tym momencie zza kabin wyłonił się Max Strati i szybko do nich podszedł.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał lodowatym tonem.

Przed dwudziestu laty przyjechał do Szarm elSzejk na wakacje i nigdy już nie wrócił

do domu. Egipt dobrze mu służył; nie chciał tego psuć, wkurzając Hassana.

- Tylko rozmawiamy - wyjaśnił Knox.

- Rób to w wolnym czasie, nie kiedy ci płacę - burknął

Max. - Pan alAssyuti chce, żeby jego goście jeszcze raz zanurkowali.

Knox podniósł się z pokładu.

- Przygotuję sprzęt.

Dziewczyna również zerwała się na nogi i z udawanym entuzjazmem klasnęła w dłonie.

- Super! Nie wiedziałam, że jeszcze raz schodzimy na dół.

- Nie sędzę, żebyś do nas dołączyła, Fiono - oświadczył

Max. - Nie mamy dość butli. Zostaniesz tutaj z panem alAssyutim.

- Aha.

Na jej dziecinnej twarzy pojawił się nagły lęk. Położyła niepewnie dłoń na przedramieniu Knoksa, ale on strącił ją i ruszył gniewnie na rufę. Obok stalowych regałów z butlami tlenowymi stały tam plastikowe skrzynki z kombinezonami, płetwami, fajkami i maskami. Szybki rzut oka potwierdził to, o czym wiedział już wcześniej: butli było bardzo dużo. Poczul, że sztywnieje mu kark. Zdawał sobie sprawę, że Max świdruje wzrokiem jego plecy, i pamiętał o tym, żeby się nie odwrócić. Miała dość lat, żeby sama o siebie zadbać. Nic go z nią nie łączyło, żadne zobowiązania. Urabiał sobie ręce po



lokcie, żeby zdobyć jakąś pozycję w tym mieście, i nie zamierzał tego wszystkiego tracić, ponieważ jakaś smarkata nastolatka nie zorientowała się, że nie istnieje coś takiego jak darmowy lunch.

Usprawiedliwianie się niewiele mu jednak pomogło. Kucając przy skrzynkach i sprawdzając sprzęt, czuł, jak kręci go w żołądku.

## II

Wykopaliska Macedońskiej Fundacji Archeologicznej, delta Nilu, północny Egipt.

- Halo? - zawołała Gaille Bonnard. - Jest tam kto?

Czekała cierpliwie na odpowiedź, ale nikt się nie odezwał. To dziwne. Kristos dał jej wyraźnie do zrozumienia, że Elena chce, by pomogła jej przetłumaczyć ostrakon.

Jednak nigdzie nie było śladu po niej i po jej pickupie, a magazyn, gdzie normalnie pracowała, był zamknięty. Poczowała, że ogarnia ją irytacja. Nie przeszkadzało jej to, że musiała tu drałować piętnaście minut z terenu sąsiednich wykopalisk, lecz to, że nie szanuje się jej czasu. Po chwili zauważyła jednak, że drzwi baraku są uchylone, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej, w każdym razie nigdy, odkąd tu była. Zapukała i otworzyła je szerzej, wpuszczając do środka trochę światła. Na stojących przy ścianach półkach leżały lampy na baterie, młotki, motyki, kosze, liny i inny sprzęt archeologiczny. Pośrodku zobaczyła duży dół, z którego wystawała drewniana drabina.

Gaille przykucnęła, zwinęła dłonie w trąbkę i zawołała w dół, lecz nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Odczekała kilka sekund, po czym zawołała ponownie. W końcu wyprostowała się, oparła dłonie na biodrach i zaczęła się zastanawiać. Kierująca tymi wykopaliskami z ramienia Macedońskiej Fundacji Archeologicznej Elena Koloktonis była jednym z tych szefów, którzy uważają, że ich podwładni są niekompetentni i z tego względu szefowie muszą wszystko robić sami. Często zdarzało jej się porzucić w połowie jakąś sprawę, by dopilnować innej. Może podobnie było i teraz. A może nastąpiło jakieś przekłamanie. Problem polegał na tym, że Eleny nie sposób było zadowolić. Jeżeli ktoś wyruszał na jej poszukiwanie, okazywało się, że powinien siedzieć w miejscu. Jeżeli ktoś siedział w miejscu, wściekała się, że nie próbował jej znaleźć.

Gaille ponownie przykucnęła, czując, jak po całym dniu pracy bolają łydki i pośladki, i lekko zaniepokojona zawołała Elenę po raz trzeci. Może wpadła do dołu? Włączyła lampę, ale szyb był głęboki i rozproszone światło nie sięgnęło dna. Nie zaszkodzi zejść i sprawdzić.

Gaille miała lęk wysokości i kładąc rękę na drabinie, wzięła głęboki oddech. Postawiła ostrożnie najpierw jedną, a potem drugą stopę na najwyższym szczeblu i po krótkiej chwili, poczuwszy się pewniej, zaczęła powoli schodzić. Drabina zaskrzypiała, podobnie jak liny, które mocowały ją do ściany. Szyb był głębszy, niż sądziła, mógł mieć nawet sześć metrów.

Kopiąc tak głęboko, w delcie docierało się na ogół do wód podskórnych, ale to miejsce znajdowało się na szczycie wzgórza i z tego względu nie sięgały tutaj coroczne wylewy Nilu -

był to jeden z powodów, dla których założono tutaj w starożytności osadę. Gaille zawołała

ponownie. W odpowiedzi usłyszała wyłącznie własny oddech, głośniejszy w otaczającej ją ciasnej przestrzeni. W dół posypała się poruszona ziemia. Ciekawość wzięła w niej górę nad strachem. Słyszała oczywiście plotki o tym miejscu, ale żaden z kolegów nie ośmielił się o nim otwarcie mówić.

Dotarła wreszcie na dno i pod jej stopami zachrzęściły okruchy bazaltu, granitu i kwarcytu, zupełnie jakby rozbito w pył i zrzucano na dół jakieś stare posągi. W lewo prowadził wąski korytarz. Zawołała znowu, tym razem ciszej, z nadzieją, że nikt nie odpowie.

Jej lampa zaczęła migotać, a potem kompletnie zgasła. Postukała nią o ścianę i lampa zapaliła się z powrotem. Idąc korytarzem, zobaczyła na ścianie po lewej stronie malowidło o niezwykle jasnych barwach. Najwyraźniej zostało oczyszczone bądź też nawet odrestaurowane. Widziana z profilu humanoidalna postać w żołnierskim stroju, z głową i grzywą szarego wilka, trzymała w lewej ręce maczugę, a w prawej wojskowy sztandar, z drzewcem wspartym między nogami i flagą, która powiewała przy prawym ramieniu na tle turkusowego nieba.

Gaille nie specjalizowała się w starożytnych egipskich bóstwach, ale wiedziała o nich dosyć, żeby rozpoznać Wepwaweta, bogawilka, który ostatecznie połączył się z innymi w postaci Anubisa, bogaszakala. Widziano w nim pierwotnie zwiadowcę i często przedstawiano na egipskim wojennym sztandarze, który trzymał tutaj w ręce.

Jego imię znaczyło "otwierający drogi" i dlatego właśnie zminiaturyzowanemu robotowi, który eksplorował tajemnicze szyby wentylacyjne wielkich piramid, nadano jego nieco zmienioną wersję, "Upuaut". Z tego, co pamiętała Gaille, Wepwawet przestał być popularny w okresie Środkowego Królestwa, około szesnastego wieku przed naszą erą. To malowidło powinno mieć zatem ponad trzy i pół tysiąca lat. Jednak trzymany przez Wepwaweta sztandar świadczył o czymś innym, przedstawiał bowiem głowę i ramiona przystojnego młodzieńca z twarzą uniesioną ku górze niczym jakaś renesansowa Madonna.

Trudno jest mieć całkowitą pewność, gdy ogląda się portret Aleksandra Wielkiego. Wpływ tej postaci na ikonografię był tak olbrzymi, że przez wiele stuleci po jego śmierci ludzie pragnęli się do niego upodobnić. Nawet jeśli nie był to Aleksander we własnej osobie, portret z całą pewnością do niego nawiązywał, co oznaczało, że nie mógł być datowany wcześniej niż na rok 332 p.n.e. I w tym momencie pojawiało się oczywiste pytanie: co, do diabła, robił na sztandarze trzymanym przez Wepwaweta, ponad tysiąc lat po tym, jak w zasadzie zapomniano o boguwilku?

Odkładając tę zagadkę na później, Gaille ruszyła dalej, wołając cicho Elenę, choć teraz stanowiło to tylko wymówkę, na wypadek gdyby kogoś spotkała. Jej lampa znowu zgasła i Gaille znalazła się nagle w kompletnej ciemności. Kiedy postukała nią o ścianę, z powrotem się zapaliła. Minęła kolejne malowidło; z tego, co ujrzała, nie różniło się od pierwszego, tyle że nie do końca je oczyszczono. Ściany były coraz bardziej osmalone, jakby szalał tutaj kiedyś wielki pożar. Zalśniły przed nią posągi z białego marmuru: dwa czujnie warujące kamienne wilki. Kolejne wilki. Stanęła w miejscu. Po podbiciu Egiptu Macedończycy nadali wielu miastom greckie nazwy, opierając się często na czczonych lokalnie bóstwach. Jeżeli w tym miejscu czczono Wepwaweta, w takim razie to musiało być...

- Gaille! Gaille! - zabrzmiał gdzieś daleko z tyłu głos

Eleny. - Jesteś tam na dole? Gaille?

Gaille pobiegła z powrotem korytarzem.

- Elena? To ty?

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?

- Myślałam, że wpadłaś do wykopu. Że coś ci się stało.

- Wyłaż stamtąd! - rozkazała jej wściekłym tonem

Elena. - Natychmiast.

Gaille wstrzymała oddech i zaczęła się wspinać po drabinie.

- Kristus powiedział, że chciałaś... - wyjaśniła szybko, znalazłszy się na górze.

Elena podeszła do niej tak blisko, że ich twarze znalazły się tuż koło siebie.

- Ile razy ci mówiłam, że nie wolno tam wchodzić?! - wrzasnęła. - Ile razy?!

- Przepraszam, pani Koloktronis, ale...

- Za kogo ty się, do diabła, uważasz? - Elena poczer - wieniła; żyły na jej szyi nabrzmiały niczym u wyścigowej klaczy. - Jak śmiałaś tam zejść? Jak śmiałaś?

- Myślałam, że wpadłaś do wykopu - powtórzyła nie śmiało Gaille. - Myślałam, że potrzebujesz pomocy.

- Nie waż się przerywać, kiedy do ciebie mówię.

- Nie chciałam..

- Nie waż się! Nawet się nie waż.

Gaille zeszywniała. Przez moment zastanawiała się, czy nie odpowiedzieć jej w podobnym tonie. Minęły w końcu zaledwie trzy tygodnie, odkąd Elena zadzwoniła do niej ni stąd, ni zowąd i błagała ją, dosłownie błagała, by odłożyła na miesiąc pracę nad sorbońskim słownikiem demotycznym i zastąpiła w jej zespole asystentkę językową, która nagle zachorowała. Ale człowiek wyczuwa instynktownie, czy jest w stanie stawić komuś czoło, a Gaille nie miała na to najmniejszej szansy. Pierwszy wybuch Eleny wstrząsnął nią do szpiku kości. Jej nowi koledzy nie przejęli się tym zbyt, wyjaśniając, że Elena zachowuje się tak, odkąd zginął jej mąż. Kipiała z gniewu niczym nowa planeta, eksplodując zupełnie nieprzewidywalnie strugami rozpalonych do czerwoności spektakularnych obelg. Stało się to niemal rutyną, czymś, co budziło w nich lęk i co starali się

przebłągać niczym gniew starożytnych bogów. Dlatego Gaille ze spuszczoną głową wysłuchiwała teraz wszystkich chamskich uwag na temat swoich ograniczonych zdolności oraz szkód, jakie ten incydent wyrządzi jej karierze, jeśli rzecz wyjdzie na światło dzienne, chociaż ona, Elena, będzie naturalnie robiła wszystko, by ją chronić.

- Przepraszam, pani Koloktronis - wyjąkała, kiedy tyrada zbliżała się ku końcowi. -

Kristos powiedział, że chciała mnie pani widzieć.

- Wyraźnie zaznaczyłam, że się do was wybieram.

- Powiedział mi zupełnie coś innego. Chciałam po prostu sprawdzić, czy nie spadła pani do dołu.

- Dokąd doszłaś?

- Donikąd. Sprawdziłam po prostu dno.

- No dobrze - mruknęła niechętnie Elena. - Skoro tak, nie będziemy o tym więcej mówić. Ale nie wspominaj o tym

Qasimowi, bo nie zdołam cię obronić.

- Nie powiem ani słowa, pani Koloktronis - odparła

Gaille.

Qasim, przydzielony do tych wykopalisk przedstawiciel Najwyższej Rady Zabytków, podobnie jak Elena Koloktronis nigdy nie pisnął ani słowa na temat tego miejsca.

Przyznanie się do tego, że zostawiła otwarty i niestrzeżony barak, z pewnością przysporzyłoby Elenie kłopotów.

- Chodź - powiedziała, zamykając na klucz stalowe drzwi i prowadząc Gaille do magazynu. - Chciałabym poznać twoją opinię na temat pewnego ostrakonu. Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent pewna swojego przekładu. Ale może pomożesz mi przy tej jednej dziesiątej.

- Tak jest, pani Koloktronis - odparła potulnie Gaille. - Dziękuję pani.

### III

- Do reszty zgłupiałeś? - syknął Max, podchodząc do

Knoksa na rufie. - Masz ochotę pożegnać się z życiem czy coś w tym rodzaju? Nie mówiłem ci, żebyś zostawił w spokoju kobietę Hassana?

- Przyszła ze mną porozmawiać - wyjaśnił Knox. - Miałem być niegrzeczny?

- Flirtowałeś z nią.

- Ona ze mną flirtowała.

- To jeszcze gorzej. Chryste!

Max rozejrzał się dookoła z wystraszoną miną. Praca dla Hassana wpływała w ten sposób na ludzi.

- Przepraszam - powiedział Knox. - Będę się od niej trzymał z daleka.

- Lepiej, żebyś się trzymał. Wierz mi: jeżeli zaleziesz

Hassanowi za skórę, ty i twój kumpel Rick możecie zapomnieć o waszym małym projekcie, cokolwiek to, do kurwy nędzy, jest.

- Nie drzyj się tak.

- Po prostu cię ostrzegam.

Max pogroził mu palcem, jakby miał zamiar powiedzieć coś więcej, lecz potem odwrócił się i odszedł. Knox odprowadził go wzrokiem. Nie lubił Maksa; Max nie lubił jego.

Wiązały ich jednak interesy. Max prowadził szkołę nurków, a Knox był dobrym, solidnym instruktorem, który wiedział, jak zdobyć sympatię turystów i skłonić ich, żeby zarekomendowali go innym; poza tym pracował za grosze. W zamian za to Max pozwalał mu korzystać ze statku oraz sonara bocznego przeszukiwania do tego, co określał lekceważącym mianem "waszego małego projektu". Knox uśmiechnął się z przekąsem. Gdyby Max kiedykolwiek odkrył, co takiego planują on i Rick, na pewno użyłby innego określenia.

Knox przyjechał do Szarm elSzejk przed trzema laty. I już po czterech tygodniach pobytu przytrafiło mu się coś niezwykłego; sprawił to ten sam tatuaż, na który zwróciła uwagę Fiona. Któregoś wieczoru siedział w barze na nabrzeżu i popijał piwo, kiedy podszedł

do niego potężnie zbudowany Australijczyk.

- Mogę się przysiąść? - zapytał.

- Proszę bardzo.

- Jestem Rick.

- Daniel. Ale wszyscy mówią mi Knox.

- Zgadza się. Tak mi powiedziano.

Knox spojrział na niego z ukosa.

- Pytałeś o mnie?

- Powiedzieli mi, że jesteś archeologiem.

- Byłem nim kiedyś.

- I zrezygnowałeś z tej roboty, żeby zostać instruktorem nurkowania? - zapytał z niedowierzaniem Rick.

- To ze mnie zrezygnowano - wyjaśnił Knox. - Zde rzyłem się z układem.

- Aha. - Rick pochylił się do przodu. - Ciekawy tatuaż.

- Tak sądzisz?

Rick pokiwał głową.

- Jeżeli coś ci pokażę, zachowasz to dla siebie, dobrze?

- Jasne - odparł Knox, wzruszając ramionami.

Rick wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek. W środku był owinięty wata, mniej więcej jednocalowy gruby złoty wisiołek z otworem na zatrask albo łańcuszek przy węższym końcu. W miejscach, gdzie wydłubano go z koralu, zostały różowe plamki.

U podstawy wyryta była niewyraźnie szesnastoramienna gwiazda.

- Znalazłem to przed kilku laty - oznajmił Rick. - Pomyślałem, że będziesz mógł mi o nim powiedzieć coś więcej. To zdaje się symbol Aleksandra, prawda?

- Tak. Gdzie to znalazłeś?

- No jasne! - parsknął Rick, po czym odebrał mu wisiołek, włożył go zazdrośnie do pudełka i schował do kieszeni. - Już ci to mówię! No? Masz jakieś pojęcie?

- To może być cokolwiek - odparł Knox. - Ozdoba do togi, do kubka, coś w tym rodzaju. Kolczyk.

- Co takiego? - zdziwił się Rick. - Aleksander nosił kolczyki?

- Gwiazda nie oznacza, że wisiołek należał do niego osobiście. Mógł być własnością któregoś z domowników.

- Aha.

Rick sprawiał wrażenie rozczerowanego. Knox zmarszczył brwi.

- I znalazłeś go na tych rafach, tak?

- Owszem. Dlaczego pytasz?

- To trochę dziwne. Aleksander nigdy tu nie zawitał. Ani jego ludzie.

Rick parsknął głośno.

- I ty uważasz się za archeologa! Nawet ja wiem, że był w Egipcie. Przyjechał odwiedzić to miejsce na pustyni.

- Wyrocznie Amona w oazie Siwa. Owszem. Ale nie jechał przez Szarm, wierz mi.

Podróżował wzdłuż północnego wybrzeża Synaju.

- Aha. I to była jego jedyna wizyta, tak?

- Owszem. Chyba że... - Knoksowi przyszedł nagle do głowy szalony pomysł i zabiło mu szybciej serce. - Jezu

Chryste - mruknął.

- Co jest? - zapytał podniecony Rick, próbując odczytać coś z jego twarzy.

- Nie, to niemożliwe.

- Co takiego? Wal śmiało.

Knox potrząsnął stanowczo głową.

- Nie. Jestem pewien, że to nic ważnego.

- Daj spokój, chłopie. Musisz mi teraz powiedzieć.

- Tylko jeżeli ty powiesz mi, gdzie to znalazłeś.

Rick posłał mu chytre spojrzenie.

- Myślisz, że jest tam tego więcej? To właśnie chodzi ci po głowie, tak?

- Niezupełnie. Ale to możliwe.

Rick się zawahał.

- A poza tym jesteś nurkiem, tak?

- Zgadza się.

- Przydałby mi się kumpel. Samemu trudno tutaj cokolwiek zdziałać. Czy jeśli ci powiem,

poszukamy tego razem?

- Jasne.

- Dobrze. Więc mów.

- W porządku. Ale musisz pamiętać, że to czyste spekulacje. Szansa, że to jest to, co myślę, wynosi jak jeden do...

- Rozumiem. Opowiadaj.

- Długa czy krótka wersja?

Rick wzruszył ramionami.

- Nie jestem z nikim umówiony.

- Najpierw muszę ci przedstawić kontekst. Aleksander, jak już powiedziałem, odwiedził Egipt tylko raz w życiu i przebywał tu zaledwie parę miesięcy. Przejechał przez północny Synaj do delty Nilu, a potem na południe do starej stolicy Memfis nieco na południe od Kairu, gdzie został koronowany. Potem zawrócił z powrotem na północ, gdzie założył

Aleksandrię i wyruszył na zachód wzdłuż wybrzeża do Paraetionium, obecnie Marsa Matruh, i na południe przez pustynię do Siwy. On i jego drużyna najwyraźniej zabłądzili.

Według jednej z relacji zginęliby z pragnienia, gdyby nie dwa mówiące ludzkim głosem węże, które doprowadziły ich do oazy.

- Te mówiące węże. Zjawiają się zawsze, kiedy ktoś ich potrzebuje.

- Aristobulos opowiada bardziej wiarygodną historię.

Twierdzi, że podążali za dwiema wronami. Jeżeli spędzisz trochę czasu na pustyni, z pewnością spotkasz tam kruki o brunatnych szyjach. To właściwie jedyne ptaki, jakie można tam zobaczyć. Często podróżują parami. I są naprawdę bezczelne: jeśli nie uda im się upolować żadnego węża ani szarańczy, fruwią nad obozowiskiem, szukając jakichś resztek jedzenia, a potem odlatują do najbliższej oazy. Więc jeżeli ruszysz ich śladem... Rick pokiwał

głową.

- Delfiny Morza Piasku.

- Można tak to ująć - zgodził się Knox. - Tak czy inaczej zaprowadziły Aleksandra do Siwy, gdzie zwrócił się do wyroczni, a potem ponownie udał się na pustynię, tyle że tym razem wyruszył szlakiem karawan na wschód, do oazy

AlBahrija, gdzie stoi słynna wzniesiona na jego cześć świątynia, a następnie z powrotem do Memfis.



To w zasadzie wszystko. Trzeba było ponownie stawić czoło Persom.

Jednak że po śmierci sprowadzono go do Egiptu, żeby go tu po chować.

- Aha. I myślisz, że to z tego okresu?

- Moim zdaniem to możliwe. Ale musisz o czymś pa miętać. Mówimy o Aleksandrze Wielkim. Przeprowadził trzydzieści tysięcy Macedończyków przez Hellespont, żeby pomścić inwazję Kserksesa na Grecję, wiedząc, że ma prze ciwko sobie dziesięć razy większą armię.

Pobił Persów nie raz i nie dwa, lecz trzy razy, a potem ruszył dalej. Walczył w niezliczonych bitwach i wszystkie wygrał, stając się najpotężniejszym władcą, jakiego oglądał świat. Kiedy zmarł jego najlepszy przyjaciel Hefajstion, wysłał go w zaświaty z przepięknie rzeźbionego drewnianego stosu wysokiego na osiemdziesiąt metrów: to tak jakbyś zbudował operę w Sydney, a potem puścił ją z dymem, po to tylko, żeby podziwiać płomienie. Więc zgadujesz chyba, że kiedy zmarł sam Aleksander, jego ludzie chcieli go uczcić w jakiś specjalny sposób.

- Rozumiem.

- Stos był wykluczony. Ciało Aleksandra było zbyt drogocenne, żeby je spalić.

Niezależnie od całej reszty do obowiązków nowego macedońskiego króla należało pocho wanie poprzednika. W związku z tym ten, kto miał ciało

Aleksandra, mógł rościć poważne pretensje do tronu, zwłaszcza cza że Aleksander nie wyznaczył oczywistego następcy.

Wszyscy walczyli o władzę.

- Masz ochotę na jeszcze jedno? - zapytał Rick, wska zując pustą szklankę Knoksa.

- Jasne. Dzięki.

- Dwa piwa! - zawołał Rick do barmana. - Prze praszam. Mówiłeś, że wszyscy walczyli o władzę.

- Tak. Tron był w zasadzie pusty. Aleksander miał brata, który był półgłówkiem. Żona Aleksandra, Roksana, była w ciąży, ale nikt nie wiedział, czy urodzi syna; poza tym Roksana była cudzoziemką, a Macedończycy nie po to zdobyli cały znany ówczesnie świat, żeby rządził nimi mieszaniec.

W Babilonie zebrało się więc wojsko i zawarło kompromis.

Rządzić mieli razem brat półgłówek i nienarodzone dziecko, jeżeli okaże się synem, co też się stało, ale różnymi regionami imperium mieli administrować zależni od nich satrapowie składający raporty przed triumwiratem. Nadążasz za mną?

- Tak.

- Jednym z wielkich wodzów Aleksandra był niejaki

Ptolemeusz. Tak się składa, że to on jest autorem relacji

o mówiących węzłach, które doprowadziły Aleksandra do

Siwy. Nie powinno cię to jednak zmylić. Był bardzo sprytnym i zdolnym człowiekiem. Zdawał sobie sprawę, że bez Aleksandra imperium rozpadnie się na części, i chciał dla siebie

Egipt. To był bogaty, położony na uboczu kraj, który nie powinien dać się wplątać w cudze wojny. Ptolemeusz postarał się więc o to, by przyznano mu miejscową satrapię, umocnił się tutaj, w końcu został faraonem i założył dynastię Ptolemeuszów, która zakończyła się na Kleopatrze. Jasne? Kelner podał im piwo i trącili się szklankami.

- Mów dalej - powiedział Rick.

- Ptolemeuszowi nie było łatwo zostać faraonem - podjął Knox. - Egipcjanie nie chcieli powierzyć tronu byle komu. Ważna była dla nich legitymacja. Z Aleksandrem wyglądało to inaczej: żywy bóg, w którego żyłach płynęła niekwestionowana królewska krew i który wypędził zniem widzonych Persów. To żadna hańba być rządzonym przez kogoś takiego. Natomiast Ptolemeusz był dla Egipcjan nikim.

Dlatego potrzebował jakichś symboli władzy.

- No tak - mruknął Rick, wycierając pianę z górnej wargi. - Potrzebował zwłok Aleksandra.

- Trafiłeś w dziesiątkę - uśmiechnął się Knox. - Ptolemeusz potrzebował zwłok Aleksandra. Ale nie on jeden.

Trzecim członkiem macedońskiego triumwiratu był niejaki

Perdikkas. On też miał swoje ambicje. Chciał sprowadzić ciało Aleksandra z powrotem do Macedonii i pogrzebać go przy jego ojcu Filipie, w królewskim grobowcu w Ajgaju w północnej Grecji. Przewiezienie zwłok z Babilonu do Macedonii nie było jednak łatwe. Nie mógł załadować ich na pierwszy lepszy statek.

Aleksander musiał podróżować z prze pychem.

Rick pokiwał głową.

- Ja też tak lubię.

- Historyk Diodor Sycylijski przekazał nam bardzo do kładny opis tego wszystkiego.

Ciało Aleksandra zostało zabalsamowane, umieszczone w trumnie z kutego żelaza i obsypane kosztownymi, słodko pachnącymi przyprawami.

Zamówiono także katafalk, czyli jakbyśmy dziś powiedzieli, karawan. Była to właściwie złota świątynia na kołach, o długo - ści sześciu i szerokości czterech metrów. Na oplecionych liśćmi akantu złotych jońskich kolumnach wspierało się wysokie sklepienie ze złotych płyt wysadzanych szlachetnymi kamieniami. Pośrodku wznosił się złoty maszt połyskujący niczym błyskawica w promieniach słońca. W każdym z rogów stał złoty posąg trzymającej wojenne trofea Nike, starożytnej bogini zwycięstwa. Złoty gzyms zdobiły głowy koziorożców ze złotymi pierścieniami, z których zwisały wielobarwne girlandy.

Przestrzeń między kolumnami zasłaniała złota siatka chroniąca trumnę przed palącym słońcem i ewentualnym deszczem. Wejścia z przodu strzegły złote lwy.

- To cholernie dużo złota - stwierdził z niedowierzeniem Rick.

- Aleksander był naprawdę bogaty - odparł Knox. - Tylko w swoich perskich skarbcach miał ponad siedem tysięcy ton złota i srebra. Przewiezienie tego wszystkiego wymagało dwudziestu tysięcy mułów i pięciu tysięcy wielbłądów. Wiesz, jak przechowywano złoto?

- Jak?

- Topiono je i wlewano do glinianych amfor, które potem po prostu rozbijano.

- Ja cię kręcę - roześmiał się Rick. - Chętnie znalazł bym taką jedną.

- Otóż to. Jego wodzowie nie ośmieliliby się żałować grosza. Aleksander był dla swoich żołnierzy bogiem. Skąpstwo byłoby najlepszym sposobem, by utracić ich lojalność.

W końcu karawan był gotowy. Okazał się jednak tak ciężki, że jego budowniczy musieli skonstruować specjalne, amortyzujące wstrząsy koła oraz osie. Drogę, którą jechali, musiała przygotować ekipa budowlana. Zaprzęg liczył sześćdziesiąt cztery muły. - Knox przerwał, żeby napić się piwa. - Sześćdziesiąt cztery muły - powtórzył. - Każdy z nich miał

połączoną koronę, inkrustowaną klejnotami chomąto i złote dzwonki wiszące po obu stronach pyska. A w każdym z dzwonek był złoty wisiołek wyglądający dokładnie tak jak ten, który masz w swoim pudełku od zapalek.

- Robisz sobie jaja... - mruknął najwyraźniej zszokowany Rick.

- A co jeszcze ciekawsze - dodał, uśmiechając się

Knox - cały ten katafalk, całe to złoto, po prostu przepadło bez wieści.

- 1

## Rozdział 2

Budowa hotelu, Aleksandria

Na biurku Mohammeda elDahaba stała oprawiona w ramki fotografia jego córki Lajli. Zrobiono je przed dwoma laty, zanim zachorowała. Pracując, Mohammed miał

zwyczaj zerkać na nią co kilka sekund. Czasami jej portret podnosił go na duchu.

Przeważnie jednak, tak jak działo się teraz, napełniał go smutkiem. Ściskając nos kciukiem i palcem wskazującym odmówił krótką, lecz gorącą modlitwę. Modlił się za nią może nawet trzydzieści razy dziennie, choć na razie niewiele to dawało. Na tym jednak polega wiara. Jest nic niewarta, jeśli nie podda się jej próbie.

Z zewnątrz dobiegły go nagle dziwne hałasy: krzyki i radosny śmiech. Poirytowany wyjrzał przez okno. Praca na budowie zamarła. Jego robotnicy zgromadzili się w rogu, Ahmed tańczył niczym derwisz na tureckim weselu. Mohammed wybiegł szybko ze swojego biura. Allah pokarał go najbardziej leniwą ekipą budowlaną w całym Egipcie. Każdy pretekst był dla nich dobry! Nasrożył się, by udzielić im odpowiedniej reprymendy, i nagle, widząc, jaki jest powód całego zamieszania, kompletnie o tym zapomniał. Koparka wykopała w ziemi wielki dół, odsłaniając spiralne schody wijące się wokół głębokiego czarnego szybu, nad którym unosiła się gęsta chmura kurzu. Kurz był żółty, ciemny i stary; stary jak samo miasto.

Mohammed i jego ludzie popatrzyli na siebie. Wszyscy myśleli o tym samym: Kto wie, od jak dawna ten szyb krył się pod ziemią? Kto wie, jakie bogactwa spoczywały na jego dnie? Aleksandria była nie tylko jednym z najwspanialszych starożytnych miast, ale miejscem zaginięcia naj słynniejszego ze światowych skarbów. Czy był wśród nich ktoś, kto nie marzył

o odkryciu złotego sarkofagu założyciela miasta, samego Iskandara alAkbara, Aleksandra Wielkiego? Młodzi chłopcy kopali doły w miejskich ogrodach; kobiety opowiadały przyjaciółkom o dziwnym echu, które słyszały, opukując ściany piwnic; rabusie włamywali się do antycznych cystern i zakazanych podziemi świątyń i meczetów. Lecz jeśli sarkofag rzeczywiście znajdował się gdzieś w tym mieście, spoczywał właśnie tutaj, w sercu starożytnej Royal Quartier. Mohammed nie zwykł bujać w obłokach, ale spoglądając w głąb ciemnego szybu, poczuł, jak ściska go w żołądku.

Czy to możliwe, że zdarzył się w końcu wymodlony przez niego cud?

Wziął latarkę od Fahda i postawił powoli stopę na najwyższym stopniu. Był potężnym mężczyzną i serce zabiło mu szybciej, gdy oparł cały ciężar ciała na wyżłobionym kamieniu, lecz ten w ogóle się nie poruszył. Sprawdził kolejne, odwrócony plecami do szorstkiego wapienia ściany zewnętrznej. Cegły ściany wewnętrznej, która oddzielała spiralne schody od wielkiego centralnego szybu, pokruszyły się i wiele z nich odpadło, zostawiając czarne wyrwy w murze. Moham - med cisnął garść kamyków przez jedną z nich i wstrzymując oddech, naliczył cztery uderzenia serca do chwili, gdy zagrzechotały o dno. Po kilku krokach zauważył, że stopnie nie są zbudowane, lecz wykute w skale, i poczuł się pewniej. Schodził

coraz niżej, zataczając kolejne kręgi. Spiralna klatka schodowa w końcu się skończyła; korytarz skręcił do środka. Za łukowatym portalem znajdowało się duże okrągłe pomieszczenie zasypane do kostek piaskiem, kamieniami i odłamkami cegieł. Na czterech solidnych kolumnach wspierały się wewnętrzne ściany centralnego szybu.

Drobiny kredy wirowały niczym planety w przyćmionym świetle dnia, przywierając do warg i łaskocząc w gardle.

Na dole było chłodno i nie docierał tu niecichnący nigdy zgiełk budowy. Łącznie z korytarzem, którym przed chwilą przeszedł, z rotundy prowadziły cztery łukowate wyjścia, każde w inną stronę świata. Ściany ozdobione były płaskorzeźbami płasających bogów, syczących meduz, nacierających byków, szybujących po niebie ptaków, kwitnących kwiatów i dzikiego wina. W wykutych w wapieniu niszach stały ławki osłonięte daszkami w kształcie muszli ostrygi. Na posadzce biegnącego w dół pierwszego korytarza piętrzyły się sterty gruzu. Przełykając ze wstrętem i obawą ślinę, Mohammed odsunął na bok pajęczą sieć. Niski boczny korytarzyk prowadził do dużej wysokiej sali, w której ścianach wykuto szereg kwadratowych otworów.

Katakumby. Podszedł do ściany po lewej stronie, oświetlił zakurzoną żółtą czaszkę i trącił ją palcem. Spomiędzy zębów wypadła mała poczerńiała moneta. Mohammed podniósł

ją, obejrzał i odłożył na miejsce. Zaświecił latarką do środka. Przy przeciwległej ścianie leżały czaszki i kości zwalone na stos, żeby zrobić miejsce dla późniejszych lokatorów.

Widząc to, skrzywił się i wrócił do głównego korytarza, żeby prowadzić dalej poszukiwania.

Minął kolejne nisze grobowe, zszedł dwanaście stopni w dół i po kolejnych pięciu zobaczył przed sobą lustro wody. Wrócił do rotundy. Ahmed, Husni i Fahd również zeszli na dół i łazili na czworakach, przeszukując gruzowisko. Zdziwiony, że nie zapuścili się dalej, dopiero po chwili uświadomił sobie, że tylko do rotundy docierało światło dnia, a on zabrał

ich jedyną latarkę.

- Co to za miejsce? - zapytał Ahmed. - Co znalazłem?

- Nekropole - odparł spokojnie Mohammed. - Miasto umarłych.

Ich obecność w niejasny sposób go irytowała. Wszedł przez drugi portal do wielkiej wysokiej sali ze ścianami z wapiennych bloków. Gromadzili się tu prawdopodobnie żałobnicy przybywający raz do roku, żeby uczcić swoich zmarłych. Przez ostatni portal schodziło się krótkimi schodkami do niewielkiego przedsionka. W murze z białego marmuru osadzone były na podniesionym progu dwuskrzydłowe, poczerńiałe, nabijane ćwiekami metalowe drzwi z sześciokątnymi klamkami.

Mohammed pociągnął za lewe skrzydło i kiedy otworzyło się z głośnym zgrzytem, wślizgnął się do szerokiej, wysokiej pustej komory. Od ścian odpadł w niektórych miejscach tynk, odsłaniając surową wapienną skałę. Nad łukowatym wejściem w przeciwległej ścianie wyryte były dwie linijki zapisanego greckim alfabetem tekstu.

Mohammed nie potrafił go odczytać. Przystąpiwszy przez wysoki próg, wszedł do drugiej komory o podobnej szerokości i wysokości, lecz dwa razy dłuższej. Pośrodku stał tam wysoki do kolan cokół, na którym mogło kiedyś spoczywać coś ważnego, na przykład sarkofag. Tak czy inaczej od dawna go tu nie było.

Do ściany przy wejściu przyczepiona była matowa tarcza z brązu. Ahmed złapał ją i próbował oderwać.

- Zostaw to! - krzyknął Mohammed. - Zwariowałeś?

Chcesz wylądować w więzieniu Damanhur za starą tarczę i kilka potłuczonych garnków?

- Oprócz nas nikt o tym nie ma pojęcia - szepnął

Ahmed. - Kto wie, jakie są tutaj skarby? Starczy dla nas wszystkich.

- To miejsce zostało splądrowane przed wiekami.

- Ale nie zabrano wszystkiego - odparł Fahd. - Turyści płacą każdą cenę za różne starożytne śmieci. Mój kuzyn ma stragan niedaleko AlGomhurrii. Wie, ile są warte takie rzeczy.

Możemy go tu sprowadzić.

- Słuchajcie mnie - przerwał mu Mohammed. - Słuchajcie wszyscy. Niczego stąd nie zabierzecie i nie będziecie nic nikomu mówić.

- Kto dał ci prawo decydować? - zapytał Fahd. - To

Ahmed odkrył ten szyb, nie ty.

- Ale to moja budowa, nie wasza. To miejsce należy do mnie. Jeżeli piśnecie choć słowo, odpowiecie przede mną.

Zrozumiano?

Zmierzył ostrym wzrokiem każdego z osobna i w końcu cofnęli się i rozeszli. Patrzył

za nimi z niepokojem. Powierzenie takim ludziom sekretu było niczym próba przechowania wody w sicie; w slumsach Aleksandrii rojło się od opryszków, którzy poderzneliby gardła dwudziestu ludziom na samą myśl o takim zysku. Nie zamierzał się jednak z tego powodu wycofywać. Przez całe życie Mohammed starał się dobrze postępować. Cnota była dla niego źródłem wielkiej satysfakcji. Wychodząc z pokoju po tym, jak uczynił coś sprawiedliwego lub wielkodusznego, wyobrażał sobie wypowiedane o nim pochwały. A potem zachorowała Lajla i zdał sobie sprawę, że ma w nosie to, co mówią o nim ludzie. Zależało mu wyłącznie na wyzdrowieniu córki.

Problemem było to, jak wykorzystać w tym celu obecne odkrycie. Splądrowanie podziemi nie miało sensu. Mimo całego optymizmu Ahmeda zysków nie starczy dla wszystkich; a jeżeli spróbuje pominąć pozostałych, doniosą na niego do dyrekcji, a może nawet na policję. Jako kierownik budowy miał obowiązek poinformować o tym znalezisku Naczelną Radę Zabytków. Jeśli dowiedzą się, że tego nie zrobił, straci pracę, licencję budowlaną i najprawdopodobniej wolność. Nie mógł się na to narażać. Jego zarobki były żałosne, ale tylko one ratowały Lajlę od zguby.

Rozwiązanie, gdy je w końcu znalazł, było tak proste, że nie mógł uwierzyć, że nie przyszło mu od razu do głowy.

## II

-  
Przepraszam. Mógłbyś mi pomóc to włożyć?

Knox podniósł wzrok i zobaczył Rolanda Hinza, który trzymał w rękach swój wielki czarny strój piankowy.

- Oczywiście - odparł z uśmiechem. - Proszę wyba czyć. Zamyśliłem się.

Stanął za wielkim Niemcem, pilnując, żeby nie wpadł do wody, wciągając strój. Nie zostałyby to dobrze przyjęte. Roland był bankierem ze Stuttgartu i rozważał zainwestowanie większych sum w najnowszy interes Hassana na Synaju. Dzisiejszy rejs zorganizowano głównie dla niego. A on też uważał się chyba za jego największą atrakcję. Rozchichotany, wstawiony szampanem i poważnie odurzony kokainą działał wszystkim na nerwy. Prawdę mówiąc, w tym stanie nie powinien się nawet zbliżyć do wody, ale Hassan płacił

wystarczająco dużo, żeby opłacało się naciągnąć przepisy.

I nie tylko przepisy. Wbicie Rolanda w strój piankowy przypominało wkładanie kołdry w poszwę; stale wyskakiwał z niego w najmniej oczekiwanych miejscach. Bardzo go to bawiło. Bawiło go w zasadzie wszystko.

Zdawało mu się, że jest duszą towarzystwa. Potykał się o własne stopy i kiedy on i Knox wyłożyli się razem na pokładzie, roześmiał się histerycznie i spojrzał na innych pasażerów, jakby oczekiwał burzliwych oklasków.

Knox pomógł mu się podnieść z przyklejonym do ust uśmiechem, a potem ukląkł, żeby nałożyć mu buty nurkowe. Roland miał nabrzmiałe różowawożółte stopy z brudem zaschniętym między palcami, jakby nie mył ich od trzech lat. Knox starał się na nie nie patrzeć. Myślami wrócił do tamtego popołudnia, kiedy dzielił się z Rickiem swoimi szalonymi pomysłami na temat katafalku Aleksandra. Początkowa euforia Australijczyka nie trwała długo.

- Więc ten kondukt przejechał przez Synaj, tak? - zapytał.

- Nie - odparł Knox. - Nie podaje tego żadne źródło.

- Kurczę blade, chłopie - zaprotestował Rick, odchyłając się do tyłu na krześle i potrząsając gniewnie głową. - Naprawdę doprowadzasz mnie do szału.

- Chcesz, żebym opowiedział ci, co wiemy?

- No jasne - potwierdził poirytowany Rick. - Po co w ogóle pytasz?

- W porządku - westchnął Knox. - Przede wszystkim musisz zrozumieć, że nasze źródła są bardzo niepewne. Nie mamy żadnych relacji naocznych świadków o życiu i kampaniach Aleksandra. Wszystko, co wiemy, pochodzi od późniejszych historyków, którzy cytują wcześniejszych. Relacje z drugiej, trzeciej, a nawet czwartej ręki.

- Zabawa w głuchy telefon - mruknął Rick.

- Właśnie. Choć w istocie wygląda to jeszcze gorzej.

Kiedy imperium Aleksandra się rozpadło, każda z frakcji chciała się postawić w jak najlepszym świetle, a wszystkich pozostałych w jak najgorszym, w związku z czym powstało mnóstwo tekstów propagandowych. A potem przyszli Rzymianie. Cezar wielbił Aleksandra.

Republikanie nim gardzili. W rezultacie historycy byli bardzo wybiórczy w tym, co pisali.

Wszystko zależało od tego, do jakiego należeli obozu.

Większość materiałów, którymi dysponujemy, jest skrajnie tendencyjna, w jedną albo drugą stronę. Wydestylowanie z tego prawdy to istny koszmar.

- Postaram się o tym pamiętać.

- Wiemy jednak z dużą dozą pewności, że katafalk podróżował wzdłuż Eufratu z Babilonu do Opisu, a potem na północny zachód wzdłuż Tygrysu. Możesz sobie wyobrazić, jaki to był wspaniały kondukt. Ludzie wędrowali kilkaset kilometrów tylko po to, żeby go zobaczyć. W którymś momencie, w roku trzysta dwudziestym drugim albo dwudziestym pierwszym przed naszą erą, kondukt dotarł do Syrii.

Potem trudno w ogóle coś ustalić. Pamiętaj, że mówimy tutaj o dwóch rzeczach. Pierwszą jest zabalsamowane, złożone w trumnie ciało Aleksandra.

Drugą powóz i cała reszta złota.

Jasne?

- Oczywiście.

- Wiemy dość dobrze, co się stało z ciałem Aleksandra

i jego trumną. Ptolemeusz porwał je i przewiózł do Memfis, wchodząc prawdopodobnie w zмовę z dowódcą eskorty. Nie wiemy jednak, co się stało z resztą katafalku. Diodor twierdzi, że zwłoki Aleksandra zabrano ostatecznie do Aleksandrii, ale jego relacja jest niejasna i ma chyba na myśli trumnę, nie katafalk. Najdokładniejszy opis pochodzi od faceta, który nazywał się Aelian. Pisze on, że Ptolemeusz bał się, iż ciało Aleksandra spróbuje odbić Perdikkas. W związku z tym ubrał podobne do Aleksandra zwłoki w królewskie szaty oraz całun i wysłał je powozem ze złota, srebra i kości słoniowej, żeby Perdikkas ruszył jego śladem. Sam tymczasem przewiózł ciało Aleksandra do Egiptu inną trasą. Rick posłał mu baczne spojrzenie.



- Chcesz powiedzieć, że Ptolemeusz porzucił katafalk?

- Coś takiego sugeruje Aelian - odparł Knox. - Nie zapominaj, że największą wartość miały zwłoki. Ptolemeusz musiał je jak najszybciej sprowadzić do Egiptu, a nie sposób było podróżować szybko z katafalkiem.

Szacuje się, że mógł pokonać najwyżej dziesięć kilometrów dziennie, a i to pod warunkiem, że ekipa saperów przygotowała drogę. Jazda do Memfis trwałaby kilka miesięcy.

I trudno było zrobić to dyskretnie. Mimo to nie trafiłem na informację, że ktoś widział

kondukt podróżujący najbardziej oczywistą trasą z Syrii przez Liban, Izrael i Synaj w kierunku Nilu; a z pewnością ktoś musiał to zobaczyć.

- Więc porzucił katafalk, tak jak powiedziałem?

- Możliwe. Jednak sam katafalk też miał olbrzymią wartość materialną. Spróbuj postawić się w sytuacji Ptolemeusza. Co byś zrobił na jego miejscu?

Rick przez chwilę się zastanawiał.

- Podzieliłbym kondukt - powiedział. - Jedna grupa popędziłaby przodem ze zwłokami. Druga podróżowałaby inną trasą z katafalkiem.

Knox się uśmiechnął.

- Zrobiłbym tak samo. Nie ma oczywiście na to żadnych dowodów. Ale to całkiem sensowne. Następne pytanie brzmi:

Jak dokładnie to zrobił? Syria leży nad Morzem Śródziemnym, więc mógł wyprawić katafalk drogą morską. W tej okolicy grasowali jednak piraci, i musiałby mieć jakieś statki; poza tym gdyby uznał, że to możliwe, wyprawiłby tą drogą zwłoki, a wiemy z dużą pewnością, że tego nie zrobił.

- Jakie miał inne opcje?

- No cóż, zważywszy na to, że nie był w stanie przewozić całego katafalku, mógł go podzielić na bardziej poręczne fragmenty i zabrać na południowy zachód wzdłuż wybrzeża przez Izrael na Synaj; ale to była trasa, jaką najpewniej wybrał dla grupy ze zwłokami Aleksandra, a nie byłoby sensu dzielić konduktu, jeżeli obie grupy miały podróżować tą samą trasą. Wyłania się więc trzecia możliwość: wysłał katafalk na południe do zatoki Akaba, a potem statkiem wzdłuż półwyspu Synaj i wybrzeża Morza Czerwonego.

- Wzdłuż półwyspu Synaj - powtórzył z uśmiechem

Rick. - Masz na myśli tutejsze rafy?

- Są bardzo niebezpieczne - potwierdził Knox.

Rick roześmiał się i wznosił toast szklanką.

- Więc spróbujmy go znaleźć - powiedział.

I to była sprawa, która ich odtąd absorbowowała, aczkolwiek na razie bez większych sukcesów. Choć właściwie Knox odniósł swego rodzaju sukces. Ricka na początku interesowało wyłącznie odnalezienie skarbu. Im dłużej jednak szukali, im więcej się dowiadywał, tym większego połykał bakcyła archeologii. Służył niegdyś w oddziale nurków australijskiej marynarki wojennej będącym tamtejszym odpowiednikiem sił specjalnych.

Praca w Szarm elSzejk pozwoliła mu dalej nurkować, ale brakowało mu poczucia misji. Ich poszukiwania przywróciły mu je w tak dużym stopniu, że postanowił zostać adeptem podwodnej archeologii. Studiował ją pilnie, pożyczając od Knoksa książki i inne materiały, i zasypując go pytaniami.

Roland miał już na nogach buty. Knox się wyprostował, pomógł mu nałożyć kamizelkę wypornościową i sprawdził wszystkie podłączenia.

Nagle usłyszał kroki na mostku nad swoją głową. Kiedy podniósł wzrok, w polu widzenia ukazał się Hassan, który oparł się o balustradę i spojrzał w dół.

- Bawcie się dobrze, chłopcy - powiedział.

- O tak - odpowiedział z entuzjazmem Roland, pod nosząc w górę kciuki. - Świetnie się bawimy.

- I nie spieszcie się z powrotem - dodał Hassan, dając znak komuś, kto stał za nim.

Przy balustradzie pojawiła się niechętnie Fiona. Włożyła długie bawełniane spodnie i cienką białą koszulkę, jakby skromny strój mógł ją w jakiś sposób ochronić, lecz mimo to nie mogła powstrzymać drżenia. Koszulka zmoczyła się od biustonosza i widać było przez nią brodawki stojące na baczność ze strachu. Widząc przyglądającego mu się Knoksa, Hassan wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu i objął ramieniem Fionę, prowokując go niemal, żeby coś zrobił.

W Szarm opowiadano, że Hassan poderzwał gardło swojemu kuzynowi za to, że przespał się z kobietą, którą sobie upatrzył. Opowiadano też, że pewien amerykański turysta wylądował w szpitalu po tym, jak ośmielił się zaprotestować, kiedy Hassan dobierał się do jego żony Knox spuścił wzrok i rozejrzał się dookoła, mając nadzieję, że podzieli się z kimś brzemieniem odpowiedzialności. Max oraz Nessim, eksspadochroniarz, który był szefem ochrony Hassana, sprawdzali wzajemnie swój sprzęt. Wiedział, że nic u nich nie wskóra. Ingrid i Birgit, dwie Skandynawki, które Max zabrał, żeby dotrzymywały towarzystwa Rolandowi, były już w pełnym rynsztunku i czekały przy drabince na rufie.

Knox próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Ingrid, lecz ta domyśliła się, o co chodzi, i unikała jego spojrzenia. Zerknął ponownie na mostek. Hassan wciąż szczerzył zęby, świetnie zdając sobie sprawę, co dręczy Knoksa. Osobnik alfa w szczytowej formie rzucający wyzwanie rywalowi. Szczerząc zęby, przesunął wolno rękę po plecach Fiony i złapał ją za pośladek. Pochodził z nizin

społecznych, ale w wieku trzydziestu lat stał się najpotężniejszym armatorem na obszarze całego Kanału Sueskiego. Nie osiąga się tego, cackając się z ludźmi.

Opowiadano, że ma ochotę włączyć do swego imperium nowe dziedziny, w tym turystykę, i wykupuje nadmorskie nieruchomości w okresie bessy, która nastąpiła po ostatnich atakach terrorystów.

Roland był wreszcie gotów. Knox pomógł mu zejść po drabinie do Morza Czerwonego, po czym ukląkł, by podać mu płetwy, które wielki Niemiec miał nałożyć w wodzie. Roland wykręcił młynka, po czym wynurzył się z powrotem na powierzchnię, rechocząc wariacko i chlapiąc na wszystkie strony.

- Zaczekaj - powiedział mu chłodno Knox. - Zaraz do ciebie dołączę.

Wciągnął i zapiął kamizelkę wypornościową oraz butlę, zawiesił gogle na szyi i wziął

do ręki płetwy. Zszedł po drabinie i spojrzał po raz ostatni na mostek. Hassan w dalszym ciągu mu się przyglądał, potrząsając głową z udawanym rozczarowaniem.

Stojąca obok niego Fiona skrzyżowała niespokojnie ręce na piersiach. Miała potargane włosy i zgarbione żałośnie ramiona. Wyglądała teraz dokładnie na swój wiek: smarkata nastolatka, która poznała w barze przyjaźnie nastawionego

Egipcjanina i myślała, że naciągnie go na darmową wycieczkę, a w razie czego zawsze zdoła się sprytnie wycofać. W jej szeroko otwartych oczach malował się strach, lecz również i cień nadziei, jakby wierzyła, że wszystko się dobrze skończy, ponieważ ludzie są w gruncie rzeczy mili.

## I

Knox wyobraził sobie przez chwilę, że stoi tam jego siostra Bee, ale zaraz potem potrząsnął gniewnie głową. Ta dziewczyna w niczym nie przypominała Bee. Była dorosła.

Sama dokonała wyboru. Następnym razem będzie mądrzejsza. To wszystko.

Obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikogo za nim nie ma, po czym wsadził

do ust regulator, przygryzł go mocno i skoczył do tyłu w ciepłe niczym wody płodowe morze.

Holując Rolanda w stronę rafy, rezolutnie nie oglądał się za siebie, pozostając na bezpiecznej głębokości czterech metrów, by móc szybko wynurzyć się na powierzchnię, gdyby coś poszło nie tak. Tropikalne ryby obserwowały ich czujnie, lecz bez większego niepokoju. Czasami trudno było ocenić, kto w tym teatrze jest widownią, a kto występuje na scenie. Chelin napoleoński otoczony ławicą cherubinków i sanitarników odwrócił się od nich z królewską gracją i bez wysiłku odpłynął. Knox pokazał go Rolandowi charakterystycznym dla nurków obrazowym gestem; początkujący lubią być traktowani jak ktoś, kto dostępuje inicjacji.

Dopłynęli do rafy, ochrowofioletowej ściany, która opadała w przyprawiającą o zawrót głowy czerń. Woda była nieruchoma i przejrzysta, widoczność wyjątkowo dobra.

Rozglądając się dookoła i widząc ciemny kadłub statku oraz złowrogie cienie większych ryb, które przemykały głębiej, w chłodniejszych wodach, Knox przypomniał sobie nagle z ukłuciem bólu najgorszy dzień w swoim życiu - kiedy po wypadku drogowym odwiedził

siostrę na OIOMie w Salonikach. Zapamiętał odgłosy aparatury podtrzymującej życie, nieustanne rżenie wentylatorów, niepewny puls monitorów i kojarzące się z domem pogrzebowym nabożne szepty personelu i odwiedzających. Lekarka robiła, co mogła, by przygotować go na najgorsze, ale on był wciąż odrętwiały po wizycie w kostnicy, gdzie nieco wcześniej zidentyfikował rodziców, i widok Bee podłączonej do sondy żołądkowej i wszystkich innych przewodów wywołał w nim szok. Miał wrażenie, że ogląda jakieś przedstawienie, a nie rzeczywiste wydarzenia. Głowa Bee była nienaturalnie spuchnięta, skóra blada i sina. Do dzisiaj pamiętał jej woskowy odcień i nietypową wiotkość. Nigdy wcześniej nie uświadamiał sobie, ile ma piegów wokół oczu i w zgięciu łokcia. Nie wiedział, co robić. Spojrzał na lekarzkę, która dała mu znak, by usiadł przy siostrze. Czuł się niezręcznie, kładąc dłoń na jej dłoni; w rodzinie byli raczej powściągliwi w okazywaniu uczuć. Trzymając jej chłodną rękę, poczuł przenikliwy, zaskakująco silny ból, zupełnie jakby była jego dzieckiem. Ściskając jej palce i podnosząc je do ust, przypomniał sobie, jak skarżył

się kiedyś żartem przyjaciołom, jakim przekleństwem jest młodsza siostra, którą musi się opiekować.

Już nie musiał.

Poklepał Rolanda po ramieniu i wskazał palcem w górę. Wynurzyli się razem na powierzchnię. Statek unosił się na wodzie może sześćdziesiąt metrów dalej. Na pokładzie nie było nikogo. Knox poczuł nerwowy skurcz w klatce piersiowej, gdy jego serce szybciej niż umysł uświadomiło sobie, jaką podjął decyzję.

Wypluł z ust regulator.

- Nie ruszaj się stąd - ostrzegł Rolanda, po czym ruszył wplaw w stronę statku, przecinając czystą jak kryształ wodę.

Idąc w ślad za sekretarką do prywatnego gabinetu Ibrahima Bejumiego, szefa Naczelnej Rady Zabytków w Aleksandrii, Mohammed elDahab przyciskał kurczowo do piersi teczkę.

Kobieta zapukała do drzwi, otworzyła je i wpuściła go do środka. Za sosnowym biurkiem siedział wytworny mężczyzna o nieco zniewieściałym wyglądzie.

- Tak, Maha? - zapytał, unosząc wzrok znad papierów.

- To Mohammed elDahab, proszę pana. Budowlaniec.

Mówi, że znalazł coś na swojej budowie.

- Dokładnie co takiego?

- Może sam to panu powie - odparła.

- No dobrze - westchnął Ibrahim, dając Mohammedowi znak, by usiadł przy narożnym stoliku.

Mohammed rozejrzył się dookoła fachowym okiem. Ze smutkiem dostrzegł

powybrzuszaną boazerię na ścianach, wiszące na niej zbutwiałe rysunki miejscowych pomników oraz popękany wysoki sufit, od którego odpadły kawałki tynku. Jeżeli w ten sposób wyglądał gabinet najważniejszego archeologa w Aleksandrii, zabytki nie były chyba taką złotą żyłą, jak mu się wydawało.

Ibrahim zgadł, o czym myśli jego gość.

- Wiem - mruknął. - Ale cóż mogę na to poradzić?

Co jest ważniejsze, moja osobista wygoda czy wykopaliska? - poskarżył się.

Mohammed wzruszył ramionami. Ibrahim usiadł obok niego. Przynajmniej on sam sprawiał wrażenie zamożnego: miał elegancki garnitur i złoty zegarek na rękę.

- Powiadasz zatem, że coś znalazłeś? - zapytał, kładąc skromnie ręce na kolanach.

- Tak.

- Mógłbyś mi powiedzieć, co to takiego?

Mohammed przełknął ślinę. Był dużym mężczyzną i niełatwo go było nastraszyć, lecz wykształceni ludzie wyraźnie go onieśmielali. W Ibrahimie coś go jednak ujmowało.

Wyglądał na kogoś, komu można zaufać. Mohammed postawił na stole teczkę, otworzył ją, wyjął oprawioną w ramki fotografią Lajli i położył ją przed urzędnikiem. Widok jej twarzy dodał mu odwagi.

- To moja córka - oznajmił. - Ma na imię Lajla.

Ibrahim posłał mu zaciekawione spojrzenie.

- Allah był dla ciebie łaskaw - powiedział.

- Tak, dziękuję panu. Niestety, Lajla jest chora.

- Ach. - Ibrahim odsunął się do tyłu. - Przykro mi to słyszeć.

- Nazywają to chłoniakiem Burkitta. Pojawił się w jej brzuchu jak winogrono, a potem jak owoc mango pod skórą.

Chirurdzy wycięli go. Przeszła chemoterapię. Myśleliśmy, że pokonała chorobę.

Ibrahim pomasaował szyję.

- Maha powiedziała, że coś znalazłeś...

- Jej lekarze to dobrzy ludzie - podjął Mohammed. - Niestety, są przepracowani i dysponują marnym sprzętem.

Nie mają pieniędzy. Czekają, aż...

- Przepraszam, ale Maha powiedziała, że znalazłeś...

- Czekają, aż jej choroba rozwinie się do tego stopnia, że nie będzie można nic zrobić.

- Mohammed pochylił się do przodu. - Ten czas jednak jeszcze nie nadszedł - powiedział

cicho, lecz dobitnie. - Moja córka ma w dalszym ciągu szansę.

Ibrahim przez chwilę milczał.

- Jaką szansę? - zapytał w końcu niechętnie.

- Przeszczep szpiku kości.

Na twarzy Ibrahima odmalowała się groza.

- Czy ta operacja nie jest straszliwie droga?

Mohammed machnął lekceważąco ręką.

- Nasz Instytut Badań Medycznych ma program prze szczepów finansowanych ze środków publicznych, ale nie zakwalifikują tam pacjenta, jeżeli nie ma odpowiedniego dawcy. I nie przeprowadzą badań na zgodność, jeżeli pacjent nie został zakwalifikowany,

- W ten sposób nie można nic zrobić...

- W ten sposób nie muszą podejmować decyzji. Ale jeżeli nie sfinansuję sam tych badań, moja córka umrze.

- Nie możesz oczekiwać, że Naczelna Rada Zabyt ków... - zaczął słabym głosem Ibrahim.

- Badania nie są wcale takie drogie - wyjaśnił szybko Mohammed. - Chodzi o to, że szansę znalezienia odpowiedniego dawcy są bardzo niewielkie. Moja żona i ja, nasza najbliższa rodzina i przyjaciele, wszyscy pod daliśmy się już testom, lecz wyniki były negatywne. Mogą namówić innych, dalszą rodzinę, znajomych znajomych, ale tylko pod warunkiem, że za to zapłacę. Próbowałem zaciągnąć pożyczkę, jednak popadłem przez tę chorobę w takie długi, że...

Mohammed poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Pochylił głowę, żeby Ibrahim tego nie zobaczył. Przez chwilę trwała cisza.

- Maha powiedziała, że znalazłeś coś na swojej budowie - mruknął w końcu Ibrahim.

- Tak.

- Czy mam rozumieć, że w zamian za informację o znalezisku chcesz pieniędzy na te badania?

- Tak.

- Wiesz, że z mocy prawa i tak musisz mnie o nim poinformować.

- Wiem.

- Jeżeli tego nie zrobisz, możesz trafić za kratki.

Mohammed podniósł głowę i z całkowitym spokojem spojrzał mu w oczy.

- Wiem.

Ibrahim kiwnął głową i wskazał podbródkiem swój obskurny gabinet.

- I rozumiesz, że nie mogę ci niczego obiecać.

- Tak.

- Znakomicie. Więc może opowiesz mi, co znalazłeś.

### - Rozdział 3

Knox szybko dopłynął do statku. Zdjął płetwy, cisnął je na pokład i wspinał się po drabince. Nie widział nigdzie Fiony ani Hassana. Teraz, kiedy już tu dotarł, nie bardzo wiedział, co robić. Czuł, że zwraca na siebie uwagę i zachowuje się głupio.

Zdjął kamizelkę wypornościową i butlę, ruszył z nimi cicho w stronę kabin po lewej stronie i zaczął otwierać po kolei drzwi i zaglądać do środka. W końcu dotarł do tej, która była zamknięta. Szarpnął klamkę. Usłyszał stłumiony krzyk, a potem zapadła cisza.

Pewni ludzie lubią przemoc i szukają okazji, by jej użyć. Knox się do nich nie zaliczał. Miał wrażenie, że obserwuje z boku sam siebie, i wytrąciło go to nieco z równowagi.

Odwrócił się i odszedł, lecz sekundę później drzwi otworzyły się za jego plecami.

- Tak? - zawołał Hassan.

- Przepraszam - powiedział Knox, nie oglądając się. - Pomyliłem się.

- Wracaj! - krzyknął poirytowany Hassan. - Tak, ty.

Chłopak od Maksa. Do ciebie mówię. Podejdź tutaj.

Knox odwrócił się niechętnie i podszedł do Hassana z pokornie spuszczonej oczyma. Egipcjanin nie starał się nawet zasłonić wnętrza kabiny. Knox zobaczył

Fionę, która leżała na łóżku z rękoma skrzyżowanymi na obnażonych piersiach i bawełnianymi spodniami ściągniętymi do połowy zaciśniętych i podniesionych kolan. Miała skaleczenie nad prawym okiem i krwawiła z górnej wargi. Na podłodze leżała jej podarta koszulka.

- No? - zapytał Hassan. - Czego chcesz?

Knox zerknął ponownie na Fionę. Patrząc na niego, potrząsnęła lekko głową, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku, da sobie radę, nie powinien się w to mieszać. Ten drobny gest obudził w nim zupełnie nieoczekiwaną reakcję, coś podobnego do furii. Zamachnął się butlą tlenową niczym stalową kulą używaną przy pracach rozbiórkowych i walnął nią Hassana w splot słoneczny. Kiedy Egipcjanin zgiął się wpół, Knox strzelił go w szczękę, posyłając na chwiejnych nogach do tyłu. Teraz, gdy już zaczął, nic nie mogło go powstrzymać. Bił Hassana tak długo, aż ten padł na podłogę. Rozjaśniło mu się w głowie, dopiero kiedy Fiona odciągnęła go na bok.

Hassan leżał nieprzytomny z zakrwawioną twarzą i piersią. Był tak dotkliwie zmasakrowany, że Knox ukląkł i odetchnął z ulgą, wyczuwając puls na szyi.

- Szybko! - zawołała Fiona, ciągnąc go za rękę. - Wracają inni.

Wybiegli razem z kabiny. Max i Nessim płynęli w stronę statku. Widząc Knoksa, zaczęli wściekle krzyczeć. Knox pobiegł na mostek i wyrwał przewody z radiostacji i stacyjki. Wszystkie kluczyki trzymane były w plastikowej tubie na podłodze. Złapał je.

Motorówka stała przycumowana liną do rufy. Zbiegł po drabince, przyciągnął bliżej motorówkę, pomógł zejść Fionie na jej dziób, skoczył tam za nią, rozwiązał linę, siadł za kierownicą i wsadził kluczyk do stacyjki. W tym samym momencie Max i Nessim dopłynęli do nich i złapali za burtę. Knox zatoczył łodzią ostry krąg i dodał gazu.

Fala porwała Maksa, ale Nessim wczołgał się na pokład i wstał. Był z niego twardy sukinsyn, lecz jego ruchy krępował strój piankowy i butla. Knox zatoczył jeszcze jedno kółko i Nessim wpadł, wymachując rękoma, do wody. Knox wyrównał kurs i pomknął z rykiem w kierunku Szarmu. Kierując motorówką, potrząsał z niedowierzaniem głową. Zrobił to. Zrobił

to, do kurwy nędzy. Musiał dotrzeć do swojego jeepa, nim Hassan albo Nessim dadzą komuś znać. Jeżeli go złapią...

Chryste! Było mu niedobrze na samą myśl, co mogą mu zrobić. Musiał się wynieść z Szarmu, z Synaju, w ogóle z Egiptu. Musiał to zrobić już dzisiaj. Obejrzał się. Fiona siedziała na tylnej ławce z pochyloną głową, szczękającymi zębami i niebieskim ręcznikiem na drżących ramionach. Nie miał bladego pojęcia, dlaczego przypominała mu Bee. Walnął

dłonią o tablicę rozdzielczą, wściekły na samego siebie. Jeżeli istniała jakaś rzecz, której nienawidził, to była nią pamięć. Człowiek urabia sobie ręce po łokcie, żeby urządzać się jakoś w



miejsca, które nie łączy się w żaden sposób z jego przeszłością: przyjaciółmi, rodziną, niczym, co by go obciążało. Ale to nie wystarcza. Nie sposób odciąć się od własnej pamięci, a ta potrafi spieprzyć ci życie w jednym okamgnieniu.

## II

Ibrahim Bejumi odprowadził Mohammeda na ulicę, pożegnał się z nim i podziękował, a potem patrzył, jak znika za rogiem ulicy. Mógł za nim oczywiście pójść i w ten sposób odkryć, gdzie jest jego budowa. Ale opowieść wielkiego mężczyzny wzruszyła go.

Mohammed praktycznie złożył w jego ręce swoją karierę i wolność, a Ibrahim chętnie odwdzięczał się za takie zaufanie. Poza tym zostawił mu numer telefonu, żeby Ibrahim zadzwonił do niego, gdy będzie miał jakieś wiadomości, więc gdyby okazało się to konieczne, i tak można go było dość łatwo namierzyć.

Jego asystentka Maha chciała wstać, kiedy podszedł do jej biurka, lecz on powstrzymał ją gestem dłoni i stanął przy wiszącej na ścianie wielkiej mapie Aleksandrii. Jak zawsze czuł smutną dumę, myśląc o zaznaczonych na niej zabytkach ukochanego miasta: kolumnie Pompejusza, Ras elTin, rzymskich katakumbach i amfiteatrze oraz forcie Kaitbeja.

Były to wspaniałe miejsca i gorąco się nimi szczycił, choć wiedział w głębi duszy, że żaden nie zalicza się do pierwszej ligi egipskich zabytków. Aleksandria nie mogła się poszczycić piramidami, Karnakiem, świątynią Abu Simbel ani Doliną Królów. Mimo to przed dwoma tysiącami lat podziwiano jej budowlę. Latarnia morska na Faros należała do siedmiu cudów świata. Muzejon był wiodącą instytucją naukową i kulturalną. Wyznawcy podziwiali splendor świątyni Serapisa i jej fruujące posągi. W królewskim pałacu Kleopatry można było podążać śladami niezwyklej miłości. Ale pierwszym powodem do chwały było mauzoleum założyciela miasta, samego Aleksandra Wielkiego. Gdyby przetrwała choć jedna z tych budowli, Aleksandria mogłaby śmiało współzawodniczyć z

Luksorem lub Gizą na turystycznym szlaku. Niestety, żadna nie przetrwała.

- Ten człowiek - mruknął Ibrahim.

- Tak?

- Znalazł nekropole.

Maha rozejrzała się dookoła.

- Powiedział gdzie?

- W starej Royal Quartier.

Ibrahim obwiódł teren dzielnicy palcem, a potem stuknął w sam środek. Co ciekawe, trudno było nawet nakreślić granice starożytnego miasta, nie mówiąc już o jego ulicach albo budowlach. Wszystkie padły ofiarą szczególnego położenia Aleksandrii.

Ograniczona Morzem Śródziemnym od północy, jeziorem Mariut od południa i zachodu oraz bagnistą deltą Nilu od wschodu nie mogła się w ogóle rozbudowywać.

Gdy trzeba było postawić nowe budynki, burzono stare, żeby zrobić dla nich miejsce.

Fort Kaitbeja wzniesiono na fundamentach latarni na Faros. Wapienne bloki pałaców Ptolemeuszów wykorzystano do budowy rzymskich świątyń, chrześcijańskich kościołów i islamskich meczetów, które dokumentowały różne epoki w dziejach miasta.

Ibrahim odwrócił się do Mahy z uśmiechem bazarza.

- Wiesz, że Aleksander osobiście wytyczył mury naszego miasta?

- Tak jest, proszę pana - odparła grzecznie, nie podnosząc nawet wzroku.

- Zrobił to, rozsypując mąkę z worka, żeby ptaki o naj różniejszych rozmiarach i upierzeniu mogły się pożywić.

Kogoś innego mógłby zniechęcić taki omen. Lecz nie Aleksandra.

- Tak jest, proszę pana.

- Dla niego był to znak, że nasze miasto zapewni ochronę i dobrobyt ludziom różnych narodowości. I miał rację. Tak.

Miał rację.

- Tak jest, proszę pana.

- Nudzę cię.

- Powiedział pan, że potrzebuje na dzisiaj tych listów.

- Potrzebuję ich, Maha. Rzeczywiście potrzebuję.

Aleksander zmarł, zanim wybudowano miasto. Korzyści z jego istnienia czerpali Ptolemeusz i jego potomkowie, którzy rządili Egiptem, ciesząc się coraz mniejszym poważaniem, aż do przejęcia władzy przez Rzymian, których z kolei zastąpili w roku 641 n.e.

Arabowie. Stolica administracyjna została przeniesiona na południe, najpierw do Fustatu, potem do Kairu. Handel z Europą zamarł; śródziemnomorski port nie był już dłużej potrzebny. Wylewy Nilu naniósł muł; nikt nie korzystał ze słodkowodnych kanałów. Upadek Aleksandrii postępował nieubłaganie po przejęciu władzy przez Turków. Kiedy na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku zdobył ją Napoleon, mieszkało tu zaledwie sześć tysięcy ludzi. Ale miasto okazało się prężne i w gęstej zabudowie, która uniemożliwiała jakiegokolwiek systematyczne prace wykopaliskowe, gnieździło się obecnie około czterech milionów ludzi. Z tego względu archeolodzy tacy jak Ibrahim byli na łasce deweloperów, którzy wyburzali stare budynki, żeby postawić na ich miejscu nowe.

Za każdym razem, kiedy to robili, istniała szansa na to, że odkryją coś niezwykłego.

- Jedną komorę opisał bardzo szczegółowo - powiedział

Ibrahim. - Przedśionek z drzwiami z brązu prowadzący do sieni i głównej sali. Co o tym sądzisz?

- Grobowiec? - zaryzykowała Maha. - Ptolemeuszowski?

Ibrahim pokiwał głową.

- Z wczesnego okresu dynastii Ptolemeuszów. Bardzo wczesnego - dodał i wziął

głęboki oddech. - Odniosłem wrażenie, że to może być grobowiec macedońskiego króla.

Maha wstała i oparła palce o blat biurka.

- Nie chce pan chyba powiedzieć... - zaczęła. - Prze cież Aleksander został pochowany w wielkim mauzoleum.

Ibrahim przez kilka sekund milczał, wyczuwając jej podniecenie. Zastanawiał się, czy sprowadzić ją delikatnie na ziemię, czy też pozwolić, by dzieliła z nim szalone nadzieje.

Uznał, że lepiej będzie je rozwiąć.

- Owszem, został tam pochowany - powiedział. - Mauzoleum nazywało się, jak wiesz, Sema, co znaczy po grecku "grób". Albo Soma, po grecku "ciało".

- Oo! - westchnęła Maha. - Więc to nie jest Aleksander?

- Nie.

- To kto?

Ibrahim wzruszył ramionami.

- Musimy przekopać to miejsce, żeby to odkryć.

- Jak? Wydaliśmy już wszystkie nasze pieniądze.

I tu był pies pogrzebany. Cały budżet Ibrahima na ten rok został już rozdysponowany.

Wybłągał od Franzuzów i Amerykanów wszystko, co mogli dać. Zdarzało się tak nieraz, ponieważ w archeologii wiele zależy od przypadku. Jeżeli w danym okresie finansowym dokonywano zbyt wielu interesujących odkryć, nie mógł się po prostu wszystkimi zająć. Trzeba było dokonać wyboru. W tym konkretnym momencie wszyscy jego archeolodzy terenowi pracowali w różnych miejscach starego miasta.

Wykopaliska w nowym miejscu wymagały nowych pieniędzy, nowych specjalistów i nowej ekipy.

Tej sprawy nie mógł jednak odłożyć na następny rok. Schody znajdowały się w samym środku planowanego hotelowego parkingu; Mohammed mógł wstrzymać prace budowlane na parę tygodni, ale dłuższy okres oznaczałby, że zawali wyznaczone terminy. Dla Ibrahima było to prawdziwe zmartwienie. Zabytki starożytnej Aleksandrii odkrywał

przeważnie dzięki firmom budowlanym, które zgłaszały mu interesujące znaleziska. Gdyby rozeszła się opinia, że utrudnia budowę, po prostu przestaliby go zawiadamiać, bez względu na wiążące ich przepisy. Dlatego to ostatnie odkrycie stanowiło pod wieloma względami kłopot, którego wcale nie potrzebował. Ale było również macedońskim grobowcem, niewykluczone, że bardzo ważnym. Nie mógł machnąć na nie ręką. Po prostu nie mógł.

Wiedział, że istnieje jeszcze jedno możliwe źródło finansowania. Na samą myśl, że mógłby z niego skorzystać, zaschło mu w ustach. Oznaczałoby to naruszenie wszelkich regulaminów Naczelnej Rady Zabytków. Mimo to nie widział innego wyjścia. Przełknął ślinę i uśmiechnął się z przymusem.

- Ten grecki biznesmen, który stale proponuje, że będzie nas sponsorował... -

powiedział.

Maha uniosła brwi.

- Ma pan na myśli Nicolasa Dragoumisa?

- Tak - odparł. - Właśnie jego.

- Ale mówił pan chyba, że... - Maha zobaczyła jego spojrzenie i umilkła.

- Mówiłem - przyznał. - Ale czy masz jakąś lepszą propozycję?

- Nie, proszę pana.

Ibrahim nie posiadał się z radości, kiedy Nicolas Dragoumis skontaktował się z nim po raz pierwszy. Sponsorzy są zawsze mile widziani. Jednak coś w zachowaniu Nicolasa wzbudziło w nim czujność. Po odłożeniu słuchawki wszedł natychmiast na stronę internetową Dragoumis Group, ze wszystkimi linkami do wchodzących w jej skład firm armatorskich, ubezpieczeniowych, budowlanych, medialnych, handlowych, elektronicznych, lotniczych, deweloperskich, turystycznych, ochroniarskich i innych. Znalazł

informację dotyczącą sponsoringu, w której wyjaśniano, że Dragoumis Group wspiera wyłącznie projekty służące podkreśleniu historycznej wielkości Macedonii, przywróceniu niepodległości Macedonii Egejskiej oraz wyzwoleniu jej spod panowania Grecji. Ibrahim nie znał się zbyt dobrze na greckiej polityce, lecz miał dość oleju w głowie, by nie współpracować z macedońskimi separatystami.

W innym miejscu witryny znalazł grupową fotografię dyrektorów. Nicolas Dragoumis był wysoki, sprężysty, przystojny i dobrze ubrany. Najbardziej jednak zaniepokoiła Ibrahima osoba stojąca w samym środku - założyciel i dyrektor naczelny grupy Philip Dragoumis, budzący nieokreślony lęk

smagły mężczyzna z dużym znamieniem koloru śliwki na lewym policzku, o niesamowicie intensywnym spojrzeniu, nawet na fotografii. To był człowiek, którego należało unikać. Ale Ibrahim nie miał wyboru. Czuł, że jego serce bije trochę szybciej i trochę głośniejszy, jakby stanął na skraju wysokiej przepaści.

- Dobrze. W takim razie znajdź mi jego numer telefonu.

Knox dopłynął motorówką do plaży, przy której stał jego jeep, i brodząc w wodzie, wyszedł na brzeg. Fiona jakoś się ogarnęła i nalegała teraz, że chce wrócić do hotelu.

Unikała jego wzroku. Najwyraźniej uznała, że Hassan będzie się mścił wyłącznie na nim, i z tego względu wolała rozstać się z Knoksem. Było to z jej strony całkiem rozsądne podejście. Knox dodał wściekle gazu. Cieszył się, że nie musi się o nią troszczyć, ale i tak go to wkurzało. Paszport, gotówkę i karty miał przy sobie, w pasie z pieniędzmi, jednak laptop, ubrania, książki i wszystkie materiały dotyczące badań były w pokoju hotelowym, do którego bał się wracać.

Podjeżdżając do głównej drogi, musiał podjąć pierwszą zasadniczą decyzję: czy skręcić na północny wschód, do granicy z Izraelem, czy jechać szosą wzdłuż zachodniego wybrzeża Synaju do centralnego Egiptu. Izrael oznaczał bezpieczeństwo, ale droga była w złym stanie technicznym i pełno było przy niej wojskowych posterunków. W takim razie na zachód. Przed dziesięciu laty przybył tutaj na pokładzie statku, który zawinął do Port Saidu.

To miasto wydawało mu się zatem odpowiednie, żeby opuścić Egipt. Ale Port Said leżał przy Kanale Sueskim, a kanał należał do Hassana. Nie. Musiał uciec z Synaju. Najlepsze byłoby międzynarodowe lotnisko. W Kairze, Aleksandrii, Luksorze.

Jechał z przyciśniętą do ucha komórką, ostrzegając Ricka i innych znajomych, żeby uważali na Hassana. A potem zupełnie ją wyłączył, żeby go nie namierzyli. Wyciskał ze starego jeepa maksymalną szybkość, silnik wył na wysokich obrotach. Na brzegu Zatoki Sueskiej migotały przed nim niczym piekielne ognie niebieskie płomienie szybów naftowych.

Pasowały do jego nastroju. Po niespełna godzinie zobaczył przed sobą wojskowy punkt kontrolny: betonowe zapory między dwiema drewnianymi budkami. Stłumił w sobie nagły impuls, żeby zawrócić i uciec. Takie kontrole były na Synaju czymś normalnym; nie musiał

się niczego obawiać. Kazano mu zjechać na bok i poczuł, jak koła jeepa toczą się po miękkim piasku. Podszedł do niego zawiadackim krokiem oficer, niski, barczysty mężczyzna o aroganckim spojrzeniu; jeden z tych, co lubią prowokować słabszych tak długo, aż ci ich zaatakują - wtedy tłuką ich na krwawą miazgę i przekonują, że przecież to nie oni zaczęli.

Wyciągnął rękę po paszport Knoksa i zabrał go ze sobą. Ruch był niewielki; pozostali żołnierze rozmawiali, stojąc przy radiu z nonszalancko zawieszonymi na ramionach pistoletami maszynowymi. Knox siedział ze spuszczoną głową. Zawsze był wśród nich chętny do popisania się swoją angielszczyzną.

Długi zielony owad pełzł powoli wzdłuż skraju opuszczonej szyby. Gąsienica. Nie, stonoga. Knox

położył palec na jej drodze. Stonoga natychmiast się na niego wdrapała, łachocząc go odnóżami. Podniósł rękę, żeby jej się przyjrzeć, a ona pełzła dalej, nie zdając sobie sprawy z tego, że została porwana i znalazła się w nader nieciekawej sytuacji. Patrząc, jak obchodzi dookoła jego nadgarstek, nie mógł oprzeć się poczuciu, że mają ze sobą coś wspólnego. Stonogi cieszyły się wielką estymą starożytnych Egipcjan. Łączono je ze śmiercią, ale w pozytywny sposób, ponieważ zjadały inne mikroskopijne owady, które żywiły się zwłokami. Z tego względu uważano je za strażników ludzkiego ciała, strzegących je przed rozkładem, i wcielenie samego Ozyrysa. Knox posrukał delikatnie dłonią o zewnętrzną stronę drzwiczek i stonoga spadła na ziemię. Wyrzwał wtedy przez okno i patrzył, jak odpełza na bok i ginie w mroku.

Oficer w budce odczytywał dane z jego paszportu do telefonu. Po chwili odłożył

słuchawkę i przysiadł na skraju biurka, czekając, aż do niego oddzwonią. Mijały minuty.

Knox się rozejrzał. Poza nim nikomu nie kazano czekać tak długo. Pobieźna kontrola i gest, żeby jechać dalej. Telefon w budce w końcu zadzwonił. Knox patrzył z obawą, jak oficer sięga po słuchawkę.

## Rozdział 4

Kościół nieopodal Salonik, północna Grecja

### I

-”Baran, którego widziałeś z dwoma rogami, oznacza królów Medów i Persów -

wyrecytował stary kapłan, czytając z otwartej Biblii na swoim pulpicie. - Kozioł zaś króla Jawanu, a wielki róg między jego oczami - pierwszego króla” \*. - Przerwał i omiółł wzrokiem wypełniony wiernymi kościół. - Każdy znawca Biblii powie wam to samo - oznajmił, pochylając się lekko do przodu i ścisząc głos, jakby chciał zwierzyć się zgromadzonym. -

Baran, o którym mówi Daniel, symbolizuje perskiego króla Dariusza. Królem Jawanu jest Aleksander Wielki. Te słowa opowiadają o tym, jak Aleksander pokonał Persów. I wiecie, kiedy napisał je Daniel? Sześćset lat przed narodzeniem Chrystusa, dwieście pięćdziesiąt lat zanim urodził się Aleksander.

Dwieście pięćdziesiąt lat! Czy możecie sobie w ogóle wyobrazić, co będzie się działo na świecie za dwieście pięćdziesiąt lat? Nie. Ale Daniel to potrafił.

Biblia Tysiąclecia, Księga Daniela, 8,20-22.

Nicolas Dragoumis słuchał go, kiwając głową. Znał prawie co do słowa kazanie starego kaznodziei. Sam je w dużej części napisał, a potem ćwiczyli razem, aż dopracowali do perfekcji każde zdanie. Ale nigdy nie wiadomo, jak zareagują na coś takiego ludzie, dopóki im się tego nie przedstawi. To był ich pierwszy wieczór i jak na razie szło nieźle. Atmosfera -

to było najważniejsze. Dlatego właśnie wybrał ten stary kościół, mimo że oficjalnie nie odprawiano

tutaj nabożeństw. Księżyc przeświecał przez witraże. Jakiś ptak pohukiwał

między krokwiemi. Grube drzwi odgradzały ich od zewnętrznego świata. Zapach kadzidła zabijał słodki odór poru.

Jedyne światło dawały grube białe świece - było dość jasno, by zgromadzeni mogli sprawdzić w swoich własnych Bibliach, że te słowa rzeczywiście pochodzą z rozdziału ósmego Księgi Daniela, jak zapewniał ich kaznodzieja, a jednocześnie dość ciemno, by stworzyć wrażenie czegoś enigmatycznego, nieznanego. W tej części świata ludzie wiedzieli, że rzeczywistość jest dziwniejsza i bardziej skomplikowana, niż próbowali to przedstawić naukowcy. Podobnie jak Nicolas rozumieli, na czym polega tajemnica.

Dragoumis omiół wzrokiem ławki, na których siedzieli sterani życiem ludzie.

Przedwcześnie postarzali, tyrający od czternastego roku życia, zostający rodzicami w wieku szesnastu lat, dziadkami w wieku trzydziestu pięciu, rzadko kiedy dożywający pięćdziesiątki; nieogolone twarze wychudłe od stresów, zgorzkniałe od rozczarowań, wyschnięte i pociemniałe od palącego słońca; ręce pokiereszowane w bezustannej walce z głodem. Gniewni ludzie mający serdecznie dosyć swojej nędzy i zbyt wysokich podatków, którymi obłożone były ich nędzne zarobki. Gniew był dobry.

Czynił ich podatnymi na gniewne idee.

Kaznodzieja wyprostował się i przeczytał kolejny fragment.

-”Róg zaś, który uległ złamaniu, i cztery rogi, co wyrosły na jego miejsce, to cztery królestwa, które powstaną z jego narodu, będą jednak pozbawione jego mocy”\*. - Przerwał i spojrzał na zgromadzonych lekko nawiedzonym wzrokiem szaleńca i proroka. Wybierając go, Nicolas podjął właściwą decyzję. -”Róg zaś, który uległ złamaniu” - powtórzył. - To zdanie odnosi się do śmierci Aleksandra.”Cztery królestwa, które powstaną z jego narodu”. To odnosi się do upadku imperium macedońskiego. Jak wszyscy wiecie, podzielone zostało na cztery części przez czterech następców: Ptolemeusza, Antyгона, Kassandra i Seleukosa. I pamiętajcie, że zapisane to zostało przez Daniela prawie trzysta lat wcześniej.

Lecz niepokój i gniew to za mało, pomyślał Nicolas. Nędzy zawsze towarzyszą niepokój i gniew, ale nie zawsze dochodzi do rewolucji. Niepokój i gniew tliły się w Macedonii przez dwa tysiąclecia, kiedy najpierw Rzymianie, a potem Bizantyjczycy i Turcy osmańscy gnębili jego naród. I za każdym razem, gdy udawało się wyrwać z jarzma, zakładano im na kark kolejne. Przed stu laty wydawało się, że nareszcie los się odmienił.

Powstanie ilindeńskie z roku 1903 zostało brutalnie stłumione, ale w roku 1912 sto tysięcy Macedończyków walczyło ramię przy ramieniu z Grekami, Bułgarami i Serbami, żeby przepędzić Turków. Zostali jednak zdradzeni. Ich niedawni sojusznicy odwrócili się przeciwko nim, a miary niegodziwości dopełniły tak zwane wielkie mocarstwa. Na mocy przekłętego traktatu bukareszteńskiego

Macedonia została podzielona na trzy części. Macedonia Egejska została przyznana Grecji, Macedonia Wardarska Serbii, a Macedonia Piryńska Bułgarii.

\* Tamże, 8,22.

-”Z jednego z nich wyrósł inny, mały róg, i wzrastał nadmiernie ku południowi, ku wschodowi i ku wspaniałemu krajowi”\*. Mały róg to Demetrios - wyjaśnił kaznodzieja. -

Tym z was, którzy być może tego nie pamiętają, przypomi nam, że Demetrios był synem Antygona i ogłosił się królem

Macedonii, mimo że w jego żyłach nie płynęła krew Aleksandra.

Traktat bukareszteński! Na samą myśl o nim Nicolas cały się skręcał. Od blisko stu lat granice były ustalone i w zasadzie prawie się nie zmieniły. A podli Grecy, Serbowie i Bułgarzy robili wszystko, co mogli, by wymazać pamięć o macedońskiej historii, języku i kulturze. Ograniczali wolność słowa i wtręcali do więzienia wszystkich, którzy przejawiali najmniejszy opór. Konfiskowali ziemię macedońskich chłopów i osadzali na niej przybyszów.

Palili całe wioski, organizowali masowe mordy i gwałty i uczynili z Macedończyków niewolników, którzy zaharowywali się dla nich na śmierć. Dokonywali czystek etnicznych na olbrzymią skalę, a świat nie pisał nawet w obronie uciśnionych. Prześladowania nie przyniosły jednak oczekiwanego rezultatu. I to jest najważniejsze. Duch w narodzie nie zginął. W wielu miejscowościach w tym regionie przetrwały język, kultura i Kościół.

Przetrwały wśród tych prostych, lecz dumnych ludzi, którzy nieraz oddawali za nie życie, a teraz gotowi byli to zrobić ponownie dla wielkiej sprawy. I wtedy jego ukochana ojczyzna nareszcie odzyska wolność.

-”Wzniósł się on aż do wojska niebieskiego i strącił na ziemię część wojska oraz gwiazd i podeptał je. Wielkością dosięgał on niemal Władcy wojska, odjął Mu wieczną ofiarę, obalił miejsce Jego przybytku”\*. Obalił miejsce Jego przybytku - powtórzył

kaznodzieja. - To miejsce znajduje się tutaj. To Macedonia. Kraj, w którym się urodziliście.

To Demetrios, moi drodzy, pogrzyżył Macedonię w chaosie, który trwa od tamtego czasu.

Demetrios. Od roku dwieście dziewięćdziesiątego drugiego przed naszą erą. Zapamiętajcie tę datę. Zapamiętajcie ją dobrze. Dwieście dziewięćdziesiąty drugi rok przed naszą erą.

W kieszeni Nicolasa zaczęła dzwonić komórka. Ten numer znało naprawdę niewiele osób i udzielił swojej asystentce Katerinie wyraźnych instrukcji, żeby nie łączyła go z nikim, chyba że będzie to sprawa niecierpiąca zwłoki. Wstał i ruszył w stronę tylnych drzwi.

- Tak? - zapytał.

- Dzwoni do pana Ibrahim Bejumi - powiedziała Katerina.



- Ibrahim jak?

- Archeolog z Aleksandrii. Nie zawracałabym panu głó wy, ale twierdzi, że to pilne.

Znaleźli coś. Chcą, żeby podjął pan od razu decyzję.

- Dobrze. Przełącz go.

W słuchawce odezwał się kolejny głos.

- Panie Dragoumis. Mówi Ibrahim Bejumi. Z Naczelnej

Rady...

- Wiem, kim pan jest. Czego pan chce?

- Był pan łaskaw zaproponować finansowanie pewnych...

- Znaleźliście coś?

- Nekropolę. Grobowiec. Macedoński grobowiec. - Ibrahim wziął głęboki oddech. - Z

opisu, który mi przed stawiono, wynika, że to coś podobnego do królewskich grobowców w Ajgaju.

\* Tamże, 8,10 i 11.

Nicolas ścisnął mocniej komórkę i odwrócił się plecami do kościoła.

- Znaleźliście grobowiec macedońskiego króla? - za pytał.

- Nie - odparł szybko Ibrahim. - W tym momencie dysponuję wyłącznie relacją kierownika budowy. Dowiem się, co to naprawdę jest, dopiero kiedy sam dokonam inspekcji.

- Kiedy pan to zrobi?

- Jutro z samego rana. Pod warunkiem że będę miał zapewnione jakieś finansowanie.

Z tyłu dobiegł Nicolasa głos kaznodziei.

-”I usłyszałem, że gdy jeden ze świętych mówił, a drugi święty zapytał tego, który mówił:”Jak długo potrwa wi dzenie: wieczna ofiara, zgubna nieprawość, przybytek i po deptane zastępy?” „\*. Jak długo będzie gnębiona Macedonia i Macedończycy? Jak długo będziemy płacić za grzech

Demetriososa? Pamiętajcie, że zapisano to trzysta lat przed popełnieniem przez Demetriososa tego grzechu, a stało się to w dwieście dziewięćdziesiątym drugim roku przed na rodzeniem Chrystusa!

Nicolas zasłonił dłonią ucho, żeby móc się skoncentrować.

- Potrzebuje pan środków, zanim dokona pan inspek cji? - zapytał z przekazem.

- Mamy wyjątkową sytuację - odparł Ibrahim. - Człowiek, który poinformował mnie o odkryciu, ma ciężko chorą córkę. Chce uzyskać fundusze, zanim powie coś więcej.

- Aha. - Nieunikniony bakszysz. - Ile to wyniesie? Za wszystko?

- Mówi pan o pieniądzach?

Nicolas zacisnął pięści. Co za ludzie!

\* Tamże, 8,13.

- Owszem - odparł z wystudiowanym spokojem. - Mówię o pieniądzach.

- To zależy, jak duże okaże się to miejsce, ile mamy czasu, jakiego rodzaju artefakty...

- W amerykańskich dolarach. Mówimy o tysiącach, dziesiątkach tysięcy, setkach tysięcy?

- Aha. Koszt tego rodzaju pilnych wykopalisk wynosi na ogół od sześciu do siedmiu tysięcy amerykańskich dolarów tygodniowo.

- Ile tygodni?

- To zależy...

- Jeden? Pięć? Dziesięć?

- Dwa. Jeśli będziemy mieli szczęście.

- Doskonale. Zna pan Elenę Koloktronis?

- Tę archeolożkę? Spotkaliśmy się parę razy. Dlaczego pan pyta?

- Prowadzi wykopaliska w delcie. Katerina poda panu jej numer. Niech pan ją jutro zaprosi. Jeżeli Elena uzna, że ten wasz grobowiec jest coś wart, Dragoumis Group wypłaci panu dwadzieścia tysięcy dolarów. Mam nadzieję, że to pokryje koszty prac wykopaliskowych i leczenia wszystkich innych chorych dzieci, które mogą się jeszcze pojawić.

- Dziękuję panu - powiedział Ibrahim. - Jest pan bardzo hojny.

- Niech pan porozmawia z Katerina. Przedstawi panu nasze warunki.

- Warunki?

- Nie sądzi pan chyba, że damy panu dwadzieścia tysięcy, nie stawiając żadnych warunków?

Alp.

- Powiedziałem już: niech pan porozmawia z Katerina - powtórzył Nicolas i zakończył rozmowę.

-”On zaś powiedział do niego:”Jeszcze przez dwa tysiące trzysta wieczorów i poranków, następnie świątynia odzyska swoje prawa”,\*. Dwa tysiące trzysta dni! -

zakrzyknął rozradowany kaznodzieja. - Dwa tysiące trzysta dni! Ale oryginalny tekst brzmi inaczej. Oryginalny tekst mówi o”wieczorach i porankach ofiar”. A te ofiary składano raz w roku. Dlatego dwa tysiące trzysta dni nie oznacza wcale dwóch tysięcy trzystu dni. Nie. To oznacza dwa tysiące trzysta lat. A kto mi powie, kiedy mija dwa tysiące trzysta lat od grzechu Demetriososa? Nikt? W takim razie ja wam powiem. W roku Pańskim dwa tysiące ósmym.

Teraz. Dzisiaj. Dzisiaj nasza świątynia odzyska swoje prawa. Tak mówi Biblia, a Biblia nigdy nie kłamie. I pamiętajcie, że przepowiedział to wszystko Daniel sześćset lat przed narodzeniem Chrystusa. - Kaznodzieja podniósł palec w geście upomnienia i wezwania. - Tak zostało napisane, ludzie. Tak zostało napisane. Wybiła nasza godzina. Wybiła wasza godzina.

Jesteście wybranym pokoleniem, pokoleniem, które Bóg wybrał, aby wykonało jego rozkaz.

Kto z was ośmieli się odmówić jego wezwaniu?

Nicolas obserwował z satysfakcją, jak ludzie spoglądają na siebie i mruczą zaskoczeni. Wybiła rzeczywiście ich godzina i nie było to dziełem przypadku. Jego ojciec pracował nad tym od czterdziestu lat, on od piętnastu. Mieli swoich wysłanników w każdej osadzie, mieście i wiosce. W górach czekały składy z bronią, żywnością i pićm. Weterani wojen jugosłowiańskich nauczyli ich strzelania i zasad wojny partyzanckiej. Mieli swoich ludzi we władzach lokalnych, ogólnokrajowych i w wojsku, przyjaciół w społeczności międzynarodowej oraz wśród macedońskiej diaspory. Trwała również w najlepsze kampania propagandowa. W należących do Dragoumisów telewizji i radiu nadawano bez przerwy programy, które miały budzić macedoński patriotyzm, gazety pisały o macedońskim heroizmie i poświęceniu, a także

o wystawnym stylu życia i bezmyślnym okrucieństwie ateuńskich ciemieńców. I przynosiło to efekty. W pomocnej Grecji wzbierał gniew i nienawiść, nawet wśród tych, którzy nie sympatyzowali z separatystami. Obywatelskie wystąpienia, zamieszki, coraz liczniejsze incydenty na tle etnicznym.

Wszystkie te wstrząsy zapowiadały rychłe trzęsienie ziemi.

Ale trzeba było jeszcze chwilę poczekać. Nicolas zdawał sobie z tego sprawę, mimo że tak bardzo mu na tym zależało.

Rewolucja potrzebowała ludzi do tego stopnia urobionych, że gotowi będą zginąć śmiercią męczeńską. Jeżeli chwycą teraz za broń, przez chwilę będzie to wyglądało obiecująco, lecz potem wszystko zgaśnie. Ich akcja spotka się z reakcją.

Grecka armia wyjdzie na ulice, zagrożone będą rodziny

I firmy. Zaczną się arbitralne aresztowania, pobicia i kontrpropaganda. Zwycięstwo ich sprawy odwlecze się na długie lata, być może zostanie bezpowrotnie zaprzepaszczona.

Nie.

Potrzebowali czegoś więcej. Czegoś bardzo szczególnego.

Symbolu, za który naród macedoński będzie gotów walczyć i ginąć.

I niewykluczone, że odebrany przez niego przed chwilą telefon z Egiptu mógł go dostarczyć.

## II

Oficer rozmawiał przez telefon. Knox miał wrażenie, że trwa to bardzo długo. W

pewnym momencie Egipcjanin wyszedł na zewnątrz z długopisem i kartką, przykucnął i spisał numery rejestracyjne jeepa. Następnie wrócił do budki i przeczytał je osobie po drugiej stronie linii.

Kluczyki jeepa tkwiły w stacyjce. Przez krótką szaloną chwilę Knox zastanawiał się, czy nie uciec. Jeżeli Hassan go dorwie, i tak tego nie przeżyje. Ale choć egipscy żołnierze wydawali się weseli i zrelaksowani, mogło się to zmienić w okamgnieniu, gdyby próbował

uciec. Zastrzeliliby go, zanim przejechałby pięćdziesiąt metrów.

Dlatego starał się odprężyć, zaakceptować fakt, że nie ma wpływu na to, co się z nim stanie.

Oficer odłożył starannie słuchawkę, zebrał się w sobie i wyszedł z budki. Nie szedł już zawadiackim krokiem. Robił wrażenie zamyślonego, nawet wystraszonego. Dał znak swoim ludziom, którzy natychmiast stanęli w gotowości. Oficer nachylił się do otwartego okna jeepa i postukał paszportem Knoksa po palcach lewej dłoni.

- Doszły mnie plotki o pewnym nadzwyczajnym wyda rzeniu - powiedział.

Żołądek Knoksa zacisnął się w węzeł.

- Jakie plotki?

- O incydencie dotyczącym Hassana alAssyutiego i pew nego młodego cudzoziemca.

- Nic o tym nie wiem - zapewnił go Knox.

- Cieszę się - odparł oficer, zerkając na drogę do

Szarmu, jakby spodziewał się, że w każdej chwili może pojawić się na niej jakiś pojazd. - Bo jeżeli te plotki są prawdziwe, ten młody cudzoziemiec ma przed sobą bardzo ponurą przyszłość.

Knox przełknął ślinę.

- Facet gwałcił dziewczynę - wygarnął. - Co miałem robić?

- Zawiadomić władze.

- Byliśmy pośrodku pierdolonego morza.

- Jestem pewien, że będzie pan miał możliwość przed stawienia swojej wersji wydarzeń.

- Gówno prawda - odparł Knox. - Za godzinę będę martwy.

Oficer się zaczerwienił.

- Powinien pan pomyśleć o tym wcześniej, nie sądzi pan?

- Chce pan powiedzieć, że powinienem chronić własny tyłek, tak? Tak jak pan to robi teraz?

- To nie moja sprawa - skrzywił się oficer.

Knox pokiwał głową.

- Ludzie w moim kraju uważają, że Egipcjanie to tchórze i złodzieje - powiedział. -

Powtarzałem im, że nie mają racji. Powtarzałem, że Egipcjanie są dzielni i szlachetni. Ale może się mylę.

Rozległ się gniewny pomruk. Jeden z żołnierzy wsadził rękę przez otwarte okno.

Oficer złapał go za nadgarstek.

- Nie!

- Ale on...

- Nie!

Żołnierz cofnął się lekko zawstydzony, a oficer spojrział z namysłem na Knoksa, nie wiedząc, co robić. Na wzgórzu za ich plecami pojawiły się dwa samochodowe reflektory.

- Proszę - powiedział Knox błagalnym tonem. - Niech pan mi da szansę.

Oficer również zauważył zbliżające się światła. Podejmując decyzję, zacisnął szczękę.

Rzucił paszport na fotel pasażera i dał znak swoim ludziom, żeby się odsunęli.

- Wracaj do domu - poradził Knoksowi. - Nie możesz się już tu czuć bezpiecznie.

Knox wypuścił powietrze z płuc.

- Wyjeżdżam dziś w nocy - odparł.

- To dobrze. A teraz jedź, zanim zmienię zdanie.

Knox wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Ręce drżały mu jak szalone, ciało zalała fala euforii. Powstrzymywał się jednak i dopiero po przejechaniu większego dystansu wydał z siebie triumfalny okrzyk i podniósł w górę zaciśniętą pięść. Zrobił coś zuchwałego i głupiego, ale chyba mu się upiekło.

W obskurnym hoteliku, w którym mieszkał Knox, Nessim, szef osobistej ochrony Hassana alAssyutiego, zastał chrapiącego głośno za biurkiem grubego faceta w średnim wieku. Recepcjonista obudził się ze stłumionym krzykiem, gdy Nessim opuścił w dół

drewnianą klapę.

- Knox - powiedział Nessim. - Szukam Daniela

Knoksa.

- Nie ma go tutaj - odparł facet, z trudem łapiąc oddech.

- Wiem, że go nie ma - mruknął chłodno Nessim. - Chcę zobaczyć jego pokój.

- Ale to jego pokój! Nie wolno mi go pokazywać.

Nessim sięgnął do kieszeni po portfel, robiąc to tak, żeby facet zobaczył skrytą pod pachą kaburę. Wyjął pięćdziesiąt funtów egipskich i położył je na biurku.

- Tak to wygląda, kiedy grzecznie proszę - oznajmił.

Recepcjonista obliznął wargi.

- Tylko ten jeden raz - powiedział.

Nessim ruszył za nim na górę, wspominając wydarzenia na statku. Największym upokorzeniem było dla niego to, że pokonał go jakiś zagraniczny plażowicz. Z początku myślał, że szybko namierzą Knoksa, ale nie okazało się to takie łatwe. Od wtyczki Hassana w armii dowiedział się, że

Knoksowi udało się jakoś przejechać przez punkt kontrolny. Kiedy o tym usłyszał, poczuł intensywne ukłucie gniewu i frustracji. Jak mało brakowało, żeby sprawa zakończyła się sukcesem! Miał jednak dość oleju w głowie, żeby nie robić z tego afery. W Egipcie tylko dureń zadzierał z wojskiem, a Nessim nie był durniem.

Recepcjonista otworzył drzwi do pokoju Knoksa, rozglądając się nerwowo, żeby sprawdzić, czy inni goście nie widzą tego, co się dzieje. Nessim wszedł do środka.

Miał jedną noc na złapanie Knoksa i miał ją tylko dlatego, że Hassan wziął solidną dawkę morfiny,

żeby uśmierzyć ból. Kiedy obudzi się jutro rano, będzie chciał wiedzieć, co zostało zrobione.

Będzie chciał dorwać Knoksa.

Nessim przejrzał wiszące w szafie tandetne ubrania, sprawdził boczne kieszenie leżącej na dole czerwonej brezentowej torby i ukucnął, żeby obejrzeć stojące w stosie przy ścianie książki. Było tam kilka kryminałów i komiksów, ale w większości naukowe prace na temat Egiptu i archeologii. Były także płyty CD z muzyką i z danymi komputerowymi. Wziął

do ręki bindowany dokument. Na stronie tytułowej widniał napis po angielsku i arabsku: Wykopaliska Malawi

Notatki z pierwszego sezonu

Richard Mitchell i Daniel Knox

Przekartkował go. Opatrzony fotografiami tekst dotyczył wykopalisk w osadzie z wczesnego okresu ptolemejskiego kilka kilometrów od Malawi w środkowym Egipcie. Odłożył go zaintrygowany. Dlaczego egiptolog pracował jako instruktor nurkowania w Szarm elSzejk? Przejrzał kilka innych dokumentów. Na tyle, na ile mógł się domyślić, były tam mapy i fotografie raf koralowych. Wyjął z szafy brezentową torbę i wrzucił do niej wszystkie dokumenty Knoksa. Następnie spakował jego laptop oraz robocze płyty CD i dyskietki. W najwyższej szufladzie biurka znalazł fotokopie paszportu i prawa jazdy Knoksa, najprawdopodobniej na wypadek, gdyby zgubiły się oryginały, a także pasek kolorowych zdjęć paszportowych, bez wątpienia do jednego z wielu dokumentów, których cudzoziemcy potrzebowali do pracy na Synaju. Schował je do kieszeni marynarki i zabrał

torbę oraz laptopa. Recepcjonista pisał coś pod nosem.

- Tak? - zapytał Nessim. - Chciałeś coś powiedzieć?

- Nie - odparł facet.

- To dobrze. I dam ci małą radę. Na twoim miejscu pozbyłbym się reszty tych rzeczy.

Nie wydaje mi się praw dopodobne, żeby twój przyjaciel pojawił się tu w najbliższej przyszłości.

- Nie?

- Nie. Ale zadzwoń do mnie, jeśli to zrobi - dodał

Nessim, dając mu swoją wizytówkę.

## Rozdział 5

Tego wieczoru komary były wyjątkowo wredne. Gaille wetknęła dwie żarzące się zielone spirale w blaszane stojaczki, zapięła wysoko kołnierzyk i mankiety swojej białej koszuli, wcisnęła nogawki spodni w skarpetki i spryskała obficie odsłoniętą skórę środkiem odstraszającym owady, lecz te małe

diablicie i tak znajdowały sposoby, by się nią pożywić, a potem ogłaszały głośnymi fanfarami swój triumf, uciekając pod wysoki sufit hotelowego pokoju, gdzie nie mogła ich dosięgnąć, nawet stając na krześle. Czy nie miały za grosz poczucia siostrzeństwa? Ponownie usłyszała koło ucha to irytujące bzyczenie i trzepnęła się po szyi, chyba tylko po to, by ukarać siebie samą za to, że tak łatwo dała się podejść. Szkoda już się dokonała. Skóra na jej nadgarstku poczerwieniała i zaczęła pulsować. Jej dłonie były łatwym celem, kiedy co wieczór robiła te przekłete notatki na temat wykopalisk. Przerwała na chwilę i wyjrzała przez okno. Nie zaszkodziłoby wziąć sobie jeden wolny wieczór. Zimne piwo i chwila rozmowy. Ale gdyby Elena złapała ją w barze...

Drzwi otworzyły się bez uprzedzenia i Elena we własnej osobie wmaszerowała do jej pokoju zupełnie tak, jakby należał do niej. Nie szanowała w ogóle cudzej prywatności, ale Boże broń, gdyby ktoś ośmielił się zapukać do jej drzwi, nie uprzedziwszy o tym dwa tygodnie wcześniej na piśmie!

- Tak? - zapytała Gaille.

- Miałam właśnie telefon - oznajmiła Elena, zerkając na nią wojowniczo, jakby znalazła się nagle w niekorzystnej sytuacji i spodziewała się, że Gaille nie omieszką tego spożytkować. - Od Ibrahima Bejumiego. Znasz go? Jest szefem Naczelnej Rady w Aleksandrii. Wygląda na to, że odkrył nekropolę. Uważa, że w jakiejś części może być macedońska. Chce, żebyśmy ją razem sprawdzili. Powiedział także, że kompletuje ekipę do ewentualnych prac wykopaliskowych i zapytał, czy mogłabym mu dostarczyć specjalistów.

Musiałam mu przypomnieć, że prowadzę własne prace.

Wspomniałam jednak, że może skorzystać z twoich usług.

Gaille zmarszczyła czoło.

- Potrzebuje pomocy językowej?

- Mamy do czynienia z sytuacją nadzwyczajną - parsknęła Elena. - Praca polega na rejestrowaniu, wydobywaniu, porządkowaniu i magazynowaniu. Przekładem można zająć się później.

- Więc...?

- On potrzebuje fotografa, Gaille.

- Oo! - Gaille była lekko oszołomiona. - Ale ja nie jestem fotografem.

- Masz chyba aparat, prawda? Robisz dla nas zdjęcia, tak czy nie? Chcesz mi powiedzieć, że są do luzu?

- Robię je tylko dlatego, że prosiłaś...

- Więc teraz to ma być moja wina?

- A Maria? - zapytała żałośnie Gaille.



- A z kim ja tutaj zostanę? Uważasz się za równie dobrą fotografkę jak ona?

- Oczywiście, że nie. - Gaille zabrała aparat wyłącznie po to, żeby fotografować zniszczone ostrakony, a potem przetwarzać komputerowo zdjęcia, żeby napisy stały się bardziej czytelne. - Powiedziałam tylko, że...

- Powiedziałam tylko, że... - powtórzyła wściekle Elena, przedrzeźniając ją.

- Chodzi ci o to, co zdarzyło się wcześniej? - zapytała

Gaille. - Mówiłam ci już, że nic tam na dole nie widziałam.

Elena potrząsnęła głową.

- To nie ma z tym nic wspólnego. Sprawa jest bardzo prosta. Szef Naczelnej Rady w Aleksandrii poprosił cię o pomoc. Naprawdę chcesz, żebym powiedziała mu, że odmówiłaś?

- Nie - odparła zrezygnowana Gaille. - Oczywiście, że nie.

Elena pokiwała głową.

- Jutro z samego rana dokonamy wstępnej inspekcji.

O siódmej masz być spakowana i gotowa do wyjazdu - powiedziała, po czym rozejrzała się po zagrożonym pokoju

Gaille, potrząsnęła głową z niesmakiem i wyszła, zatraskując za sobą drzwi.

## II

Knox z bólem zostawiał jeepa na parkingu długoterminowym. Był jego wiernym towarzyszem od przyjazdu do Egiptu. Miał osiemset tysięcy kilometrów na liczniku i mógł

przejechać dużo więcej. Można pokochać samochód, który nigdy cię nie zawiódł. Zostawił

kluczyki i kwit za parkowanie pod siedzeniem kierowcy. Zadzwoni później do jednego ze swoich kairskich znajomych, może mu się przyda.

Na lotnisku panował tłok. Trwała przebudowa i pasażerowie mieli do dyspozycji połowę normalnej przestrzeni. Chociaż wydawało się mało prawdopodobne, by ludzie Hassana pojawili się tu przed nim, Knox nasunął na oczy daszek czapki baseballowej. Miał

do wyboru mnóstwo lotów. Wiele samolotów lądowało w Egipcie późnym wieczorem i startowało szybko z powrotem, żeby dotrzeć do domu jeszcze przed świtem. Mijał kolejne stanowiska odpraw. Londyn? Odpada. Kiedy ktoś spieprzył swoje życie, oglądanie, jak powiodło się jego starym kumplom, jest ostatnią rzeczą, na której mu zależy. Wykluczone były również Ateny. Po tym jak padło mu na mózg po rodzinnej tragedii, Grecja była dla niego zakazana.. Stuttgart? Paryż?

Amsterdam? Perspektywa podróży do tych miast beżmiernie go przygnębiała. Stojąca w kolejce do Rzymu ciemnowłosa kobieta nieśmiało się do niego uśmiechnęła. Ta zachęta wydała się tak samo dobra jak każda inna. Podeszedł do stanowiska, żeby zapytać, czy są bilety. Stojący przed nim mężczyzna skarżył się na dodatkowe opłaty za przewóz komputera.

Knox się zamyślił. Wracaj do domu, powiedział mu oficer w punkcie kontrolnym. Ale jego domem był Egipt. Mieszkał tutaj od dziesięciu lat i pokochał ten kraj mimo upału, niewygód, chaosu i zgiełku. Najbardziej ze wszystkiego pokochał pustynię, jej oślepiająco czysty rysunek, nadzwyczajny dar samotności, kalejdoskopowe zachody słońca i chłodne mgiełki w piaskowych dolinach na chwilę przed świtem. Pokochał ciężką pracę przy wykopaliskach, dreszcz emocji, który towarzyszy odkryciu i daje człowiekowi napęd, kiedy trzeba rano zwlec się z łóżka. Nie zapowiadało się jednak, by miał jeszcze przy nich kiedyś okazję popracować.

Stojący przed nim mężczyzna w końcu zapłacił. Knox dał krok do przodu, czując, jak serce trzepocze mu w piersi. Jeżeli czekały go jakieś problemy, przekona się o tym właśnie teraz. Kasjerka posłała mu obojętny uśmiech. Zapytał o miejsca: zapewniła go, że jest ich dużo. Knox dał jej swój paszport i kartę kredytową.

Kasjerka postukała w klawisze i podniosła wzrok.

- Mi scusi un momento.

Zabrała jego paszport i kartę i zniknęła za drzwiami z tyłu budki. Knox się pochylił, żeby zobaczyć ekran monitora. Nie spostrzegł niczego, co mogłoby ją zaalarmować.

Rozejrzał się po hali. Wszystko wydawało się w normie. Kasjerka wróciła. Nie patrzyła mu w oczy i trzymała paszport oraz kartę kredytową poza jego zasięgiem.

Knox ponownie się rozejrzał. W drzwiach po obu stronach hali pojawiły się prawie jednocześnie dwie grupki strażników. Knox dał nurka do przodu, wyrwał swoje dokumenty z rąk zaskoczonej kobiety i odszedł od kasy z pochyloną głową i walącym wściekle sercem.

Strażnik po lewej stronie krzyknął coś. Knox przestał udawać i puścił się biegiem do wyjścia.

Drzwi były automatyczne, ale otwierały się tak wolno, że musiał przecisnąć się przez nie bokiem. Dyżurujący na zewnątrz z karabinem strażnik ściągnął broń tak szybko z ramienia, że upadła z brzękiem na ziemię. Knox pomknął w lewo, oddalając się od jaskrawie oświetlonego terminalu.

Przeskoczył przez balustradę, zbiegł po stromym nasypie na pogrążony w mroku przystanek autobusowy, przecisnął się między siedzącymi na plecakach młodymi podróżnymi i otarł sobie dłoń o szorstką ścianę, wbiegając do przejścia podziemnego.

Dwaj popalający wspólnie papierosa dozorczy w uniformach spojrzeli na niego zaskoczeni, kiedy przemknął między nimi. Gardło połechttał mu ostry dym ich czarnego tytoniu. Skręcił w lewo i biegł, ile miał sił w nogach, ignorując krzyki i wycie syren. Po lewej zobaczył drzewa i ruszył w tamtą stronę. Biegł jeszcze przez dziesięć minut i zatrzymał się dopiero w momencie, gdy nie mógł zrobić

ani kroku dalej. Zgięty w pół oparł ręce na kolanach i chwycił łapczywie powietrze. Reflektory samochodów patrolowały powoli drogę, latarki przeczesywały zagajnik. Pot na jego koszuli ochłódł; Knox zadrżał, czując swój własny zapach. Jego sytuacja była fatalna. Wpadł po same uszy w gówno. Jeżeli aresztuje go policja, Hassan będzie miał go w rękę, bez względu na to, czy zdoła udowodnić swoje racje.

Analizował możliwe posunięcia. Porty morskie i lotnicze były najwyraźniej zaalarmowane.

Na przejściach granicznych mieli jego fotografię. W Kairze można było dostać dowolny podrobiony dokument, ale Hassan miał długie ręce. Wkrótce się dowie, że Knox jest w Kairze, i każe go szukać. Nie. Musiał się stąd jak najszybciej wyrwać. Mógł pojechać taksówką albo autobusem, lecz kierowcy na pewno go zapamiętają. W pociągach roilo się od policji i wojska. Lepiej było zaryzykować i wrócić po jeepa.

Z lewej strony rozległ się czyjś krzyk i padł pojedynczy strzał. Knox skulił się odruchowo. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że strzelają na oślep. Zdażył już się zorientować, gdzie jest, i uspokoić oddech. Nisko pochylony podbiegł do wysokiej, lecz niezwieńczonej drutem kolczastym siatki parkingu długoterminowego. Ocierając sobie palce do krwi, wspiał się po niej przy betonowym słupie i zeskoczył na drugą stronę. Biegając, omijał szerokim łukiem jasno oświetlone miejsca i stojące w rzędach samochody. Parking był

prawie pusty. Opuszczający Egipt pasażerowie byli już w hali; ci, którzy przylecieli, dawno już odjechali. Podjechał do budki, zapłacił śpiącemu parkingowemu i szlaban uniósł się w górę.

Kiedy wyjechał na główną drogę, niebieskie policyjne światła migotały daleko po jego lewej stronie. Knox skręcił w prawo, kierując się do Kairu. Światła przygasły, a potem zniknęły z jego lusterka. Po drugiej stronie dwupasmowej drogi przemknęły nagle kolejne radiowozy z migającymi światłami. Uświadomił sobie, że instynktownie wstrzymał oddech. I gdzie się teraz, kurwa, podzieje? Nie mógł zostać w Kairze. Poza tym musiał unikać punktów kontrolnych. To zamykało przed nim

Synaj, Pustynię Zachodnią oraz południe kraju. A zatem Aleksandria. Leżała zaledwie trzy godziny dalej na północ i ze wszystkich egipskich miast lubił ją najbardziej. Miał tam poza tym przyjaciół i nie musiał mieszkać w hotelu. Nie mógł jednak zapomnieć, że jest ścigany; nie wolno mu było nikogo narażać. Potrzebował kogoś, kto w niego wierzył, kogoś o silnych nerwach, kto nie bał się od czasu do czasu zaryzykować choćby po to, by poczuć, jak krew krąży mu szybciej w żyłach.

Biorąc to wszystko pod uwagę, mógł skorzystać z pomocy tylko jednej osoby. Po raz pierwszy od kilku godzin zrobiło mu się lżej na sercu. Wdepnął gaz do dechy i pomknął z rykiem na północ.

## Rozdział 6

- Mais attends! - wrzasnął Augustin Pascal do sukin syna, który walił do jego drzwi. -

J'arrive! J'arrive!

Przełazi przez nagą dziewczynę, która leżała z twarzą schowaną w poduszkach.

Miała długie, faliste płoże włosy i przypominała mu Sophie. Uniósł jej grzywę, żeby się upewnić. Niech to szlag! Od tygodnia marzył o tym, żeby ją przelecieć, a kiedy przyszło co do czego, uchlał się w trupa i niczego nie pamiętał.

To straszne, kiedy człowiek się starzeje.

Ponownie rozległo się walenie do drzwi, współgrając z intensywnymi pracami rozbiórkowymi w jego własnej czasce. Zerknął na budzik. Piąta trzydzieści.

Pierdolona piąta trzydzieści! Niewiarygodne!

- Mais attends! - powtórzył. Na nocnej szafce trzymał na wszelki wypadek butelkę z wodą i butlę z tlenem. Pociąg nąwszy kilka długich haustów z jednej i drugiej, poczuł w końcu, że nie przewróci się, kiedy wstanie. Owinął się podartym ręcznikiem, zapalił papierosa i podszedł do frontowych drzwi. Stał za nimi Knox.

- Czego chcesz? - zapytał Augustin. - Wiesz, która jest, kurwa, godzina?

- Mam kłopoty - odparł po prostu Knox. - Potrzebuję pomocy.

## II

Jadąc przez Aleksandrię, Ibrahim był we wspaniałym nastroju. Słońce dopiero co wzeszło, ale on był zbyt podniecony, by leżeć w łóżku. W nocy przyśnił mu się sen.

Nie. Właściwie to nie był sen. Leżał tam na pół obudzony, czekając na dzwonek budzika, i nagle ogarnęła go intensywna i cudowna fala błogostanu. Nie mógł pozbyć się przeczucia, że czeka go coś doniosłego.

Zatrzymał się przed domem Mohammeda. Wysoki blok mieszkalny sprawiał ponure wrażenie: ściany były popękane i od dawna niemalowane, wyłamane frontowe drzwi wisiały luźno na zawiasach, z domofonu sterczały wyrwane przewody. Mohammed czekał już na niego w holu. Na widok należącego do Ibrahima mercedesa zaświeciły mu się oczy. Podszedł

do niego powoli niczym przedłużający swoją obecność na scenie słynny aktor lub sportowiec, obracając się z dumą w lewo i w prawo, chcąc, by jak najwięcej znajomych i sąsiadów zobaczyło, jak do niego wsiada.

- Dzień dobry - przywitał go Ibrahim.

- Podróżujemy z klasą - zauważył Mohammed, od suwając do tyłu fotel pasażera, żeby zmieścić nogi, które i tak musiał bardzo podkurczyć.

- Tak.

- Moja żona jest bardzo przejęta - oznajmił wielko - lud. - Wierzy, że znaleźliśmy Aleksandra - dodał, zerkając chytrze na Ibrahima, żeby ocenić jego reakcję.

- Mam co do tego duże wątpliwości - odparł Ibrahim. - Aleksander został pochowany w wielkim mauzoleum.

- Więc może to jego fragment?

Ibrahim wzruszył ramionami.

- To bardzo mało prawdopodobne. Widzisz, nie chodzi tylko o Aleksandra. W

mauzoleum pochowani zostali również

Ptolemeusze. Chcieli, żeby spłynęła na nich sława Aleksandra - dodał, uśmiechając się do Mohammeda. - Nie całkiem im się to udało. Kiedy rzymski cesarz Oktawian August przybył z pielgrzymką do grobu Aleksandra, kapłani zapytali go, czy chce zobaczyć także Ptolemeuszów. Wiesz, co im odpowiedział?

- Co?

- Że przybył tu zobaczyć króla, nie trupy.

Mohammed głośno się roześmiał. Aleksandryjczykom zawsze podobało się, kiedy ucierano nosa możliwym tego świata. Ibrahim był w tak dobrym humorze, że postanowił

opowiedzieć jeszcze jedną anegdotę.

- Znasz kolumnę Pompejusza? - zapytał.

- Oczywiście. Widać ją z mojego placu budowy.

- Wiesz, że nie ma nic wspólnego z Pompejuszem?

Absolutnie. Wzniesiono ją ku czci cesarza Dioklecjana po tym, jak przybył tutaj na czele sił ekspedycyjnych, aby stłumić powstanie. Aleksandryjczyki tak go rozgniewali, że przysięgł, iż nie spocznie, póki jego koń nie będzie miał kolan zbroczonych krwią. I zgadnij, co się stało.

- Nie mam pojęcia.

- Jego koń potknął się i otarł sobie kolana do krwi.

Dioklecjan uznał to za znak i oszczędził miasto. Jego urząd - nicy postawili kolumnę i posąg na pamiątkę tego wydarzenia. A wiesz, co zrobili Aleksandryjczycy?

- Nie.

- Również wzniesli posąg. Nie ku czci Dioklecjana, lecz jego konia.

Mohammed parsknął śmiechem i klepnął się po kolanie.

- Jego konia! A to dobre!

Zbliżali się do centrum miasta.

- Teraz gdzie? - zapytał Ibrahim.

- W lewo - odparł Mohammed. - I jeszcze raz w lewo. - Zatrzymali się, żeby przepuścić tramwaj. -  
Więc gdzie jest grób Aleksandra? - zapytał.

- Nikt nie wie tego na pewno. Starożytna Aleksandria ucierpiała dotkliwie od pożarów, zamieszek,  
wojen i trzęsień ziemi. Zdarzyło się również katastrofalne tsunami.

Woda najpierw cofnęła się od brzegu i obywatele wyszli, żeby zebrać leżące na dnie ryby i  
kosztowności. A potem uderzyła wielka fala. Nie mieli najmniejszej szansy.

Zdumiony Mohammed potrząsnął głową.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- Tak czy inaczej miasto obróciło się w ruinę i wszystkie wielkie budowle popadły w zapomnienie,  
nawet mauzoleum

Aleksandra. Nigdy go nie odnaleźliśmy, choć, wierz mi, bardzo się staraliśmy.

Próbowało tego wielu archeologów, w tym Heinrich Schliemann, świeżo po swoich triumfach w  
Troi i Mykenach. I nikomu się nie udało.

- Musi pan mieć jakiś pomysł.

- Nasze źródła twierdzą zgodnie, że mauzoleum stało na północny wschód od starożytnego  
skrzyżowania dróg - powiedział Ibrahim. - Problem polega na tym, że nie bardzo wiemy, gdzie było  
to skrzyżowanie. Wszystkie te nowe budynki, rozumiesz. Dwieście lat temu było to możliwe. Tysiąc  
lat temu bardzo łatwe. Ale dzisiaj... Mohammed posłał mu chytre spojrzenie.

- Ludzie mówią, że Aleksander jest pochowany pod meczetem proroka Daniela. W  
złotej trumnie.

- Obawiam się, że to nieprawda.

- Więc dlaczego tak mówią?

Ibrahim milczał przez chwilę, zbierając myśli.

- Wiesz, że Aleksander pojawia się w Koranie? - zapytał. - Jako prorok Zulkarnein, ten o dwóch  
rogach.

Szesnastowieczny pisarz arabski Leon Afrykański mówi o pobożnych muzułmanach, którzy odbywali pielgrzymki do grobu proroka, i twierdzi, że znajdował się on obok kościoła Świętego Marka, podobnie jak meczet proroka Daniela.

W arabskich legendach często mówi się o proroku Danielu, który podbił całą Azję, założył Aleksandrię i został tu pochowany w złotej trumnie. Któż inny mógłby to być, jeśli nie Aleksander? Rozumiesz już chyba, dlaczego ludzie mylą meczet Daniela z grobem Aleksandra. W dodatku pewien

Greki utrzymywał, że widział w podziemiach meczetu zwłoki na tronie, ze złotym diademem na głowie. To bardzo kusząca koncepcja. Ma tylko jedną wadę.

- Jaką?

- Jest kompletnie nieprawdziwa.

Mohammed się roześmiał.

- Skąd pan wie?

- Osobiście przeszukałem te podziemia - wyjaśnił Ib rahim. - Wierz mi, są z okresu rzymskiego, nie ptolemejskiego. Zbudowano je pięćset albo sześćset lat później. Ale koncepcja się utrzymuje, między innymi dlatego, że na naszej najlepszej mapie starożytnej Aleksandrii mauzoleum jest zaznaczone tuż obok meczetu.

- A więc jednak!

- Mapę sporządzono dla Napoleona Trzeciego - powie dział Ibrahim. - Cesarz potrzebował informacji o starożytnej

Aleksandrii do pisanej przez siebie biografii Juliusza Cezara, poprosił więc o nie swojego przyjaciela Kedywa Ismaila.

W tym okresie nie istniała żadna wiarygodna mapa, więc

Ismail zamówił ją u niejakiego Mahmouda elFalakiego.

- Łatwiej prowadzić badania, kiedy jest się cesarzem.

- Jasne - zgodził się Ibrahim. - I mapa jest naprawdę wyjątkowym dziełem sztuki.

Niestety, nie jest idealna. Mahmoud również dał wiarę starym legendom i zaznaczył grób Aleksandra niedaleko meczetu. Mapę reprodukuje się we wszystkich współczesnych przewodnikach i książkach historycznych, podtrzymując mit. Biednego imama bez przerwy zdręczają turyści łudzący się, że odnajdą Aleksandra. Ale możesz mi wierzyć, na pewno go tam nie odnajdą.

- Gdzie powinni szukać?

- W północnowschodnim rogu starożytnego skrzyżowania, tak jak mówiłem. Być może przy cmentarzu Terra Santa.

Na północny zachód od ogrodów Shallalat.

Mohammed był najwyraźniej zawiedziony. Ibrahim poklepał go po ramieniu.

- Nie porzucaj tak szybko nadziei - rzekł. - Jest coś, o czym ci jeszcze nie powiedziałem.

Co takiego?

- Nie mówiłem o tym nikomu. Nie chcę, żeby ludzie zaczęli gadać, rozumiesz. I nie powinieneś robić sobie zbyt wielkich nadziei. Naprawdę nie powinieneś.

- Niech pan mi powie.

- Aleksander nie miał w Aleksandrii tylko jednego grobu.

Miał dwa.

- Dwa?

- - Owszem. Soma, wielkie mauzoleum, o którym ci opowiedziałem, zostało zbudowane około roku dwieście piętnastego przed naszą erą przez Ptolemeusza Filopatora, czwartego z dynastii Ptolemeuszów. Przedtem jednak miał inny grób, w bardziej tradycyjnym macedońskim stylu. Bardzo podobny do tego, który ty i twoi ludzie odkryliście wczoraj.

Mohammed uważnie mu się przyjrzał.

- Myśli pan, że to właśnie ten grób?

- Nie - odparł łagodnie Ibrahim. - Wcale tak nie myślę. Pamiętaj, że to był Aleksander.

Ptolemeusze z pewnością zbudowali dla niego coś spektakularnego. - Problem polega na tym, że archeolodzy nie mieli pojęcia, jak mógł wyglądać ten grobowiec. Nie wiedzieli również, kiedy ciało Aleksandra zostało tu przywiezione z Memfis. Zgodzono się, że stało się to w roku dwieście osiemdziesiątym piątym przed naszą erą, lecz nikt w przekonujący sposób nie wytłumaczył, dlaczego transport trwał tak długo. - Uważamy, że jego ciało było eksponowane, jest więc mało prawdopodobne, żeby złożono je głęboko pod ziemią -

powiedział

Ibrahim. - Poza tym Aleksandra przez długie stulecia czczono jako boga. Władze miasta nigdy nie zgodziłyby się, żeby jego były grobowiec przekształcono w zwykłą nekropole.

Mohammeda chyba bardzo to przybiło.



- Więc dlaczego powiedział pan, że to możliwe?

- Ponieważ taka jest archeologia - wyjaśnił z uśmiechem Ibrahim. - Nigdy nic nie wiadomo.

I było coś jeszcze, czego jednak nie miał zamiaru nikomu zdradzać. Od najmłodszych lat, przysłuchując się opowiadanym mu do poduszki przez ojca historiom o założycielu tego wielkiego miasta, miał poczucie misji; wierzył, że któregoś dnia odegra jakąś rolę w ponownym odkryciu grobu Aleksandra. A tego ranka, gdy leżał w swoim łóżku, to poczucie nagle do niego wróciło; uznał, że nadeszła odpowiednia pora. I mimo wszystkich intelektualnych zastrzeżeń był w głębi serca pewien, że ma to coś wspólnego z grobem, który jechali obejrzeć.

### III

Nessim był na nogach przez całą noc. Starał się za wszelką cenę złapać Knoksa, zanim obudzi się Hassan. Bez powodzenia. Otrzymał wezwanie przed piętnastoma minutami i zaciskał teraz pięści, żeby przygotować się na spotkanie z szefem, który leżał w izolatce w centrum medycznym Szarm el-Szejk.

Nessim wstąpił do egipskiego wojska w wieku siedemnastu lat. Został

spadochroniarzem, członkiem elity. Skręcone kolano położyło kres nadziejom o karierze w czynnej służbie, pożegnał się więc z armią i został najemnikiem w niekończących się afrykańskich wojnach. Pocisk z moździerza wylądował z sykiem na jego kolanach, ale nie wybuchł; przekonało go to, że nadeszła pora, by zwolnić tempo. Po powrocie do Egiptu dał

się poznać jako niezły ochroniarz i wkrótce został zaangażowany przez Hassana jako szef jego obstawy. Gdyby łatwo było go nastraszyć, Nessim nigdy nie wybrałby takiej profesji.

Lecz w Hassanie było coś, czego się bał. To, że musiał mu przekazać złe wieści, przerażało go.

- Wejdz - mruknął Hassan. Mówił ciszej niż zwykle i miał świszczący głos. Stracił

jeden ząb i miał kilka złamałych żeber, co sprawiało mu ból przy oddychaniu. - No i co? -

zapytał.

- Czy może nas pan zostawić? - zwrócił się Nessim do siedzącego przy łóżku lekarza.

- Z przyjemnością - odparł nieco zbyt skwapliwie doktor i wyszedł.

Nessim zamknął za nim drzwi.

- Mamy dziewczyną - poinformował Hassana. - Szła na dworzec autobusowy.

- A Knox?

- Prawie go złapaliśmy. Na lotnisku w Kairze. Uciekł.

- Prawie?! - krzyknął Hassan. - Co jest warte prawie?

- Przykro mi, proszę pana.

Hassan zamknął oczy. Krzyk sprawił mu widać dotkliwy ból.

- I ty uważasz się za szefa mojej ochrony? - zapytał. - Popatrz na mnie! Pozwoliłeś, żeby człowiek, który to zrobił, włóczył się po Egipcie niczym jakiś cholerny wczasowicz?

- Otrzyma pan moją rezygnację, kiedy tylko...

- Nie chcę twojej rezygnacji - stwierdził Hassan. - Chcę Knoksa. Chcę go tutaj.

Rozumiesz? Chcę, żebyś go do mnie przyprowadził. Chcę zobaczyć jego twarz. Chcę, żeby wiedział, co zrobił, i co go z tego powodu czeka.

- Tak jest, proszę pana.

- Nie obchodzi mnie, co trzeba będzie zrobić. Nie obchodzi mnie, ile wydasz. Nie obchodzi mnie, jakie przysługi będziesz musiał oddać. Użyj armii. Użyj policji. Wszystkiego co konieczne. Czy wyrażam się jasno?

- Tak jest.

- No więc? - zapytał Hassan. - Po co tu jeszcze stoisz?

- Z całym szacunkiem, proszę pana, ale są różne sposoby, żeby go złapać. Jeden, jak pan słusznie sugeruje, polega na wykorzystaniu naszych znajomości w armii i policji.

Hassan spojrzał na niego z ukosa. Kipiał ze złości, lecz nie brakowało mu sprytu.

- Ale?

- Wczoraj wieczorem łatwo było skorzystać z ich pomocy. Powiedzieliśmy po prostu, że Knox spowodował poważny incydent na statku, ale szczegóły są jeszcze niejasne. Jeśli jednak mają nam w dalszym ciągu pomagać, będą chcieli zobaczyć dowody świadczące o jego winie.

Hassan spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że to, co mi zrobił, nie jest wystarczającym dowodem?

- Skądże znowu, proszę pana.

- Więc o co ci chodzi?

- Na razie większość ludzi słyszała tylko nieokreślone plotki. Osobiście wybrałem pański personel medyczny. Ci ludzie nie puszczą pary z ust. Moi podwładni strzegą pańskich drzwi. Nie wpuszczą do

środką nikogo bez mojej wyraźnej zgody. Ale jeśli zaangażujemy w to policję, będą chcieli przeprowadzić własne śledztwo. Wyślą funkcjonariuszy, żeby pana przesłuchali, zrobili zdjęcia i porozmawiali z innymi uczestnikami rejsu, łącznie z pana przyjacielem ze Stuttgartu i dziewczyną. I musi się pan zastanowić, czy w tym konkretnym momencie tego potrzebujemy, czy nie zaszkodzi pańskiej reputacji, kiedy do gazet i do sieci trafią zdjęcia pańskich obrażeń, a także przesadzone relacje, w jakich okolicznościach zostały odniesione, co może się przecież łatwo zdarzyć, ponieważ obaj wiemy, że w policji ma pan zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Musi pan także się zastanowić, co się stanie z pana autorytetem, jeżeli ludzie zobaczą, co zrobił panu zwykły instruktor nurkowania, któremu udało się w dodatku uciec... nawet jeśli zaraz go złapiemy.

Hassan znieruchomiał. Wiedział, jak ważne było, by ludzie się go bali.

- Jakie mamy inne wyjście? - zapytał.

- Wycofamy zarzuty. Powiemy, że to było nieporozumienie - mienie. Wyekspediujemy stąd dziewczynę. Przyczai się pan aż do powrotu do zdrowia. Tymczasem będziemy ścigać Knoksa sami. Zapadło długie milczenie.

- No dobrze - odparł w końcu Hassan. - Ale osobiście tym się zajmiesz. I oczekuję wyników. Rozumiesz?

- Tak jest, proszę pana. Świetnie rozumiem.

## **Rozdział 7**

To była pierwsza wizyta Gaille w Aleksandrii. Na bulwarze Corniche utworzył się korek. Maszty stojących w Porcie Wschodnim rybackich łodzi i jachtów dzwoniły niczym kastaniety w podmuchach lekkiej bryzy, która niosła niewyraźny kwaskowaty odór. Gaille oparła głowę o siedzenie i osłoniła oczy przed porannym słońcem, które przeświecało zza wysokich hoteli, biurowców i bloków mieszkalnych obwieszonych talerzami anten satelitarnych. Miasto budziło się do życia z gigantycznym ziewnięciem. Aleksandria zawsze lubiła nieco dłużej pospać. W sklepach podnoszono żelazne okiennice i opuszczano markizy.

Tędy mężczyźni popijali kawę w cukierniach, obserwując pobłaźliwie ubrane w łachmany dzieciaki, które sprzedawały kierowcom papierosy i jednorazowe chusteczki. Prowadzące do bulwaru alejki były ciasne, ciemne i niezachęcające. Zatłoczony tramwaj zatrzymał się, żeby zabrać kolejnych pasażerów. Policjant w olśniewająco białym mundurze i płaskiej czapce podniósł rękę, żeby skierować Gaille i Elenę w prawo. Przez skrzyżowanie przetoczył się z terkotem i zgrzytem zabytkowy podmiejski pociąg. Chłopcy ganiali po otwartych bydlęcych wagonach. Ełena zerknęła ostentacyjnie na zegarek.

- Jesteś pewna, że dobrze jedziemy?

Gaille wzruszyła bezradnie ramionami. Jedyłą posiadaną przez nią mapą była niewyraźna kserokopia z dawno nieaktualnego przewodnika. Nękały ją coraz silniejsze obawy, że już kilka razy kazała skrócić Elenie w niewłaściwą ulicę, lecz znając swoją szefową, wolała się do tego nie przyznawać.

- Chyba tak - odparła wymijająco.

Elena westchnęła głośno.

- Mogłabyś się postarać.

- Staram się. - Gaille nie mogła się wyzbyć przekonania, że wszystko to jest karą za wczorajsze przewinienie: Elena wykorzystała jej niesubordynację, aby pozbyć się jej z obozu archeologów w delcie. Zbliżały się do dużego skrzyżowania.

Elena spojrzała na nią wyczekująco.

- Skręć w prawo - powiedziała Gaille.

- Jesteś pewna?

- To powinno być gdzieś tutaj po lewej albo prawej stronie.

- Po lewej albo prawej? - parsknęła Elena. - Naprawdę bardzo mi pomogłaś.

Gaille wyjrzała przez okno. Głowa bolała ją z braku snu i kawy. Przed sobą zobaczyła plac budowy, wielki betonowy szkielet budynku z kołyszącymi się niczym pajęczne nogi stalowymi prętami na górze.

- To chyba tutaj - powiedziała zdesperowana.

- Chyba czy na pewno?

- Nigdy wcześniej nie byłam w Aleksandrii - zaprotes towała Gaille. - Skąd mam wiedzieć?

Elena sapnęła głośno i potrząsnęła głową, ale włączyła lewy kierunkowskaz i wjechała przez bramę na plac budowy. Trzej Egipcjanie konferowali z ożywieniem przy końcu porytej koleinami drogi.

- To Ibrahim - mruknęła Elena z tak oczywistym zaskoczeniem, że Gaille musiała stłumić uśmiech. Lepiej żeby jej szefowa nie domyśliła się, że triumfuje. Zaparkowały.

Gaille szybko otworzyła drzwi i wysiadła, czując, jak ogarnia ją nagle paralizująca trema. W swej profesji była pewna siebie, ale nie bardzo wierzyła w swe talenty fotograficzne i czuła się trochę jak uzurpatorka. Podeszła do skrzyni pickupa, pozornie po to, aby sprawdzić sprzęt, w rzeczywistości jednak, żeby się ukryć.

Elena zawołała ją. Gaille wzięła głęboki oddech, aby się opanować, i podeszła z przyklejonym do ust uśmiechem.

- Ibrahim - powiedziała Elena, wskazując eleganckiego mężczyznę w środku grupy. -

Przedstawiam ci

Gaille.

- Nasza słynna fotografka! Jesteśmy naprawdę bardzo zobowiązani.

- Tak naprawdę wcale nie jestem...

- Gaille jest doskonałą fotografką - oznajmiła Elena, uciszając ją wzrokiem. - Co więcej jest specjalistką od starożytnych języków.

- Doskonale! Doskonale! - Ibrahim wskazał swoich dwóch towarzyszy, którzy rozkładali na ziemi plan budowy. - Mansoor i Mohammed - przedstawił ich. - Mansoor jest moją prawą ręką. Prowadzi wszystkie nasze prace wykopalis kowe w Aleksandrii. Nie dałbym sobie bez niego rady.

Mohammed jest kierownikiem budowy tego hotelu.

- Miło panów poznać - powiedziała Gaille.

Obaj podnieśli wzrok znad mapy i skinęli grzecznie głową - wami. Ibrahim uśmiechnął się z roztargnieniem i spojrzał na zegarek.

- Czekamy jeszcze na jedną osobę. Znacie panie Augustina Pascala?

- Tylko ze słyszenia - parsknęła Elena.

- Owszem, to znakomity podwodny archeolog - po twierdził z powagą Ibrahim.

- Nie to miałam na myśli - odparła.

- Aha.

Dopiero kilka minut później usłyszeli dobiegający od bramy warkot silnika.

- No - mruknął Ibrahim. - Oto i on!

Na lśniącym srebrzystoczarnym motorze podjechał do nich, omijając dziury, trzydziestokilkuletni mężczyzna bez kasku, z długimi ciemnymi włosami powiewającymi na wietrze. Miał lustrzane okulary, dwudniowy zarost, skórzaną kurtkę, dzinsy i długie do kolan czarne motocyklowe buty. Zeskoczył z siodła, postawił motor na nóżkach i wyciągnął z kieszeni koszuli papierosa oraz mosiężną zapalniczkę.

- Spóźnił się pan - powiedział Ibrahim.

- Desole - mruknął mężczyzna, osłaniając dłonią pło myk. - Coś mi wypadło.

- Pewnie Sophia? - rzucił cierpko Mansoor.

Augustin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiesz, że nigdy nie wykorzystuję w ten sposób moich studentek - powiedział.

Elena cmoknęła i wymamrotała jakieś greckie przekleństwo. Augustin wyszczerzył zęby w uśmiechu i odwrócił się do niej, rozkładając ręce.

- Słucham? - zapytał. - Zobaczyła pani coś inte resującego?

- Jak mogę zobaczyć? - odpaliła. - Zasłania mi pan widok.

Mansoor roześmiał się i klepnął Augustina po ramieniu. On jednak nie wydawał się wcale speszony. Przyjrzał się Elenie uważnie i uśmiechnął do niej ze szczerą aprobatą, a może nawet zamiarem nawiązania bliższej znajomości, gdyż była kobietą o olśniewającej urodzie, a gniew dodawał jej atrakcyjności. Gaille zamrugła i cofnęła się o krok w oczekiwaniu na nieunikniony wybuch, lecz w ostatniej chwili stanął między nimi Ibrahim.

- No cóż - powiedział z nerwowym ożywieniem. - Czy możemy zaczynać?

Starożytne spiralne schody sprawiały wrażenie niebezpiecznych. Schodząc po nich, Gaille stawiała ostrożnie stopy. Dotarli jednak bez przeszkód na dół i zgromadzili się w rotundzie. Pod gruzem widać było w rogu fragment czarnobiałej mozaiki. Gaille wskazała ją Elenie.

- Z okresu ptolemejskiego - oznajmiła głośno jej szefowa, przykucając, żeby odgarnąć pył. - Mniej więcej dwa i pół wieku przed naszą erą.

Augustin wskazał płaskorzeźby na ścianach.

- Są rzymskie - stwierdził.

- Chce pan powiedzieć, że nie potrafię rozpoznać mace dońskiej mozaiki?

- Chcę tylko powiedzieć, że te płaskorzeźby są rzymskie.

Ibrahim podniósł ręce w górę.

- Co powiecie na to? - zapytał. - Na początku był to grobowiec jakiegoś bogatego Macedończyka. Trzysta lat później odkryli go Rzymianie i urządzili w nim nekropole.

- To wyjaśniałoby obecność spiralnych schodów - przyznała niechętnie Elena. -

Macedończycy nie budowali na ogół na planie spirali. Woleli linie i kąty proste.

- I musieliby poszerzyć szyb, gdyby chcieli stworzyć tu nekropole - zgodził się Augustin. - Żeby zapewnić światło i wentylację, móc spuszczać ciała i wydobywać skalne bloki.

Wie pani, że sprzedawali je budowlańcom? - zwrócił się do

Eleny.

- Owszem - odparła z przekąsem. - Tak się składa, że wiem.

Gaille słuchała ich jednym uchem, zerkając na krąg nieba wysoko nad jej głową.

Czuła się kompletnie zagubiona. Przy tego rodzaju pilnych pracach wykopaliskowych nie było mowy o drugiej szansie. W ciągu najbliższych dwóch tygodni ta mozaika, wspaniałe płaskorzeźby oraz wszystkie inne rzeczy, które tu znajdują, powinny zostać sfotografowane.

Następnie cały szyb zostanie prawdopodobnie na zawsze zamknięty. Tego rodzaju artefakty zasługiwały na prawdziwego profesjonalistę, kogoś z dużym doświadczeniem, kto zna się na skomplikowanym sprzęcie i oświetleniu. Pociągnęła nerwowo za rękaw Elenę, lecz ta zorientowała się widać, o co jej chodzi, bo odsunęła się i zeszła za Mohammedem po schodkach do przedsionka macedońskiego grobowca. Matową żółć wapiennej skały podkreślały tu olśniewająco białe marmurowe bloki fasady i stojące obok siebie cztery marmurowe kolumny jońskie zwieńczone marmurowym belkowaniem.

Przystanęli na moment, podziwiając je, a potem przecisnęli się przez uchylone drzwi z brązu do pierwszej komory.

- Patrzcie! - powiedział Mansoor, oświetlając latarką boczne ściany. Wszyscy podeszli bliżej, żeby im się przyjrzeć.

Malowidło na ścianie było niestety bardzo wyblakłe. W starożytności przedstawiano często na ścianach grobowców ważne sceny z życia zmarłego.

- Może pani to sfotografować? - zapytał Mansoor.

- Nie wiem, jak wyjdą zdjęcia - odparła z zakłopotaniem Gaille.

- Musi pani najpierw umyć malowidła - poradził jej

Augustin. - I nie żałować wody. Pigmenty mogą się wydać martwe, ale kiedy podleje się je wodą, zakwitną niczym piękne kwiaty. Może mi pani wierzyć.

- Nie za dużo wody - ostrzegł Mansoor. - I niech pani nie stawia zbyt blisko lamp.

Tynk może popękać od wysokiej temperatury.

Gaille zerknęła z rozpaczą na Elenę, która, celowo unikając jej wzroku, oświetliła latarką inskrypcję nad portalem prowadzącym do głównej komory.

- "Akylos trzydziestu trzech" - przeczytał Augustin, tłumacząc z antycznej greki.

W tym samym momencie Elena upuściła latarkę, klęcząc przy tym tak soczyście, że Gaille spojrzała na nią zdumiona. Ibrahim zapalił własną latarkę i oświecił napis, pozwolił Augustinowi tłumaczyć

dalej.

- "Akylos trzydziestu trzech - powtórzył Francuz. - Być najlepszym i uhonorowanym wyżej od reszty".

- To z Homera - mruknęła Gaille. Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni. - Coś podobnego jest w Iliadzie - dodała.

- Zgadza się - powiedział Augustin. - Te słowa odnosiły się chyba do niejakiego Glaukusa.

- Właściwie to sformułowanie pojawia się dwa razy - dodała nieśmiało Gaille. - Raz w odniesieniu do Glaukusa i raz w odniesieniu do Achillesa.

- Achilles, Akylos - pokiwał głową Ibrahim. - Ktoś tu miał najwyraźniej o sobie bardzo wysokie mniemanie.

Wchodząc w ślad za Mohammedem do głównej sali, wciąż wpatrywał się w napis i dlatego potknął się o wysoki próg i wylądował na czworakach. Wszyscy się roześmiali, kiedy wstał i otrzepał się z kurzu z kpiącą miną osoby, której często zdarza się coś podobnego.

Augustin podszedł do przymocowanej do ściany tarczy.

- To tarcza hypaspisty - powiedział. - Tarczownika - dodał, gdy Ibrahim posłał mu pytające spojrzenie. - Z sił specjalnych Aleksandra. Najlepszego oddziału bojowego w wojsku, które odniosło najwięcej zwycięstw w dziejach świata. Więc może nie był aż takim samochwałą.

## II

Promień słońca padł na policzek Knoksa, który leżał na kanapie Augustina, próbując się trochę zdrzemnąć. Jęknął i odwrócił się na drugi bok, lecz niewiele to pomogło.

Zrobiło się już zbyt parno. Knox niechętnie wstał, wziął prysznic, przetrząsnął pokój Augustina w poszukiwaniu jakiegoś ubrania, a następnie zmielił trochę kawy i nastawił

ekspres. Posmarował croissanta masłem i confiture de framboises, zjadł go łapczywie, po czym spacerował się po mieszkaniu, szukając jakiejś rozrywki.

Egiptowska telewizja była potwornie nudna, zresztą na migoczącym, czarnobiałym odbiorniku Augustina i tak nie dało się nic dostrzec. I nie było nic do czytania oprócz podartych gazet i kilku komiksów. To mieszkanie nie nadawało się do tego, by w nim przesiadywać. Można się było co najwyżej przespać, najlepiej w czyimś towarzystwie.

Knox wyszedł na balkon. Po każdej stronie stały identyczne wysokie bloki, każdy w tym samym przygnębiającym odcieniu beżu, z wiszącym na balkonie praniem i wszechobecnymi szarymi talerzami anten zwróconych ku swoim satelitom niczym wierni muzułmanie w stronę Mekki. Mimo to był zadowolony, że tu się znalazł. Niewielu egiptologów mówi to otwarcie, ale na ogół kręcą nosem na



Aleksandrię. Nie sądzą, by można było w ogóle zaliczyć erę greckorzymską do dziejów Egiptu. Lecz Knox był przeciwnego zdania. Dla niego to był właśnie złoty wiek Egiptu, a Aleksandria stanowiła jego złote miasto. Przed dwoma tysiącami lat była to największa światowa metropolia przyciągająca najwybitniejsze umysły starożytności.

Studiował tu Archimedes, a także Galen i Orygenes. Przetłumaczono Septuagintę. W

Aleksandrii opublikował swoje słynne prace Euklides. Stąd wzięła swoją nazwę chemia; alKhemia była czarnym ładem Egiptu, a alchemia egipską sztuką. Tutaj ogłosił swoją teorię heliocentryczną Arystarch, prawie dwa tysiąclecia przed tym, nim uczynił to ponownie Kopernik. Eratostenes obliczył z dużą dokładnością, ile wynosi średnica Ziemi, na podstawie różnic długości cieni rzucanych przez słońce w zenicie tutaj i w Asuanie, blisko osiemset pięćdziesiąt kilometrów na południe, podczas letniego przesilenia. Cóż za wyobraźnia! Jaka intelektualna ciekawość i śmiałość! Bezprecedensowe zderzenie kultur, błyskotliwość myśli równa Atenom i niewidziana później aż do czasów renesansu. Knoksowi nie mieściło się w głowie, jak można pomniejszać tego rodzaju osiągnięcia albo uważać...

Jego medytacje przerwał nagle dochodzący ze środka odgłos, zupełnie jakby ktoś usiłował cicho odchrząknąć. Czy jego azyl został już odkryty? Knox stanął na skraju balkonu, żeby nie było go widać przez przeszkłone drzwi, i przywarł płasko do ściany.

### III

Idąc obok Mohammeda, Ibrahim prowadził wszystkich w głąb nekropoli. Choć przed wejściem tutaj nie robił sobie wielkich nadziei, rozczarowało go nieco, że rzekomy królewski grobowiec okazał się miejscem spoczynku zwykłego żołnierza, nie króla.

Był jednak profesjonalistą i starał się trafnie ocenić i zrozumieć, z czym ma do czynienia.

Pierwsza komora powiedziała mu wiele z tego, co powinien wiedzieć. W każdej ścianie wycięte były rzędy loculi, niczym szuflady w wielkiej kostnicy; w każdej leżały zasypane piaskiem i pyłem ludzkie szczątki. Liczne szczątki leżały również na podłodze, wyrzucone prawdopodobnie przez szukających skarbów rabusiów. Pośród kości i gruzu znaleźli rozbitą fajansową figurę, kilka zielonych i poczerniałych monet datowanych od pierwszego do czwartego stulecia naszej ery oraz wiele okruchów terakoty z lamp pogrzebowych, dzbanów i statuetek. Były tam również kamienie i kawałki tynku. Loculi zamuroywano na ogół po pogrzebie, ale rabusie rozbili ścianki, żeby je splądrować.

- Myśli pan, że znajdziemy mumie? - zapytał Mohammed. - Zabrałem raz córkę do pańskiego muzeum. Zafas cynowały ją mumie.

- To bardzo mało prawdopodobne - odparł Ibrahim. - Klimat nie jest tu odpowiedni. A nawet gdyby przetrwały jakoś w wilgotnym powietrzu, zabraliby je rabusie grobów.

- Rabusie kradli mumie? - zdziwił się Mohammed. - Jaką mogły mieć wartość?

Ibrahim pokiwał głową.

- Po pierwsze, ludzie chowali często biżuterię i inne wartościowe przedmioty w różne otwory ciała zmarłego.

Rabusie zabierali zwłoki na górę, rozrywali je i przeszukiwali.

Po drugie, same mumie również miały swoją wartość. Zwłaszcza w Europie.

- Ma pan na myśli muzea?

- Nie, z początku nie - odparł Ibrahim. - Mniej więcej sześćset lat temu Europejczycy doszli do wniosku, że bitumin jest bardzo dobry dla ich zdrowia. Był to ówczesny cudowny lek. W każdej aptece mieli jego zapasy. Zapotrzebowanie było tak wielkie, że stale go brakowało. Ludzie szukali nowych źródeł. Wiemy, jak czarne mogą się stać zmumifikowane zwłoki; ludzie zaczęli wierzyć, że zostały nasycone bituminem. Stąd właśnie wzięło się słowo mumia; perskie słowo "mumia" oznacza bitumin, a większość dostaw po chodziła z Persji.

Mohammed się skrzywił.

- Ludzie używali mumii jako leku?

- Owszem, Europejczycy robili to. - Ibrahim uśmiechnął się konfidencko do wielkiego kierownika budowy. - Tak czy inaczej przez Aleksandrię przechodziła duża część tego handlu i dlatego nie znaleźliśmy u nas ani kawałka mumii, choć wiadomo, iż stosowano tu mumifikację.

Przeszli do kolejnej komory. Mansoor oświetlił latarką fragment tynku. Widniały na nim niewyraźne ślady malowidła przedstawiającego siedzącą kobietę i stojącego mężczyznę, którzy dotykali się otwartymi prawymi dłońmi.

- Dexiosis - mruknął.

- Żona zmarła - wyjaśnił Ibrahim. - Żegnają się po raz ostatni.

- Może mąż też tu trafił - mruknął Mohammed. - Tyle tutaj szczątków.

- Za dużo ludzi. Za mało przestrzeni. Taka była Aleksandria. Wiesz, że według niektórych szacunków w starożytności żyło tutaj milion ludzi? Widziałeś Gabbari?

- Nie.

- Jest wielkie. Prawdziwe miasto umarłych. Katakumby są również w Shatby i Sadi Gabr. Lecz mimo to stale brakowało miejsca. Zwłaszcza kiedy coraz więcej ludzi przechodziło na chrześcijaństwo.

Mohammed zmarszczył brwi.

- A to dlaczego?

- Przed nastaniem chrześcijaństwa wielu Aleksandryjczyków wolało poddać się kremacji - wyjaśnił Ibrahim. - Widzisz te nisze w ścianie? Zaprojektowano je tak, by pomieściły urny i szkatuły. Ale chrześcijanie wierzyli w zmartwychwstanie. Ciała były im potrzebne.

- Więc to chrześcijańska nekropola?

- To Aleksandryjska nekropola - odparł Ibrahim. - Znajdziesz tu wyznawców bogów egipskich, greckich, rzymskich, żydowskich, chrześcijańskich, buddyjskich, każdej religii pod słońcem.

- I co się z nimi teraz dzieje?

Ibrahim pokiwał głową.

- Badamy zwłoki. Możemy dowiedzieć się bardzo dużo

o jadłospisie mieszkańców, ich zdrowiu, wskaźnikach śmiertelności, etnicznym zróżnicowaniu, praktykach kulturalnych.

I o wielu innych rzeczach.

- Ale traktujecie ich z szacunkiem?

- Oczywiście, przyjacielu. Oczywiście.

Cofnęli się i weszli do kolejnej komory.

- Co to jest? - zapytał Augustin, oświetlając latarką otwór w ścianie i pokazując znikające w ciemności schodki.

- Nie wiem - odparł Mohammed, wzruszając ramiona. - Nie widziałem tego wcześniej.

Ibrahim musiał się nisko pochylić, żeby tam wejść. Mohammed przecisnął się przez otwór na czworakach. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było najprawdopodobniej grobowcem bogatej rodziny.

Szereg rzeźbionych kolumn i pilastrów dzielił je na dwie części. Przy ścianach stało pięć kamiennych sarkofagów różnych rozmiarów, ozdobionych w różnych stylach i w nawiązaniu do różnych wierzeń. Nad wyobrażeniami Apisa, Anubisa oraz słonecznego dysku widniał wyryty w wapieniu portret Dionizosa. W kamiennych wnękach nad każdym z sarkofagów stały zapieczętowane dzbanki, być może zawierające żołądek, wątrobę, wnętrzności i płuca zmarłych. Na podłodze połyskiwały inne przedmioty: odłamki lamp pogrzebowych i amfor, skarabeusze, niewielkie srebrne i brązowe klejnoty inkrustowane matowymi kamieniami.

- Coś wspaniałego - mruknął Augustin. - Jak to się stało, że nie trafili tutaj rabusie?

- Może drzwi były ukryte - powiedział Ibrahim, odsuwając stopą gruz. - Trzęsienie ziemi albo normalny upływ czasu.

- Z jakiego to okresu? - zapytał Mohammed.

Ibrahim zerknął na Augustina.

- Pierwszy wiek naszej ery? - rzucił. - Może drugi.

Na koniec podeszli do lustra wody. Schody znikły w niej, sugerując, że niżej mogą znajdować się kolejne komory. Poziom wody zmieniał się dramatycznie w ciągu stuleci; niewykluczone, że uniemożliwiło to rabusiom splądrowanie niższych pomieszczeń. Augustin pochylił się i zmacił wodę palcami.

- Czy mamy pieniądze na pompę? - zapytał.

Ibrahim wzruszył ramionami. Wypompowywanie wody było kosztowne i często kompletnie nieskuteczne. Oznaczało również, że wzdłuż korytarza i schodów trzeba było ułożyć grubą rurę, która przeszkadzała w prowadzeniu głównych prac wykopaliskowych.

- Jeżeli będziemy musieli - odparł.

- Jeśli chce pan, żebym zbadał najpierw te komory, potrzebuję kogoś do pomocy. Taki podwodny labirynt może się okazać śmiertelną pułapką.

Ibrahim pokiwał głową.

- Jak pan chce. Zostawiam to panu.

#### IV

Komórka Nessima zadzwoniła, gdy zbliżał się do Suez.

- Tak? - zapytał.

- To ja - usłyszał męski głos.

Nessim nie rozpoznał rozmówcy, ale wolał nie pytać o nazwisko. Zeszłej nocy skontaktował się z wieloma ludźmi; większości nie zależało na ujawnianiu związków z Hassanem. Komunikując się przez komórki, lepiej było zakładać, że jest się na stałym podsłuchu.

- Co masz?

- Twój człowiek ma teczkę.

Aha. Teraz się domyślił. Egipska służba bezpieczeństwa założyła Knoksowi teczkę.

Intrygujące.

- I co?

- Nie przez telefon.

- Jadę teraz do Kairu. To samo miejsce co poprzednio?

- O szóstej - zgodził się mężczyzna i w słuchawce zapadła cisza.

Knox stał na balkonie Augustina, bojąc się, że intruz w każdej chwili pchnie przeszklone drzwi i wyjdzie na zewnątrz. Dopiero teraz się zorientował, jaką śmiertelną pułapką jest to mieszkanie.

Do schodów przeciwpożarowych, windy oraz klatki schodowej można było się dostać wyłącznie przez drzwi frontowe. Obok nie było żadnych innych balkonów ani gyzmsów, na których mógłby stanąć. Ściskając mocno balustradę, wychylił się na zewnątrz i przyjrzał

betonowemu parkingowi sześć pięter niżej. Być może udałoby mu się zeskoczyć na balkon piętro niżej, ale gdyby puścił się w niewłaściwej chwili... na samą myśl o tym drętwiały mu palce stóp.

Dobiegający ze środka kaszel był coraz głośniejszy. Dziwny intruz. Włamał się do mieszkania, a teraz stał tam i zanosił się kaszlem. Knox zerknął przez szybę, ale nie zobaczył

nic niepokojącego. Kolejne kasznięcie, potem syk i w końcu wszystko stało się jasne.

Śmiejąc się sam z siebie, wszedł do mieszkania i spojrział na ekspres, który wypluwał ostatnie krople kawy. Nalał sobie filiżankę i wzniosł nią toast przed lustrem. Nie był dobry w tego rodzaju sytuacjach, między innymi dlatego, że ciężko znosił zaniknięcie. Czuł już, jak wzbiera w nim klaustrofobia, którą sygnalizowało słabe mrowienie w ramionach i w łydkach.

Marzył o tym, żeby wybrać się na szybki spacer, rozładować wypełniającą go nerwową energię, bał się jednak wystawić nos na zewnątrz. Ludzie Hassana z pewnością pokazywali już jego zdjęcie na dworcach kolejowych, w hotelach i firmach taksówkarskich, przeczesywali parkingi w poszukiwaniu jeepa. Knox wiedział, że musi się przyczołgać. Mimo to korciło go, żeby wyjść.

Augustin wybiegł z samego rana, żeby obejrzeć jakieś świeżo odkryte podziemia.

Knox żałował, że nie może mu towarzyszyć.

## VI

Ibrahim z niepokojem wspinał się po spiralnych schodach. Musiał poinformować o znalezisku Nicolasa Dragoumisa i zdawał sobie świetnie sprawę, że od wyniku rozmowy zależy nie tylko uzyskanie funduszy na prace wykopaliskowe. Zależała od niego również przyszłość biednej córki Mohammeda. Ścisnął za ramię wielkiego mężczyznę, żeby dodać mu otuchy, po czym odszedł na bok z Eleną i na oczach obserwującego go bacznie Mohammeda wystukał numer Dragoumis Group. Podał swoje nazwisko i czekał, aż go połączą.

- Tak? - odezwał się Nicolas, podnosząc słuchawkę.
  - To bardzo ciekawe stanowisko - powiedział Ibrahim. - Są tutaj wspaniałe...
  - Obiecał mi pan królewski grobowiec macedoński. Czy to jest królewski grobowiec macedoński?
  - Obiecałem panu coś, co wyglądało jak królewski grobowiec - odparł Ibrahim. - I to wygląda jak królewski grobowiec. Niestety, jest to grobowiec tarczownika, a nie króla ani księcia.
  - Tarczownika? - powtórzył szyderczo Nicolas. - Myśli pan, że Dragoumis Group wyda dwadzieścia tysięcy dolarów na grób tarczownika?
  - Tarczownicy byli elitą Aleksandra - zaprotestował Ibrahim. - Ten człowiek, Akylos, był prawdopodobnie...
  - Co takiego? - przerwał mu z niedowierzaniem Nicolas. - Jak się nazywał?
  - Akylos.
  - Akylos? Jest pan absolutnie pewien?
  - Tak. Dlaczego?
  - Czy jest tam gdzieś Elena?
  - Tak.
  - Niech pan jej da słuchawkę. Chcę z nią porozmawiać.
- Ibrahim wzruszył ramionami i przekazał telefon Elenie. Ta odeszła trochę dalej i odwróciła się do niego plecami, żeby nic nie słyszał.
- Rozmawiała ponad minutę, po czym oddała mu komórkę.
- Ma pan swoje pieniądze - powiedziała.
  - Nie rozumiem - odparł Ibrahim. - Co jest takiego szczególnego w tym Akylosie?
  - Nie wiem, o co panu chodzi.
  - Owszem, wie pani.
  - Pan Dragoumis chce być informowany na bieżąco.
  - Oczywiście. Będę do niego dzwonił, kiedy tylko...
  - Nie pan. Ja będę dzwoniła. Prosił, żeby zapewnił mi pan nieograniczony dostęp.

- Obawiam się, że nie mogę...

- Niestety, pan Dragoumis nalega.

- Ale nie tak się umawialiśmy.

- Teraz już tak - stwierdziła Elena. - Jeśli chce pan otrzymywać od niego wsparcie finansowe...

Ibrahim zerknął na czekającego obok, wyłamującego palce Mohammeda.

- No dobrze - westchnął. - Jestem pewien, że jakoś to zorganizujemy - powiedział i skinął głową na znak, że będzie miał pieniądze.

Budowlaniec zaniknął oczy, opuścił z ulgą ramiona i ruszył chwiejnym krokiem do swojego biura, z pewnością po to, by również gdzieś zatelefonować.

Mansoor wyłonił się ze spiralnej klatki schodowej i podszedł do Ibrahima.

- No i co? - zapytał. - Wchodzimy czy nie?

- Kopiemy.

- Podejście destrukcyjne czy niedestrukcyjne?

Ibrahim pokiwał w zamyśleniu głową. Trafne pytanie. Za dwa tygodnie, jeżeli sieć hoteli postawi na swoim, buldożery zasypią spiralną klatkę schodową tonami gruzu.

Jej wylot zostanie zabetonowany, zbudują na nim parking samochodowy i nikt już nigdy się tam nie dostanie. Jeśli tak właśnie miało to wyglądać, musieli zabrać stąd wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, łącznie ze ściennymi malowidłami, płaskorzeźbami i mozaiką z podłogi rotundy. Można to było zrealizować, wymagało jednak czasu, specjalistów oraz ciężkiego sprzętu i musieli już teraz wszystko zaplanować. Z drugiej strony w Aleksandrii było tragicznie mało zabytków, zwłaszcza z wczesnego okresu ptolemejskiego. Gdyby udało się wynegocjować z właścicielem hotelu stały dostęp do podziemi, znalazłyby się one na trasie wycieczek po mieście; jednak w takim wypadku oryginalne dzieła sztuki powinny tu pozostać i nie można ich było uszkodzić podczas wykopalisk.

- Niedestrukcyjne - oświadczył w końcu Ibrahim. - Porozmawiam z zarządem hotelu.

Być może docenią, jakim atutem będzie zabytek na ich terenie.

Mansoor parsknął głośno.

- Może z czystej dobroci serca będą nam wynajmowali penthouse'y, kiedy tylko ich o to poprosimy.

- Oczywiście. Świetnie. Pozwól, że ja to załatwię. Ty zajmij się wykopaliskami, dobrze?

- To nie będzie łatwe - odparł Mansoor. - Mogę wstrzymać na jakiś czas prace w Shatby. To nic

pilnego.

Możemy tu przerzucić ekipę, prądnicę i lampy. Ale i tak potrzebujemy więcej ludzi.

- Rozgłoś to. Mamy pieniądze.

- Owszem, ale dla dużej ekipy będziemy potrzebowali wentylacji; i nie chcę, żeby ludzie wnosili artefakty po tych schodach. To grozi wypadkiem. Będziemy musieli zamon -

tować wyciągarkę. Augustin będzie chciał zainstalować pompę. Jestem tego pewien. I chodzi nie tylko o to, czego będziemy potrzebowali tu na miejscu. Trzeba opróżnić półtora tysiąca loculi, a to oznacza sześć albo siedem tysięcy ludzkich szczątków, które pojawią się w ciągu dwóch tygodni w Muzeum Uniwersyteckim. Musimy mieć wykwalifikowanych specjalistów gotowych na ich przyjęcie.

- Mansoor strzelił palcami. - Te dwa tygodnie miną szybciej, niż się spodziewasz.

Ibrahim się uśmiechnął. Mansoor zawsze lubił wyolbrzymiać problemy, żeby potem czerpać większą satysfakcję z ich rozwiązania.

- Więc lepiej zabieraj się od razu do roboty - poradził mu.

## VII

Akylos!

Nicolas nie wierzył własnym uszom. A przecież to musiała być prawda. Tak było zapisane. A przywrócenie wielkości Macedonii było zapisane nie tylko w Księdze Daniela.

- Co to za historia? - zawołała Julia Melas, prze krzykując ryk silnika jego roadstera lamborghini murcielago.

Pracowała jako początkująca dziennikarka w kanadyjskiej gazecie i chciała przeprowadzić wywiad z nim i jego ojcem na temat Macedonii. W Kanadzie żyła duża macedońska diaspora, źródło zarówno moralnego, jak i finansowego wsparcia.

Sama Julia też była całkiem niebrzydka. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze...

- Dragoumis Group finansuje badania historyczne na całym świecie! - odkrzyknął. -

Prawdę można odnaleźć w wielu miejscach, rozumiesz.

Przyhamował, żeby skręcić pod górę, lecz zza rogu wyłoniła się biała ciężarówka, pędząc w dół znacznie szybciej, niż pozwalały na to jej rocznik i rozmiary. Nicolas nie miał

ochoty czekać, zwłaszcza że siedziała przy nim ładna dziewczyna. Wcisnął gaz do dechy i murcielago przeskoczyło przed ciężarówką, której kierowca zahamował ostro, szarpnął

kierownicą i bezsilnie zatrafił. Julia krzyknęła cicho i spojrzała z podziwem na Nicolasa, który



roześmiał się radośnie. Czuł się świetnie.

Coś się wreszcie działo. Takie jest życie. Nic nie posuwa się do przodu przez dwa, trzy lata, a potem wszystko idzie jak z płatka.

- Opowiadałeś mi o Arystanderze - zawołała.

Wiatr podwiewał w górę jej sukienkę, więc przycisnęła ją skromnie do ud. Nicolas zwolnił nieco, żeby nie musieli tak krzyknąć.

- Był ulubionym wróżbitą Aleksandra - powiedział. - Po śmierci Aleksandra miał wizję, że kraj, w którym po chowają monarchę, nie zostanie podbity przez wiele stuleci.

- I co?

- Niejaki Perdikkas, jeden z następców Aleksandra, chciał go pogrzebać w królewskich grobowcach w Ajgaju, obok jego ojca Filipa. - Wjechali na wzgórze, z którego rozciągał się widok na żyzne niziny północnej Grecji. Nicolas zjechał na bok, wysiadł z samochodu i pokazał jej Ajgaj. - Grobowce zostały odkryte przed trzydziestu laty. Są wspaniałe.

Powinnaś je zobaczyć.

- Zrobię to - odparła, kiwając głową. - Ale ten

Perdikkas... oczywiście nie sprowadził ciała Aleksandra do domu.

- Nie - potwierdził Nicolas. - Inny macedoński wódz,

Ptolemeusz, zabrał je do Egiptu - dodał, potrząsając ze smutkiem głową. - Pomyśl o tym! Gdyby nie to, nikt nie podbiłby Macedonii przez wiele stuleci. Julia zmarszczyła brwi.

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Dlaczego nie?

- Przecież... to tylko proroctwo.

Nicolas potrząsnął głową.

- Nie. To fakt historyczny. Zastanów się. Perdikkas mógł utrzymać jedność imperium.

Próbował odebrać zwłoki Aleksandra Ptolemeuszowi, ale ten ukrył się po drugiej stronie Nilu. Próbując przepłynąć przez rzekę, Perdikkas stracił setki ludzi, którzy utonęli albo zostali pożarci przez krokodyle.

Jego oficerowie wpadli w gniew i zamordowali go w namiocie. Po śmierci Perdikkasa imperium

było zgubione. Wszyscy prawowici następcy tronu zostali zabici. Nikt nie miał man datu do sprawowania władzy. A teraz wyobraź sobie, co by było, gdyby Perdikkas zwyciężył.

- Tak?

Nikolas położył jej rękę na ramieniu, przyciągnął do siebie i pokazał całą równinę aż do olśniewająco niebieskiego Morza Egejskiego.

- Przypatrz się dobrze - powiedział z dumą. - To

Macedonia. Czyż to nie wspaniały widok?

- Owszem - przytaknęła.

- Perdikkas był człowiekiem honoru. Nie pozwoliłby zabić syna Aleksandra i nie dopuściłby do podziału imperium.

A gdyby Aleksander Czwarty odziedziczył choć jedną dzie siątą cnót swojego ojca, spełniłoby się proroctwo Arystandera.

- Powiedziałaś chyba, że ciało Aleksandra zabrano do

Egiptu - zauważyła Julia. - A Egipt raczej nie uniknął podbojów w ciągu stuleci.

Nicolas się roześmiał. Lubił ładne dziewczyny z werwą.

- Nie - przyznał. - Ale przypomnij sobie, co się wydarzyło. Ptolemeusze utrzymywali się na tronie dopóty, dopóki traktowali z szacunkiem zwłoki Aleksandra. Niestety, Ptolemeusz Dziewiąty stopił jego złotą trumnę, żeby zapłacić żołd wojsku, i to był koniec dynastii. A kto objął władzę po

Ptolemeuszach?

- Kto?

- Cesarze rzymscy, którzy czcili Aleksandra. Juliusz

Cezar płakał, ponieważ czuł, że nie dorasta mu do pięt.

Oktawian August, Septimus Sewerus, Karakalla i Hadrian pielgrzymowali do jego mauzoleum. Był ich bohaterem. Lecz potem wybuchły zamieszki. Grób Aleksandra został

zbezczeszczone i Rzymianie utracili Aleksandrię na rzecz Arabów.

Wniosek jest chyba oczywisty.

- Naprawdę?

- Ten, kto otacza czią Aleksandra, ma się dobrze. Ten, kto go ignoruje, ginie. A w Macedonii

Aleksander byłby z całą pewnością otoczony czcią. Z tego wniosek, że nigdy nie zostalibyśmy podbici.

Julia odsunęła się od niego lekko zbita z tropu. Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się z udawaną niefrasobliwością.

- Chyba powinniśmy już jechać - oznajmiła. - Jestem umówiona z twoim ojcem.

- Oczywiście - potwierdził Nicolas. - Nie możemy kazać mojemu ojcu czekać.

Wsiadł z powrotem do samochodu, zapalił silnik i wsłuchiwał się przez chwilę w gardłowy pomruk. Przy jego technice jazdy dojazd do rezydencji ojca zajął mu piętnaście minut.

- No, no - mruknęła Julia, kiedy ją zobaczyła.

- To replika królewskiego pałacu w Ajgaju, tylko trochę większa - wyjaśnił Nicolas.

Jego ojciec rzadko opuszczał teraz posiadłość. Z biegiem czasu stawał się coraz większym odludkiem. Prowadzenie interesów powierzył w dużym stopniu profesjonalnym menadżerom, by móc skoncentrować się na tym, co go naprawdę interesowało.

Na ich spotkanie wyszedł Costis, szef ochrony.

- To jest Julia - powiedział Nicolas. - Przyjechała, żeby przeprowadzić wywiad z moim ojcem. Ale najpierw muszę z nim sam chwilę porozmawiać.

- Jest w skarbcu - poinformował go Costis.

- Może mógłbym cię odwiedzić później do miasta? - zapytał Nicolas, zwracając się do Julii.

- Dzięki - odparła ostrożnie - ale na pewno uda mi się złapać taksówkę.

Nicolas ponownie się roześmiał. Bawiło go jej zakłopotanie. Kiedy opowiedział jej o prorocztwie Arystandera, najwyraźniej straciła rezon. Tak to jest z ludźmi Zachodu!

Wpadają w popłoch na najmniejszą wzmiankę o sacrum. Dobrze, że nie była wczoraj wieczorem w kościele i nie opowiedział jej

0

Księdze Daniela. To znaczy o całym prorocztwie, łącznie z opisem człowieka, który miał przynieść wolność Macedonii.

Do skarbcza można było zjechać wyłącznie sekretną windą. Nicolas wszedł do niej i stalowe drzwi gładko się zamknęły. Kiedy zbliżył oczy do skanera źrenic, ruszyła powoli w dół

I po chwili zatrzymała się, dygocząc lekko pod własnym ciężarem. Przy drzwiach do sejfu, w którym ojciec trzymał swoje największe skarby, stał umundurowany strażnik.

Nicolas wpisał szyfr i stalowe drzwi się otworzyły. Wchodząc do środka, myślał o Księdze Daniela, zwłaszcza o tych wersach, które dwa i pół tysiąca lat temu obiecały jego ludowi zbawcę.

A przy końcu ich panowania, gdy występni dopełnią swej miary, powstanie król o okrutnym obliczu, zdolny rozumieć rzeczy tajemne.

Jego moc będzie potężna, ale nie dzięki własnej sile. Będzie podejmował rzeczy dziwne i dozna powodzenia w swych poczynaniach; obróci wniwecz potężnych i naród świętych.

Przy jego przebiegłości... nawet knowanie będzie skuteczne w jego ręku. Stanie się on wyniosłym w sercu i niespodzianie zgotuje zagładę wielu\*.

Jego ojciec, jakby wiedziony telepatią, stał przed szklaną gablotą zawierającą papirusy z Malawi.

Opierając się niczym kapłan o jej orzechowe krawędzie, wpatrywał się w pokryte wyblakłym piśmem żółtą arkusze. Na jego widok w sercu Nicolasa zapłonęły gorąca miłość, podziw i duma. Zaiste był to król o okrutnym obliczu!

Dragoumis podniósł na syna czarne oczy i przeszył go beznamiętnym spojrzeniem.

- Tak? - zapytał.

- Znaleźli Akylosa! - wyrzucił z siebie Nicolas, nie potrafiąc ukryć podniecenia. -

Zaczęło się.

Tamże, 8, 23-25.

## Rozdział 8

Niebieska ciężarówka zajęła drogę wracającej do delty Elenie, która musiała ostro zahamować. Nacisnęła klakson i trąbiła aż do chwili, gdy ciężarówka wróciła na swoje pasmo, a potem opuściła szybę, potrząsnęła pięścią i posłała zdumionemu kierowcy kilka soczystych arabskich fraz, żeby wiedział, co o nim myśli. Była podenerwowana. Sprawiała to rozmowa z Nicolasem. A także ten cholerny bezczelny Francuz. Obaj spowodowali, że stanął

jej przed oczyma nieżyjący mąż Pavlos, a Elena nie znosiła tego, ponieważ za każdym razem, kiedy to się działo, budziły się w niej nieukożona tęsknota i wspomnienie straty.

Znała Pavlosa, jeszcze zanim się spotkali: irytował ją i zarazem śmieszył gorzki i dowcipny ton artykułów, w których drwił z macedońskiego nacjonalizmu.

Intrygowały ją również plotki o zadurzonych w nim kobietach, od których nie mógł

się ponoć opędzić. Sama była dumna i niezależna i jak wiele podobnych do niej kobiet marzyła o tym, by się beznadziejnie zakochać. Spotkali się w trakcie radiowej debaty w Salonikach. Zaskoczył ją od samego początku.

Spodziewała się kogoś ostrego, asertywnego, wystrojonego i przekonującego. Pavlos w ogóle taki nie był. Chociaż trudno było go określić mianem aroganckiego, nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który byłby tak pewny siebie. Wiedziała od pierwszego uścisku dłoni, że z nią krucho. Już wtedy przyglądał się jej w sposób, który kompletnie wytrącał ją z równowagi, jakby nie miała przed nim żadnych sekretów, jakby rozumiał nie tylko to, co mówiła, lecz wszystkie najdrobniejsze podteksty. Obserwował ją, jakby była filmem, który już wcześniej obejrzał.

Podczas debaty wdeptał ją w ziemię, miażdżąc z humorem jej najsilniejsze argumenty, odsłaniając bezlitośnie ich słabe punkty. Zbita z tropu próbowała się przed nim bronić, cytując zdanie Keramopoullosa na temat idiosynkretycznego stylu macedońskiej ceramiki i nagle przypomniała sobie, że w rzeczywistości ten pogląd jest autorstwa Kallipolitisa.

Spoglądając z obawą na Pavlosa, spostrzegła, że się uśmiecha. Przez krótki straszny moment zawisła

na włosku cała jej naukowa reputacja. Ten moment - kiedy była na jego łasce -

odmienił jej życie.

Po debacie Elena snuła się przez dwa dni po swoim muzeum, przechodząc z sali do sali i obejmując się ramionami niczym narkomanka. Za każdym razem, gdy usiłowała zabrać się do pracy, nie dawało jej spokoju silne niczym głód pożądanie. Nigdy nie musiała dzwonić do mężczyzn, lecz w przypadku Pavlosa w końcu to zrobiła. Bojąc się, że ją wyśmieje, przedstawiła się oschle i oświadczyła, że w trakcie debaty poruszył kilka interesujących tematów. Pavlos podziękował jej. I w tym momencie zawiodły ją nerwy. Przyciskała telefon do policzka, chcąc powiedzieć coś dowcipnego lub złośliwego, nie miała jednak pojęcia co.

Kiedy zapytał, czy mogą zjeść razem kolację, miała ochotę się rozplakać.

Jak wyglądał ich związek? Był wszystkim. Pamiętała niewiele szczegółów, intensywność jej miłości po prostu je zatarła. Pamiętała jednak wypełniającą ją radość. Nawet obecnie doświadczała nieraz niezwykłego uczucia błogostanu, gdy widziała na ulicy kogoś do niego podobnego, gdy wpadał jej w nozdrza dym papierosa palonej przez niego marki albo gdy ktoś - na przykład ten bezczelny Francuz, pewien, że zdoła ją bez trudu zaciągnąć do łóżka - patrzył na nią tak, jak robił to kiedyś Pavlos.

Śmierć Pavlosa zdruzgotała Elenę. To oczywiste. Wciąż nie doszła po niej do siebie.

Jak mogłaby? Rozpacz, podobnie zresztą jak miłość, nie była tym, co sobie wcześniej wyobrażała. Myślała, że jest czymś w rodzaju olbrzymiej morskiej fali, która rzuca człowieka w otchłań niedoli, a potem cofa go w to samo miejsce, gdzie się wcześniej znajdował. Było jednak inaczej. Rozpacz zmieniła strukturę tego, czym była, podobnie jak wdmuchiwany do pieca tlen zmienia stopioną surówkę.

Owszem, przeleciało jej przez głowę, ta metafora całkiem jej się udała: rozpacz zmieniła ją w stal.

## II

Kobieta wrzuciła brązową kopertę przez otwarte tylne okno należącego do Nessima saaba, kiedy zatrzymał się, żeby kupić papierosy od ulicznego sprzedawcy. Wzbijając za sobą tuman pyłu, odjechał natychmiast do podziemnego hotelowego parkingu i zabrał kopertę do pokoju. Była zaskakująco cienka jak na teczkę tajnej policji, ale w gruncie rzeczy w ogóle nie spodziewał się, że założyli ją Knoksowi. Przerzucając kartki, studiował ledwo czytelny od częstego kopiowania druk i niemal czarne fotografie.

Szybko uprzytomnił sobie, że tak naprawdę służba bezpieczeństwa w ogóle nie była zainteresowana Knoksem. Interesował ją inny mężczyzna, niejaki Richard Mitchell, z którym Knox od kilku lat współpracował. Wyglądało na to, że Mitchell miał długi język: oskarżył

wpływowego szefa Naczelnej Rady Zabytków o sprzedaż papierusów na czarnym rynku.

Nieostrożny krok spowodował dokładnie to, czego można się było spodziewać: bojkot Mitchella w

środowisku egiptologów i brak pozwoleń na dalsze prace wykopaliskowe.

Wyjaśniało to przynajmniej, co Knox robił w Szarm elSzejk: zabijał czas, czekając, aż sprawa przycichnie i marząc o skarbie na dnie morza. Żadna z tych informacji nie była jednak pomocna w ustaleniu jego obecnego miejsca pobytu.

Inaczej rzecz się miała w przypadku ostatniej znajdującej się w kopercie kartki, na której znajdowała się lista wszystkich znanych przyjaciół i współników Knoksa wraz z ich domowymi adresami.

### III

Nur powitała Mohammeda przy drzwiach. Ledwie trzymała się na nogach. To oznaczało, że Lajla miała ciężki dzień.

- Pięknie wyglądasz - powiedział, całując ją w policzek i dając niewielki bukietik sfatygowanych kwiatów.

- Skąd wzięłeś na to pieniądze? - zaprotestowała płacz liwie.

- To prezent od Szarifa - odparł łagodnie, spoglądając nad jej ramieniem w stronę pokoju Lajli. - Nie śpi?

Nur pokiwała głową.

- Ale jest zmęczona.

- Zajrzę do niej tylko na chwilę

Mohammed zapukał cicho do drzwi, otworzył je i wszedł do środka. Lajla uśmiechnęła się na jego widok. Ukląkł przy jej łóżku i wyjął z kieszeni figurkę czarnej królowej, którą sam wystrugał i polakierował. Lubił dłubać w drewnie. W wolnych chwilach na budowie przetrząsał kosze w poszukiwaniu ścinków drewna, które mógł zaatakować swoim nożem do cięcia linoleum. To była dobra terapia.

Kiedy nie sposób zrobić niczego dla zdrowia dziecka, można przynajmniej zadbać o jego szczęście.

Lajla otworzyła szerzej oczy z podziwu i radości, wzięła do ręki polakierowany mahoń, polizała go koniuszkiem języka i przycisnęła do piersi niczym lalkę. Z jakiegoś powodu straciła serce do lalek z chwilą, gdy dowiedziała się o swojej chorobie. Nie można jej było także skusić na słodycze. Tak jakby jej życie stało się zbyt poważne na dziecinne rozrywki.

- Poczytasz mi dziś wieczorem? - zapytała.

- Oczywiście.

Ułożyła się w łóżku wyraźnie zadowolona. Nur i Mohammed dzwonili do wszystkich, którzy przyszli im na myśl, i błagali, żeby poddali się testom. Nie było to takie złe, bo Mohammed miał poczucie, że

coś przynajmniej robi. Teraz jednak znowu był zależny od woli innych. Teraz czekał. Dla rodzica była to najtrudniejsza rzecz pod słońcem - czekanie.

Wychodząc od Lajli, był zdruzgotany. Nur przygryzła wargę, lecz nie zdołała powstrzymać łez. Wypłakując oczy, wewnątrz wysychała. Mohammed wziął ją w ramiona i mocno przytulił, próbując dodać otuchy. Czasami wpadał w taką rozpacz, że chciał niemal, by wydarzyło się najgorsze, by z tym skończyć. Z jego wspaniałą karierą, z jego piękną żoną i córką. A kiedyś wszystko wydawało się takie idealne.

- Czy czuje się dość dobrze, żeby wyjść z domu? - zapytał nieśmiało.

- Wyjść z domu? - W głosie Nur zabrzmiała histeria. - Dokąd?

- Na budowę.

Nur odepchnęła go od siebie.

- Zwariowałeś?! - krzyknęła.

Mohammed ponownie ją przytulił.

- Posłuchaj mnie - powiedział. - Myślę o tym archeo logu Ibrahimie, o którym ci opowiadałem. Tym z mercedesem, który płaci za nasze testy. Facet ma pieniądze i znajomości.

Żyje w innym świecie niż my. Lajla potrzebuje kogoś, kto mógłby jej pomóc.

- A on może pomóc?

Mohammed się zawahał. Nur miała zwyczaj karania go za obietnice, które złożył, by pomóc jej przetrwać trudne chwile.

- Kto to może wiedzieć? - mruknął. - Ale to miły człowiek, bardzo sympatyczny.

Kiedy osobiście pozna Lajlę, kto wie, co Allah każe mu uczynić?

#### IV

-

Zobacz, co przyniosłem! - zawołał wesoło Augustin, pokazując Knoksowi dwie plastikowe torby. - Falafele i piwo! Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów!

- Wspaniale.

Augustin zmarszczył czoło.

- Nie wydajesz się zbyt zachwycony.



- Trochę świruję - przyznał Knox.

- Po jednym dniu? Nie możesz przeżyć spokojnie jednego dnia?

- To wszystko przez te twoje komiksy - odparł Knox, pomagając mu wypakować zakupy. - Nie możesz zdobyć czegoś porządnego do czytania?

- To znaczy?

- Czegoś o archeologii. Może raport z twoich wykopisk w porcie. Chętnie dowiedziałbym się, co takiego odkryłeś.

- Jasne - pokiwał głową Augustin. - Żaden problem.

Przyniosę go jutro wieczorem. Ale jeżeli tak cierpisz...

- Tak?

- Myślę o miejscu, które dzisiaj odwiedziłem. O tej nekropoli. Sięga w dół aż do poziomu wód podskórnych, a nawet jeszcze głębiej. Ale Ibrahim nie pozwala na razie wypompować wody. Chce, żebym sprawdził, co tam jest na dole. Miałem zamiar poprosić Sophie, ale skoro tak cię nosi...

Knox poczuł, jak przechodzi go dreszcz strachu i podniecenia.

- Mówisz serio?

- Dlaczego nie? Jest od ciebie ładniejsza, ale nie zna się tak dobrze na nurkowaniu.

Wiesz, jakie niebezpieczne mogą być takie zamknięte pomieszczenia.

- Jak w ogóle się tam dostanę?

- Na tylnym siodełku mojego motoru - odparł Augustin, podając mu zimną butelkę stelli artois. - Możesz nałożyć mój kask. Ktoś powinien to zrobić. Nikt nas nie zatrzyma, zaręczam ci. Policja w tym mieście do niczego się nie nadaje.

Mieszkam tu od dziesięciu lat i ani razu mnie nie zatrzymali.

A jeżeli nawet, tant pis! W dalszym ciągu mam dokumenty z mojej ostatniej wizyty na Cyrenajce. Ci pieprzeni Libijczycy nie chcieli mnie wpuścić pod prawdziwym nazwiskiem!

Mnie!

Z powodu jakiegoś listu, który napisałem o tym stukniętym pajacu Kaddafim.

Musiałem tam wjechać jako Omar Malik.

Kierowca ciężarówki z Marsa Matruh, uwierzysz? Jeżeli ja mogłem udawać kierowcę ciężarówki z

Marsa Matruh, tobie też się to uda.

Knox potrząsnął głową. Nie chciało mu się wierzyć, że w ogóle bierze serio pod uwagę coś takiego. Augustin odznaczał się jednak niesłychanym brakiem szacunku dla normalnie obowiązujących reguł i jego podejście było zaraźliwe.

- A tam na miejscu?

- Żaden problem. Zostaw całą gadkę mnie. Choć w zasa dzie nie sądzę, żebym musiał

się długo tłumaczyć. Pamiętaj, że na górze jest plac budowy. Na dole jest Bóg wie ile komór grobowych oraz setki loculi wypełnionych ludzkimi kośćmi i artefaktami, które Mansoor chce w ciągu dwóch tygodni przenieść do muzeum. Totalny chaos. Archeolodzy z muzeum, uniwersytetu, z całego wybrzeża. Tylko jeden strażnik u wy lotu schodów, ale wystarczy, że pokażesz mu standardową przepustkę Naczelnej Rady Zabytków, którą mogę ci sam załatwić.

Na nazwisko, które łatwo będzie zapomnieć. John

Smith. Charles Russell. Mark Edwards. Tak! Idealne nazwis ko. Mark Edwards.

Wyglądasz dokładnie tak, jak powinien wyglądać Mark Edwards.

Knox potrząsnął niepewnie głową.

- Wiesz, jaką mam opinię w Kairze. Jeśli się dowiedzą, będziesz miał kłopoty.

- Mam w dupie Kair - nasrożył się Augustin. - Wciąż robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę, jak ten sukinsyn Jusuf postąpił z tobą i Richardem. Wierz mi, pomagając ci, będę miał prawdziwą satysfakcję. Poza tym jak ktoś może się dowiedzieć? Ja nie puszcze pary z ust. A ty?

- Ktoś może mnie rozpoznać.

- Nie sądzę. Być może Ibrahim, ale to pocziwiec, nie nada tej sprawie biegu. Zresztą nie będzie już odwiedzał wykopalisk, bo mógłby sobie zabrudzić garniturek. Poza nim nikogo tam nie znasz. I wszyscy to moi starzy znajomi, z wyjątkiem tej olśniewającej gniewnej Greczynki i jej...

- Eleny? - Knox przyłożył dłoń do czoła. - Eleny

Koloktronis?

Augustin zrobił głupią minę.

- Znasz ją?

- Nie - parsknął Knox. - Po prostu zgadłem, jak się nazywa.

- Skąd ją znasz?

- Pamiętasz, co się przydarzyło moim rodzicom i siostrze?
- Oczywiście. Dlaczego pytasz? Miała z tym coś wspólnego?
- Samochód prowadził jej mąż.
- Aha. A on...? On także...?
- Tak.
- Przykro mi - mruknął Augustin. - Współczuję tobie i jej. Ale to nie ma znaczenia.

Jutro jej tam nie będzie.

- Na pewno?
- Elena prowadzi wykopiska w delcie. Przyjechała dzisiaj wyłącznie po to, żeby przywieźć swoją francuską fotografkę. Nazywa się Gaille Dumas czy jakoś podobnie.
- Fotografkę? - Knox potrząsnął głową. - Nie znam jej.
- Więc jesteśmy w domu - stwierdził z uśmiechem

Augustin i podniósł butelkę piwa, żeby wznieść toast. - Co mogłoby pójść nie tak?

## **Rozdział 9**

Augustin miał rację, jeśli chodziło o dojazd i wejście do nekropoli. Okazało się to dziecinnie łatwe. Miał też rację, przewidując, że Knox dozna dreszczyku emocji, dołączając do ekipy archeologów. Przerwa trwała zbyt długo. O wiele za długo. Sam fakt, że tu się znalazł, sprawiał mu radość. Hałas, zapachy, rozmowy. Na górze warczał generator zasilający wyciągarkę, w wyciętych ze starych opon koszach wydobywano tony gruzu, który miał zostać przesiany w świetle dnia, a następnie przewieziony do muzeum albo na wysypisko; na terenie całej nekropoli ustawiono lampy i wentylatory połączone kilometrami kabli, a w ciasnych grobach klęczeli ludzie w maseczkach i białych rękawiczkach, starannie usuwając z nich artefakty i ludzkie szczątki.

Augustin przywiózł wcześniej na miejsce cały sprzęt do nurkowania i dopiero wtedy zabrał z domu Knoksa. Podeszli razem do lustra wody, nałożyli skafandry i dokładnie sprawdzili działanie całego sprzętu. Ludzie nurkujący tak często jak oni robili to niekiedy dość pobieżnie. Jednak w podobnym do tego zamkniętym labiryncie nie można było w razie jakichś problemów zrzucić pasa balastowego i wynurzyć się na powierzchnię. Tutaj nie było powierzchni.

Augustin zabrał ze sobą zwój nylonowego sznurka, zamierzając wziąć przykład z Tezeusza. Nie było jednak do czego przywiązać.

- Zostań tutaj - powiedział do Knoksa, po czym zniknął na kilka chwil i wrócił z koszem wypełnionym gruzem. Przywiązał do niego sznurek i kilka razy mocno szarpnął.

Połączyli się linką asekuracyjną, zapalili podwodne latarki i weszli do wody. Augustin rozwijał za sobą sznurek. Żaden z nich nie nałożył płetw. Balast pozwalał im chodzić po dnie.

W górę unosiło się przez to więcej osadów, ale łatwiej było zachować orientację. Prawie od razu znaleźli wejście do komory, w której większość loculi była zamurowana. Na jednej z nich latarka Augustina wyłuskała z mroku niesamowity portret wpatrującego się w nich szeroko otwartymi oczyma mężczyzny. Sąsiednie loculi były otwarte. W świetle latarek błysnęło w nich coś metalicznego. Augustin wyciągnął ostrożnie z wnęki lampę pogrzebową i schował ją do swojej torby.

Odwiedzili trzy kolejne komory. Korytarz cały czas skręcał. Sznurek zaczepił o coś.

Kiedy Augustin szarpnął go, z powrotem stał się luźniejszy. Woda była coraz mniej przejrzysta. Unosił się w niej tak gęsty osad, że chwilami nie widzieli się nawzajem.

Knox sprawdził ciśnienie w butli. Sto trzydzieści barów. Umówili się, że dzielą zapas powietrza na trzy części: jedna trzecia przeznaczona była na wejście, jedna trzecia na powrót, jedna trzecia stanowiła margines bezpieczeństwa. Pokazał odczyt Augustinowi, który dał

sygnał do odwrotu. Sznurek wydawał się dziwnie luźny.

Augustin zaczął go zwijać. Trwało to dosyć długo. Po chwili odwrócił się do Knoxa.

W jego wybałuszonych lekko za maską oczach malował się niepokój. Knox zmarszczył czoło i rozłożył ręce. Augustin trzymał w ręku końcówkę pomarańczowego sznurka, który powinien być przywiązany do rączki kosza z gruzem, lecz w jakiś sposób się zerwał.

Ibrahima krępowała obecność dzieci. Sam był jedynakiem, nie miał żadnych siostrzeńców ani siostrzenic i nie zanosilo się raczej, by został ojcem. Ale Mohammed stawał

na głowie, żeby stworzyć archeologom jak najlepsze warunki na budowie i Ibrahim nie mógł

po prostu zabronić jego córce zwiedzenia nekropoli, choć w głębi duszy uważał za idiotyzm zabieranie chorego dziecka w takie zakurzone, emanujące śmiercią miejsce.

Jeden z robotników odnalazł ich w komorze grobowej.

- Telefon do pana - powiedział do Mohammeda. - Z centrali.

Mohammed zrobił zdziwioną minę.

- Proszę mi wybaczyć - zwrócił się do Ibrahima. - Muszę to załatwić. Zaraz wracam.

Czy mógłby pan przez chwilę potrzymać Lajlę?

- Oczywiście. - Ibrahim zebrał się w sobie, gdy Mohammed podał mu tłumoczek koców i pościeli, ale biedna dziewczynka była lekka jak piórko. Uśmiechnął się do niej nerwowo. Ona też się uśmiechnęła. Musiała się go panicznie bać, aż do bólu świadoma, jak wielki sprawia mu kłopot.

- Więc ten człowiek nie był Egipcjaninem? - zapytała, krzywiąc się i siorbiąc z powodu wrzodów w ustach.

Ibrahim skrzywił się razem z nią.

- Nie - odparł. - Pochodził z Grecji, która leży na północy, po drugiej stronie morza.

Twój ojciec jest bardzo sprytnym człowiekiem.

Wiedział, że to Grek, bo znalazł w jego ustach monetą nazywaną obolem. Grecy wierzyli, że pobiera ją od zmarłych przewoźnik dusz o imieniu Charon, który transportował

ich do innego świata.

- Do innego świata? - zapytała Lajla. Jej oczy były szeroko otwarte ze zdziwienia, jakby ktoś naciągnął wokół nich skórę. Ibrahim przełknął ślinę i odwrócił od niej wzrok.

Przez chwilę miał łzy w oczach. Była taka mała i tak straszny czekał ją los.

Kiedy Mohammed w końcu wrócił, Ibrahima zaczynały już boleć ramiona. Ojciec uśmiechnął się do córki tak promiennie, że Ibrahim poczuł się kompletnie zbędny i niepotrzebny, pozbawiony prawa do swojego miejsca na ziemi, do powietrza i przestrzeni, które zajmował, do swojego łatwego życia. Cofnął się głębiej w cień.

- Te testy, które pomogliśmy ci przeprowadzić - mruk nął do Mohammeda. - Gdzie mógłbym się im poddać?

### III

Knox i Augustin spojrzeli na siebie z niepokojem, ale byli doświadczonymi nurkami i nie wpadali łatwo w panikę. Sprawdzili ciśnienie powietrza. Każdy miał dwadzieścia minut, dwadzieścia pięć przy oszczędnym oddechu. Augustin wskazał na wprost, Knox pokiwał

głową. Musieli znaleźć wyjście albo przynajmniej kieszeń powietrzną, w której mogli zaczekać, aż osad opadnie i polepszy się widoczność.

Po kilku chwilach znaleźli się w ślepych zaułku. Knox podniósł ciśnieniomierz do oczu, żeby sprawdzić odczyt. Powietrza było coraz mniej. Obmacując rękoma ściany, próbowali się wydostać z czarnego labiryntu. W Szarm elSzejk ich koledzy przechwalali się czasem po nocnym nurkowaniu, że widoczność była zerowa. Tutaj było o wiele gorzej -

wszystko przez unoszący się w wodzie muł. Nawet trzymając ciśnieniomierz tuż przy masce, Knox z trudem dostrzegał odczyt. Ponownie znaleźli się w ślepych zaułku. Być może nawet tym samym. Niewykłuczone, że kręcili się w kółko. Piętnaście barów. W końcu zaczęli płynąć, kompletnie skołowani i dezorientowani, coraz bardziej wystraszeni, oddychając szybciej, spalając drogocenne powietrze, którego zostało im tak mało. Igła wskazywała tylko pięć barów, znalazła się daleko w czerwonej strefie. Augustin złapał nagle Knoksa za ramię, zbliżył twarz do jego twarzy, wypluł

regulator i wskazał desperackim gestem usta. Knox dał

mu swój zapasowy regulator, ale jemu też zostało tylko kilka haustów.

Dotarli do kolejnego rozwidlenia, Augustin wskazał na prawo, Knox był pewien, że skręcili tam ostatnim razem, i chciał popłynąć w lewo, Augustin upierał się, Knox postanowił, że mu zaufa. Popłynęli obaj szybko do przodu, potracając się nogami i rękoma i ocierając o szorstkie ściany i sklepienie, Knoksowi skończyło się powietrze, czuł coraz silniejszy ucisk w płucach, zderzył się z kolejną ścianą, Augustin pociągnął go do góry i nagle wynurzyli się z wody, wypłuli regulatory i wciągnęli w płuca życiodajne powietrze, a potem długo leżeli obok siebie z piersiami unoszącymi się w chrapliwym oddechu.

Augustin przekręcił głowę na bok, żeby spojrzeć na Knoksa. W jego oczach migotały wesołe ogniki, jakby przyszło mu do głowy coś śmiesznego, ale nie miał siły się odezwać.

- Są starzy nurkowie - wycharczał w końcu - i są odważni nurkowie. Nie ma starych i odważnych.

Knox chciał się roześmiać, ale zakłuło go w płucach.

- Chyba nie obejdzie się bez pompy, chłopie - powie dział.

- Masz rację - zgodził się Augustin. - I nikomu o tym ani słowa, dobrze? W każdym razie nie przez rok albo dwa.

Jestem podobno zawodowcem.

- Ani mrumru - pokiwał głową Knox, po czym pod niósł się z trudem, zdjął kamizelkę wypornościową i pustą butlę i położył je na kamiennej posadzce.

- Popatrz! - powiedział Augustin. - Kosz zniknął.

Knox zmarszczył czoło. Augustin miał rację. Dziękując losowi za to, że udało im się wydostać z matni, zapomnieli, co spowodowało cały problem.

- Co u diabła...?

Przykucnął w miejscu, gdzie stał kosz z gruzem. Wcześniej zakładał, że węzeł

Augustina po prostu się rozwiązał.

- Nie sądzisz chyba, że to robota Hassana?

Augustin uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie - odparł. - Obawiam się, że wyjaśnienie jest o wiele prostsze.

- To znaczy?

- W koszu było pełno gruzu - zauważył Augustin. - A co jest najważniejsze dla Mansoora?

Knox skrzywił się i zamknął oczy.

- Uprzątnięcie stąd całego gruzu?

- Mieliśmy wyjątkowe szczęście, przyjacielu.

W głębi korytarza usłyszeli ciche kroki. Kiedy Knox podniósł wzrok, z mroku wyłoniła się szczupła, ciemnowłosa atrakcyjna dziewczyna, z zawieszonym na szyi cyfrowym aparatem.

- Wyjątkowe szczęście? - zapytała. - Znaleźliście coś?

Augustin zerwał się z ziemi i podszedł do niej, zasłaniając Knoksa.

- Popatrz! - powiedział, wydając z torby znaną przed chwilą lampę pogrzebową i wskazując ręką wodę. - Cała masa komór grobowych z zapieczętowanymi loculi.

- To fantastycznie - odparła, spoglądając na kryjącego się za nim Knoksa. - Jestem Gaille.

Knox nie miał innego wyjścia jak wstać.

- Mark - przedstawił się.

- Miło cię poznać, Mark.

- Wzajemnie.

- Jak ci idzie fotografowanie? - zapytał Augustin, dotykając jej ramienia.

- Świetnie - odparła. - Mansoor ściągnął tutaj wszystkie lampy z muzeum, żebyśmy mogły sfotografować cały przedsiónek, ale kiedy są przez dłuższy czas włączone, robi się za gorąco. Chodzi o tynk. Nie chcemy, żeby popękał.

- Oczywiście. - Augustin objął Gaille ramieniem, próbując odciągnąć ją od Knoksa. -

Posłuchaj. Rozumiem, że jesteś w mieście sama. Może zjedlibyśmy razem kolację?

Pokazałbym ci starą Aleksandrię.

Gaille zaświeciły się oczy.

- Byłoby wspaniale, owszem. - W jej głosie zabrzmiał taki entuzjazm, że zaczerwieniła się i uznała, że należy im się wyjaśnienie. - Chodzi o to, że w moim hotelu nie ma nic do jedzenia i nie pozwalają gościom wnosić artykułów spożywczych do pokoju. A ja naprawdę nienawidzę jeść sama w restauracji. Mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią.

- To zrozumiałe, że się gapią - odparł z galanterią

Augustin. - Na taką ładną dziewczynę. W jakim mieszkasz hotelu?

- Vicomte.

- W tej norze? Dlaczego?

Gaille wzruszyła bezradnie ramionami.

- Zapytałam taksówkarza o coś taniego i w śródmieściu.

- Więc wziął cię za słowo - roześmiał się Augustin. - A zatem dziś wieczorem. Może być ósma? Podjadę po ciebie.

- Cudownie. - Gaille spojrzała na stojącego w cieniu

Knoksa. - Ty też przyjdiesz? - zapytała.

Knox potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie dam rady.

- Aha. - Gaille klepnęła się po biodrach i wyduła wargi. - No to do zobaczenia -

powiedziała, po czym odeszła nieco sztywnym krokiem, wyczuwając całkiem słusznie, że się na nią gapią.

## **Rozdział 10**

Po powrocie do mieszkania Augustina Knox usiadł na kanapie i próbował się czymś zająć. Nie było to łatwe. Komiksów miał już dosyć po pierwszym dniu. Przez chwilę chodził

po salonie, potem wyszedł na balkon. Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim zaszło słońce. Augustin się nie pojawiał. Telefon zadzwonił o wpół do ósmej.

Knox bał się odebrać i zaczekał, aż włączy się sekretarka.

- To ja! - krzyknął Augustin. W tle słychać było głośną muzykę, tubalny śmiech i brzęk kieliszków. - Odbierz telefon.

Knox zrobił to.

- Gdzie jesteś, do diabła? - zapytał. - Miałeś tu być już kilka godzin temu.

- Posłuchaj, przyjacielu. Mam problemy w pracy.

- W pracy? - odparł oschle Knox.

- Chcę, żebyś zadzwonił w moim imieniu do tej fotografki. Do Gaille, tej z Vicomte.



Wyjaśnij jej, że mam awaryjną sytuację w pracy.

- Jest sama w mieście - zaprotestował Knox. - Nie możesz się na nią wypiąć.

- No właśnie - zgodził się Augustin. - Dlatego musisz mnie zastąpić. Gdyby usłyszała ten hałas, mogłaby dojść do wniosku, że nie jestem do końca szczery.

- Dlaczego nie poprosisz, żeby do was dołączyła?

- Mam pewne plany. Znasz tę Beatrix, o której ci wspo miiałem?

- Na litość boską. Nie mieszaj mnie w swoje łajdactwa.

- Proszę cię jak przyjaciela, Danielu. Jak to ująłeś? Mam kłopoty. Potrzebuję pomocy.

- No dobrze - westchnął Knox. - Zostaw to mnie.

- Dzięki.

- Powodzenia w rozwiązywaniu problemów - dodał z przekąsem Knox.

Wziął książkę telefoniczną i zaczął szukać numeru hotelu Vicomte. Miał wyrzuty sumienia w stosunku do Gaille. W tej dziedzinie był purytaninem. Kiedy zaprasza się dziewczynę, zwłaszcza taką, która marzy o tym, żeby ktoś dotrzymał jej towarzystwa, nie wolno wystawiać jej do wiatru. Przed sobą miał długi samotny wieczór. Nikogo, z kim mógłby pogadać, nic do czytania, nic w telewizji. Niech to szlag, pomyślał. Niech szlag trafi Hassana i jego zbirów. Zajrzał do pokoju Augustina, żeby znaleźć czystą koszulę i czapkę baseballową. A potem zostawił list przy telefonie, zszedł na dół i złapał taksówkę.

## II

Ibrahim nie mógł usiedzieć w domu tego wieczoru. Ramię swędziało go w miejscu, gdzie pielęgniarka pobrała krew na badanie antygenów. Nie mógł przestać myśleć o tej biednej dziewczynce z szeroko otwartymi brązowymi oczyma. O jej smutnym losie i odwadze. W końcu podjął decyzję. Zajrzał do gabinetu, zabrał z półki książkę, którą czytał

mu w dzieciństwie ojciec, wyszedł z domu i wsiadł do samochodu.

Mohammed mieszkał na dziewiątym piętrze. Windy nie działały. Kiedy Ibrahim wdrapał się na górę, musiał oprzeć ręce na kolanach i uspokoić oddech. Jak trudno było tutaj egzystować z chorym dzieckiem! Pomyślał o własnym szczęśliwym dzieciństwie i gruntownym wykształceniu, które zdobył dzięki pieniądzom ojca. Z mieszkania dochodziły stłumione głosy męża i żony, którzy żyli w zbyt wielkim stresie i nie chcieli, by odgłosy kłótni usłyszało ich ukochane dziecko. Nagle ogarnęło go zakłopotanie: był tutaj intruzem.

Zamierzał już odejść, gdy drzwi otworzyły się niespodziewanie i na klatkę wyszła kobieta z włosami zasłoniętymi chustką, ubrana tak, jakby wybierała się gdzieś z wizytą. Sprawiała wrażenie tak samo

zaskoczony jak on.

- Kim pan jest? - zapytała. - Co pan tutaj robi?

- Przepraszam - odparł podenerwowany. - Mam coś dla Mohammeda.

- Co takiego?

- To tylko książka - wyjaśnił, wyjmując ją z torby. - Dla jego córki. Dla pani córki.

Kobieta posłała mu zdumione spojrzenie.

- To dla Lajli?

- Tak.

- Ale... kim pan jest?

- Nazywam się Ibrahim.

- Ten archeolog?

- Tak.

Kobieta przygryzła wargę i cofnęła się do mieszkania.

- Mohammed! - zawołała. - Chodź tutaj. Przyszedł do ciebie twój znajomy archeolog.

Mohammed wyszedł z bocznego pokoiku z pochyloną głową, żeby nie zaczepić nią o framugę.

- Tak? - zapytał. - Coś się stało na budowie?

- Nie - odparł Ibrahim, pokazując większy fragment okładki. - Chodzi o to, że mój ojciec czytał mi tę książkę i pomyślałem, że może pańska córka... - Otworzył książkę i przekartkował, pokazując znajdujące się w środku wspólnie ilustracje, mityczne i historyczne wizerunki Aleksandra.

- Ale to piękne. - Mohammed otworzył usta z zachwytem i zerknął na żonę, która po krótkim wahaniu skinęła głową. - Lajla mówiła o panu przez cały wieczór - powiedział i wziął

Ibrahima pod łokieć. - Wiem, że to będzie dla niej wielkie przeżycie, jeśli da jej pan osobiście tę książkę.

### III

Aleksandria jest jednym z najgościnniejszych egipskich miast, ale napięcia między Zachodem i światem arabskim dotarły i tutaj. Płacąc taksówkarzowi przy hotelu Vicomte, Knox zobaczył idącego z kobietą młodego Egipcjanina, który spojrzał na niego spode łba.

Normalnie nie zwróciłby na to uwagi, jednak mając na karku Hassana, poczuł, jak przechodzą go zimne ciarki. Co za ludzie. Jak miał poznać, którzy z nich mu zagrażają? Ci, którzy się uśmiechali, czy ci, którzy patrzyli wilkiem?

Hotel Vicomte mieścił się na szóstym piętrze budynku. Stara winda mijała z brzękiem i dygotem pogrążone w mroku piętra. Knox pchnął drzwi z siatki i wyszedł z kabiny.

Łysiejący recepcjonista w średnim wieku rozmawiał z broda - tym młodzieńcem. Obaj spojrzeli na Knoxa, nie starając się nawet ukryć pogardy.

- Tak? - zapytał recepcjonista.

- Ja do Gaille Dumas - odparł Knox.

- Tej Francuzki?

- Tak.

- Jak się pan nazywa?

Knox dopiero po chwili przypomniał sobie nazwisko, które nadał mu Augustin.

- Mark - powiedział. - Mark Edwards.

- Proszę usiąść.

Recepcjonista odwrócił się do swojego znajomego i podjął przerwana rozmowę.

Knox usiadł w starym niebieskim fotelu. Z jego podartej tapicerki wyłaziły kłaki.

Minęła minuta. Facet nie zrobił niczego, żeby zawiadomić Gaille. Minęła kolejna minuta. Dwaj mężczyźni gawędzili ze sobą, nie spoglądając w ogóle w jego stronę, ostentacyjnie go lekceważąc. Knox nie chciał zwracać na siebie uwagi, ale znalazł się w sytuacji, kiedy nierobienie niczego mogło się wydać dziwniejsze niż jakakolwiek reakcja, w związku z czym wstał, otrzepał z kłaków spodnie i podszedł z powrotem do recepcji.

- Niech pan do niej zadzwoni - powiedział.

- Za chwilę.

Knox położył rękę na biurku.

- Dzwon do niej. Teraz.

Recepcjonista spiorunował go wzrokiem, ale podniósł słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny. W głębi korytarza zaterkotał cicho telefon.

- Ma pani gościa - powiedział recepcjonista, po czym odłożył słuchawkę i nie mówiąc ani słowa do Knoksa, podjął przerwana rozmowę ze znajomym.

Minęła kolejna minuta. Otworzyły się i zamknęły drzwi i na korytarzu rozległy się czyjeś szybkie kroki. Zza rogu wyłoniła się Gaille ubrana w spłowiałe dzinsy, workowatą czarną bluzę i tenisówki.

- Mark? - zapytała, zastygając w bezruchu. - Co ty tutaj robisz?

- Niestety, Augustin nie może z tobą wyjść. Ma kryzysową sytuację w pracy. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci to nagłe zastępstwo.

- Nie, skądże znowu. - Gaille spojrzała na swoje wymięte ciuchy i na jej twarzy odbiło się wahanie.

- Idziemy do jakiejś eleganckiej knajpy? - zapytała.

- Wyglądasz w porządku - zapewnił ją Knox. - Wyglądasz wspaniale.

- Dzięki - odparła z nieśmiałym uśmiechem. - Może my już iść? Umieram z głodu.

Zaprowadził ją do windy. Recepcjonista i jego brodaty znajomy spojrzeli na nich spode łba, kiedy zamknął drzwi z siatki trochę bardziej energicznie, niż to było konieczne. W

kabinie było ciasno i ciemno; mogły się w niej zmieścić najwyżej dwie osoby. Stojąc ramie przy ramieniu, zjechali z terkotem sześć pięter w dół.

- Czarujący facet - mruknął Knox, kiedy ci na górze nie mogli go słyszeć.

- Nie uwierzysz, ale recepcjonista w Tancie jest jeszcze gorszy - odparła. - Patrzy na mnie tak, jakby kobiety były odpowiedzialne za całe zło w dziejach świata. Miałam ochotę go zapytać, po co prowadzi hotel. Dlaczego nie poszedł do

YMCA albo czegoś podobnego. Miałby tam samych młodych miłych chłopców.

Knox roześmiał się i otworzył drzwi na parterze.

- Lubisz owoce morza?

- Uwielbiam.

- Jest taka restauracja, którą w swoim czasie często odwiedzałem. Nie byłem tam od dawna, ale pomyślałem, że moglibyśmy do niej zajrzeć.

- Brzmi zachęcająco. Rozumiem, że dobrze znasz Alek sandrię?

- Kiedyś znałem.

Po wyjściu z budynku zabrał Gaille z rojnego i barwnego niczym lunapark Sharia Nabi Daniel i

skręcił w spokojniejszą ulicę. Pamiętając o ścigającym go Hassanie, wolał

chować się w cieniu. Co chwila rozglądał się dookoła, czując wpatrujące się w niego wszędzie oczy. W mroku za ich plecami mężczyzna w jasnoniebieskiej galabii mówił cicho, ale z naciskiem przez komórkę, co jakiś czas zerkając w ich stronę.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Gaille. - Dzieje się coś złego?

- Nie - odrzekł. - Wybacz. Jestem po prostu trochę rozkojarzony. - Na rogu ulicy stał

minaret i Knox uznał, że bawiąc się w przewodnika, może ukryć zdenerwowanie. - To meczet Attarine - powiedział. - Wiesz, że tutaj właśnie odnaleziono sarkofag Aleksandra Wielkiego?

- Nie wiedziałam nawet, że go odnaleziono.

- Udało się to twojemu rodakowi, Napoleonowi - odparł

Knox. - Kiedy jego ludzie plądrowali Egipt w poszukiwaniu starożytnych skarbów.

- Zgadza się - uśmiechnęła się Gaille. - Które ukradli później twoi wredni Anglicy.

- Masz na myśli, że ocalili je dla cywilizacji. Tak czy inaczej odnaleziono wielki jaspisowy sarkofag pokryty hieroglifami, których nikt nie potrafił wówczas odcyfrować, ale miejscowi zarzekali się, że należał do Aleksandra. Napoleon, który był zakochany w Aleksandrze, postanowił, że sam zostanie w nim pochowany i kazał wysłać sarkofag do Francji. Ale potem my, Brytyjczycy, przewieźliśmy go do British Museum, gdzie jest wystawiany obok kamienia z Rosetty.

- Postaram się go kiedyś obejrzeć.

Mężczyzna w galabii trzymał się za nimi stale w tej samej odległości i mówił coś z przejęciem do telefonu. Knox był coraz bardziej zdenerwowany. Skręcił wraz z Gaille w wąską alejkę, starając się go zgubić.

- Oczywiście kiedy hieroglify zostały w końcu odczytane, okazało się, że sarkofag nie należał wcale do Aleksandra, lecz do Nektanebo Drugiego.

- Aha.

Knox ponownie się rozejrzył, ale alejka była pusta.

- No właśnie - podjął, odrobinę się odprężając. - Wystawieni do wiatru przez krajowców. Jakie to przykre.

Nikt nie pomyślał nawet, że w całej historii może być ziarno prawdy. Ptolemeusz z pewnością nie umieściłby przecież

Aleksandra Wielkiego w porzuconym sarkofagu jakiegoś faraona wygnańca w rodzaju Nektanebo.

- Rzeczywiście nie wydaje się to prawdopodobne.

- No właśnie. Dużo wiesz o Nektanebo?

Gaille wzruszyła ramionami.

- Niewiele.

- To był ostatni faraon z rdzennie egipskiej dynastii.

Pokonał Persów na polu bitwy i wznosił wiele nowych budynków, wliczając w to świątynię w Sakkarze, miście zmarłych na zachód od Memfis, ówczesnej stolicy Egiptu.

- Nie jestem kompletną ignorantką. Wiem, co było w Sakkarze.

- Zamówił również ten sarkofag - dodał z uśmiechem

Knox - chociaż nigdy z niego nie skorzystał. Persowie wrócili i Nektanebo musiał

uciekać. Więc kiedy dwadzieścia lat później Ptolemeusz zajął Egipt i potrzebował jakiegoś miejsca na zwłoki

Aleksandra, do chwili gdy zbuduje mu odpowiednie mauzoleum w Aleksandrii, świątynia i sarkofag Nektanebo były jak znalazł.

- Sugerujesz, że tymczasowo je wykorzystał?

Mężczyzna, który wcześniej szedł z tyłu, pojawił się nagle przed nimi, wciąż mówiąc coś cicho, lecz z przejściem do telefonu. Obejrzał się w ich stronę i natychmiast spuścił

wzrok. Knox skręcił w boczną alejkę. Gaille posłała mu zaintrygowane spojrzenie. Wkrótce pożałował swojej decyzji. Alejka była pusta i ciemna, echo ich kroków odbijało się od ścian, potęgując wrażenie osaczenia. W dodatku mężczyzna skręcił w ślad za nimi.

- O co chodzi? - zapytała Gaille. - Co się dzieje?

- Nic, nic - mruknął Knox, biorąc ją pod ramię i przy spiesząc kroku. - Po prostu jestem głodny.

Gaille nie za bardzo to przekonało, ale wzruszyła ramionami i nie dopytywała się dalej.

- Mówiłeś mi o sarkofagu - przypomniała.

- Owszem - przytaknął. Obejrząwszy się, stwierdził z ulgą, że dystans dzielący ich od mężczyzny trochę się zwiększył. - Ptolemeusz rzeczywiście potrzebował jakiegoś tymczasowego grobowca. Chodzi o to, że dopiero kilka dziesiąt lat później przeniósł

Aleksandra do Aleksandrii. To wyjaśniałoby, dlaczego sarkofag się tu znalazł. Powinnaś go

zobaczyć. Jest paskudny. Ale doskonale nadawał się do przechowania zwłok Aleksandra.

- To sensowne także z egipskiego punktu widzenia - zgodziła się Gaille. - Wiesz, że uważali Aleksandra za syna

Nektanebo Drugiego?

Knox zmarszczył czoło.

- Nie myślisz chyba o starym Romansie Aleksandra!

Jednym z największych bestsellerów starożytności był Romans Aleksandra zawierający wszelkiego rodzaju półprawdy, mistyfikacje i zmyślenia na temat Aleksandra, w tym także opowieść o tym, że Nektanebo odwiedził dwór macedoński, uwiódł tam żonę Filipa, Olimpię, i spłodził Aleksandra.

- Chodzi o coś więcej. Pokonawszy Persów pod Issusem, Aleksander stał się władcą Egiptu nie tylko de facto, ale i de iure. W oczach Egipcjan świadczyło to, że był prawowitym następcą Nektanebo. Wiedziałaś, że jeden z egipskich tytułów królewskich brzmi: "Ten, który wypędza cudzoziemców"?

Dokładnie tak, jak to uczynił Nektanebo.

- Hej! - zaprotestował Knox. - Powiedziałaś chyba, że nic nie wiesz o Nektanebo.

- Powiedziałam, że wiem niewiele - odparła z uśmiechem Gaille. - We Francji to właśnie jest niewiele. Może w Anglii jest inaczej.

- Więc sądzisz, że ta historia z Romansu Aleksandra jest wiarygodna? - zapytał, skrecając wraz z nią w prawo i po raz kolejny się oglądając. Mężczyzna w dalszym ciągu za nimi szedł; dzielący ich dystans chyba się zmniejszał. Zza rogu przed nimi wyszli nagle dwaj kolejni faceci.

Knox zaczął szukać drogi ucieczki. Ale dwaj mężczyźni minęli ich, nie zwracając uwagi na Knoxa ani na śledzącego go osobnika.

- Historia oczywiście jest nieprawdziwa - odparła Gaille. - Nektanebo nigdy nie dotarł w pobliże Grecji. Ale nie wątpię, że takie pogłoski trafiały do przekonania Egipcjanom.

Niewykluczone, że Aleksander celowo je rozpuszczał. W wyjątkowy sposób umiał trafiać do serc i umysłów. Zawsze uważałam, że to jeden z powodów, dla których odwiedził

Siwę. Wszyscy twierdzą, że pojechał tam, ponieważ Grecy otaczali tak wielką czcią wyrocznie Amona. Ale Egipcjanie też ją szanowali, i to przez wiele stuleci. Wiesz, że wszyscy faraonowie dwudziestej ósmej dynastii jeździli do Siwy, żeby potwierdzić swoją władzę? I że wszyscy byli przedstawiani z baraniami rogami dokładnie tak jak Aleksander?

Wyszli w końcu na bulwar Corniche. Wielka fala rozbiła się o skały, spryskując wodą wysoki mur i

zostawiając po sobie mokre, lśniące plamy na asfalcie. Siedzący ich facet schował komórkę do kieszeni i zaczął rozglądać się dookoła, jakby miał się z kimś spotkać.

- Naprawdę? - zapytał Knox.

Gaille pokiwała energicznie głową.

- Egipcjanie mieli bzika na punkcie legitymacji władzy.

Aleksander rządził po Nektanebo, więc w pewnym sensie musiał być jego synem.

Historia o tym, że Nektanebo spał z jego matką, świetnie to wyjaśniała. - Gaille uśmiechnęła się przepraszająco. - Nieważne. Dostyc o sprawach zawodo wych. Gdzie jest ta twoja restauracja?

- Niedaleko.

Knox po raz ostatni się obejrzał. Facet, który ich śledził, podszedł, uśmiechając się szeroko, do ciemnowłosej kobiety z dwójką dzieci, wziął je na ręce i śmiejąc się wesoło, wykręcił pirueta. Knox odetchnął z ulgą. Jego obawy wynikały wyłącznie z paranoi. Z drugiej strony to, że się pomylił, nie oznaczało wcale, że nie musi mieć się na baczności.

Dotarli do restauracji, luksusowego lokalu z widokiem na morze. Gaille spojrzała przerażona na Knoksa i na swoje ubranie.

- Mówiłeś, że to nie jest elegancka knajpa - zaprotes towała.

- Bo nie jest. A ty wyglądasz pięknie.

Wydęła wargi, jakby wiedziała, że ją nabiera, lecz on był aż do bólu szczery. Miała łagodną inteligentną twarz - rodzaj urody, któremu nigdy nie potrafił się oprzeć.

- Włożyłam te straszne ciuchy tylko dlatego, żeby twój przyjaciel Augustin nie pomyślał sobie, że jestem nim zainte resowana. Gdybym wiedziała, że to będziesz ty...

Knox wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chcesz powiedzieć, że mną jesteś zainteresowana?

- Nie miałam tego w ogóle na myśli - odparła, moc no się czerwieniąc. - Wydaje mi się po prostu, że mogę ci ufać.

- Aha - odparł ponuro, otwierając przed nią drzwi. - Można mi zaufać. To brzmi prawie tak samo fatalnie jak to, że miły ze mnie facet.

- Gorzej - stwierdziła z uśmiechem. - O wiele gorzej.

Wspięli się po schodkach do sali restauracyjnej.



- Nie zamawiaj nic słodkowodnego - poradził, prowa dząc ją do stolika z widokiem na Wschodni Port. - To cud, że coś przetrwało jeszcze w okolicznych jeziorach. Ale owoce morza są w porządku.

- Postaram się zapamiętać.

Knox usiadł i rozłożył sobie serwetkę na kolanach.

- Więc jak ci idzie fotografowanie?

- Całkiem niezłe. Jeśli mam być szczerą, lepiej, niż myślałam. - Gaille pochyliła się nad stolikiem, chcąc zwierzyć mu się z sekretu. - Właściwie wcale nie jestem fotografką.

- Nie?

- Tak naprawdę jestem papirologiem. Zdjęcia pomagają mi po prostu poskładać fragmenty tekstu. W dzisiejszych czasach oprogramowanie daje fantastyczne efekty.

- Więc jak dostałaś tę pracę?

- Zaproponowała mi ją moja szefowa.

- Ach, Elena. Pracujesz z nią w delcie, tak?

- Zgadza się.

- Nad czym?

- To starożytna osada - odparła z entuzjazmem. - Znaleźliśmy ślady miejskich murów, zabudowań i cmentarza, jest tam wszystko od Starego Królestwa do wczesnego okresu ptolemejskiego.

- No, no. Co to za miejsce?

- Hmm. - Gaille zawahała się nagle, jakby za dużo powiedziała. - Nie dokonaliśmy jeszcze ostatecznej iden tyfikacji.

- Musicie mieć jakąś hipotezę.

- Naprawdę nie wolno mi o tym mówić. Elena kazała nam wszystkim podpisać oświadczenia.

- Daj spokój. Nikomu nie powiem, przysięgam. Przed chwilą mówiłaś, że możesz mi ufać.

- Nie mogę. Naprawdę.

- Daj mi chociaż jakąś wskazówkę. Jedną wskazówkę.

- Proszę. Naprawdę nie mogę.

- Możesz. Chcesz tego. Dobrze o tym wiesz.

Gaille zacisnęła usta.

- Wiesz, co to znaczy "wsadzić głowę w paszczę lwa"?

To właśnie się dzieje, kiedy podpadniesz Elenie. Wierz mi, lepiej nie robić tego dwa razy.

- No dobrze - mruknął Knox. - Jak to się stało, że dla niej pracujesz? To chyba greckie wykopaliska? Nie jesteś podobna do Greczynki.

- Specjalista Eleny zachorował. Potrzebowała zastępstwa.

Ktoś dał jej moje nazwisko. Wiesz, jak to się odbywa.

- Jasne.

- Któregoś popołudnia po prostu do mnie zadzwoniła.

Czułam się bardzo wyróżniona. I nie miałam akurat nic pilnego na tapecie. Poza tym miło jest czytać książki o Egipcie, ale to w końcu nie to samo, co tutaj pracować.

- Nie - zgodził się Knox. - Więc to twoje pierwsze wykopaliska?

Gaille potrząsnęła głową.

- Nie znoszę o sobie opowiadać. Teraz twoja kolej.

Jesteś podwodnym archeologiem, tak?

- Archeologiem, który zna się na nurkowaniu.

- I intelektualnym snobem.

Knox się roześmiał.

- Nieznośnym.

- Gdzie studiowałaś?

- W Cambridge.

- Oo! - Gaille się skrzywiła.

- Nie podoba ci się Cambridge? - zdziwił się. - Jak można nie lubić Cambridge?

- Nie chodzi o samo Cambridge, ale o kogoś, kto tam studiował.

- O archeologa? - zapytał z uśmiechem. - A to świetne! Jak się nazywa?

- Na pewno go nie znasz. Nazywa się Daniel Knox.

## Rozdział 11

### I

- To cudowne! - roześmiał się Augustin, klaszcząc w dłonie, kiedy Knox opowiedział mu o tym późnym wieczorem. - Po prostu cudowne. I co zrobiłeś?

- A co miałem, do diabła, zrobić? - mruknął Knox. - Powiedziałem, że nigdy o nim nie słyszałem, i zmieniłem temat.

- I nie masz pojęcia, dlaczego tak bardzo cię nie lubi?

Może ją kiedyś przeleciałeś i zapomniałeś później zadzwonić?

- Nie.

- Na pewno? Mnie przytrafia się to dość często.

Knox się skrzywił.

- Domyślam się.

- Więc co?

- Nie wiem - odparł Knox, wzruszając ramionami. - Nic mi nie przychodzi do głowy.

Chyba że...

- Co?

- O nie! - zawołał Knox, gwałtownie się czerwieniąc. - O Chryste!

- Co takiego?

- Ona nie nazywa się wcale Gaille Dumas, ty cymbale.

To Gaille Bonnard.

- Dumas, Bonnard, co za różnica? A swoją drogą, kim jest ta Gaille Bonnard?

- To córka Richarda - wyjaśnił Knox. - Oto kim jest.

Nic dziwnego, że mnie nienawidzi - dodał ze smutkiem.

### II

W pokoju Gaille było parno mimo szeroko otwartych drzwi na balkon. Pamiętała grymas na twarzy Marka, kiedy napomknęła o Danielu Knoksie, to, jak zmienił nagle temat i nieswojo się później zachowywał. Przeklinała swój długi język; do tamtego momentu świetnie się bawiła. Oczywiście, że musieli się znać. Byłoby dziwne, gdyby dwóch studiujących w Cambridge archeologów w podobnym wieku nie było przyjaciółmi.

Nienawiść ma niekiedy swoje źródło w zasadach. Innym razem ma podłoże osobiste.

Kiedy Gaille myślała o Knoksie, którego nigdy nie miała okazji poznać osobiście, czuła, jak płoną w niej te dwa rodzaje nienawiści. Jej matka była piosenkarką w nocnym klubie. Miała krótki romans z jej ojcem, zaszła w ciążę i zmusiła go do małżeństwa, które nie miało żadnych szans, między innymi dlatego, że Richard zdał sobie w pewnym momencie sprawę, że woli mężczyzn. Gaille miała zaledwie cztery lata, gdy ojciec dał w końcu za wygraną i uciekł do Egiptu. Matka, nie mogąc pogodzić się z tym, że jej mąż okazał się homoseksualistą i że jej kariera zbliża się ku końcowi, odgrywała się na Gaille. Znajdywała poza tym pociechę, nadużywając każdej substancji odurzającej, która wpadła jej w ręce, i w końcu, w przeddzień swoich pięć - dziesiątych urodzin, przedawkowała i rozstała się z tym światem.

W dzieciństwie Gaille zmagala się przez cały czas z poczuciem braku bezpieczeństwa, gniewem i agresją matki i rzadko kiedy udawało jej się odnieść sukces w tych zmaganiach.

Mogłaby od tego wszystkiego oszaleć, gdyby nie pewien wentyl bezpieczeństwa, sposób na rozładowanie napięcia. Raz do roku dołączała na jeden miesiąc do ojca prowadzącego wykopaliska w Afryce Północnej i Lewancie, i uwielbiała każdą spędzoną tam chwilę.

W wieku siedemnastu lat miała po raz drugi wyjechać do obozu archeologów na zachód od Malawi w środkowym Egipcie. Przez jedenaście miesięcy studiowała pismo koptyjskie, hieratyczne i hieroglificzne, pragnąc desperacko udowodnić ojcu, że powinien zatrudnić ją na pełny etat. Na trzy dni przed jej odlotem do Egiptu ojciec pojawił się jednak niespodziewanie w ich paryskim mieszkaniu. Mama jak zwykle wpadła w szal i nie pozwoliła mu zobaczyć się z Gaille, która klęcząc przy dziurce od klucza, próbowała dosłyszeć coś przez drzwi ze sklejki. Z włączonego obok telewizora dobiegały sztuczne wybuchy śmiechu i nie wszystko do niej dotarło; to, co usłyszała, w zupełności jej jednak wystarczyło. Ojciec przekładał na później wykopaliska w Malawi, żeby uporać się ze skomplikowaną sytuacją osobistą.

Ekspedycja miała się rozpocząć dopiero po powrocie Gaille do szkoły.

Tamten sezon wykopaliskowy przyniósł ostateczny triumf jej ojcu. Zaledwie osiem tygodni później odkrył archiwa ptolemejskie do tego stopnia ważne, że nadzór nad wykopaliskami przejął osobiście przyszły sekretarz generalny Naczelnej Rady Zabytków, Jusuf Abbas. Gaille też powinna tam być. Niestety, jej miejsce zajął młody wybijający się egiptolog z Cambridge, niejaki Daniel Knox. Na tym polegała skomplikowana sytuacja osobista ojca. Swędział go tyłek. Popełniona przez niego zdrada była tak bolesna, że Gaille nie chciała odtąd mieć z nim nic wspólnego. Próbował się z nią spotkać i przeprosić, ale nie dała mu szansy. I chociaż była zbyt związana z egiptologią, by zajmować się czymś innym, odwiedziła Egipt, dopiero kiedy od śmierci ojca upłynęło wiele lat i otrzymała zaskakującą propozycję od Eleny.

Nigdy nie spotkała się z Knoksem; nie chciała tego. Napisał do niej list kondolencyjny, w którym zawarł poruszającą relację o ostatnich latach jej ojca.

Twierdził, że Richard stale

o niej opowiadał, że kiedy odpadł od skały w trakcie wspięcia na szczyt w górach Pustyni Zachodniej, nie można go było w żaden sposób uratować i że myślał o niej w ostatnich chwilach życia. Tuż przed śmiercią poprosił Knoksa, żeby ten skontaktował się z nią i powiedział o tym. Wszystko to w dziwny sposób ją poruszyło, lecz zarazem dodało otuchy.

A potem z oazy Siwa przyszła paczka z rzeczami i papierami ojca. Był tam także policyjny raport na temat wypadku oraz kopie zeznań dwóch przewodników, którzy uczestniczyli w fatalnej wspinaczce. Obaj zeznali, że Knox mógł uratować jej ojca, gdyby chciał, lecz on tylko stał i patrzył. Obaj zeznali również, że śmierć nastąpiła natychmiast i kiedy oni

1 Knox dotarli do zwłok, były już zimne. Ojciec nie mógł zatem w żaden sposób przekazać swojej ostatniej woli.

Opowieść Knoksa była jednym wielkim łgarstwem.

Zanim otrzymała i przeczytała raport policji, nienawidziła Knoksa z powodów pryncypialnych. Potem gorę wzięły powody osobiste.

### III

Służąc w wojsku, Nessim nauczył się fizjologii strachu. Wiedza o tym, co dzieje się w ciele człowieka, pomagała nad nim panować. Serce kogoś, kto się boi, bije szybciej, oddech pali usta; metaliczny posmak na podniebieniu oznacza, że gruczoły wydzielają więcej adrenaliny przed walką lub ucieczką; mrowienie w palcach rąk i nóg, a także kłopoty z pęcherzem i jelitami to sygnał, że krew przemieszcza się w miejsca, gdzie jest bardziej potrzebna.

Wystukując numer Hassana, Nessim stał przy oknie swojego hotelowego pokoju i patrzył na płynącą dziesięć pięter niżej rzekę.

- Znaleźliście go? - zapytał Hassan, kiedy go z nim połączono.

- Jeszcze nie, proszę pana. Ale robimy postępy.

- Postępy? - powtórzył cierpko Hassan. - Takie same jak te, o których opowiadałeś mi wczoraj?

- Zmontowałem silny zespół, proszę pana.

- Zespół? No to świetnie.

To również było prawdą mimo drwiącego tonu Hassana. Nessim zaangażował

poszukujących pracy dawnych towarzyszy broni, którzy udowodnili, że można na nich polegać, i są

dyskretni. Dał każdemu nazwisko Knoksa, numery rejestracyjne jego samochodu oraz kopię fotografii i kilka innych szczegółów, i wysłał ich, żeby obserwowali hotele i dworce, a także domy ludzi, którzy go znali. Załatwił również namiar na jego komórkę, dzięki czemu - gdyby ją włączył - można było zlokalizować jego pozycję z dokładnością do stu metrów. Pod obserwacją były także jego różne rachunki bankowe i karty kredytowe. W

Egipcie wszystko było możliwe, jeśli miało się pieniądze.

- Posłuchaj mnie - wycedził Hassan. - Nie chcę postępów. Chcę Knoksa.

- Tak jest, proszę pana.

- Zadzwoń jutro. Z dobrymi wiadomościami.

- Tak jest, proszę pana.

Nessim odłożył drżącą ręką słuchawkę, po czym usiadł ze zwieszonymi ramionami na skraju łóżka i wytarł pot z czoła. Do jego nadgarstka przykleiło się kilka mokrych włosów. To kolejny z symptomów. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyczyścić konta w banku i po prostu zniknąć. Ale Hassan za dużo o nim wiedział. Wiedział o jego siostrze. Wiedział o Fatimie i ich synu. Poza tym poczucie honoru nie pozwalało mu uchylić się przed wypełnieniem obowiązku tylko dlatego, że ten był trudny lub niebezpieczny. Zamiast tego wyjął policyjną teczkę Knoksa i przyjrzał się ponownie starej poczerńiałej liście. Danych nie aktualizowano od wielu lat. Kilka osób zmieniło adres albo wyjechało z Egiptu. Innych w ogóle nie udało się namierzyć. Ale ta lista stanowiła jego jedyną nadzieję na sukces i modlił

się, by zdołał go odnieść.

## **Rozdział 12**

Augustin i Knox przyjechali na plac budowy z samego rana, chcąc jak najszybciej zacząć i mając nadzieję, że po wypompowaniu wody będą mogli zbadać zalane wcześniej korytarze. Obaj zdawali sobie sprawę, że osuszenie starożytnych podziemi w Aleksandrii nie jest bynajmniej łatwe. Wapienna skała była wyjątkowo porowata i trzymała wodę niczym gigantyczna gąbka. Kiedy zaczęli wypompowywać wodę, ta gąbka uwalniała swoją zawartość, uzupełniając to, co usunęli, aż do przywrócenia poprzedniego stanu. Ze sprzętem, którym dysponowali, nie byli w stanie temu zaradzić. Mogli co najwyżej zyskać trochę na czasie.

Po przyjeździe zorientowali się jednak od razu, że coś jest nie w porządku. Silnik pompy rzeził niczym ścigający autobus nałogowy palacz. Zbiegli na dół.

Najwyraźniej nawaliła uszczelka. Woda wylewała się i spływała po pochyłej posadzce rotundy do macedońskiego grobowca. Pozostawione tam lampy jarzyły się niczym światełka w basenie pod powierzchnią wody.

Augustin pobiegł z powrotem po schodach, żeby wyłączyć silnik. Knox odłączył

kable, zdjął buty i spodnie, zebrał wszystkie lampy i wentylatory i przeniósł je wyżej po stopniach. Pompa przestała pracować, woda w rurach cofnęła się z bulgotem. Knox zaczekał, aż zapadnie cisza, po czym podłączył ponownie kable i oświetlił pobożowisko. Augustin, który zdążył już wrócić, potrząsnął z przerażeniem głową.

- Merdel Mansoor urwie mi jaja.

- Nie możemy przenieść tutaj pompy?

- Nie znam się na obsłudze tego złomu - mruknął

Augustin, ale błysk w jego oczach świadczył, że wpadł na jakiś pomysł. Na chwilę zniknął i wrócił z czterema koszami do usuwania gruzu. Cisnął dwa Knoksowi, po czym zaczął nabierać wodę do swoich.

- Chyba żartujesz! - zaprotestował Knox.

- A masz jakiś lepszy pomysł? - odparł Augustin, oddalając się korytarzem w stronę lustra wody. Knox poszedł w jego ślady. Ramiona i łokcie bolały go od ciężkich koszy, ich uchwyty wrzynały mu się w palce.

Uśmiechając się do siebie, wylali wodę i pobiegli z po wrotem. Po zaliczeniu przez nich kilku kursów pojawili się inni pracownicy. Zobaczyli, co się stało, i sami też złapali za kosze. Wkrótce przy pracy był cały zespół. Po kilkunastu kursach pod Knoksem uginały się nogi. Scho dząc z drogi tragarzom, zrobił sobie krótką przerwę w głównej sali. Mimo początkowego sceptycyzmu musiał przyznać, że pomysł Augustina nie był taki zły. Poziom wody opadł tak nisko, że stopnie między przedsionkiem i sienią, a także między sienią i główną salą pełniły teraz funkcję zapór, tworząc trzy oddzielne zbiorniki. Knox przykucnął na piętach, żeby obmyć obolałe dłonie i palce w chłodnej wodzie, i nagle zauważył coś dziwnego. Po - - ziom wody w głównej sali był niższy niż w sieni i niższy od dzielącego je stopnia.

Zapomniawszy o zmęczeniu, zmarszczył brwi i wyszedł do przedsionka. - Czy ktoś ma zapalki? - zapytał.

## II

Gaille zastała na dole kompletny chaos. Nie zdążyła sfotografować wcześniej do końca głównej sali, więc jej pierwszą reakcją była obawa, że być może nie zdoła tego w ogóle zrobić. Zdjęła buty, podwinęła nogawki spodni i brodząc w wodzie, weszła do środka, żeby lepiej ocenić sytuację. W głównej sali zastała swojego towarzysza z restauracji, który wrzucał

w różnych miejscach do wody ułamane zapalki.

- Migasz się? - zapytała.

- Zobacz - powiedział, wskazując sień. - Widzisz, że poziom wody jest tam wyższy?

Gaille od razu pojęła znaczenie tego faktu.

- To znaczy, że jest stąd odpływ - mruknęła.

- Otóż to - zgodził się. - Tę komorę wykuto podobno w litej skale.

Knox wrzucił ostatnie zapalki do wody w dwóch rogach sali i we dwójkę obserwowali bacznie, jak płyną ku sobie.

- Naprawdę świetnie się wczoraj bawiłam - mruknęła

Gaille.

- Ja też.

- Może moglibyśmy się gdzieś jeszcze wybrać.

- Chętnie - odparł, ale potem nagle spochmurniał. - Posłuchaj, Gaille, jest coś, co muszę ci najpierw powiedzieć.

- Chodzi o Knoksa, tak? Jest twoim przyjacielem?

- To naprawdę nie jest odpowiednie miejsce, żeby

o tym rozmawiać. Mogę przyjść dziś wieczorem do twojego hotelu?

Gaille uśmiechnęła się z entuzjazmem.

- Gdzieś się wybierzemy. Tym razem ja stawiam.

Z sieni dobiegł ich plusk wody i po chwili pojawił się Mansoor, któremu towarzyszyła Elena.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał gniewnym tonem

Mansoor.

Gaille odwróciła się do swojego towarzysza, oczekując, że to wyjaśni, lecz on schował głowę w ramiona, złapał swoje kosze i uciekł. Elena i Mansoor popatrzyli za nim z otwartymi ustami.

- Kto to był, do diabła? - zapytał Mansoor.

- Kolega Augustina. Nurek - wyjaśniła Gaille. - Ta pompa to był chyba także jego pomysł.

- Aha - mruknął Mansoor. - Chyba nie pomyślał, że się na niego wściekam. Chcę się rozmówić z tym cholernym

Augustinem - dodał, potrząsając głową z mieszaniną roz bawienia i oburzenia. - Po co są te zapalki?



- zapytał.
  - Nikt nie wybierał stąd wody - wyjaśniła Gaille, wskazując różnicę w jej poziomach.
  - Chcieliśmy zobaczyć, dokąd spływa.
  - I co?
  - Zapałki płyną w stronę cokołu. - Wszyscy ukucnęli, oświetlając latarkami wydobywające się spod cokołu srebrzyste pęcherzyki powietrza. - "Akylos trzydziestu trzech
  - mruknęła Gaille, tknięta nagłą myślą. - Być najlepszym
- 1 honorowanym wyżej od reszty".

- Chodzi ci o ten napis nad wejściem? - zapytał

Mansoor.

- Grecy uwielbiali słowne zagadki, prawda?

.- No, wykrztuś to z siebie, dziewczyno - prychnęła Elena. Gaille skrzywiła się, bojąc się, że ją wyśmieją.

- Nie sądzicie, że napis mógł oznaczać, że reszta... to znaczy pozostałych trzydziestu trzech... jest pochowana pod

Akylosem?

Mansoor roześmiał się i przyjrzał jej się z ukosa.

- Jesteś fotografką? - zapytał.

Gaille zaczerwieniła się świadoma, że Elena piorunuje ją wzrokiem.

- Tak naprawdę specjalizuję się w językach.

- Ściągnę tutaj Ibrahima - oświadczył Mansoor. - Powinien to sam zobaczyć.

### III

Knox odnalazł Augustina przy lustrze wody. Francuz wkładał kombinezon piankowy.

- Czy Elena cię rozpoznała? - zapytał Knoksa.

- Chyba nie. A czy ciebie dorwał Mansoor?

- Niezupełnie. - Augustin zatrzepotał dłonią, jakby się sparzył. - Ale mało brakowało.

Ufff! Czuję, że będzie mnie przypiekał na wolnym ogniu. Rozsądny człowiek powinien usunąć się na chwilę z widoku. Masz ochotę na małą eks plorację?

- Czemu nie? - odparł Knox.

Przed awarią pompa wypompowała w nocy dużo wody, która sięgała im teraz zaledwie do kostek. Wkrótce odkryli, jak skomplikowany labirynt tworzą połączone ze sobą korytarze i komory i ile mieli szczęścia, wydostawszy się parę dni wcześniej na zewnątrz. W

jednej z komór wymalowano na ścianie zarysy loculi, lecz nie zdążono ich wydrążyć. Knox dopiero po chwili się domyślił, dlaczego tego nie zrobiono. W sklepieniu ziała wielka dziura, jakby robotnicy przebili się przypadkiem do innego pomieszczenia.

- Hej, kolego - powiedział, podnosząc w górę latarkę. - Spójrz na to.

Augustin podszedł do niego.

- Co tam jest, do diabła?

- Pomóż mi wleźć na górę.

Augustin zrobił koszyczek z dłoni i Knox wspiął się do wyższej komory. Była dość wysoka, by mógł się wyprostować. Zaprawa między blokami piaskowca, z których wzniesiono ścianę, była pokruszona i zwietrzała.

- Pomóż mi, do cholery! - zawołał z dołu Augustin. - Chcę to sam zobaczyć.

Knox podał mu rękę i zaczęli razem badać układ pomieszczeń. Wąski korytarz prowadził w prawo. Przy jego końcu znajdowało się wąskie przejście do równoległego korytarza, a trochę dalej do kolejnego, którego zewnętrzną ścianę tworzyły nie bloki wapienia, lecz lita skała. Pojedynczą komorę szeroką na mniej więcej sześć metrów i wysoką na dwa podzielono na połączone przy końcu trzy korytarze, które tworzyły coś w rodzaju dużej "E". Podeszli razem do końca środkowego przejścia. Pięć schodków prowadziło tu w górę. Tunel skręcał następnie w prawo i w sklepieniu zniknęły kolejne schodki. Z góry dobiegały głuche stuknięcia, ze ścian sypał się pył.

- Jezu - mruknął Knox. - Co to takiego?

Augustin uderzył pięścią w sklepienie i na jego twarzy pojawił się uśmiech zrozumienia.

- Rotunda - powiedział. - Musiały tędy prowadzić oryginalne schody. Tak.

Macedończycy wgryźli się zbyt głęboko w skałę i dotarli do wód podskórnych. I co?

Zbudowali te ściany z wapiennych bloków, ułożyli na nich nową posadzkę i pokryli ją mozaiką. Parfait!

Pięć stuleci później przebili się tutaj przypadkiem budowniczowie nekropoli.

## IV

Kiedy Ibrahim przyjechał na miejsce, w głównej sali nie było już wody. Spuszczenie na dół ciężkiego sprzętu nie było łatwe, w związku z czym Mansoor wziął do pomocy Mohammeda. Dwaj mężczyźni wsunęli łomy pod cokół i oparli się o nie z całej siły.

Kamienny blok zatrzeszczał głośno, nie chcąc oderwać się od posadzki, z którą był spojony od tyłu stuleci. Napinając mięśnie ramion i klatki piersiowej i wyginając łomy, unieśli go kilka centymetrów w górę.

Ibrahim i Elena uklękli i skierowali pod spód światło latarek. W posadzce była okrągła czarna dziura, mniej więcej metrowej średnicy. Cokół był zbyt ciężki, by nawet dwaj silni mężczyźni mogli go długo utrzymać. Mansoor pierwszy dał za wygraną, wydając ostrzegawczy okrzyk; Mohammed zrobił to chwilę później. Cokół opadł z łoskotem w dół, wzbijając chmurę kurzu, który wpadł Ibrahimowi do nosa i przyprawił go o kaszel.

- No i co? - zapytał Mansoor, otrzepując ręce.

- Jest tam szyb - stwierdził Ibrahim.

- Chce pan, żebyśmy przesunęli cokół? - zapytał Mohammed.

- Czy to możliwe?

- Będę potrzebował pomocy i trochę dodatkowego sprzętu, ale tak.

Ibrahim czuł, że wszyscy wpatrują się w niego z wy - czekiwaniem. Wahał się.

Nicolas obiecał im dwadzieścia tysięcy dolarów, na razie jednak otrzymali dopiero połowę tej sumy. Reszta miała zostać wypłacona po satysfakcjonującym zakończeniu. Katerina położyła wielki nacisk na słowo

„satysfakcjonujący”, dając Ibrahimowi jasno do zrozumienia, że niepoinformowanie o tego rodzaju znalezisku zostanie uznane za wysoce niesatysfakcjonujące. Zresztą mając przy boku Elenę, nie bardzo mógł zachować to w tajemnicy. Wyobraził sobie nagle córkę Mohammeda, której życie wisiało na włosku.

- Poczekaj chwilę - powiedział. - Muszę zadzwonić.

Dał znak Elenie, żeby wyszła wraz z nim na górę, po czym zadzwonił do Dragoumis Group, osłaniając ręką ucho, by stłumić hałas panujący na placu budowy. Kiedy czekał na połączenie, w słuchawce brzęczała jakaś ludowa melodia. Ibrahim potarł nerwowo czubek nosa. Muzyka nagle ucichła.

- Tak? Tu Nicolas.

- Mówi Ibrahim. Z Aleksandrii. Powiedział pan, żeby dzwonić, jeśli coś znajdziemy.

- I?

- Coś jest pod macedońskim grobowcem. To chyba szyb.

- Szyb? - Ibrahim usłyszał podniecenie w głosie swoje go rozmówcy. - Dokąd prowadzi?

- Prawie na pewno nigdzie. Tego rodzaju tunele rzadko kiedy dokądś prowadzą. Ale musimy przesunąć cokół, żeby się upewnić. Dzwonię, bo mówił pan, że chce być natychmiast informowany.

- Zgadza się.

- Mam zamiar przesunąć teraz cokół. Zadzwoń znowu, kiedy tylko...

- Nie - oznajmił z naciskiem Nicolas. - Muszę tam być, kiedy to się stanie.

To są pilne wykopaliska - zaprotestował Ibrahim. - mamy czasu na...

- Jutro po południu - przerwał mu Nicolas. - Będę u pana o pierwszej. Do tego czasu niech pan nic nie robi.

Rozumie pan?

- Tak, ale to prawie na pewno nic ważnego. Będzie pan jechał taki kawał drogi tylko po to, żeby...

- Będę tam - warknął Nicolas. - Koniec dyskusji.

A tymczasem niech tam nikt nie wchodzi. Chcę, żeby postawił pan strażników. I zamontował stalową bramę.

- Tak, ale...

- Po prostu niech pan to zrobi. I przyśle Katerinie rachunek. Chcę zamienić jeszcze kilka słów z Eleną. Jest przy panu?

- Tak, ale...

- Niech pan jej da komórkę.

Ibrahim wzruszył bezradnie ramionami.

- On chce z panią rozmawiać - powiedział.

Elena skinęła głową, wzięła od niego telefon, odeszła kilka kroków na bok i odwróciła się plecami, żeby nie słyszał, o czym mówi.

Nicolas zakończył rozmowę z Eleną i odchylił się do tyłu w fotelu, ciężko oddychając.

To dopiero wiadomość! Daniel Knox był w Aleksandrii. I to na jego stanowisku archeologicznym! W

tym wyjątkowym momencie. Wstał i podszedł do okna, masując obiema dłońmi dolny odcinek kręgosłupa, który nie wiadomo dlaczego całkiem mu zeszywniał.

Drzwi jego gabinetu otworzyły się i do środka weszła

Katerina z plikiem papierów. Widząc, że masuje kręgosłup, uśmiechnęła się.

- Odezwał się do pana Daniel Knox czy coś w tym rodzaju? - zapytała.

Nicolas posłał jej spojrzenie, które ścinało krew w żyłach.

- Och - westchnęła, po czym odłożyła papiery i szybko się wycofała.

Nicolas ponownie usiadł. Niewiele osób zalażło mu za skórę tak głęboko jak Knox.

Dziesięć lat temu ten człowiek przez sześć tygodni rzucał najgorsze kalumnie na jego ojca i firmę, a oni wszyscy stali na baczność i nie ruszyli nawet palcem. Ojciec Nicolasa zapewnił mu nietykalność, a słowo ojca było prawem; ale Nicolas wciąż pamiętał gorzki smak upokorzenia. Pochylił się do przodu i połączył przez interkom z Katerina.

- Przepraszam pana - powiedziała, zanim zdążył się odezwać. - Nie chciałam...

- Nieważne - przerwał jej. - Jutro po południu muszę być w Aleksandrii. Czy nasz samolot jest wolny?

- Chyba tak. Sprawdzę.

- Dziękuję. Pamiętasz tego Egipcjanina, od którego ku piliśmy papirusy? Załatwia również inne sprawy, prawda? - Nie musiał wyjaśniać Katerinie, o jakie inne sprawy mu chodzi.

- Pan Mounim? Tak.

- To świetnie. Daj mi jego numer. Mam dla niego zlecenie.

## **Rozdział 13**

Ibrahim zebrał swoich ludzi w rotundzie, żeby zawiadomić ich o wizycie sponsora.

Próbował wykrzesać z siebie nieco entuzjazmu i dać do zrozumienia, że to był jego własny pomysł. Poprosił członków zespołu, by w razie potrzeby udzielili gościowi koniecznych wyjaśnień, obiecał herbatę, kawę, ciastka oraz zimny bufet w muzeum, na koniec zaś przypomniał subtelnie, że ten człowiek płaci im dniówki. Zasugerował, że jego wizyta powinna zostać uznana za wielkie wydarzenie. Generalnie zrobił wszystko, by przedstawić ją w korzystnym świetle. Następnie zaś zapytał, czy są jakieś pytania. Nikt nie odezwał się ani słowem. Byli archeologami; gardzili sponsorami. Spotkanie zakończyło się i wszyscy wrócili do swoich zadań.

Było późne popołudnie. Hosni drzemał w fotelu kierowcy w swoim poobijanym zielonym Citroënie, kiedy chromowany czarny motor z dwoma mężczyznami zatrzymał się przy bloku mieszkalnym. Motocyklista był w dżinsach, białym podkoszulku i skórzanej kurtce; pasażer w jasnych bawełnianych spodniach, niebieskiej bluzie i czerwonym kasku, który zdjął, żeby porozmawiać ze swoim znajomym. Hosni wziął do ręki zdjęcie Knoksa, ale było tak małe, że nie mógł go rozpoznać z takiej odległości.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Pasażer wszedł do budynku, a motocyklista zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i odjechał z rykiem silnika. Hosni policzył piętra.

Augustin Pascal mieszkał na szóstym. Po mniej więcej dwudziestu sekundach zobaczył przez swoją polową lornetkę, że drzwi balkonu się otwierają. Pasażer motoru wyszedł na zewnątrz i rozprostował ramiona. Hosni odszukał swoją komórkę i wystukał

numer Nessima.

- Tak?

- Mówi Hosni, szefie. Chyba go znaleźliśmy.

Nessim wciągnął powietrze w płuca.

- Jesteś pewien?

- Nie na sto procent - odparł Hosni, który zbyt dobrze znał Nessima, by budzić w nim fałszywe nadzieje. - Mam tylko to małe zdjęcie. Ale tak. Jestem raczej pewien.

- Gdzie jesteś?

- W Aleksandrii. Przy domu Augustina Pascala. Wie pan? Tego podwodnego archeologa.

- Dobrze się spisałeś - pochwalił go Nessim. - Nie zgub go. I nie pozwól, żeby się zorientował, że go śledzisz.

Postaram się do ciebie jak najszybciej dotrzeć.

Elena, która miała dosyć jeżdżenia między Aleksandrią i deltą, zarezerwowała sobie pokój w słynnym hotelu Cecil.

Od zapluskwionego hoteliku Gaille dzieliło go tylko dziesięć minut, poza tym jednak był to zupełnie inny świat. Nie mogła trwonić przeznaczonych na wykopaliska cennych funduszy, żeby dogadzać zwykłej specjalistce od języków, ale w jej przypadku wyglądało to zupełnie inaczej. Reprezentowała tutaj Macedońską

Fundację Archeologiczną. Powaga tej instytucji wymagała od niej zachowania pewnego poziomu. Tego wieczoru miała się zająć papierkową robotą. To niewyobrażalne, ile biurokracji mogło się wiązać z prowadzeniem wykopalisk w Egipcie. Miała już tego trochę dosyć, kiedy rozległo się

pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała. Drzwi otworzyły się i zamknęły za jej plecami. Skończyła dodawać kolumnę liczb, po czym odwróciła się na krześle i czując, jak przechodzi ją nerwowy dreszcz, zobaczyła tego Francuza z nekropoli. Stał pośrodku pokoju w dżinsach i skórzanej kurtce. - Co pan tu, do diabła, robi? - zapytała.

Augustin podszedł do okna, jakby pokój należał do niego. Odsunął zasłonę i spojrzał na port.

- Piękny widok - stwierdził. - Ja oglądam tylko cudze pranie.

- Zadałam panu pytanie.

Augustin odwrócił się plecami do okna i oparł o klimatyzator.

- Myślałem o pani - powiedział.

- Co?

- Tak. Pani też o mnie myślała.

- Zapewniam pana - oświadczyła - że nie myślałam

o panu nawet przez sekundę.

- Na pewno? - zapytał drwiącym tonem.

- Tak, na pewno - odparła, ale coś zadrżało w jej głosie

1

Augustin uśmiechnął się jeszcze bezczelniej.

Elena zmarszczyła brwi. Była atrakcyjną, odnoszącą sukcesy zamożną kobietą, która wiedziała, jak sobie radzić z tego rodzaju donżuanami. Załatwiała to na ogół - w ogóle się nad tym nie zastanawiając - jednym piorunującym spojrzeniem, które raziło potencjalnych podrywaczy tak skutecznie, że nie widziała nawet, jak kurczą się i padają. Ale kiedy posłała to spojrzenie Augustinowi, nie skurczył się i nie upadł.

Gapił się na nią, szczerząc bezczelnie zęby.

- Proszę wyjść - powiedziała. - Mam dużo pracy.

Lecz Augustin nie wyszedł. Stał w miejscu odwrócony plecami do okna.

- Zarezerwowałem stolik - rzekł. - Nie chciałbym pani popędzać, ale...

- Jeżeli pan nie wyjdzie - przerwała mu chłodno - wezwę ochronę.

Augustin pokiwał głową.

- Oczywiście zrobi pani to, co uważa za stosowne.

Przysuwając do siebie telefon, czuła, jak zaciska się jej żołądek. To był jeden z tych starych tarczowych aparatów. Wykręciła pierwszą cyfrę, myśląc, że to wystarczy. On jednak ani drgnął i wciąż miał na twarzy ten cholerny przemądrzały uśmiech. Wracając na miejsce, tarcza wydawała cichy metaliczny dźwięk. Elena wykręciła drugą cyfrę. Czuła na policzku zimny dotyk słuchawki.

Wsunęła palec w otwór trzeciej cyfry, ale dłoń odmówiła jej nagle posłuszeństwa, jakby doszło do atrofii mięśni.

Augustin przeszedł przez pokój, zabrał jej z ręki słuchawkę i odłożył ją na widełki.

- Na pewno chce się pani odświeżyć - powiedział. - Zaczekam na dole.

#### IV

-

Znaleźliśmy go - powiedział Nessim.

Po drugiej stronie linii zapadła na chwilę cisza. Po tylu rozczarowaniach Hassan wydawał się nieco zaskoczony. - Jesteś pewien?

- Namierzył go Hosni - odparł Nessim. - Zatrzymał się w mieszkaniu przyjaciela.

Przyjechałem tutaj zaraz po otrzymaniu telefonu. Piętnaście minut temu wybiegł z domu, beztrioski jak szczygiełek. Doszedł chyba do wniosku, że przestaliśmy go szukać. Ale to on, nie ma co do tego wątpliwości.

- Gdzie jest teraz?

‘ - W taksówce. Jedzie w stronę Ramli.

- Jedziesz za nim?

- Oczywiście. Chce pan, żebym go zgarnął?

W słuchawce znowu zapadła cisza.

- Posłuchaj - odezwał się w końcu Hassan. - Oto co macie zrobić.

Knox był mile zaskoczony ciepłym przyjęciem, jakie Gaille zgotowała mu tego wieczoru.



- Wpadłeś w samą porę - ucieszyła się. - Ibrahim poprosił mnie, żebym pokazała jutro gościom malowidła na ścianach sieni. Potrzebny mi królik doświadczalny, żeby to przećwiczyć.

Zaprowadziła go do swojego hotelowego pokoju, ignorując zgorszoną minę recepcjonisty. Balkon był otwarty i z dołu docierały odgłosy ruchu ulicznego, rozmowy i śmiechy czekających na wieczorne rozrywki chłopców i brzęk sunącego gdzieś daleko po szynach tramwaju. Na biurku stał otwarty laptop, wygaszacz malował dziwne kształty na ekranie. Gaille trąciła myszkę i pojawiło się barwne malowidło przedstawiające dwóch mężczyzn. Knox przyjrzał mu się zdziwiony.

- Co to jest, do diabła? To z naszego stanowiska?

- Z bocznej ściany sieni.

- Ale... tam był tylko tynk. Co zrobiłaś, że wyglądają w ten sposób?

Gaille uśmiechnęła się zadowolona.

- Twój przyjaciel Augustin poradził mi, żeby użyć wody.

Dużo wody. Nie tyle, ile wpompowaliście tam dziś rano, ale...

Knox roześmiał się i trzepnął ją żartobliwie po ramieniu. Oboje wzdrygnęli się pod wpływem nagłego kontaktu.

- Świetnie się spisałaś - powiedział, opanowując się. - Wygląda to fantastycznie.

- Dzięki.

- Wiesz, kim są ci ludzie?

- Ten po lewej to Akylos. Lokator grobu.

Knox zmarszczył brwi. Imię Akylos wydało mu się dziwnie znajome. Nie powinien się jednak temu dziwić. Było całkiem popularne wśród Greków.

- A drugi?

- Apolles albo Apelles z Kos.

- Apelles z Kos? - powtórzył z niedowierzaniem

Knox. - Masz na myśli tego malarza?

- Był malarzem?

Knox pokiwał głową.

- Ulubionym malarzem Aleksandra. Żadnemu innemu artyście nie wolno było namalować jego

portretu. Aleksander często wpadał do jego pracowni, żeby zanudzać wszystkich swoimi poglądami na sztukę, aż w końcu Apelles powiedział mu, żeby się przymknął, bo śmieją się z niego nawet chłopcy ucierający farby. Gaille się roześmiała.

- Wymagało to nieco odwagi.

- Aleksander lubił ludzi z jajami. Poza tym Apelles wiedział, jak zachować równowagę między drwiną i pochlebstwem. Namalował Aleksandra z piorunem w dłoni dokładnie tak jak Zeusa. Co to za miasto w tle? Jest jakiś podpis?

- Z tego, co odcyfrowałam, to Efez, ale sam widzisz, jakie są ubytki.

- To całkiem prawdopodobne - mruknął Knox. - Aleksander pojechał tam po swoim pierwszym zwycięstwie nad Persami. - Objął dłonią myszkę, zamknął zdjęcie i otworzył

następne, które przedstawiało brodzących w wodzie żołnierzy. - To Perga. Wiesz, gdzie to jest? - zapytał, zerkając na Gaille.

- Nie.

- Leży na tureckim wybrzeżu, naprzeciwko Rodos. Jeśli chcesz udać się stamtąd na południe, możesz podróżować przez wzgórza, co jest raczej uciążliwe, albo iść wzdłuż wybrzeża. Problem polega na tym, że możesz to zrobić tylko przy północnym wietrze, pod którego wpływem morze cofa się od brzegu. Kiedy Aleksander stamtąd wyruszał, wiało z południa, ale znasz go, po prostu szedł dalej. Wiatr zmienił kierunek dosłownie w ostatniej chwili i wiał dokładnie tyle, ile było trzeba, żeby Aleksander przeszedł ze swoim wojskiem.

Niektórzy mówią, że zainspirowało to autorów historii o Mojżeszu, który przeszedł przez Morze Czerwone. Aleksander odwiedził wkrótce potem Palestynę i musisz pamiętać, że w tym czasie Biblia dopiero powstawała.

Gaille spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- To trochę fantastyczna hipoteza, nie sądzisz?

- Nie powinnaś lekceważyć oddziaływania greckiej kultury na Żydów - odparł Knox.

- To całkiem normalne, że byli w pewnym stopniu zafascynowani Aleksandrem. Wielu Żydów próbowało się asymilować, ale nie było to łatwe, między innymi dlatego, że życie towarzyskie Greków toczyło się przede wszystkim w gimnazjonie, a "gymnos" znaczy po grecku "nagi", zatem z samej definicji wszystko było na widoku. Dla Greków napletek był

wspaniałym boskim wynalazkiem, obrzezanie uważali za barbarzyński zwyczaj. Wielu Żydów starało się cofnąć to, co zrobił im mohel, nacinając skórę u podstawy żołądka albo wieszając metalowe ciężarki na tym, co im zostało.

- Nie o to mi chodziło, kiedy mówiłam o fantastycznej hipotezie - uściśliła Gaille. -

Miałam na myśli to, że w starożytnych mitach dość często mowa jest o wodzie, która się cofa, aby umożliwić bohaterowi przejście suchą nogą.

A także o powodziach zesłanych po to, żeby zatopić wroga.

Gdybym miała postawić pieniądze na jakąś hipotezę, wy brałabym króla Sargona.

- Tego Akadyjczyka?

Gaille pokiwała głową.

- Tysiąc lat przed Mojżeszem, dwa tysiące lat przed

Aleksandrem. Mamy relację, jak rozstąpiły się przed nim wody Tygrysu i Eufratu. Z

Mojżeszem wiąże go zresztą coś więcej.

- To znaczy? - zapytał Knox.

- Matka Sargona wsadziła go do wiklinowego koszyka i puściła z biegiem rzeki -

odparła Gaille. - Tak jak

Mojżesza. Wyłowił go mężczyzna o imieniu Akki i wychował jak własnego syna.

Pamiętaj, że motyw znajdy był dosyć częsty. Pozwalał poetom pokazać, jak działa kosmiczna sprawiedliwość. Weź chociażby Edypa. Pozostawiony przez ojca na odludziu wrócił i zabił

go. Knox pokiwał głową.

- Zdziwiałe, jak te same historie pojawiają się w całym wschodnim basenie Morza Śródziemnego.

- Nie takie znowu zadziwiałe - stwierdziła Gaille. - W całym regionie trwał

ożywiony handel, a kupcy zawsze uwielbiali opowiadać różne historie.

- Poza tym kręciło się tu mnóstwo wędrownych aojdów.

A wiesz, z czego byli znani aojdowie.

- Z tego, że wędrowali - odparła z uśmiechem Gaille, podnosząc wzrok.

Ich oczy spotkały się i przez moment patrzyli na siebie. Knox poczuł, jak coś ściska go w piersi. Minęło dużo czasu, odkąd dzielił z jakąś kobietą nie tylko łóżko, ale swoje życie i pasję. Zdecydowanie zbyt dużo czasu. Zmieszany zerknął z powrotem na ekran.

- Więc mamy tutaj mapę kampanii Aleksandra? - zapytał.

- Niezupełnie - odpowiedziała lekko zaczerwieniona. - Raczej mapę życia Akylosa.

Tak się składa, że obie przed stawiają ten sam obszar. - Nie patrząc w jego stronę, otworzyła kolejną fotografię ukazującą otoczone wodą i mu rami miasto, któremu zagrażał olbrzymi satyr, antropomorficzny grecki bóg w postaci półczłowieka, półkozła. - Z tym mam pewien kłopot. Sądząc po wodzie i murach, uznałam, że to może być Tyr, ale...

- To Tyr, jak najbardziej - zapewnił ją Knox.

- Skąd taka pewność?

- Tyr zasłynął jako niezdobyta twierdza - wyjaśnił. - Nawet Aleksander miał z nim kłopoty. Pewnej nocy podczas oblężenia przyśnił mu się satyr, który z niego drwił. Aleksan -

der ścigał go, ale satyr wciąż mu się wymykał. W końcu Aleksander złapał go i obudził się.

Jego wróżbici interpretowali sen, wskazując, że słowo "satyros" składa się z dwóch części, "sa" i "Tyros", które znaczą "twój" i "Tyr". Tyr będzie twój.

Zdobycie go wymaga po prostu czasu i wysiłku. I tak się stało.

- Na nieszczęście dla mieszkańców.

- Oszczędził wszystkich, którzy schronili się w świątyniach.

- Owszem - stwierdziła oschle. - A potem wyrznął dwa tysiące, krzyżując ich.

- Być może.

- Tu nie ma żadnego "być może". Przeczytaj źródła.

- Macedończycy często wieszali na krzyżach martwych przestępców - odparł

spokojnie Knox. - W tym samym celu, w jakim my, Brytyjczycy, wieszaliśmy ich na szubienicach. Żeby odstraszyć innych.

- No tak - mruknęła, marszcząc czoło. - Ale dlaczego

Aleksander uznał Tyryjczyków za przestępców? Bronili tylko swoich domów.

- Przed rozpoczęciem oblężenia Aleksander wysłał po słów, żeby przedyskutować warunki. Tyryjczycy zamordowali ich i zrzucili z murów. W tym momencie nie było już o czym mówić. - Knox zerknął na Gaille, wyraźnie czymś za intrygowany. - To niesamowicie wystawny grobowiec jak na zwykłego tarczownika, nie sądzisz? Mam na myśli przed sionek, sień, główną komorę. Nie mówiąc już o kolumnach jońskich, rzeźbionej fasadzie, drzwiach z brązu i wszystkich tych malowidłach. Musiało to kosztować niesamowite pieniądze.

- Aleksander dobrze płacił.

- Ale nie aż tak dobrze. Poza tym w ten sposób chowano macedońskich królów. Jest w tym, sam nie wiem, coś wyzywającego. Nie sądzisz?

Gaille pokiwała głową.

- Jutro po południu podnoszą cokół. Może dowiemy się czegoś więcej. Będziesz tam, prawda?

- Obawiam się, że nie.

- Musisz tam być - powiedziała z przejęciem. - Gdyby nie ty, w ogóle nie odkrylibyśmy tego szybu.

- Nieważne.

- Nie rozumiem tego - poskarżyła się. - Co jest grane?

W jej oczach widać było ból i zmieszanie. Knox zorientował się, że nie może dłużej zwlekać. Zrobił poważną minę, by dać jej do zrozumienia, że zamierza poruszyć trudny temat, i odsunął się o kilka centymetrów.

- Pamiętasz, jak wspomniałem, że jest coś, co muszę ci powiedzieć?

- Chodzi o tego cholernego Knoksa, tak? - zapytała i skrzywiła się. - Jest twoim najlepszym przyjacielem albo kimś w tym rodzaju.

- Niezupełnie.

- Nie pozwólmy, żeby nas poróżnił - poprosiła. - Wczoraj wieczorem po prostu niepotrzebnie chlapnęłam jęzorem. On dla mnie nic nie znaczy. Nigdy go nawet nie spotkałam.

Knox spojrzał jej prosto w oczy i po sekundzie zaczęła sobie uświadamiać, co ma jej zamiar wyznać.

- Owszem, spotkałaś go - powiedział, kiwając głową.

## **Rozdział 14**

Gaille dopiero po chwili zrozumiała znaczenie jego słów. Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Wynoś się - powiedziała.

:- Proszę. Pozwól mi...

- Wynoś się stąd. Natychmiast.

- Posłuchaj. Wiem, jak się czujesz, ale...

Gaille podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

- Wynoś się! - powtórzyła.

- Gaille. Pozwól mi wyjaśnić.

- Miałeś szansę to zrobić. Wysłałeś mi ten list, pamiętasz?

- Nie jest tak, jak myślisz. Proszę, pozwól mi...

Recepcjonista, który usłyszał podniesione głosy, pojawił się nagle przy drzwiach pokoju, złapał go pod łokieć i wyciągnął na korytarz.

- Ty wychodzić - powiedział. - Ja wezwać policję.

Knox próbował się wyrwać, ale facet miał zaskakująco silne palce, które wbił mu głęboko w ciało. Mógł albo pójść za nim, albo wszcząć bójkę.

Doszli do windy. Recepcjonista wepchnął go do kabiny, wcisnął przycisk parteru i zatrzasnął drzwi z siatki.

Ty nie wracać - ostrzegł go, kiwając palcem.

Winda ruszyła z dygotem w dół. Wychodząc z kabiny i zbiegając po schodach na ulicę, Knox był kompletnie otumaniony. Gniew, który ujrzał na twarzy Gaille, nie tylko nim wstrząsnął, ale uświadomił, jak mocno się w niej zadurzył. Skręcił w prawo, a potem jeszcze raz w prawo, w alejkę na tyłach hotelu przerobioną jak wiele innych podobnych alejek w Aleksandrii na prowizoryczny parking, wskutek czego musiał przeciskać się między ciasno zaparkowanymi samochodami.

Przypomniał sobie nagle list, który jej wysłał, wszystkie zawarte w nim kłamstwa.

Czując, jak płonie mu twarz, zatrzymał się w alejce tak gwałtownie, że idący za nim mężczyzna wpadł na niego. Knox podniósł rękę w przeproszającym geście i nagle poczuł w nozdrzach gryzący odór. Do ust i nosa przytknięto mu wilgotny tampon i zakręciło mu się w głowie. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że nie powinien zapominać o Hassanie i o tym, co stało się na Synaju. Próbował walczyć i odskoczyć do tyłu, ale chloroform był już w jego płucach. Chwilę później osunął się bezwładnie w ramiona napastnika.

## II

Augustin przywiózł Elenę do hotelu Cecil już o wpół do dwunastej. Zaprosił ją do nocnego klubu, ale wymówiła się nawałem pracy. Mimo to uparł się, żeby wejść z nią razem do hotelu.

- Nie musi pan jechać na górę - powiedziała oschle, kiedy stanęli przy windach. - Na pewno nic mi tu nie grozi.

- Odprowadzę panią do pokoju - oświadczył szarmanc ko. - Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby

coś się stało.

Elena westchnęła i potrząsnęła głową, ale nie stawiała sprawy na ostrzu noża. W kabinie było lustro. Przejrzeli się w nim oboje, a potem spojrzeli na swoje odbicia. Ich oczy spotkały się w lustrze i uśmiechnęli się, uświadamiając sobie, jacy są próżni. Musiała przyznać, że tworzą olśniewającą parę. Odprowadził ją do samych drzwi.

- Dziękuję - powiedziała. - Dobrze się bawiłam.

- Cieszę się.

Elena wyjęła klucz z torebki.

- W takim razie do zobaczenia jutro.

- Naturalnie - odparł, ale nie ruszył się z miejsca.

- Nie zapomniał pan chyba, gdzie są windy? - zapytała.

Augustin uśmiechnął się półgębkiem.

- Należy pani do kobiet, które nie boją się tego, czego chcą. Chyba się nie mylę?

- Nie.

- To dobrze. W takim razie wyjaśnijmy sobie jedno. Jeśli poprosi mnie pani jeszcze raz, żebym odszedł, naprawdę to zrobię.

Na kilka chwil zapadło milczenie. Elena pokiwała w zamyśleniu głową, przekręciła klucz w zamku i weszła do środka.

- No więc jak? - zapytała, zostawiając za sobą otwarte drzwi. - Wchodzi pan czy nie?

### III

Knox odzyskiwał powoli przytomność. Miał poparzone wargi, nozdrza i gardło i zbierało mu się na wymioty. Próbował otworzyć oczy. Były zaklejone. Próbował podnieść dłoń do twarzy, ale miał związane z tyłu ręce. Próbował krzyknąć, ale na ustach miał taśmę.

Kiedy przypomniał sobie, co się wydarzyło, spanikowane serce zaczęło bić jak oszalone w piersi, a ciało wygięło się w łuk. Ktoś walnął go mocno za uchem i znowu osunął się w mrok.

Kiedy odzyskał ponownie przytomność, był ostrożniejszy. Pozwolił, żeby jego zmysły zebrały garść informacji. Leżał na brzuchu, na miękkim dywanie z garbem, który wbijał mu się w żebra. Nadgarstki i nogi w kostkach miał związane tak mocno, że mrowiło go w palcach. W ustach czuł miedziany smak

krwi płynącej ze skaleczenia po wewnętrznej stronie policzka. W powietrzu unosił się zapach papierosów i olejku do włosów. Czuł miękką wibrację drogiego silnika. Warkot mijającego ich z dużą szybkością pojazdu zniekształcony był przez efekt dopplerowski. Leżał na podłodze samochodu. Wieziono go do Hassana.

Znowu ogarnęła go panika. Żółć podeszła mu do gardła i zatrzymała się na podniebieniu.

Zaczął oddychać głęboko przez nos i mdłości ustąpiły. Starał się spokojnie zastanowić. To niekoniecznie byli ludzie Hassana. Być może porwała go jakaś niezależna szajka, licząc na nagrodę. Gdyby udało mu się z nimi porozmawiać, mógłby nawiązać jakiś kontakt, zacząć negocjować, przebić ofertę. Próbował usiąść, ale ponownie oberwał mocno w tył głowy.

Skręcili w lewo i samochód zaczął podskakiwać na wybojach. Knox zwinął się w kłębek, żeby chronić poobijane zebra. Wydawało mu się, że jada całe wieki. Nagle zatrzymali się i otworzyły się drzwi. Ktoś złapał go pod pachy, wyciągnął na zewnątrz i cisnął na piaszczysty grunt. Ktoś inny kopnął w plecy, złapał za taśmę na policzku i zdarł mu ją z oczu razem z kilkoma rzęsami, zostawiając obolałą skórę. Na widok stojących nad nim trzech mężczyzn w czarnych swetrach i kominiarkach zrobiło mu się słabo. Próbował tłumaczyć sobie, że nie ukrywaliby twarzy, gdyby wiedzieli, że zginie. Niewiele to pomogło. Jeden z mężczyzn powłókł go za nogi do drewnianego słupka wbitego w ziemię, zebrał razem luźne końcówki drutu kolczastego i obwiązał nim jego nogi w kostkach.

Chociaż ich samochód stał ukosem, Knox zdołał odczytać znaki rejestracyjne na tylnym zderzaku. Wrył je sobie w pamięć. Drugi mężczyzna otworzył bagażnik, wyciągnął

zwój liny i rzucił ją na piasek. Zawiązał węzeł na haku holowniczym i mocno pociągnął, żeby sprawdzić, czy dobrze trzyma. Na drugim końcu związał pętlę, po czym podszedł do Knoksa, nałożył mu ją na szyję i podciągnął tak, że wpijała mu się w miękką skórę. Knox stracił z oczu trzeciego mężczyznę. Po chwili zobaczył, że stoi w odległości dziesięciu kroków i rejestruje wszystko kamerą w komórce. Nagle uświadomił sobie, po co to robi. Miał

sfilmować jego śmierć dla Hassana. To wyjaśniało, dlaczego włożyli kominiarki. Nie chcieli znaleźć się na filmie pokazującym, jak popełniają morderstwo. W tym momencie wiedział już na pewno, że umrze. Zaczął wierzgać i szarpać się, ale był zbyt mocno związany.

Kierowca dodawał gazu niczym młody żuźlowiec na starcie wyścigu. Spod tylnych kół sypał się piasek. Knox skulił się i wrzasnął w zaklejającą mu usta taśmę.

Mężczyzna z kamerą podszedł bliżej, żeby nakręcić najważniejszy moment, a lina uniosła się, zadrżała i naprężyła.

## **Rozdział 15**

- Ufam, że masz dla mnie dobre wieści - powiedział

Hassan.



Nessim, mimo że rozmawiał przez telefon, zamknął oczy, jakby się modlił.

- Doszło do pewnych komplikacji, proszę pana.

- Komplikacji?

- Ktoś inny porwał go przed nami.

- Ktoś inny?

- Tak, proszę pana.

- Nie rozumiem.

- My też, proszę pana. Wszedł do hotelu. Po jakimś czasie wyszedł. Skręcił w tylną alejkę. Szedł za nim jakiś mężczyzna. Nie przejmowaliśmy się tym do chwili, kiedy z alejki wyjechał czarny samochód, w którym go wywieźli.

- Chcesz powiedzieć, że pozwoliliście go porwać?

- Staliśmy po drugiej stronie ulicy. Nadjechał tramwaj.

- Tramwaj? - zapytał lodowatym tonem Hassan.

- Tak, proszę pana.

- Dokąd pojechali?

- Nie wiemy, proszę pana. Jak już powiedziałem, nadjechał tramwaj. Nie mogliśmy go ominąć.

Cholerny tramwaj stał tam całe wieki, gruby motorniczy zerkał na nich kpiąco, kiedy na niego trąbili.

- Kto to był? Kto go porwał?

- Nie wiemy, proszę pana. Pracujemy nad tym. Jeżeli będziemy mieli szczęście, to ktoś, kto dowiedział się, co się stało, będzie chciał go nam odsprzedać.

- A jeśli nie będziemy mieli szczęścia?

- Z jego teczki wynika, że ma wielu wrogów. Może namierzył go któryś z nich.

W słuchawce zapadła cisza. Jedno uderzenie serca. Dwa. Trzy.

- Chcę, żebyście go znaleźli - oświadczył Hassan. - Chcę, żebyście go znaleźli jak najszybciej. Czy to jest jasne?

Nessim przełknął ślinę.

- Tak, proszę pana. Jasne jak słońce.

## II

Kuśtykając na pomoc wzdłuż pozostawionych na piasku śladów opon, Knox czuł się o wiele starszy. Kiedy lina podniosła się i naprężyła, wiedział, że zginie. Świadomość tego, że się zginie, w zasadniczy sposób różniła się od obawy, że może się zginąć.

Taka świadomość wyczynia bardzo dziwne rzeczy z sercem. Sprawia, że człowiek w inny sposób myśli o czasie, świecie i miejscu, które w nim zajmuje.

Lina została wcześniej przecięta i dwa kawałki połączono taśmą samoprzylepną.

Taśma puściła przy szarpnięciu, lina rozerwała się, a zaskoczony nagłym ułaskawieniem Knox padł na piasek, nie trzymając moczu, z sercem, które łomotało niczym oszalała wskazówka kompasu. Kierowca zatoczył szeroki krąg po piasku, żeby zabrać swojego kolegę, który tam przez cały czas, filmując reakcję Knoksa i to, jak zsiakał się w spodnie. Wszyscy zarykiwali się ze śmiechu, jakby to była najśmieszniejsza rzecz pod słońcem. Jeden z nich rzucił przez okno kopertę, a potem odjechali, zostawiając go przywiązanego do słupka, w zmoczonych spodniach, z szyją otartą przez pętlę.

Dopiero po dwóch godzinach udało mu się oswobodzić ze wszystkich więzów.

Dreszcze wstrząsały całym jego ciałem. Noce na pustyni są zimne. Wysuszył, jak mógł najlepiej, spodnie, posypując je garściami suchego piasku, a potem podszedł do leżącej na ziemi koperty. Nie była podpisana. Kiedy ją otworzył, ze środka wysypało się trochę piasku, który pełnił funkcję balastu, żeby koperty nie porwał wiatr. Poza tym była w niej tylko kartka z nadrukiem British Airways i dwoma słowami: Zostałeś ostrzeżony.

Knox wspiął się na niewielkie wzniesienie. Daleko na ruchliwej drodze sunęły w obie strony światła reflektorów. Ruszył przed siebie wolnym, zmęczonym, zrezygnowanym krokiem. Łatwo jest być odważnym w obliczu hipotetycznych zagrożeń. Tutaj miał do czynienia z odmienną sytuacją. Musiał pamiętać o innych, zwłaszcza o Augustynie i Gaille.

Nie mógł narażać ich na niebezpieczeństwo.

Nadeszła pora, żeby się stąd wynieść.

## III

Nicolas Dragoumis był z natury rannym ptaszkiem, lecz tego dnia wstał wcześniej niż zwykle, podekscytowany niczym dziecko przed Gwiazdką. Ruszył prosto do biurka, żeby sprawdzić pocztę na laptopie. Była jedna nowa wiadomość, od Gabbara Mounima, zgodnie z obietnicą. Czytając ją i kiwając z aprobatą głową, skopiował na dysk i odkodował załączony do niej film. Jego ojciec upierał się zawsze, że Knoksowi włos nie powinien spaść z głowy i Mounim wyraźnie zaznaczył, żeby jego ludzie nie zrobili mu nic złego, w każdym razie nie w fizycznym sensie. Trochę chloroformu, kilka guzów na głowie i mały psychiczny wstrząs. Nie doznał żadnego uszczerbku na

zdrowiu. Wprost przeciwnie, powinien teraz tym bardziej cenić życie.

Nicolas puścił film po raz pierwszy. Knox porwany; Knox nieprzytomny; Knox leżący na podłodze samochodu. Knox wleczony po pustynnym piasku; wyraz przerażenia na jego twarzy, kiedy samochód ruszał z miejsca! Nicolas triumfował. I pomyśleć, że ten śmieć przysporzył kiedyś jemu i jego ojcu tylu zmartwień! A teraz proszę! Zsikał się w spodnie niczym sześciolatek. Puścił film ponownie i jeszcze raz, czując, jak ustępuje napięcie w kręgosłupie. Dobra nocna robota. Bardzo dobra nocna robota. Ponieważ, jeżeli był dobrym znawcą charakterów, już nigdy nie powinien spotkać na swojej drodze Knoksa.

## IV

Świtało już, kiedy Knox dotarł do nadmorskiej drogi, ale ruch na niej był niewielki.

Przebiegł przez jezdnię, a potem wspiął się na wydmy i zszedł do Morza Śródziemnego. Ściągnął spodnie i bokserki, umył je w łamiących się przy brzegu falach i wyżał najmocniej, jak potrafił. A potem powiesił je sobie na ramieniu i ruszył wzdłuż plaży, czując pod stopami przyjemny chłodny piasek.

Wschodzące pomarańczowe słońce kładło się ognistą plamą na spienionym przyboju.

Po jakimś czasie doszedł do kompleksu letnich domków. Okolica sprawiała wrażenie wymarłej: wiatr szarpał otwartą furtką. Te miejsca ożywały tylko w weekendy i wakacje. Przy wielu domach suszyło się na sznurach pranie: kostiumy kąpielowe, ręczniki i ubranie. Knox wszedł na teren kompleksu i klucząc między domami, spostrzegł w końcu starą kremową galabiję i turban, lekko wilgotne z powodu wczesnej pory lub bliskości morza. Zabrał je, zostawił w zamian spodnie i trochę drobniaków, i uciekł, zanim ktoś go zobaczył.

Porywacze dali mu do zrozumienia, żeby się wynosił, i było to bardzo uprzejme z ich strony. Potrzebował jednak swoich kart bankowych, paszportu i dokumentów, a wszystkie te rzeczy zostawił u Augustina. Poza tym potrzebował swojego jeepa.

Przez godzinę machał na przejeżdżające samochody, zanim zabrała go jakaś riksza.

Kierowca zwrócił się do niego w prostym języku arabskim. Knox odpowiedział w tym samym dialekcie, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Rozmawiali o piłce nożnej; facet był

zapalonym kibicem Ittihadu. Dopiero kiedy Knox wysiadł, zdał sobie sprawę, że kierowca wziął go za Egipcjanina. Przyczyniły się do tego bez wątpienia jego beduińskie geny i ubranie, a także mocna opalenizna i jednodniowy zarost.

Nie miał już prawie pieniędzy, pojechał więc autobusem do dzielnicy Augustina i pokonał pieszo ostatni kilometr. Idąc przez parking, miał się na baczności - i tylko dzięki temu dostrzegł dwóch mężczyzn w białym frelanderze, jednego palącego skręta, drugiego skrytego w cieniu. Podeszedł bliżej. Przez tylną szybę zobaczył znajomą czerwoną torbę, czarną teczkę z laptopem oraz karton z jego rzeczami z Synaju. Odwrócił się na pięcie i szybko się oddalił, ale po chwili

*I zdał sobie sprawę, że nie ma sensu uciekać. Gdyby Hassan chciał go porwać lub zabić, nie darowałby mu życia zeszłej nocy. Ci ludzie mieli pewnie dopilnować, żeby wyjechał.*

Odwrócił się z powrotem i wszedł śmiało po schodkach do budynku przekonany, że egipska gałabija czyni go niewidzialnym. Dozorca wycierał mopem czerwoną terakotę. Knox obszedł dookoła mokrą podłogę i czekając na windę, obejrzał się za siebie. Mężczyźni w dalszym ciągu siedzieli we frelanderze. Pojechał windą na siódme piętro, zbiegł piętro niżej i wszedł do mieszkania Augustina. Gospodarza nie było; z pewnością znowu gdzieś balował.

Knox spakował swoje rzeczy i napisał krótki liścik, w którym dziękował Augustinowi za gościnność, informował, że wyjeżdża, i obiecywał, że w najbliższym czasie zadzwoni.

Kończąc pisać, usłyszał na zewnątrz kroki, a następnie zgrzyt klucza w zamku. Z

przerażeniem patrzył, jak obraca się klamka, otwierają drzwi i do środka wchodzi Nessim, niosąc w lewej ręce w przezroczystej torbie jakiś sprzęt elektroniczny.

## **Rozdział 16**

Knox i Nessim wpatrywali się przez chwilę w siebie w bezruchu, obaj w równym stopniu zaskoczeni. Nessim otrząsnął się pierwszy i sięgnął pod marynarkę. Widok kabury pod pachą skłonił Knoksa do działania. Rzucił się na Egipcjanina i przewrócił go na podłogę.

Pistolet wypadł Nessimowi z ręki, potoczył się w stronę schodów i spadł sześć pięter niżej.

Knox wyskoczył na klatkę schodową. Nessim zerwał się na nogi. Pognali w dół, przeskakując naraz całe półpiętra i objając się o ściany na zakrętach. Nessim znalazł się przy Knoksie na odległość wyciągniętej ręki. Knox dotarł pierwszy na parter i zwolnił, żeby nie poślizgnąć się na mokrej podłodze.

Nessimowi nie udało się zachować równowagi i wpadł na drzwi windy, skręcając sobie kostkę i klnąc głośno. Knox wyskoczył na ulicę i pognął do swojego jeepa.

Oglądając się przez ramię, zobaczył Nessima, który mocno utykając, wybiegł na zewnątrz. Odzyskał pistolet, ale trzymał go przy nodze. Wszędzie kręciło się zbyt wielu ludzi, by mógł pozwolić sobie na strzelaninę. Krzyknął do swojego w kolegi, który uruchomił

frelandera i podjechał, żeby go zabrać.

Knox wskoczył do jeepa i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył za pierwszym razem. Natychmiast ruszył wąską alejką do głównej ulicy, w którą wjechał tak szybko, że jadące za nim samochody musiały skręcić w bok i zahamować, zajeżdżając sobie wzajemnie drogę i wściekle trąbiąc. Freelander usiłował się przecisnąć przez powstały nagle korek. Korzystając z tego, Knox skręcił w lewo i jeszcze raz w lewo, znikając w labiryncie uliczek. Co chwila spoglądał w tylne

lusterko, ale nie zobaczył pościgu. Trochę się odprężył.

A potem zerknął jeszcze raz i nagle się pojawili. Jak, do diabła, im się to udało? Wcisnął gaz do dechy, ale freelandier był szybszy i zwrotniej szy i nieubłaganie go doganiał.

Przed sobą zobaczył pociąg pasażerski, który zbliżał się powoli do skrzyżowania z ulicą. Samochody zwalniały, żeby go przepuścić. Knox wcisnął ponownie gaz do dechy i zjechał na drugą stronę ulicy, trąbiąc wściekle, by zmusić nadjeżdżających z przeciwka do ustąpienia mu z drogi. Pociąg był coraz bliżej, lecz on nie zdejmował nogi z gazu i w ostatniej chwili wjechał na tory. Lokomotywa zaczęła o tylny zderzak jeepa i pchnęła go na drewniany słupek szlabanu, ale ułamek sekundy później był już po drugiej stronie i skręcił na swoje pasmo, ignorując wygrażających pięściami kierowców i głośne klaksony. Zerknął w lusterko. Pociąg zatrzymał się pośrodku ulicy. Miał dla siebie przynajmniej minutę, może dwie. Skręcił na rogu i zaparkował. Nessim nie odnalazł go przypadkiem. Nie w takim labiryncie jak Aleksandria. Skoro obserwowali mieszkanie Augustina, z pewnością znaleźli również jego jeepa. Przykucnął i zajrzał pod samochód. Nadajnik był przymocowany taśmą do podwozia. Knox oderwał go, zatrzymał taksówkę i zapłacił kierowcy za dostarczenie go do Sheratonu w Montazah Bay. A potem potruchtał z powrotem do jeepa i odjechał w przeciwnym kierunku.

Nessim nie był głupcem. Wkrótce uświadomił sobie, że został wystrychnięty na dudka.

Knox musiał jak najlepiej wykorzystać te kilka chwil. Aleksandria nie przypominała jednak Londynu z jego setkami dróg wyjazdowych. Miał zasadniczo trzy opcje: drogę na południe do Kairu, na wschód do Port Saidu i na zachód do El Alamein. A Nessim z pewnością dysponował wsparciem. Hassan nie żałował środków; na wszystkich tych trasach wypatrywano starego zielonego jeepa. Więc może powinien się na jakiś czas przycziąć, zaczekać, aż przestaną go szukać. Ale gdzie? Był zadumiony; nie śmiał angażować w to kolejnych znajomych. Nessim z pewnością sprawdzi wszystkie aleksandryjskie hotele. I nie mógł kręcić się dalej po mieście. Każdy mógł go namierzyć. Musiał zejść do podziemia.

Pomysł, który przyszedł mu w końcu do głowy, był tak bezczelny i zarazem tak szczwany, że wybuchnął śmiechem i o mało nie wpadł na jadącą przed nim furgonetkę.

## II

Kiedy Nicolas Dragoumis wraz ze swoim ochroniarzem Bastiaanem przyjechał z lotniska na plac budowy, czekała go niemiła niespodzianka. Chciał tylko podnieść cokół i zobaczyć, co jest pod spodem, lecz Ibrahim uparł się, że zrobi z tego wielkie wydarzenie.

Wszyscy kopacze ustawili się w rzędzie, żeby uścisnąć mu dłoń. Obok stały nakryte białymi obrusami stoły z herbatą, filiżankami i paskudnie wyglądającymi ciastkami z kremem.

Oczekiwano najwyraźniej, że pogawędzi chwilę z tymi ludźmi. Było to coś, w czym nigdy nie był dobry: nie potrafił nadszpeciwać miernotom. Ale gra toczyła się o wielką stawkę, więc zacisnął zęby i robił, co mógł, starając się ukryć zniecierpliwienie.

## III

Knox zatrzymał się przy najbliższym bankomacie i pobrał z niego pieniądze. Hassan i tak wiedział, że jest w Aleksandrii; nie było sensu się z tym kryć. Następnie wybrał się na zakupy: kupił dużą wodoszczelną torbę, jedzenie, wodę, podwodną latarkę, lampę, zapasowe baterie oraz książki do czytania. W sklepie motoryzacyjnym nabył zieloną plandekę. Potem pojechał do dzielnicy willowej na południe od dworca głównego, zaparkował tam jeepa i przykrył go plandeką.

Pozostałe rzeczy zapakował do wodoszczelnej torby i przywiązał ją sobie z przodu do pasa pod galabiją, tak że wyglądał po prostu, jakby miał dużą nadwagę. Dotarł do placu budowy i pokazał przepustkę strażnikowi, który wpuścił go bez gadania. Na dole w rotundzie dwóch robotników montowało stalową bramę przy wejściu do macedońskiego grobowca.

Nadzorowali ich Mohammed i Mansoor. Kiedy mijali ich

Knox, ten ostatni podniósł wzrok i zmarszczył brwi, próbując go sobie przypomnieć.

- Hej ty! - zawołał. - Chodź tutaj. - Knox wtulił głowę w ramiona i ruszył szybciej w głąb nekropoli.  
- Hej! - krzyknął Mansoor. - Stój!

Ale Knox szedł dalej, mijając pracowników, którzy wynosili w koszach ludzkie szczątki. Słyszając za sobą kroki, jeszcze bardziej przyspieszył. Kilka komór zostało już kompletnie opróżnionych z artefaktów. Zabrano z nich lampy i przenośniki - sjonoski tam, gdzie były potrzebne. Knox miał zamiar wślizgnąć się do takiej komory i ukryć do zapadnięcia zmroku w jednej z pustych loculi. Obecnie nie mógł już tego zrobić.

- Hej! - krzyczał za nim Mansoor. - Zatrzymajcie tego mężczyznę! Chcę z nim porozmawiać!

Zbiegając po stopniach, Knox dotarł w końcu do lustra wód gruntowych i musiał się zatrzymać. Ich poziom po usunięciu pompy ponownie się podniósł i był teraz taki sam jak na początku. Nie było czasu na zastanowienie. Knox wszedł powoli do wody, starając się nie robić za dużych fal. Spod jego galabii uciekały bąble powietrza.

Wodoszczelna torba przy pasie wydeła się i nie chciała zanurzyć. Ścigający go ludzie byli coraz bliżej; sprawdzali kolejne komory. Knox nabrał w płuca jak najwięcej powietrza, przycisnął lewą dłoń do ściany, zanurzył głowę w czarnej wodzie i ruszył korytarzem, próbując przypomnieć sobie drogę. Czując coraz większą potrzebę zaczerpnięcia oddechu, dotarł do trzeciej komory, podpłynął do jej górnego rogu i z ulgą przekonał się, że nie zawiodła go wewnętrzna busola. Wynurzył się z wody i wdrapał do komory pod rotundą, wciąż mając przy pasie wodoszczelną torbę. Zdjął mokre ubranie, odwiązał torbę, wytarł się do sucha i włożył spodnie oraz podkoszulek. Nie był to może Ritz, ale przez jakiś czas mógł

się tu czuć bezpiecznie.

Metr sześcienny powietrza powinien mu wystarczyć na prawie godzinę, jeżeli nie będzie wydatkował zbyt dużo energii. Pomieszczenie miało mniej więcej czterdzieści osiem metrów sześciennych, co oznaczało, że mógł tu spędzić dwa dni. Jutro po południu, po wyjściu archeologów, przepłynie z powrotem pod wodą, ukryje się w jednym z pustych loculi i wyjdzie wraz z innymi w porze obiadu.

Oczywiście pod warunkiem, że nikt się nie domyśli, gdzie zniknął.

Próbował się odprężyć, ale nie było to łatwe. Siedząc samotnie w ciemności, otoczony przez groby wypełnione ludzkimi szczątkami, spodziewając się, że w każdej chwili ktoś wynurzy się z wody, nie mógł opanować niepokoju. Po pewnym czasie poczuł w sobie również inne emocje. Gniew. Zazdrość.

To on pierwszy się zorientował, że coś jest pod cokołem. A teraz tkwił tutaj ścigany przez wszystkich, podczas gdy inni mieli wykorzystać jego odkrycie. W dodatku był tak blisko tego miejsca! Nekropola miała kształt wielkiej spirali i macedoński grobowiec znajdował się zaledwie kilka metrów od komory, w której siedział.

Zaledwie kilka metrów, pomyślał, marszcząc czoło.

Kucie w skale nawet w najlepszych warunkach było katorżniczą pracą, dwa razy trudniejszą, jeżeli dostęp zapewniał jeden wąski szyb. Elektryczność spowodowała, że zapomniano, ile problemów przysparzało starożytnym właściwe oświetlenie.

Świece i spalające tłuszcz lampy zużywały tlen, w związku z czym nieoceniony był

choćby najprostszy system wentylacyjny. Dwa dojścia były lepsze od jednego: pozwalały przemieszczać się robotnikom i powietrzu. A kiedy praca była zakończona i kluczową sprawą stawało się zapewnienie tajemnicy, można było zamurować większy szyb i pokryć posadzkę mozaiką.

Knox ustawił lampę na podłodze i zaczął sumiennie sprawdzać ściany, opukując je podstawą latarki, słuchając echa i mając nadzieję, że usłyszy inne, wyższe brzmienie, które wskazywałoby, że po drugiej stronie jest puste miejsce. Robił to od dołu do góry, a potem przesunął się pół metra w lewo i zaczął od nowa. Nic. Sprawdził podłogę i sklepienie, a następnie schody. Znowu nic. Sfrustrowany przygryzł wargę.

Hipoteza wydawała się całkiem sensowna, lecz mimo to chyba się pomylił.

#### IV

Nicolas nie był już w stanie dłużej bawić się w uprzejmości. Złapał Ibrahima pod łokieć i odciągnął go na bok.

- Może powinniśmy już zacząć - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Muszę dziś w nocy wracać do Salonik.

- Oczywiście. Tak. Ale jest jeszcze jedna osoba, którą chciałbym, żeby pan poznał.

- Kto taki? - westchnął Nicolas.

- Mohammed elDahab - odparł Ibrahim, wskazując stojącego nieopodal zwalistego mężczyznę. - To kierownik budowy.

- A potem będziemy mogli zacząć?

- Tak.

- Dobrze. - Podeszli obaj do Mohammeda. - Salaam alekum - pozdrowił go krótko Nicolas.

- Wa alekum es salaam - odparł Egipcjanin. - I dzie kuję. Bardzo dziękuję.

Nicolas zmarszczył czoło.

- Za co?

- Mówiłem panu o tej chorej dziewczynce - rozpromie nił się Ibrahim. - To córka Mohammeda.

Nicolas spojrzał zdumiony na dwóch mężczyzn.

- Chce pan powiedzieć, że naprawdę jest jakaś chora dziewczynka?

- Oczywiście - odparł Ibrahim. - A co pan myślał?

- Wybaczcie mi - roześmiał się Nicolas. - Za często mam do czynienia z waszymi rodakami w Kairze. Myślałem, że to bakszysz.

- Nie - stwierdził z naciskiem Mohammed. - Te pieniądze są dla nas bardzo ważne.

Pańskie pieniądze dają mojej córce szansę. Dzisiaj poznamy wyniki badań. Ale bez względu na to, jakie będą, moja rodzina jest panu do zgonnie wdzięczna.

- To drobiazg. Naprawdę - zapewnił go Nicolas, po czym odwrócił się do Ibrahima i zerknął na zegarek. - Musimy już zaczynać - powiedział.

Knox siedział sfrustrowany w ciemności, opierając się plecami o jedną z podpór i gryząc kciuk. To, że komora połączona była z niższym pomieszczeniem, doskonale pasowało do jego hipotezy. Mimo to sprawdził już każdy centymetr jej ścian i sklepienia, wszystkie miejsca, z wyjątkiem tych zasłoniętych przez podpory, i niczego nie znalazł.

Zmarszczył brwi. Nad jego głową musiało być co najmniej sześćdziesiąt centymetrów wapiennej skały, a mimo to postawiono tu podpory. Ukląkł, po czym przystawił płasko dłonie i policzek do jednej z nich, jakby chciał poznać jej sekrety.

Po co, u licha, ktoś zadał sobie tyle trudu? Komorę wykuto w litej skale. Sklepienie nie potrzebowało podparcia. Było kilkadziesiąt komór w tej nekropoli i kilkadziesiąt nekropoli w Aleksandrii. W żadnej nie widział podobnych do niej podpór. Więc może to wcale nie były podpory? Może miały inny cel. Może coś zasłaniały.

Ruszył wzdłuż podpór, dokładnie je sprawdzając. Każda składała się z sześciu kolumn, każdą kolumnę wzniesiono z sześciu bloków. Każdy miał około trzydziestu centymetrów wysokości,



trzydziestu centymetrów szerokości i metra długości. Każda podpora przylegała do zewnętrznej ściany tylko jednym bokiem. Jeżeli coś zasłaniały, powinien to znaleźć właśnie w miejscu spojenia. Stara zaprawa między blokami rozsypała się w pył.

Pchnął mocno górny blok. Ustąpił z głośnym zgrzytem, ale zobaczył za nim litą ścianę.

Zostawił tę podporę i podszedł do następnej. Kiedy tym razem odepchnął górny blok, ukazała się za nim pusta przestrzeń. Próbował odsunąć razem dwa górne bloki, ale były za ciężkie.

Zdołał to zrobić dopiero, gdy oparł się plecami o zewnętrzną ścianę, wdrapał wyżej niczym wspinacz w skalnym kominie i pchnął górne bloki stopami. Gdy odsunęły się na wystarczającą odległość, zeskoczył na dół i podszedł do szpary, żeby zobaczyć, co odsłonił.

Ciasny przesmyk prowadził do pomieszczenia wielkości schowka na szczotki. Knox schował do kieszeni wszystko, czego mógł potrzebować, precyzyjnie się przez szparę i wylądował na rękach w odsłoniętej komorze.

Zapalił latarkę, otrzepał ręce i obejrzał przeciwległą ścianę. Wzniesiono ją nie z bloków, lecz z cegieł, dość małych, by mogła je względnie łatwo ułożyć jedna osoba.

Przyciskając dłoń do jednej z nich, poczuł, jak zaczyna szybciej oddychać.

Cokolwiek znajdowało się po drugiej stronie, musiało mieć połączenie z szybem, nad którym w każdej chwili mógł podnieść cokół Ibrahim. Przystawił ucho do cegły, lecz nic nie usłyszał. Sama myśl, żeby tam wejść, była szaleństwem. Jeżeli go złapią, wyląduje na drugie lata w więzieniu. Ale był tak blisko... Wyjęcie z muru jednej cegły nikomu chyba nie zaszkodzi. Pod warunkiem że będzie ostrożny.

Wydłubał palcami zaprawę, wysunął jedną cegłę i najostrożniej, jak mógł, położył ją na podłodze. Przez pół minuty bacznie nasłuchiwał. Po drugiej stronie panowała kompletna cisza. Próbował zajrzeć do środka, ale dziura była zbyt mała, by mógł wsunąć do niej latarkę i przytknąć oczy. Dlatego wsadził do środka latarkę i starał się zezować jednym okiem mpar wzdłuż ramienia. Snop światła padał jednak w złą stronę i niczego nie spostrzegł.

Chcąc przekręcić dłoń, otworzył ją mimowolnie i latarka wysunęła mu się z palców.

Próbował ją złapać, lecz ona poleciała w dół i wylądowała z pluskiem w płytkiej wodzie. Padający z niej biały snop światła falował upiornie na przeciwległej ścianie.

## **Rozdział 17**

### **I**

Knox nie miał innego wyboru: musiał odzyskać latarkę. Ibrahim, Mansoor i inni mogli w każdej chwili podnieść cokół. Jeżeli ją znajda, zostanie zdemaskowany. Poza tym miał

jeszcze trochę czasu. W nekropoli panowała cisza. Zaczął wyjmować cegły i razem z fragmentami zaprawy kłaść je w tym samym porządku na podłodze, by móc odbudować ścianę dokładnie tak, jak wyglądała wcześniej. Kiedy otwór był dość duży, by mógł wsadzić głowę do środka, zrobił to. W nozdrza wpadł mu zapach amoniaku. Wąski sklepiony korytarz ze stojącą na dnie wodą przypominał wiktoriański kanał ściekowy. Jego ściany pokryte były siatką linii, które miały sprawiać wrażenie wzniesionego z cegieł, a nie wykutego w skale, być może po to, żeby zamaskować przejście, przez które się przebił, a może dlatego, że starożytni wyżej po prostu cenili budowanie od kopania.

Nie opierając się o mur, który mógł się pod nim zawalić, Knox wyciągnął rękę, ale nie udało mu się dosięgnąć latarki. W końcu usunął kolejne dwa rzędy cegieł i przełazł okrakiem przez pozostałość ściany. Zanurzony z drzeniem stopy w zimnej wodzie, pochylił się po latarkę. Przez chwilę bacznie nasłuchiwał. Idealna cisza. Przystępstwem było szybko się nie rozejrzeć.

Ruszył z pluskiem korytarzem, odgarniając na bok pajęczyny i wyobrażając sobie muskające bosc stopy węgorze i inne nocne stworzenia. Po chwili doszedł do niewielkiej komory z pionowym szybem, którego wylot zasłonięty był przez jakąś płytę. To był z pewnością cokół. Zawrócił i dotarł do marmurowego portalu z wykutym w architrawie starogreckim napisem.

Razem żyć, razem umierać. Kelonimus.

Kelonimus. Imię było znajome podobnie jak Akylos. Knox nie mógł sobie jednak przypomnieć, skąd je zna. Pamiętając, że ma mało czasu, przeszedł pod architrawem i stanął

na najniższym stopniu rozszerzających się wachlarzowato schodów.

- Jezu Chryste! - mruknął, widząc to, co znajdowało się na górze.

## II

- Co tu się dzieje? - zapytał Nicolas, gdy liczna grupa archeologów i innych gości zaczęła schodzić po schodach do rotundy.

- O co panu chodzi? - zdziwił się Ibrahim.

- O tych ludzi - odparł Nicolas. - Chyba nie zaprosił pan ich wszystkich na dół.

- Tylko po to, żeby mogli spojrzeć. Z przedsionka. To dla nas wielki moment.

- Nie - powiedział Nicolas. - Jedynie pan, ja, pański archeolog i Elena. Nikt więcej.

- Ale my...

- Mówię serio. Jeśli chce pan dostać pozostałą część pieniędzy z fundacji Dragoumisów, musi pan wywalić stąd tych ludzi.

- To nie jest takie proste - zaprotestował Ibrahim. - Potrzebny jest nam Mohammed do podniesienia cokołu.

A także dziewczyna do robienia zdjęć. Takie chwile jak ta nie zdarzają się często.

- Dobrze. Tych dwoje. I na tym koniec.

- Ale ja...

- Nikogo więcej - powtórzył z naciskiem Nicolas. - To nie jest cyrk. To poważne wykopaliska.

- Dobrze - westchnął Ibrahim i z ciężkim sercem odwrócił się do tłumu podekscytowanych archeologów, by przekazać im smutne wieści.

### III

Knox z otwartymi ustami patrzył w głąb komory. Światło latarki omiatało jej wnętrze niczym reflektor wyluskujący z mroku ruiny zbombardowanego miasta. Po prawej stronie w wapieniu wykuty był taras. Na dwóch półkach stały tam trzydzieści dwa złote larnaksy, czyli urny grzebalne, po szesnaście na każdej półce. Z poprzewracanych szklanych mis wysypały się na półki i na posadzkę szlachetne i półszlachetne kamienie. Na posadzce leżały poza tym liczne drogocenne artefakty: miecze, włócznie, tarcze oraz srebrne i gliniane amfory. Na przeciwległej ścianie zobaczył białą marmurową tablicę, ale znajdowała się zbyt daleko, by mógł odczytać wyryty na niej napis.

Najbardziej urzekła go jednak ściana po lewej stronie.

Była na niej olbrzymia mozaika obramowana symbolizującym niebo turkusowym tynkiem, który otaczał główne postaci podobnie jak kredowa linia otacza leżące na podłodze zwłoki. Trzydziestu trzech mężczyzn, zapewne żołnierzy, choć nie wszyscy byli uzbrojeni, stało w dwóch grupach, jedna na pierwszym planie, druga z tyłu.

Sprawiali wrażenie odprężonych i wesołych. Niektórzy rozmawiali ze sobą, spleceni przyjaźnie ramionami. Inni uprawiali zapasy albo grali w kości. Centralną postacią mozaiki był jednak klęczący pośrodku szczupły i przystojny mężczyzna z rudawymi włosami, który najwyraźniej przewodził grupie i patrzył zdecydowanym wzrokiem ze ściany, zaciskając obie dłonie na rękojeści miecza wbitego głęboko w piasek. Knox zamrugał oczyma. Każdy, kto studiował starożytną historię Grecji i Rzymu, musiał zdawać sobie sprawę, co przedstawia ta mozaika. Mimo to nigdy nie widział czegoś podobnego.

Nie miał przy sobie aparatu fotograficznego, z wyjątkiem tego w komórce. Nie włączał jej od ucieczki z Synaju, obawiając się, że może naprowadzić na jego ślad Hassana, lecz w tych podziemiach nie było szansy, żeby odebrała sygnał. Wszedł na palcach do środka i zaczął fotografować mozaikę, urny grzebalne, walające się na podłodze artefakty oraz napis.

Tak go to zaabsorbowało, że dopiero głośny zgrzyt za plecami przypomniał mu poniewczasie o cokole, który podnoszono właśnie w górę.

## Rozdział 18

Podczas gdy Bastiaan i trzech barczyści egipscy ochroniarze zagrodzili rozczerwanym archeologom

drogę do macedońskiego grobowca, Mohammed i

Mansoor zaatakowali cokół podobnie jak to zrobili dzień wcześniej, wsuwając pod jego skraj końcówki łomów. Tym razem nie stawiał tak zdecydowanego oporu.

Dźwignęli go kilka centymetrów w górę, a Ibrahim wsunął w powstałą szparę hydrauliczny podnośnik, który uniósł cokół na wystarczającą wysokość, by można było ustawić pod spodem wózek do przewożenia palet. Następnie powtórzyli całą procedurę z drugiej strony i przesunęli po prostu cokół pod ścianę.

Zgodnie z tym, co Ibrahim zobaczył dzień wcześniej, w podłodze ział szeroki czarny otwór. Wszyscy stanęli dookoła. Mansoor zaświecił w dół latarką. Światło odbiło się od lustrzanej tafli pięć metrów niżej.

- To woda - stwierdził Mansoor. - Ja zejść pierwszy.

Zawiąż pętlę na linie - poprosił Mohammeda. - Spuścisz mnie na dół, dobrze?

- Tak jest - zgodził się Mohammed.

Knox nie miał czasu na finezję. Objął dłonią latarkę, żeby przyćmić jej światło i jednocześnie widzieć, co robi, po czym ściągnął podkoszulek i zamiatając nim posadzkę, zaczął usuwać pozostawione w pyle ślady swoich stóp. Ale Mansoor spuszczał się już na linie, świecąc latarką dookoła siebie i w stronę przejścia, i Knox musiał się cofnąć.

- Jest tutaj korytarz - zawołał Mansoor, lądując z plus kiem w płytkiej wodzie i puszczając linę. - Rozejrzę się.

- Nie - odparł Ibrahim. - Nie ruszaj się z miejsca.

- Ale ja tylko...

- Zaczekaj na nas.

Światło latarki na chwilę zgasło. Knox zerknął w stronę szybu i zobaczył, że lina idzie w górę. Chwilę później sfrustrowany Mansoor zaświecił latarką w głąb korytarza i Knox znowu musiał się cofnąć. Z górnej komory spuszczano kolejną osobę - na linie obracała się w tę i z powrotem Gaille. Mansoor odwrócił się, żeby jej pomóc. Knox uznał, że to jego ostatnia szansa. Starając się nie robić zbyt dużych fal, pobiegł korytarzem do rozebranej przez siebie ściany. Gaille pisnęła przerażona.

- Ktoś tu jest! - zawołała.

Knox przelazł przez dziurę i w tej samej chwili Mansoor oświetlił latarką korytarz.

- Nikogo nie ma - roześmiał się. - Jakim cudem ktoś mógłby się tu znaleźć?

- Mogłabym przysiąc - mruknęła Gaille.

- Zdawało ci się - uspokoił ją Mansoor. - W takich miejscach to się zdarza.

Knox słuchał ich jednym uchem, gorączkowo odbudowując swoją ścianę. Wolał nie zapalać latarki i pracował po omacku, w słabej poświacie latarek Mansoora, Gaille i kolejnych osób, które zjeżdżały po linie. Kiedy wszyscy znaleźli się na dole, zdążył

odbudować mur tylko w trzech czwartych.

- W porządku - powiedział Ibrahim. - Idziemy.

Knox zamarł w bezruchu. W tym momencie mógł co najwyżej cofnąć się w mrok i modlić, żeby go nie dostrzegli. Światło latarek migotało coraz bliżej; w końcu niemal go oślepiło. W murze wciąż ział wielki otwór. Nie mogli go nie zauważyć. Ale Ibrahim, który prowadził pochód, minął dziurę z pochyloną głową, wpatrując się w posadzkę i uważając, gdzie stawia stopy. Za nim szedł Mansoor, Elena, Gaille a także, co kompletnie zaskoczyło Knoksa, Nicolas Dragoumis. Nicolas Dragoumis! Zdał sobie sprawę, że wczorajszej pozorowanej egzekucji nie musiał wcale zlecić Hassan.

Podobnie jak nieco wcześniej Knox cała grupa zatrzymała się, żeby oświetlić i przeczytać inskrypcję na architrawie.

- Popatrz! - szepnęła podniecona Elena, trącając Nicolasa. - Kelonimus!

Jej ton i obecność Nicolasa Dragoumisa odświeżyły pamięć Knoksa, który uświadomił

sobie w końcu, dlaczego imiona Kelonimus i Akylos wydają mu się tak znajome.

### III

Ibrahim pierwszy wszedł do komory i zdjęty podziwem stał w miejscu, podczas gdy inni ustawili się za nim na najniższym stopniu. W niemym upojeniu przyglądał się ścianom.

Ocknął się dopiero, widząc Nicolasa, który dał krok do przodu.

- Stać! - zawołał Ibrahim. - Nikt tam nie wchodzi.

- Ale...

- Nikt tam nie wchodzi - powtórzył Ibrahim. Poczul się nagle kimś ważnym. Był tutaj najwyższym rangą przedsta wicielem Naczelnej Rady Zabytków i miał do czynienia - nikt nie mógł w to wątpić - z historycznej ważności znaleziskiem. Dał znak Mansoorowi.

- Musimy niezwłocznie zawiadomić Kair - powiedział.

- Kair? - skrzywił się Nicolas. - Czy to konieczne? To nie jest chyba sprawa dla...

- To ja rozstrzygam, kto powinien zająć się tą sprawą.

- Ale...

- Jest pan naszym sponsorem i doceniamy pański wkład.

Ale od tej chwili przestaje się pan tym zajmować. Czy to jasne?

Nicolas uśmiechnął się z przymusem.

- Skoro pan tak twierdzi.

- Gaille. Zrobisz tutaj fotografie, dobrze?

- Oczywiście.

- Mansoor. Zostaniesz tu z nią.

- Tak jest.

- Wydam Mohammedowi i strażnikom polecenie, żeby nie wpuszczać nikogo na dół.

Nekropola ma zostać opróżniona. Kiedy uznasz, że Gaille zrobiła dość fotografii, usta wicie z powrotem cokolwiek na miejscu. Następnie, po sprawdzeniu, że stanowisko jest puste, zamknijcie wejście na schody. Mohammed na pewno znajdzie jakiś sposób. Mam na myśli zamknięcie, którego nikt nie sforsuje. Nikomu nie wolno tu wchodzić ani stąd wychodzić.

Zrozumiano?

- Tak jest, proszę pana.

- Maha załatwi całonocną ochronę. Zostań tutaj do ich przyjazdu. Następnie przywieź osobiście Gaille do mojej willi. I nie spuszczaaj wzroku z jej aparatu.

- Tak jest, proszę pana.

- Co do mnie, mam zamiar zawiadomić Naczelną Radę, że odkryliśmy właśnie najważniejszy zabytek dzisiejszej Aleksandrii.

#### IV

Knox skończył odbudowywać cicho ścianę jeszcze przed wyjściem Ibrahima i całej reszty. Na miejscu zostali jednak Mansoor i Gaille i nie śmiał się poruszyć z obawy, że najmniejszy hałas zdradzi jego obecność. Nękanym przez coraz silniejsze kurcze w nogach cierpliwie czekał. W końcu Mansoor uznał, że fotografii jest dość, i dał znak, żeby wciągnięto ich do górnej komory.

Nie było czasu do stracenia. Knox wiedział, że jeżeli się szybko nie ewakuuje, zamkną go tu wraz z innymi szczątkami. Usunął wszelkie ślady swojej obecności, wślizgnął się z powrotem do komory pod rotundą i przesunął bloki na stare miejsce.

Następnie rozebrał się do naga, zapakował wszystko do torby, wskoczył do wody, nabrał pełne płuca powietrza i wrócił pod wodą do miejsca, w którym do niej wcześniej wszedł. Miał szczęście. Nikt na niego nie czekał. Cała nekropola pogrążona była w niesamowitym mroku i ciszy. Wytarł się do sucha, włożył spodnie i podkoszulek, wcisnął do kieszeni wartościowsze rzeczy i schował resztę bagażu w jednej z pustych loculi. Zrobiwszy to, pobiegł do rotundy. Z góry dobiegało zgrzytanie metalu. Zerkając w górę, zobaczył, że światło dzienne zasłania w dużej części niebieski kontener. Robotnicy dosuwali właśnie drugi kontener do pierwszego.

Za kilka chwil wyjście z nekropoli miało zostać zamknięte.

Nie bacząc na ból w udach, pomknął w górę i przecisnął się w ostatniej chwili przez szparę między kontenerami. Wszyscy patrzyli z niedowierzaniem, jak turla się po ziemi, zrywa na nogi i pędzi do bramy.

- Zatrzymajcie go! - wrzasnął Mansoor. - Niech ktoś go zatrzyma!

Przy wyjeździe z budowy dwaj strażnicy zablokowali mu drogę. Knox wysunął do przodu ramię, udał, że chce skoczyć w prawo, i odbił w lewo. Potrącony przez niego strażnik stracił równowagę, a on wypadł na zewnątrz i przebiegł przez jezdnię, w ostatniej chwili uciekając przed nadjeżdżającym minibusem i zwiększając dystans od ścigających, którzy wrzeszczeli do swoich komórek i wzywali przechodniów, żeby go zatrzymać. Skręcił w alejkę prowadzącą do jeepa, lecz trzech ścigający nie dawali za wygraną. Jakiś sprzedawca wyskoczył na zewnątrz, żeby zatarasować mu drogę, ale zrobił to bez większego przekonania i Knox zdołał go ominąć. Oglądając się, zobaczył, że pościg jest coraz bliżej. Przed sobą ujrzał nagle dwóch żołnierzy, którzy sięgali po broń. Sytuacja robiła się nieprzyjemna, ale za późno było, żeby się zatrzymać. Skoczył w lewo. Bolała go klatka piersiowa, w boku kłuła kolka, mięśnie w nogach tężały od zakwasów. Przeskoczył murek, przeczołgał się pod bramą i podbiegł ciemną uliczką do swojego jeepa. Podciągnął plandekę, otworzył drzwiczki i położył się na przednich siedzeniach, łapiąc kurczowo powietrze i starając się jednocześnie robić jak najmniej hałasu. Za sobą usłyszał szybkie kroki biegnących.

Miał nadzieję, że go wcześniej nie zobaczyli.

## **Rozdział 19**

Ibrahim zaczynał się już niecierpliwić, kiedy Gaille i Mansoor dotarli w końcu do jego willi.

- Problemy na placu budowy - wyjaśnił Mansoor. - Mieliśmy intruza.

- Intruza?

- Nie musi się pan przejmować. Nie było go w pobliżu macedońskiego grobowca.

- Złapaliście go?

- Wciąż go szukają. Nie ucieknie daleko. - Mansoor podniósł komórkę. - Zadzwoń, kiedy będą mieli jakieś wiadomości.

- Dobrze. A stanowisko?

- Zamknięte. Strażnicy są na miejscu. Wszystko jest pod kontrolą. Co z Jusufem?

- Jest na zebraniu - odparł Ibrahim.

- Na zebraniu? - zdziwił się Mansoor. - Nie wywołał go pan?

Ibrahim się zaczerwienił.

- Wiesz, jaki on jest. Wkrótce oddzwoni - odparł. - Czy mogę zobaczyć pani zdjęcia? -

zwrócił się do Gaille.

- Oczywiście.

Gaille skopiowała zdjęcia do laptopa i zaczęła je pokazywać. Wszyscy stanęli przy kuchennym stole, żeby je obejrzeć.

- Pismo demotyczne - mruknął ponuro Ibrahim, kiedy pokazała inskrypcję. - Dlaczego to musiało być akurat pismo demotyczne?

- Gaille zna ten alfabet - oświadczyła Elena. - Przygotowuje na Sorbonie specjalny słownik.

- Znakomicie - rozpromienił się Ibrahim. - To znaczy, że możesz to dla nas przetłumaczyć?

Gaille parsknęła ironicznym śmiechem. Pismo demotyczne było wyjątkowo trudne -

Ibrahim powinien o tym wiedzieć. Prośenie jej o przekład można było porównać do sytuacji, w której ktoś zapytałby ją, czy mówi po angielsku, a potem zaczął bełkotać po anglosasku.

W starożytnym Egipcie istniał jeden mówiony język, ale można go było zapisać w kilku różnych alfabetach. Pierwsze było pismo hieroglificzne, stylizowane piktogramy znane ze świątyń, grobów oraz hollywoodzkich filmów; pojawiły się około roku 3100 p.n.e.

Pionierzy egiptologii uważali, że hieroglify są obrazkowe i każdy symbol przedstawia jedno pojęcie. Jednak po odkryciu kamienia z Rosetty z identycznymi tekstami zapisanymi w alfabecie hieroglificznym, demotycznym i starogreckim Thomas Young, a następnie JeanFrancois Champollion wydedukowali, że hieroglify oprócz symbolicznej mają również wartość fonetyczną; że są, mówiąc w skrócie, literami, które można łączyć na wiele sposobów, aby tworzyć słowa, duży zasób słów; i że ten język ma swoją własną gramatykę i składnię.

Hieroglify, choć prezentowały się fantastycznie na ścianach świątyń i pałaców, były zdecydowanie zbyt skomplikowane, by stosować je w codziennym użytku. Prawie od samego początku używano zatem prostszego i szybszego w zapisie alfabetu. Znany jest pod nazwą hieratycznego i w starożytnym Egipcie używano go w literaturze, biznesie i administracji -



dlatego zapisane w nim teksty pojawiają się na ogół na tańszych materiałach takich, jak: drewno, papirus i ostrakony. Około roku 600 p.n.e. powstał trzeci alfabet nazywany demotycznym, redukujący pismo hieratyczne do serii kresek i kropek i stanowiący coś w rodzaju egipskiej stenografii. Co gorsza, nie zaznaczano w nim samogłosek ani przerw między wyrazami. Słownictwo było bardzo bogate i uwzględniało lokalne odmiany dialektyczne, a sam alfabet różnił się znacznie w zależności od regionu i zmieniał zasadniczo z biegiem stuleci, w związku z czym nie był to jeden, a raczej cała rodzina powiązanych ze sobą języków.

Opanowanie go wymagało długich lat studiów i słowników wielkości volkswagena garbusa. W zależności od tego, w jakim dialekcie został zapisany tekst na architrawie i jakie Gaille będzie miała do dyspozycji pomoce naukowe, jego odczytanie mogło potrwać od kilku godzin do kilku dni lub nawet tygodni. Gaille wytłumaczyła to wszystko Ibrahimowi z cierpkim uśmiechem.

- Owszem, wiem - odparł, czerwieniąc się. - Lecz mimo to...

Gaille westchnęła ciężko, choć w gruncie rzeczy zadanie było porywające. W

podziemiach było zbyt ciemno, by próbowała wcześniej cokolwiek odczytać. Jej aparat miał jednak zaskakująco dobrą rozdzielczość i fotografie okazały się ostre mimo kurzu i pajęczyn.

Demotyczne znaki były całkowicie czytelne. Ponownie je powiększyła. Coś w tej inskrypcji nie dawało jej spokoju, ale nie mogła sobie uświadomić co.

- I jak? - zapytał Ibrahim.

- Czy mogę zostać na chwilę sama? - poprosiła.

- Oczywiście - odparł i wyprosił wszystkich, żeby mogła spokojnie popracować.

## II

Knox leżał w kompletnym bezruchu na przednich siedzeniach jeepa. Ścigający przystanęli tuż obok i łapiąc oddech, zastanawiali się, co robić dalej. Pot stygł na jego całym ciele, przyprawiając go o dreszcze mimo ciepłego dnia. Resory jeepa ugięły się, kiedy któryś z nich siadł na masce. Knox usłyszał kliknięcie zapalniczki, odgłos zapalanych papierosów.

Mężczyźni wdali się w pogawędkę, plotkując i narzekając, że okazali się zbyt wolni i zbyt starzy. Jeep zaskrzypiał, gdy oparł się o niego następny facet. Chryste! W każdej chwili któryś z nich mógł wpaść na pomysł, żeby zajrzeć pod plandekę. Jednakże w tej sytuacji pozostało mu tylko dalej leżeć. I snuć plany. Choć jakie on mógł mieć plany? Ścigali go Hassan, Nessim, Dragoumisowie, policja, wojsko i Bóg wie, kto jeszcze. Nie mógł włączyć komórki, żeby obejrzeć zdjęcia, bo Nessim natychmiast namierzyłby sygnał. Poza tym i tak niewiele zdołałby zobaczyć na małym wyświetlaczu aparatu, i powinien jak najszybciej skasować zdjęcia, ponieważ jeżeli je znajdą, będzie to stanowić dowód, że przebywał w dolnej komorze, i trafi na dziesięć lat za kratki. Najlepiej byłoby, gdyby skopiował je do swojego laptopa, lecz ten leżał na tylnym siedzeniu frelandera razem z jego innymi

rzeczami, a poza tym nie miał wejścia USB, więc mógł skopiować zdjęcia, tylko wysyłając je na swoje konto na hotmailu, a potem ładując do laptopa. Wszystko to było jednak mało ważne, póki leżał w jeepie, na którego masce siedział jeden z jego prześladowców.

Starał się myśleć o czym innym. Imiona Kelonimus i Akylos. Kiedy on i Richard odkryli ptolemejskie archiwa w Malawi, tekstów było zbyt wiele, żeby je od razu przetłumaczyć. Zamiast tego zakonserwowali i skatalogowali papirusy i przekazali Naczelnej Radzie Zabytków, żeby przechowała je do dalszych studiów. Wybrana przez nich metoda polegała na złożeniu razem wszystkich fragmentów papirusu, sfotografowaniu ich i opatrzeniu zdjęcia nazwą, która nawiązywała do miejsca, gdzie odnalezione zostały konkretne zwoje bądź też (jeżeli odnaleźli ich zbyt wiele w jednym miejscu) do miejscowości lub imienia występującego w tekście. Akylos i Kelonimus powtarzały się tam dość często.

Oryginały zostały dawno temu zabrane przez Jusufa Abbasa z Naczelnej Rady”na przechowanie” i Bóg jeden wiedział, gdzie znajdowały się teraz, lecz Knox miał ich fotografie na płycie CD. Niestety, ona również znajdowała się we frelanderze Nessima, który stał prawdopodobnie na strzeżonym parkingu przy którymś z bardziej ekskluzywnych aleksandryjskich hoteli. Sytuacja Knoksa nie pozwalała mu raczej biegać od hotelu do hotelu w nadziei, że go znajdzie i włamie się do środka. Musiał znaleźć jakiś inny sposób.

Jeep zakołysał się, kiedy mężczyzna zeskoczył z maski. Kroki oddaliły się i ucichły.

Knox poczekał kilka minut, aż zapadła kompletna cisza i dopiero wtedy wyprostował się i uchylił plandekę. Nie miał czasu do stracenia. Musiał skorzystać z telefonu.

### III

Dopiero po kilku minutach wpatrywania się w inskrypcję Gaille uświadomiła sobie, co z nią jest nie tak. Dolna linijka tekstu była niekompletna i zapisano ją od lewej do prawej.

A przecież pismo demotyczne podobnie jak arabskie bieгло od prawej do lewej.

Inskrypcja na macedońskim grobowcu była po grecku. Po grecku zapisane były słowa na malowidłach w sieni oraz dedykacja na architrawie. Tarczownicy byli Grekami. Bogowie, do których się zwracali, byli greccy. Mimo to inskrypcja zapisana była alfabetem demotycznym, lecz w odwrotnym kierunku, przynajmniej na początku. Przerzucenie się na inny alfabet tylko w tym jednym wypadku miało w sobie coś perwersyjnego. Może tekst był

zbyt istotny, by zapisać go prostą greką.

Może piszący specjalnie użył demotyki. Szyfry nie były w końcu obce starożytnym.

Sam Aleksander używał ich, żeby zakodować poufne wiadomości. W należących do zwojów znad Morza Martwego Przystrogach Synów Wschodu posłużono się szyfrem w szczególnie ważnych słowach. Waleriusz Probus napisał cały traktat o szyfrach podstawieniowych. Były dosyć proste,

ponieważ ludzie uważali, że nie uda się ich złamać.

Lecz Gaille nie podzielała tej opinii.

Przepisała inskrypcję na kartkę, szukając przy tym powtarzających się ciągów. Jeżeli miała do czynienia z prostym szyfrem transliteracyjnym, i to samo słowo zostało zaszyfrowane więcej niż raz, to powinno się ono pojawić powtórnie w postaci takiego samego ciągu znaków. Już po krótkim czasie znalazła pierwszy, a potem drugi i trzeci ciąg. Zwłaszcza ten trzeci wydawał się obiecujący: miał dziesięć znaków i pojawiał się co najmniej cztery razy. To z pewnością musiało być jedno słowo. I było ważne. Co mogło oznaczać? Może było czyimś imieniem? Przypomniała sobie szybko wszystkie imiona, na które natrafili w górnej sali. Akylos, zbyt krótkie. Podobnie Kelonimus, Apelles, Bilip i Timoleum. Na chwilę ogarnęło ją podniecenie, kiedy spróbowała imienia "Alexander", lecz ono też było za krótkie.

Ponownie upadła na duchu. Wstała i zaczęła chodzić w kółko po małym pomieszczeniu, czując, że o czymś zapomniała, zaprzęgając umysł do niemal fizycznego wysiłku.

Kiedy przyszło jej w końcu do głowy rozwiązanie, zaczerwieniła się i obejrzała za siebie z obawy, że ktoś mógł być świadkiem jej uczniowskiego błędu. Ponieważ imię

„Alexander”, pod którym cały świat znał wielkiego Macedończyka, było w istocie imieniem rzymskim. Po grecku brzmiało ono "Alexandros". Usiadła z powrotem i użyła do transpozycji liter zawartych w słowie "Alexandros", zamieniając znaki demotyczne na ich greckie odpowiedniki wszędzie tam, gdzie pojawiały się w tekście. To wystarczyło, by rozszyfrować słowo sąsiadujące z pierwszym

„Alexandros”. Macedonia. Teraz, kiedy złamała prawie połowę alfabetu, reszta poszła gładko. Język starogrecki miała w małym palcu: zapisywała tłumaczenie na kartce, tak głęboko zaabsorbowana tym, co robi, że straciła poczucie upływającego czasu.

Dopiero słysząc swoje imię, wróciła do rzeczywistości. Zobaczyła Ibrahima, Nicolasa, Mansoora i Elenę, którzy stali w progu, wpatrując się w nią z wyczekiwaniem, zupełnie jakby ktoś z nich zadał jej pytanie i czekał na odpowiedź.

- Tłumaczyłem Nicolásowi, jak trudne może być pismo demotyczne - powiedział, wzdychając Ibrahim. - Ponieważ nie powinno się o tym dowiedzieć więcej osób niż to absolutnie konieczne, chcemy, żeby zajęła się tym tylko pani. Jak długo to może potrwać?

Dzień? Dwa? Tydzień?

To był chyba najbardziej triumfalny moment w całej zawodowej karierze Gaille.

- Właściwie - powiedziała nonszalancko, podnosząc w górę kartkę - już to przetłumaczyłam.

## Rozdział 20

Nessim siedział w hotelowym pokoju, omawiając następne posunięcia z Hosnim, Ratibem i Sarnim.

Nie mieli jednak zbyt wielu pomysłów. Knox zapadł się pod ziemię i nic, co robili, nie przynosiło rezultatów.

Telefon zadzwonił późnym popołudniem; telefonował Badr, znajomy Nessima w firmie telekomunikacyjnej, który miał pilnować, czy Knox nie skorzysta ze swojej komórki.

- Włączył ją - oznajmił podniecony. - Dzwoni.

- Do kogo?

- Do nikogo. Przesyła zdjęcia na swoje konto emailowe.

- Gdzie jest?

- Niedaleko dworca.

- Nie rozłączaj się - powiedział Nessim. - Daj nam znać, jeżeli będzie się przemieszczał. - Hosni, Ratib i Sami zerwali się już na nogi. Skinął na nich. - Mamy ślad.

Ruszajmy - oświadczył.

- No? - zapytał podekscytowany Ibrahim. - Nie trzy maj nas w niepewności.

Gaille skinęła głową, odchrząknęła i zaczęła głośno czytać:

-”Ja, Kelonimus, syn Hermiasa, brat Akylosa, budow niczy, skryba, architekt, rzeźbiarz, miłośnik wiedzy i węd rowiec, który odwiedził wiele krain, składam wam hołd, Wielcy Bogowie, za to, że pozwoliliście mi pochować w tym miejscu pod ziemią trzydziestu dwóch tarczowników, bohate rów Wielkiego Zwycięzcy, Aleksandra z Macedonii, Syna Amona. Dotrzymałem w ten sposób przysięgi, aby pochować razem trzydziestu trzech, którzy zginęli, wykonując ostatnią wolę Aleksandra. Jego życzeniem było, by wzniesiono mu grobowiec w miejscu, skąd widać dom jego ojca, i spełniając je, Akylos i pozostałych trzydziestu dwóch zbudowało taki grobowiec i zaopatrzyło go w dobra stosowne dla Syna

Amona”.

Dopiero teraz do Gaille dotarło znaczenie odczytanego tekstu. Wcześniej koncentrowała się na samym tłumaczeniu. Czytając na głos, zdała sobie sprawę, jak doniosła jest jego treść. Podniosła wzrok i zobaczyła na twarzach wszystkich takie samo zdumienie, jakie ogarnęło ją samą.

- Czytaj dalej - ponagliła ją Elena.

-”Aby spełnić to życzenie, zabrali jego ciało z Białego

Muru, by przewieźć je przez czerwony ląd wielkiej suszy do wylotu miejsca przygotowanego pod ziemią. I nieopodal tego miejsca Ptolemeusz, który ogłosił się Zbawcą, zastawił na tych mężczyzn pułapkę i woleli raczej odebrać sobie życie, aniżeli znosić jego tortury. A Ptolemeusz ukrzyżował ich

w akcie zemsty i zostawił na pożarcie sępom. Akylos i trzy dziestu dwóch innych oddało życie, aby spełnić życzenie Aleksandra, syna Amona, sprzeciwiając się Ptolemeuszowi, synowi nicości. Ja, Kelonimus z Macedonii, brat Akylosa, błagam was, Wielcy Bogowie, abyście przyjęli tych bohaterów do swojego królestwa, tak jak przyjęliście Aleksandra”.

Gaille ponownie podniosła wzrok, dając im do zrozumienia, że to koniec.

Podniecenie ustąpiło na ich twarzach osłupieniu i niedowierzaniu. Przez dobre pięć sekund nikt się nie odzywał.

Nicolas pierwszy przerwał milczenie.

- Czy to... - zaczął i zawahał się. - Czy to oznacza to, co mi się wydaje?

- Tak - pokiwał głową Ibrahim. - Moim zdaniem tak.

Kiedy fotografie zostały wysłane, Knox skasował je z pamięci komórki, po czym na dobre ją wyłączył i odjechał jeepem, zanim Nessim zdążył go dorwać. Jeszcze jeden telefon i wróci do gry. Zaparkował niedaleko kolumny Pompejusza, kupił bilet i wszedł do środka.

Okolony murem teren o powierzchni jednego hektara otaczała gęsta zabudowa. Sama kolumna stała na niewielkim wzniesieniu pośrodku placu, ale zabytkowy był cały teren, ponieważ wznosiła się tu niegdyś słynna świątynia Serapisa.

Knox zawsze darzył dużą sympatią Serapisa, łagodnego i inteligentnego boga, w którego postaci połączyły się egipskie, greckie i azjatyckie mity. Według jednej z hipotez Serapis pojawił się po raz pierwszy w świadomości Greków, kiedy Aleksander leżał na łożu śmierci w Babilonie. Delegacja jego żołnierzy udała się do tamtejszej świątyni Serapisa, żeby zapytać, czy Aleksandra powinno się przenieść do świątyni, czy też ma pozostać tam, gdzie jest. Serapis odpowiedział, że lepiej będzie zostawić go tam, gdzie jest. Delegaci posłuchali go i Aleksander wkrótce potem skonał, co było dla niego lepsze. Inni badacze utrzymywali, że kult Serapisa wywodzi się z czarnomorskiego miasta Sinope, a jeszcze inni, że z Egiptu, ponieważ byki Apisa przez długie stulecia były składane w ofierze i zakopywane w podziemiach, nazywanych przez Greków Serapejonem. Nazwa ”Serapejon” stanowiła zbitkę słów

„OzyrysApis” lub ”martwy byk Apisa”.

Knox rozejrzał się dookoła i upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, schował się za kolumną Pompejusza. Zerknął na zegarek, wziął dwa głębokie oddechy, po czym włączył

komórkę i zaczął wystukiwać numer.

#### IV

- Co to znaczy ”zgubiłeś go”?! - wrzasnął Nessim.

- Wyłączył telefon.

Nessim walnął w tablicę rozdzielczą tak mocno, że zdarł sobie skórę z kłykcia.

- Gdzie go ostatnio namierzyłeś?

- Powiedziałem już. Przy dworcu kolejowym.

- Nie rozłączaj się - polecił Nessim, nie zdejmując nogi z gazu. - Jeżeli znowu zadzwoni, chcę o tym od razu wiedzieć.

Pięć minut później dotarli do dworca. Nessim objechał go, ale nigdzie nie było widać Knoksa ani jego jeepa.

- Włączył z powrotem komórkę - poinformował go nagle Badr. - Znowu dzwoni.

- Gdzie jest?

T

-

Na południe od was - odparł Badr. - Tuż obok kolumny Pompejusza.

Nessim i jego ludzie rozglądali się na wszystkie strony. Mijając boczną uliczkę, zobaczyli nagle odległą mniej więcej o kilometr marmurową kolumnę.

- Jesteśmy w drodze - powiedział Nessim.

Skręcił w Szaria Jousef, a następnie w szeroki bulwar. Po jego prawej stronie wznosił

się mur z brązowego piaskowca, a po lewej kolumna Pompejusza. Zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i wjechał na chodnik. Cała czwórka wyskoczyła z freelandera i podbiegła do budki biletowej.

- Czy to jedyne wejście? - zapytał Nessim, dając pieniądze bileterce.

- Tak.

- Zostań tutaj - polecił Hosniemu, kiedy weszli do środka. - Czy wciąż dzwoni? -

zapytał Badra przez komórkę.

- Tak - potwierdził tamten. - Jesteście tuż koło niego.

- Więc już nam nie zwieje - ucieszył się Nessim.

## Rozdział 21

- Ma pan łazienkę na górze? - zapytał Nicolas, biorąc

Ibrahima na stronę i klepiąc się po brzuchu. - Od tych wszystkich sensacji rozregulował mi się żołądek.

- Oczywiście - odparł Ibrahim, wskazując mu scho dy. - Pierwsze drzwi po lewej stronie.

- Dziękuję.

Nicolas pobiegł na górę, zamknął się w toalecie, wyjął komórkę i przekazał ojcu najnowsze wiadomości, łącznie z tym, co odczytali na tablicy.

- A nie mówiłem? - odparł Philip Dragoumis.

- Miałeś rację w każdym punkcie - przyznał jego syn.

- Szyfr złamała dziewczyna? Córka Mitchella?

- Tak. Co do niej również się nie pomyliłeś.

- Chcę się z nią spotkać.

- Załatwię to, kiedy tu skończymy - odparł Nicolas.

- Nie. Chcę się z nią spotkać natychmiast. Dziś wie czorem.

- Dziś wieczorem? Naprawdę?

- Domyśliła się, że w macedońskim grobowcu jest dolna komora - powiedział Philip Dragoumis. - Zdała sobie sprawę, że inskrypcja jest zaszyfrowana i złamała ten szyfr. To ona znajdzie to, czego szukamy. Czuję to w głębi serca. Musi być po naszej stronie, kiedy to się zdarzy. Rozumiesz?

- Tak, ojcze. Zajmę się tym. - Nicolas wysłuchał dalszych instrukcji, po czym rozłączył się i zadzwonił do

Gabbara Mounima w Kairze.

- Mój drogi Nicolasiu - rozpromienił się Mounim. - Ufam, że jesteś zadowolony...

- Bardziej niż zadowolony - powiedział Nicolas. - Posłuchaj. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Oczywiście. Czego tylko sobie życzysz.

- Nasz przyjaciel w Naczelnej Radzie Zabytków jest chyba teraz na zebraniu. Kiedy z niego wyjdzie, zastanie na biurku wiadomość, żeby zadzwonił do Ibrahima Bejumiego w Aleksandrii. Pan Bejumi będzie chciał się z nim pilnie spotkać. Chcę, żeby nasz przyjaciel zaprosił na to spotkanie trzecią osobę i potraktował życzliwie jej prośbę. Ta osoba nazywa się Elena Koloktronis. - Nicolas przeliterował nazwisko. - Możesz przekazać naszemu przyjacielowi, że zostanie bardzo hojnie wynagrodzony, podobnie zresztą jak ty. Wiesz, że dotrzymuję słowa.

Po drugiej stronie linii rozległ się chichot.

- Oczywiście, że wiem. Możesz uważać tę sprawę za załatwioną.

- Dziękuję.

Dragoumis zadzwonił jeszcze w kilka miejsc, po czym spuścił wodę, umył ręce i zszedł na parter.

- Lepiej się pan czuje? - zapytał z troską Ibrahim, spotykając go na dole.

Nicolas się uśmiechnął.

- O wiele lepiej, dziękuję.

- Nie zgadnie pan, co się stało. Oddzwonił do mnie Jusuf

Abbas. Prosił, żebym się z nim natychmiast spotkał w Kairze.

- Co w tym takiego dziwnego? - zdziwił się Nicolas. - Czy nie tego właśnie pan chciał?

- Owszem, ale zaprosił również Elenę. Nie mamy pojęcia, skąd wiedział, że jest w Egipcie.

## II

Nessim nie dostrzegł nigdzie Knoksa na terenie Serapejonu. Właściwie nie dostrzegł

tam nikogo oprócz dwojga koreańskich turystów robiących sobie nawzajem zdjęcia przed kolumną oraz młodej rodziny, która urządziła obok skromny piknik. Dał znak Ratibowi i Sarniemu, żeby się rozdzielili i przeczesali cały teren. Szli powoli, sprawdzając każdy dół, cysternę i komorę. Doszli do muru z czerwonej cegły, ale nigdzie nie trafili na jego ślad.

Badr był wciąż na linii.

- Jesteś pewien, że on tutaj jest? - zapytał chłodno

Nessim.

- Musieliście go minąć. Zupełnie tego nie rozumiem.

Nessim popatrzył na Ratiba i Sarniego, którzy wzruszyli ramionami i potrząsnęli głowami. Wskazał im kolumnę, dając do zrozumienia, że się przy niej spotkają. Doszedł do niej pierwszy. Na ziemi leżała, trzepocząc lekko na wietrze, brązowa papierowa torba. Trącił

ją lekko butem, a potem ostrożnie otworzył.

W środku była komórka. Podniósł ją i obrócił w dłoni, zastanawiając się, co to może, u licha, znaczyć.



W tej samej chwili po drugiej stronie Serapejonu rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Po chwili zawył alarm jego samochodu i Nessim zdał sobie sprawę, że dobiega z miejsca, gdzie zostawił freeländera z rzeczami Knoksa. Zanim którykolwiek z nich zdążył

zareagować, zawarczał silnik odjeżdżającego jeepa. Nessim zamknął oczy i złapał się za głowę.

Nienawidził Knoksa. Nienawidził go z głębi serca. Ale musiał przyznać, że jednocześnie trochę go podziwiał.

### III

Nicolas wziął Elenę na stronę, żeby wyjaśnić jej, jak udało mu się zorganizować spotkanie z Jusufem Abbasem i co powinna w jego trakcie załatwić. Jusuf był chciwy, ale ostrożny. Jeżeli Elena zdoła podsunąć mu jakiś pretekst, by pozwolił jej spenetrować Siwe i przy okazji nieźle się obłowił, na pewno to zrobi. Należało go tylko przekonać, że chodzi o

podrzędne badania epigraficzne prowadzone przez nią

1

Gaille.

- Gaille? - zdziwiła się Elena. - Czy możemy jej ufać?

- Mój ojciec sądzi, że tak. No więc jak? Poradzisz sobie z Jusufem?

- Zostaw go mnie.

Nicolas podszedł do Gaille, która kopiowała zdjęcia do laptopa Ibrahima, żeby mógł

je pokazać Jusufowi. Kiedy skończyła to robić, poprosił ją na słowo i wyszedł z nią do małego ogródka Ibrahima.

- Mój ojciec chce się z panią spotkać - powiedział.

- Pański ojciec? - zapytała zaniepokojona. - Nie rozumiem. Nie wiem nawet, kim jest pański ojciec.

- Jest założycielem i sponsorem Macedońskiej Fundacji

Archeologicznej - wyjaśnił Nicolas. - To czyni go pani szefem. To on zasugerował

Elenie, żeby panią zatrudniła.

- Ale... dlaczego?

- Znał pani ojca - powiedział Nicolas. - Bardzo go podziwiał. I przez ostatnie lata pilnie obserwował pani karierę. Kiedy Elena potrzebowała zastępstwa, od razu o pani pomyślał.



- To... to bardzo miło z jego strony.

- To bardzo dobry człowiek - zapewnił ją z powagą

Nicolas. - Chce zjeść z panią dzisiaj kolację.

Gaille zmarszczyła czoło.

- Jest w Aleksandrii?

- Nie. W Salonikach.

- Ale... nie rozumiem.

Nicolas się uśmiechnął.

- Latała pani kiedyś prywatnym odrzutowcem? - za pytał.

## **Rozdział 22**

Knox pędził na złamanie karku uliczkami Aleksandrii. Odzyskane przez niego rzeczy leżały na sąsiednim fotelu. Przyjemnie było choć raz wygrać z Nessimem. Człowiek nie może bez przerwy czuć się jak zaszczuta zwierzyna - cierpi na tym jego duma.

Skręcił na wschód w kierunku Abu Qir i oddalwszy się nieco od swoich prześladowców, zatrzymał się, żeby sprawdzić, co dokładnie odzyskał.

Baterie w laptopie były stare i mogły starczyć najwyżej na godzinę. Przejrzał płyty z fotografiami, sprawdzając ich podpisy, nie trafił jednak na ślad Akylosa ani Kelonimusa.

Sfrustrowany zmarszczył czoło. Mogło to oznaczać, że Nessim nie zabrał ich w ogóle z hotelu albo wyjął z samochodu. To byłby prawdziwy pech. Dopiero po kilku minutach przyszło mu do głowy inne wyjaśnienie.

Na rogu był automat telefoniczny. Nie ośmielił się bezpośrednio zatelefonować do Ricka. Zamiast tego zadzwonił do ich wspólnego znajomego, który pracował w Szarm elSzejk, w mieszczącym się obok hotelu Ricka ośrodku sportów wodnych, i poprosił, żeby go sprowadził. Rick odezwał się minutę później.

- Cześć, stary - powiedział. - Zapomniałeś mojego numeru?

- Może być na podsłuchu.

- Aha. To sprawa Hassana?

- Tak. Posłuchaj. Nie pożyczyles przypadkiem moich płyt z fotografiami?

- Chryste, chłopie. Przepraszam. Uczyłem się po prostu greckiego.

- Nic się nie stało. Ale są mi teraz potrzebne. Możesz mi je w jakiś sposób podrzucić?

- To żaden problem. Nic się tutaj nie dzieje. Gdzie chcesz się spotkać?

- W Ras elSudr?

- W tej dziurze na południe od Suezu?

- Dokładnie - potwierdził Knox. - Jest tam hotel, który nazywa się Beach Inn. Kiedy uda ci się tam dotrzeć?

- Daj mi cztery godziny. Może pięć.

- Doskonale. Przyjedziesz swoim subaru?

- Chyba że jest jakiś powód, żebym tego nie robił.

- Może najpierw sprawdź, czy nie ma w nim nadajnika.

I upewnij się, czy nikt cię nie śledzi. Ci faceci nie żartują.

- Ja też, chłopie - zapewnił go Rick. - Ja też.

## II

Mohammed i Nur ściskali się za ręce, czekając na telefon od lekarza, który miał ich zawiadomić o wynikach badań szpiku kości. Skorzystali z usług prywatnej agencji służby zdrowia z ośrodkami medycznymi w Aleksandrii, Kairze, Asjucie i Port Saidzie, żeby ułatwić pobranie próbek od daleko mieszkających znajomych i członków rodziny. Zwłaszcza członków rodziny. Szansę znalezienia odpowiedniego dawcy były znacznie większe wśród krewnych. Przebadali kolejne sześćdziesiąt siedem osób, wydając wszystkie środki, które udostępnił im Ibrahim.

Doktor Serag alDin miał zadzwonić już godzinę temu. Czekanie na dzwonek telefonu było chyba najgorszą rzeczą, jakiej zaznał w życiu Mohammed. Nur skrzywiła się, gdy ścisnął zbyt mocno jej dłoń. Przeprosił ją i puścił. Lecz ona potrzebowała kontaktu cielesnego tak samo jak on i po chwili ich ręce znowu się odnalazły.

Lajla leżała w łóżku. Postanowili, że nie będą jej o niczym mówić, dopóki rzecz się nie wyjaśni. Była jednak bystrym dzieckiem, wyczuwała napiętą atmosferę.

Mohammed podejrzewał, że świetnie zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje: wiedziała, że wkrótce usłyszy wyrok śmierci albo decyzję o ułaskawieniu.

Kiedy zadzwonił telefon, spojrzeli na siebie. Nur skrzywiła się i zaczęła płakać.

Mohammedowi zabiło szybciej serce.

- Tak? - zapytał, podnosząc do ucha słuchawkę.

Ale to była tylko matka Nur, która chciała wiedzieć, czy znają już wyniki.

Mohammed przygryzł wargę i oddał słuchawkę Nur. Ta pożegnała się szybko, obiecując, że przedzwonią, kiedy tylko dostaną wiadomość. Mohammed skrzyżował nogi.

Wierciło go w żołądku, ale nie miał odwagi iść do toalety.

Telefon zadzwonił ponownie. Mohammed odetchnął głęboko i odebrał go. Tym razem był to doktor Serag alDin.

- Panie elDahab. Mam nadzieję, że dobrze się państwo czują - powiedział.

- Czujemy się świetnie, dziękuję. Ma pan nasze wyniki?

- Oczywiście, że mam wasze wyniki - odparł wesołym tonem. - Po cóż innego bym dzwonił?

- No i?

- Chwileczkę... gdzie mi się zapodziały wasze papiery.

Mohammed zamknął oczy i zacisnął pięści. No szybciej, ty psi synu. Powiedz coś.

Cokolwiek.

- Proszę - odezwał się błagalnie.

W słuchawce słychać było szelest papieru. Doktor Serag alDin odchrząknął.

Tak - powiedział. - Właśnie je znalazłem.

### III

Zmierzchało już, gdy Ibrahim i Elena dojechali do Kairu na spotkanie z Jusufem Abbasem. Wielki człowiek czekał na nich w bogato zdobionej sali konferencyjnej, rozmawiając przez telefon. Kiedy weszli, popatrzył na nich kwaśno i skinął ręką, żeby usiedli.

Czekając, aż Jusuf skończy omawiać z synem pracę domową z rachunków, Ibrahim włączył

swój laptop. Wszelkie bliższe kontakty z szefem przychodziły mu z wielkim trudem, między innymi dlatego, że sam był wielkim pedantem, a Jusuf, po przewrocie pałacowym, który pozwolił mu wysadzić z siodła jego energicznego, popularnego i szanowanego poprzednika, groteskowo się rozrył.

Już samo obserwowanie, jak mobilizuje się, żeby wstać z krzesła, było czymś fascynującym,

kojarzyło się z widokiem wypływającego w morze starożytnego okrętu.

Przygotowywał się do tej chwili na długo przedtem, mobilizując mięśnie, które napinały się niczym chwytające wiatr żagle i słycać było niemal skrzypienie olinowania, terkot podnoszonej kotwicy i krzyki podnieconych marynarzy, ahój, ruszamy!

W tym momencie jego przedramiona spoczywały niczym słupy Heraklesa na orzechowym stole, lecz co jakiś czas podnosił palec do szyi, jakby jego otyłości była winna tarczyca, a nie gargantuiczne obżarstwo. Kiedy ludzie zwracali się do niego z boku, obracał

ku nim wyłącznie oczy, nie całą głowę, łypiąc z ukosa źrenicami niczym jakiś typ spod ciemnej gwiazdy. Wreszcie skończył telefonować i popatrzył na Ibrahima.

- Taki pośpiech - mruknął. - Mam nadzieję, że uzasadniony.

- Owszem. Pośpiech jest uzasadniony - stwierdził Ibrahim, po czym wyjaśnił, co takiego odkryli, i obrócił laptopa, żeby jego szef mógł obejrzeć zrobione przez Gaille fotografie dolnej komory.

Jusufowi zaświeciły się oczy, kiedy zobaczył urny grzebalne.

- Są... ze złota? - zapytał.

- Nie zdążyliśmy jeszcze dokonać analizy - odparł

Ibrahim. - Za najważniejsze uznałem zamknięcie nekropoli i poinformowanie pana.

- Całkiem słusznie. Całkiem słusznie. Dobrze się pan spisał. - Jusuf oblizał wargi. - To znaczące odkrycie.

Widzę, że będę musiał osobiście nadzorować prace wykopaliskowe.

Elena pochyliła się do przodu. Nieznacznie, ale w wystarczającym stopniu, by zwrócić na nią uwagę.

- Tak? - zapytał.

- Oboje zdajemy sobie sprawę, jakie to szczęście, że mógł pan znaleźć dla nas wolną chwilę pośród swoich licznych obowiązków, panie sekretarzu generalny. Wiemy, że jest pan człowiekiem, którego czas jest na wagę złota - powiedziała. Ibrahim zauważył, że jej arabski był trochę nieporadny, była za to mistrzynią w prawieniu pochlebstw. - Cieszymy się, że podobnie jak my docenia pan historyczne znaczenie tego znaleziska, i nie posiadamy się z radości, że chce pan się zaangażować w związane z nim prace wykopaliskowe. Przekazanie tych ekscytujących wieści nie jest jednak jedynym powodem, dla którego panu Bejumemu i mnie tak bardzo zależało na dzisiejszym spotkaniu. Jest coś jeszcze, co wymaga pańskiego namysłu i mądrej opinii.

- Coś jeszcze? - zdziwił się Jusuf.

- Inskrypcja - odpowiedziała Elena.

- Inskrypcja? Jaka inskrypcja? - Jusuf spojrzał ostro na

Ibrahima. - Dlaczego nie powiedział mi pan o inskrypcji?

- Chyba to zrobiłem, panie sekretarzu generalny.

- Zadaje mi pan kłam?

- Nigdy bym się nie ośmielił, panie sekretarzu generalny.

Proszę mi wybaczyć.

Ibrahim ponownie otworzył fotografię inskrypcji.

- Ach, o to chodzi - mruknął Jusuf. - Dlaczego nie powiedział pan, że o to wam chodzi?

- Proszę mi wybaczyć, panie sekretarzu generalny. To moja wina. Zauważy pan z pewnością, że użyto pisma demotycznego, lecz tekst jest w języku greckim. Koleżance pani Koloktronis - wskazał głową Elenę - udało się go odszyfrować. Jeżeli to pana interesuje, mogę wytłumaczyć, jak to zrobiła. W przeciwnym razie służę przekładem.

Jusuf przeczytał tłumaczenie, poruszając ustami i otwierając szerzej oczy, w miarę jak uprzytamniał sobie wynikające z niego implikacje. Trudno było mu się dziwić, pomyślał

Ibrahim. Memfis określany był przez starożytnych Egipcjan mianem Białego Muru.

Oznaczające pustynię angielskie słowo

„desert” pochodzi od zbitki Desh Ret: Czerwony Łą. Dla Kelonimusa Aleksander był”synem Amona”; a zatem domem jego ojca musiała być wyrocznia Amona w oazie Siwa, gdzie według dawnych źródeł pragnął zostać pochowany sam Aleksander. Inskrypcja sugerowała zatem, że grupa tarczowników ukradła

Ptolemeuszowi sprzed nosa zwłoki Aleksandra i przewiozła je przez Pustynię Zachodnią do grobowca, który przygotowali w miejscu, skąd widać było wyrocznię Amona w oazie Siwa. Ptolemeusz ruszył jednak za nimi w pogoń i woleli odebrać sobie życie, aniżeli wpaść w jego ręce. Wszyscy, z wyjątkiem Kelonimusa, brata Akyłosa, który nie dał się złapać, a później przewiózł szczątki swoich towarzyszy do Aleksandrii, gdzie ich pogrzebał, spełniając złożoną przysięgę. Skończywszy czytać, Jusuf zamrugał oczyma.

- Czy... czy mamy w to wierzyć? - zapytał.

- Przekład jest prawidłowy - odparł ostrożnie Ibrahim. - Sam go sprawdziłem.

Uważamy również, że treść inskrypcji odpowiada prawdzie. Ten człowiek, Kelonimus, jak sam pan

widzi na zdjęciach dolnej komory, zadał sobie wiele trudu, aby odpowiednio uhonorować swoich towarzyszy.

Nie uczyniłby tego wyłącznie dla jakiejś mistyfikacji.

- Ale to przecież czyste szaleństwo - zasępił się Jusuf. - Dlaczego ci ludzie mieliby oddawać życie za coś takiego?

- Ponieważ wierzyli, że przedśmiertnym życzeniem Aleksandra było, aby pochowano go w oazie Siwa - odparła

Elena. - Ptolemeusz sprzeciwił się temu życzeniu, za czynając budować grobowiec w Aleksandrii. Musi pan pamiętać, że Aleksander był dla tych ludzi bogiem. Poświęciliby wszystko, by móc wykonać jego rozkazy.

- Proszę mi nie wmawiać, że Aleksander jest pochowany w oazie Siwa, pani Koloktronis - westchnął Jusuf.

Ibrahim dobrze wiedział, co chodzi po głowie jego szefowi. Na początku lat dziewięćdziesiątych inna grecka archeolożka poinformowała światowe media, że odkryła grób Aleksandra w oazie Siwa. Chociaż jej rewelacje zostały szybko i definitywnie obalone, grób Aleksandra w Siwie stał się czymś w rodzaju żartu w społeczności archeologów.

- Nie mam wcale takiego zamiaru - odparła Elena. - Zabalsamowane ciało Aleksandra można było oglądać w Aleksandrii przez długie stulecia po sporządzeniu tej inskrypcji.

Nikt temu nie przeczy. Nie można jednak wykluczyć, że tarczownicy porwali jego zwłoki i wyruszyli w stronę Siwy, gdzie czekał przygotowany przez nich grobowiec.

Jusuf odchylił się do tyłu w fotelu i zmierzył ją surowym spojrzeniem.

- A więc taki jest prawdziwy powód pani obecności na tym spotkaniu - stwierdził. -

Nie przywiodła pani tutaj troska o właściwe poprowadzenie wykopalisk w Aleksandrii.

O nie. Przybyła pani tutaj, ponieważ wierzy pani, że gdzieś w Siwie jest grobowiec zaopatrzone... jak to zostało sformułowane w zaszyfrowanej inskrypcji?...”w dobra stosownie dla syna Amona”. I chce pani, żebym zezwolił na jego poszukiwania.

- Aleksander był największym zdobywcą w historii - odpowiedziała Elena. - Należał

do największych egipskich faraonów. Niech pan pomyśli, co będzie oznaczało dla tego kraju odnalezienie jego grobu. Niech pan pomyśli, jaki splendor spadnie na sekretarza generalnego Naczelnej Rady

Zabytków, dzięki którego światłemu przewodnictwu stało się to możliwe. Pańskie nazwisko będzie wymieniane razem z nazwiskami największych patriotów tego narodu.



- Niech pani mówi dalej.

- Poza tym nie ma pan nic do stracenia. Wiem, że szansę znalezienia czegokolwiek są bliskie zeru. Wiem, że środki, którymi dysponuje Naczelna Rada Zabytków, są nader szczupłe. Ale coś trzeba zrobić. Coś zakrojonego na małą skalę, powiedzmy, że będą to skromne badania epigraficzne prowadzone za zgodą rady. Każda większa inicjatywa mogłaby sprowokować plotki. Siwa padła już raz ich ofiarą. Jusuf zmarszczył brwi.

- Każdy pagórek w oazie został przekopany wiele razy - zauważył. - Nawet jeżeli ten grobowiec istnieje i spoczywa pod ziemią od dwudziestu trzech stuleci, czy naprawdę spodziewa się pani odnaleźć go w ciągu kilku tygodni? Wie pani jak szeroka jest depresja Siwy?

- To nie będzie łatwe - przyznała Elena. - Ale warto spróbować. Niech pan pomyśli, co się może stać w przeciw nym razie. Kiedy treść zaszyfowanej inskrypcji zostanie ujawniona, do Siwy wyruszą poszukiwacze skarbów z całego świata. Jeżeli odnajdziemy grobowiec pierwsi, możemy temu zapobiec albo przynajmniej ogłosić, że nic tam nie ma.

Wszystko będzie lepsze od gorączki złota.

- Do gorączki złota dojdzie tylko w wypadku przecie ku - wskazał Jusuf.

- Nie da się tego uniknąć. Wszyscy wiemy, że treść inskrypcji zostanie ujawniona - nalegała Elena. - Taka jest natura rzeczy.

Jusuf pokiwał głową.

- Siwa leży w rejonie doktora Sajeda - powiedział kwaśno, jakby nie żywił cieplejszych uczuć do swojego kolegi. - A doktor Sajed chadza własnymi ścieżkami.

Będziecie potrzebowali również jego zgody.

- Oczywiście - pokiwała głową Elena. - Poza tym spodziewam się, że doktor Sajed ma pokaźną kolekcję mate rialów porównawczych. Być może mógłby pan z nim poroz - mawiać i poprosić go, aby ją nam udostępnił. Wiem oczywiście, że nie ma to znaczenia dla pańskiej decyzji, która będzie miała na względzie wyłącznie dobro Egiptu, ale może dać mu pan do zrozumienia, że nasi sponsorzy przeznaczyci bardzo wysokie honoraria dla wszystkich konsultantów Naczelnej Rady Zabytków, w tym naturalnie również dla pana.

- Nie mogę się zgodzić na ekspedycję bez wyznaczonej daty zakończenia - powiedział

Jusuf. - Siwa jest mała.

Niezależnie od przykrywki, pod jaką będziecie działać, ludzie zauważą w końcu, co robicie. Wasza obecność może do prowadzić do tego, czego staracie się uniknąć.

- Sześć tygodni - zaproponowała Elena. - To wszystko, o co prosimy.

Jusuf położył ręce na brzuchu. Lubił w każdej sprawie mieć ostatnie słowo.

- Dwa tygodnie - zadeklarował. - Zaczynając od jutra.

A potem porozmawiamy ponownie i zdecyduję, czy zezwolić wam na prowadzenie prac przez kolejne dwa tygodnie.

#### IV

Nessim chodził w tę i z powrotem po hotelowym pokoju, pragnąc, by zadzwonił jego telefon, by okazało się, że jeden z jego ludzi spostrzegł Knoxa, zanim ten ponownie zapadł

się pod ziemię. Taka możliwość była prawdopodobna. Samo to, że Knox się ujawnił, żeby odzyskać swoje rzeczy, świadczyło, że ma jakieś plany, zamierza coś zrobić, gotów jest podjąć ryzyko. Mimo to Nessim nie spodziewał się sukcesu. Knox budził w nim fatalistyczne poczucie niższości.

Nessim zatrzymał się w pół kroku, zdając sobie sprawę, że będzie musiał przyznać się do kolejnej klęski Hassanowi. powinien pokazać, że coś robi. Powinien przekonać swojego szefa, że jest aktywny. Do tej pory prowadził poszukiwania w zasadzie własnymi siłami. Ale czas dyskrecji minął. Rozpiął pasek z pieniędzmi, sprawdził, ile ma gotówki, i odwrócił się do Hosniego, Ratiba i Sarniego.

- Łapcie za telefony - powiedział. - Tysiąc dolarów dla każdego, kto znajdzie jeepa Knoxa. Dwa tysiące, jeżeli będzie w nim siedział Knox.

Ratib się skrzywił.

- Ale wszyscy domyśla się, że to nasza sprawa - zaprotestował. - To znaczy, kiedy go wykończymy.

- Masz lepszą propozycję? - warknął Nessim. - Może to ty wolisz powiedzieć Hassanowi, dlaczego do tej pory nie złapaliśmy Knoxa?

- Nie - odparł Ratib, spuszczać wzrok.

Nessim westchnął. Zaczynał dawać mu się we znaki stres. A Ratib miał rację.

- Dobrze - mruknął. - Dzwońcie tylko do tych ludzi, którym ufacie. Do jednego w każdym mieście. I niech nie chlapią jęzorem na lewo i prawo, bo będą mieli do czynienia z samym Hassanem.

Jego ludzie pokiwali głowami i sięgnęli po komórki.

Kiedy należący do Dragoumisów lear jet wylądował tej nocy w Salonikach, Gaille uznała, że mogłaby tak częściej podróżować. Nie przeszkadzało jej nawet lekkie poczucie winy z powodu gazów cieplarnianych, których emisja zanieczyściła atmosferę przy okazji tak banalnej wycieczki. Białe w skórzany fotel był tak wygodny, że aż jęczała z rozkoszy, okno miało wielkość

szerokoekranowego telewizora, posiłki i drinki przygotowywał lokaj, a drugi pilot przyszedł do niej, by omówić szczegóły lotu powrotnego. Funkcjonariusz straży granicznej przywitał ją z przesadną uprzejmością („każdy przyjaciel pana Dragoumisa, pani Bonnard...”), a z lotniska zabrał ją niebieski bentley z szoferem, dzięki czemu mogła odchylić się w fotelu i podziwiać nocne niebo.

Zatrzymali się przed otoczoną murem posiadłością patrolowaną przez strażników.

Wpuszczono ich do środka i podjechali pod otynkowany na biało pałac, iluminowany jak na pokazie sonetlumiere. Po schodach zszedł, żeby ją przywitać, sam Philip Dragoumis z rękoma spleconymi na plecach. W podróży wyobrażała go sobie zupełnie inaczej; z zaskoczeniem i ulgą zorientowała się, że jest niski i szczupły. Nie ogolił się; wyglądał jak typowy wieśniak i typowy Grek. Przez chwilę wydawało jej się, że łatwo sobie z nim poradzi, że nie ma co się go bać. Ale potem podeszła bliżej i zdała sobie sprawę, że się myli.

## Rozdział 23

Knox skręcił w głąb lądu, żeby dotrzeć do Ras elSudr. Po drodze minął Tantę, największe miasto w delcie. Ktoś wspomniał mu o nim ostatnio, ale nie pamiętał kto.

Dopiero, kiedy stamtąd wyjechał, przypomniał sobie luźną uwagę Gaille o recepcjoniście z Tanty. Zjechał na pobocze, żeby pomyśleć. Nie zastanawiał się dotąd nad prowadzonymi przez Elenę wykopaliskami w delcie. Za dużo się działo. Ale może popełnił

błąd. Zwłaszcza teraz, kiedy na scenie pojawił się Nicolas Dragoumis.

Nie było tajemnicą, że Dragoumis Group finansowała Macedońską Fundację Archeologiczną. A Knox wiedział, że Dragoumisowie nie interesują się Egiptem.

Interesowała ich wyłącznie Macedonia. W związku z tym, jeżeli finansowali wykopaliska w delcie, musieli szukać czegoś macedońskiego. I niewykluczone, że było to związane z tym, co znaleźli w Aleksandrii. Z całą pewnością dobrze byłoby dowiedzieć się czegoś więcej.

Wjechał z powrotem do miasta, znalazł bar z książką telefoniczną i obdzwonił

wszystkie okoliczne hotele, pytając o Elenę. Trafił za piątym razem.

- W tej chwili jej nie ma - poinformował go nocny recepcjonista. - Wyjechała do Aleksandrii.

- A ktoś z jej zespołu?

- Z kim pan chciał mówić?

Knox się rozłączył, zapisał nazwę hotelu i pobiegł do swojego jeepa.

## II

Philip Dragoumis zaprowadził Gaille przez wyłożony mozaiką hol do bawialni, na której ścianach

wisiały wspaniałe oleje i gobeliny. Skinął prawie niedostrzegalnie ręką i Gaille zorientowała się, że siadła posłusznie na żółtym tapicerowanym fotelu.

- Najpierw się napijemy - powiedział. - Potem zjemy.

Czerwone wino? Jest z mojej winnicy.

- Dziękuję.

Kiedy otwierał butelkę i nalewał wino do dwóch kieliszków, rozejrzała się dookoła.

Honorowe miejsce nad ogromnym kominkiem zajmował olejny portret brodatego srogiego mężczyzny z blizną pod lewym okiem. To był Filip Drugi, ojciec Aleksandra. Zerkając na obraz i na swojego gospodarza, Gaille zdała sobie z lekkim szokiem sprawę, że Dragoumis stara się świadomie do niego upodobnić, sugerując, że znamię pod jego lewym okiem jest rodzajem stygmatu - zupełnie jakby był reinkarnacją Filipa.

- Chyba pan w to nie wierzy? - wypaliła bez za stanowienia.

Philip roześmiał się głośno i szczerze.

- Jest takie powiedzenie: kiedy mądry człowiek robi interesy z Chińczykami, mówi w dialekcie mandaryńskim.

- A kiedy robi interesy z przesądnymi... - odparła Gaille i zawiesiła głos.

Philip uśmiechnął się szeroko i wskazał głową drugi portret przedstawiający piękną ciemnowłosą kobietę w nędznym wiejskim stroju.

- To moja żona - powiedział. - Sam ją namalowałem.

Z pamięci.

Gaille niepewnie się uśmiechnęła.

- Przebył pan długą drogę - stwierdziła.

- Owszem. W przeciwieństwie do niej. - Philip pokiwał głową. - Pochowałem ją tutaj.

Uwielbiała widok z tego wzgórza. Kiedyś tu spacerowaliśmy. Dlatego kupiłem tę ziemię i zbudowałem tu mój dom.

- Przykro mi.

- W młodości byłem wichrzycielem. Chodziłem od wioski do wioski i agitowałem za wolną Macedonię. Ateńska tajna policja chciała ze mną porozmawiać. Jak pani się zapewne domyśla, raczej mi na tym nie zależało. Kiedy nie udało im się mnie znaleźć, zostawili wizytę mojej żonie.

Chcieli, żeby im powiedziała, gdzie jestem. Odmówiła. Wtedy oblali benzyną jej brzuch, piersi i ramiona. Nic nie powiedziała.

Zapalili benzynę. Milczała. Oblali benzyną naszego małego syna. Wtedy im powiedziała. Zostały jej straszne rany po oparzeniach, ale być może przeżyłaby, gdyby poddano ją odpowiedniej kuracji. Nie miałem jednak na to pieniędzy.

Moja żona umarła, ponieważ wolałem agitować, niż pracować.

W dniu kiedy ją pochowałem, postanowiłem przestać bawić się w politykę i zostać bogatym.

- Przykro mi - powtórzyła bezradnie Gaille.

Philip Dragoumis chrząknął, jakby przyznawał, że żadne słowa nie oddadzą tego, co czuje.

- Znałem pani ojca - powiedział nagle.

- Mówił mi o tym pana syn. Ale ja nie utrzymywałam zbyt bliskich stosunków z ojcem.

- Tak. Wiem. Zawsze było mi z tego powodu przykro.

Gaille zmarszczyła czoło.

- Dlaczego miałoby panu być przykro?

Philip westchnął.

- Wybierała się pani z nim do Malawi, prawda?

- Tak.

- Ale potem odwołał pani wyjazd.

- Miał pilną sprawę osobistą.

- Owszem - potwierdził Philip. - Ze mną.

- Nie - odparła. - Z młodym człowiekiem o nazwisku

Daniel Knox.

Dragoumis machnął lekceważąco ręką, jakby sprowadzało się to do tego samego.

- Wie pani dużo na temat Knoksa? - zapytał.

- Nie.

- Jego rodzice też byli archeologami. Specjalizowali się w Macedonii. Często odwiedzali te strony.

Czarująca para, przemiła córka. Współpracowali blisko z Eleną, wie pani.

Przed dziesięciu laty mieli odwiedzić pewne stanowisko archeologiczne w górach.

Mąż Eleny odebrał ich z lotniska.

Niestety, jadąc tam...

Gaille spojrzała na niego tępo.

- Wszyscy? - zapytała.

Philip pokiwał głową.

- Wszyscy.

- Ale... ale co to ma wspólnego z moim ojcem?

- To był wypadek. Straszny wypadek. Niestety, nie wszyscy w to uwierzyli.

- Ma pan na myśli... morderstwo? Nie rozumiem. Dla czego ktoś chciałby zabić rodziców Knoksa?

- Nie rodziców Knoksa. Męża Eleny, Pavlosa.

- Ale kto chciałby go zabijać?

Philip Dragoumis się uśmiechnął.

- Ja, panno Bonnard - odpowiedział. - Ja.

Ras elSudr było naftowym miasteczkiem, które starało się uchodzić za nadmorski kurort. Knox kręcił się przez chwilę wokół hotelowego parkingu, żeby sprawdzić, czy Rick nie przywłókł za sobą ogona. Podszedł do niego dopiero, kiedy upewnił się, że jest bezpieczny.

- Miło cię widzieć, stary - powiedział z uśmiechem

Rick.

- Ciebie też.

- Żyjemy w ciekawych czasach, czyż nie? - Rick skinął głową w stronę pobliskiego baru. - Chcesz się czegoś napić? Opowiesz mi, co jest grane.

- Jasne.

Zajęli stolik w cieniu i Knox opowiedział o wszystkim, co zdarzyło się od jego ucieczki z Szarm elSzejk.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął Rick. - Ten sukinsyn założył ci stryczek na szyję?

Zabiję go.

- Właściwie nie bardzo wierzę, że to był Hassan - powiedział Knox. - Hassan nie przeciąłby liny.

- Więc kto?

- Opowiadałem ci kiedyś, co wydarzyło się w Grecji?

- Masz na myśli swoich rodziców? Powiedziałeś tylko, że zdarzył się wypadek drogowy. Nigdy nie mówiłeś, że związana z tym była jakaś historia.

- Kręta droga, stary samochód, mglista noc w górach.

Stale zdarzają się tego rodzaju tragedie. Tyle tylko, że kierowcą był facet, który nazywał się Pavlos. Mąż tej Eleny, o której ci opowiadałem. Dziennikarz. Z bardzo ciętym piórem. Łowca skandali. Prowadził kampanię przeciwko wpływowej i bogatej rodzinie, niejakim Dragoumisom. Domagał się kontroli w ich firmach.

- I doszedłeś do wniosku, że zabili go, żeby zamknąć mu usta.

- Wtedy tak myślałem.

- I co zrobiłeś w tej sprawie?

#### IV

Gaille spojrzała przerażona na Philipa Dragoumisa.

- Zamordował pan Pavlosa?

- Nie - zapewnił ją. - Przysięgam na grób mojej żony, że nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią ani ze śmiercią rodziny Knoksa. Niestety, pewni ludzie wierzyli, iż miałem powód, by to zrobić.

- Dlaczego? Jaki powód?

- Musi pani coś zrozumieć, panno Bonnard. Jestem macedońskim patriotą. Cały ten region był kiedyś Macedonią.

A potem na mocy traktatu bukareszteńskiego został po dzielony między Serbię, Bułgarię i Grecję. Poświęciłem swoje życie, żeby naprawić tę wielką niesprawiedliwość. Ale inni ludzie, tacy jak Pavlos, uważali, że te ziemie słusznie należą się Grekom. Próbowali mnie powstrzymać. Pavlos był mist rzem insynuacji. Chciał, żeby skontrolowano moje życie i działalność gospodarczą nie dlatego, że uważał mnie za skorumpowanego, ale dlatego, że wiedział, iż zszarga mi to opinię. Kiedy zginął, apele o przeprowadzenie dochodzenia umarły wraz z nim. Rozumie więc pani, dlaczego ludzie wierzyli, że to ja byłem odpowiedzialny. Ale zapewniam panią, że to nieprawda. Nigdy nie

uważałem Pavlosa za wroga, wyłącznie za przeciwnika, a to olbrzymia różnica. Nawet gdybym był człowiekiem gwałtownym, którym nie jestem, nigdy nie zgodziłbym się na takie załatwienie sprawy. Prawdę mówiąc, wcale tego nie potrzebowałem. - Philip nachylił się ku niej. - Czy może pani obiecać, że nigdy nie powtórzy Elenie tego, co teraz powiem?

- Tak.

- Dobrze. Pavlos zdradzał ją. Miałem na to niezbite dowody. Ujawnienie ich przysporzyłoby mi... wielu kłopotów.

Rozmawialiśmy o tym. Zapewniam panią, że nie stanowił już dla mnie zagrożenia.

- Skoro pan tak twierdzi...

- Owszem, tak twierdzą. - W głosie Philipa zabrzmiało zniecierpliwienie. - Niech mi pani coś powie, panno Bonnard. Przez ostatnie trzy tygodnie współpracowała pani blisko z Eleną. Naprawdę wierzy pani, że pracowałyby dla mnie, gdyby uważała, że jestem odpowiedzialny za śmierć jej męża?

Gaille przez chwilę się nad tym zastanawiała. Odpowiedź mogła być tylko jedna.

- Nie - mruknęła.

- Powinna pani też zrozumieć, że Pavlos był dla Eleny wszystkim. Niech mi pani wierzy: gdyby choć przez chwilę uznała, że jestem winien śmierci Pavlosa, dowiedziałby się o tym cały świat.

- Ogłosiłaby to wszem wobec?

- O nie! - parsknął Philip. - Zabiłaby mnie. - Uśmiechnął się, widząc zaskoczoną minę Gaille. - To oczywiste. Polałaby się krew. W tym regionie te sprawy wciąż załatwia się w ten sposób. Ale kiedy uświadomi pani sobie, jak bardzo Elena go kochała... - Philip potrząsnął

głową. - Obawiałem się trochę, że coś zrobi. Tak wielka rozpacz potrzebuje jakiegoś wentylu.

Elena zdawała sobie jednak sprawę, jak to naprawdę wyglądało. Jej mąż był szalonym i nieostrożnym kierowcą, nigdy nie serwisował samochodu. Nie. Elena była załamana, ale nie stanowiła problemu. Problemy stwarzał młody przyjaciel pani ojca. Knox.

- Knox? Jak to?

- Uważał, że zamordowałem całą jego rodzinę, żeby uciszyć Pavlosa - odparł Philip. -

Nie chciał pozwolić, żeby mi się to upiekło. Nietrudno jest zrozumieć jego punkt widzenia.

Kontynuował więc sam kampanię Pavlosa. Pisał bez końca do lokalnych polityków, gazet, stacji telewizyjnych.

Pikietował budynki rządowe i komendy policji. Wypisał sprayem: PRZESŁUCHAĆ



DRAGOUMISA na ścianie bu dynku mojej dyrekcji, drukował to samo na wypełnionych helem balonach, zrzucił ulotki z wieżowców, wieszał trans parenty podczas transmitowanych przez telewizję imprez sportowych, dzwonił do radia i...

- Knox? Knox robił to wszystko?

- Owszem - pokiwał głową Philip. - To było im ponujące, szczególnie, że był szczerze przekonany, iż mogę posunąć się do morderstwa. I bardzo szkodliwe. Jak pani się domyśla, zdobył sympatię wielu osób. Ludzie zaczęli mówić.

Poprosiłem go, żeby dał spokój. Odmówił. Celowo starał się sprowokować mnie do jakichś pochopnych działań, choćby po to, żeby udowodnić, że miał rację. Martwiłem się o niego.

Robił to tylko dlatego, że był chory z rozpaczy. W dodatku nie brakowało tych, którzy mi sprzyjali i chcieli go uciszyć.

W końcu nie mogłem mu już zagwarantować bezpieczeństwa.

A gdyby coś mu się przytrafiło... może pani sobie sama wyobrazić. Lepiej było dla niego, żeby wyjechał, lecz on nie chciał mnie słuchać.

Znalazłem więc kogoś, kogo posłuchał.

- Mojego ojca - szepnęła Gaille.

- Był bliskim przyjacielem Knoksów. Ja też go znałem.

Poprosiłem go o spotkanie. Z początku nie odniósł się do tego zbyt chętnie. Wkrótce miał wyruszyć na ekspedycję do Malawi. Zapewniłem go jednak, że to sprawa życia i śmierci.

Przyleciał tutaj. Zawarliśmy układ. On miał zabrać

Knoksa i skłonić go do milczenia. Ja miałem dopilnować, żeby nie spadł mu włos z głowy. Pani ojciec odwiedził go w hotelu.

Knox uraczył go kazaniem na temat walki z tyranami. Pani ojciec grzecznie go wysłuchał i wlał krople usypiające do jego retsiny. Kiedy Knox się obudził, obaj znajdowali się na pokładzie statku płynącego do Port Saidu i pani ojciec miał czas przemówić mu do rozsądku. Dlatego, panno Bonnard, tak mi przykro z powodu pani zadrażnień z ojcem. Nigdy by do nich nie doszło, gdybym nie poprosił go o interwencję.

W barze w Ras elSudr Rick kiwał powoli głową, słuchając relacji Knoksa o jego konflikcie z Dragoumisami i o tym, jak przybył do Egiptu z Richardem Mitchellem.

- A ja uważałem cię za flegmatycznego Angoła - stwierdził. - Czy to już wszystko, czy może ściga cię również grupa międzynarodowych gangsterów?

- To wszystko. Przynajmniej z tego, co wiem. Ale zgadnij, kogo zobaczyłem dziś po południu.

- Dragoumisa?

- Jego syna. Nicolasa.

- Jest takim samym draniem?

- Gorszym. O wiele gorszym. Nie pałam sympatią do jego ojca, ale dokonania Philipa wzbudzają podziw. I facet ma swoje zasady. Kiedy daje słowo, dotrzymuje go. Jego syn jest zwykłym palantem, który odziedziczył dużą forszę. Znasz ten typ?

- Aż za dobrze. Więc sądzisz, że ten lincz na pustyni to był jego osobisty rewanz?

- Całkiem możliwe.

- I nie zamierzasz mu tego odpuścić, tak?

- Tak.

Rick wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cudnie. Więc jaki jest nasz plan?

- Nasz?

- Daj spokój, chłopie. Przyda ci się pomoc. A w Szarmie, jak już mówiłem, jest kompletny zastój.

Knox pokiwał głową.

- Jeżeli mówisz serio, to fantastycznie.

- W porządku. Więc jaki jest nasz pierwszy krok?

- Jedziemy do Tanty.

- Do Tanty?

- Tak - odparł Knox, zerkając na zegarek. - I nie mamy zbyt wiele czasu, więc może wyjaśnię ci wszystko, kiedy tam dojedziemy.

## VI

Philip Dragoumis zaprowadził Gaille do jadalni, przestronnego pomieszczenia ze stojącym pośrodku drugim orzechowym stołem. Przy jednym końcu ustawiono dwa nakrycia, na obrusie stały świece. Lokaj czekał już przy wózku, żeby zaserwować im potrawę, ciemny mięsny gulasz, w którym pływały nieznane przyprawy.

- Proszę mi wybaczyć mój prosty smak - powiedział

Philip. - Nigdy nie miałem wyrafinowanego podniebienia.

Jeśli lubi pani bardziej wyszukaną kuchnię, musi pani zjeść kolację z moim synem.

- Na pewno jest pyszne - zapewniła go Gaille, dziobiąc nieśmiało gulasz widelcem. -

Przepraszam, panie Dragoumis, ale ciekawi mnie jedna sprawa. Czy wysłał pan po mnie odrzutowiec wyłącznie po to, żeby porozmawiać o moim ojcu?

- Nie. Wysłałem odrzutowiec, żeby poprosić panią o pomoc.

- O moją pomoc? - zdziwiła się. - W jakiej sprawie?

Philip pochylił się do przodu. Światło świec zamigotało w jego oczach.

Ciemnobrązowe tęczęwki wydawały się przez chwilę nakrapiane złotem.

- W zaszyfrowanej inskrypcji jest mowa o grobowcu w oazie Siwa zaopatrzonym w dobra stosowne dla syna

Amona.

- Wie pan o tym?

- Oczywiście, że wiem - przytaknął niecierpliwie. - Jest tam także mowa, że tarczownicy odebrali sobie życie, zanim Ptolemeusz zdążył się od nich dowiedzieć, gdzie jest ten grobowiec.

- Tak.

- Słyszała pani kiedyś o takim grobowcu? O grobowcu w oazie Siwa zaopatrzonym w dobra stosowne dla kogoś takiego jak Aleksander?

- Nie.

- A zatem nie został jeszcze odkryty?

- Jeżeli w ogóle istniał.

- Istniał - oświadczył Philip Dragoumis. - I istnieje.

Niech mi pani powie, panno Bonnard: czy nie byłoby warto go odkryć? Wyobraża pani sobie, jakie dobra mogły zostać uznane za stosowne dla kogoś takiego, dla największego zdobywcy w dziejach? Broń z wojen trojańskich, którą mu ofiarowano? Jego osobista kopia Homera z adnotacjami Arystotelesa?

Proszę mi szczerze powiedzieć: czy nie pragnie pani być osobą, która to odkryje?

Sława. Bogactwo. Uznanie. Nigdy już nie zapyta pani w ciemnej godzinie przed świtem, po co żyje na tym świecie.

- Chyba nie rozumie pan dobrze, jak to się odbywa - odparła Gaille. - Ibrahim Bejumi poinformował o znalezisku sekretarza generalnego Naczelnej Rady Zabytków. To, co się dalej zdarzy, zależy od nich. Ja nie mam nic do tego.

- Może pani jeszcze o tym nie wie. W spotkaniu uczestniczyła również Elena.

- Tak, ale...

- I przekonała sekretarza generalnego, że to ona powinna poprowadzić wykopaliska w oazie Siwa.

- Co takiego? Ale jak...

- Elena jest genialną negocjatorką, może mi pani wierzyć.

Niestety, nie radzi sobie tak dobrze w innych dziedzinach archeologii. Dlatego panią tu poprosiłem. Chcę, żeby pojechała pani z nią do Siwy. Chcę, żeby odkryła pani dla mnie ten grób.

- Ja?

- Tak. Ma pani do tego talent podobnie jak ojciec.

- Przecenia pan moje...

- To pani odkryła dolną komorę, prawda?

- Właściwie to był...

- I odszyfrowała pani inskrypcję?

- Ktoś inny mógłby to zrobić równie dobrze jak...

- Skromność nie robi na mnie wrażenia, panno Bonnard - stwierdził Philip. - Robi na mnie wrażenie sukces.

Elena ma wiele zalet, lecz brakuje jej wyobraźni i empatii. To są pani przymioty.

Przymioty, które przysłużą się naszej sprawie.

- Waszej sprawie?

- Uważa pani, że służba w jakiejś sprawie jest czymś staroświeckim?

- Uważam, że "służba w sprawie" jest określeniem, którego politycy używają zamiast słów "krwawa łaźnia" - odparła Gaille. - Nie sądzę, żeby archeologia miała służyć jakiejś sprawie. Sądzę, że powinna służyć prawdzie.

- Brawo - pokiwał głową Philip. - Ciekawe, co pani powie na taką prawdę. Obaj moi dziadkowie urodzili się w Wielkiej Macedonii. Kiedy dorośli, jeden z nich był

Grekiem, drugi Serbem. Dla kogoś takiego jak pani, kogoś, kto nie służy żadnej sprawie, to, że rodziny takie jak moja mogą być rozdzielane i przekazywane niczym niewolnicy, może wydać się czymś pozytywnym. Ale są ludzie, którzy uważają, że to nie w porządku. Domyśla się pani może, co to za ludzie?

- Domyślałam się, że to ludzie, którzy uważają się za

Macedończyków - odpowiedziała słabym głosem Gaille.

- Nie oczekuję, że zmieni pani swoje zapatrywania, panno

Bonnard - oświadczył Philip. - Chcę, żeby odpowiedziała pani na jedno pytanie: kto ma decydować, kim jestem? Ja sam, czy ktoś inny? - Przerwał, żeby dać jej szansę na odpowiedź, lecz ona zdała sobie sprawę, że nie ma mu nic do powiedzenia. - Wierzę, że istnieje prawowity naród macedoński - podjął Philip. - Wierzę, że ten naród został

bezprawnie podzielony pomiędzy Bułgarię, Serbię i Grecję.

Wierzę, że naród macedoński był od stuleci niesłusznie gnębiony, że od dziesięcioleci trwają tutaj czystki etniczne, że Macedończycy są prześladowani, ponieważ nie mają i własnego głosu i władzy. Moje zdanie podzielają setki tysięcy ludzi w tym regionie i miliony na całym świecie. Mają swoją kulturę, historię, religię i język, różniące się od kultury, historii, religii i języka państw w granicach których się znaleźli. Uważają się za Macedończyków i nie dbają o to, jak nazywa ich świat. Wierzę, że tym ludziom przysługują te same prawa i swobody, które wy uważacie za oczywiste. Ci ludzie to moja sprawa. Dlatego proszę panią o pomoc. - Philip popatrzył na nią. W jego spojrzeniu widać było niemal triumfalną pewność siebie. Chciała uciec w bok wzrokiem, ale była zupełnie bezradna. - I udzieli jej nam pani - dodał.

## **Rozdział 24**

Knoksowi zależało na tym, żeby ukryć jeepa w miejscu, w którym Nessim nie zdoła go znaleźć. Tuż przed Tantą skręcił w wąską wiejską drogę. Rick jechał za nim swoim subaru. Mniej więcej po piętnastu minutach dostrzegli w świetle księżyca zrujnowane zabudowania gospodarskie stojące na zachwaszczonym polu, na którym urządzono dzikie wysypisko. Idealne miejsce. Podskakując na wertepach, wjechał na betonowe podwórko.

Naprzeciwno zobaczył rząd otwartych małych obórek z glinianym klepiskiem zamiast podłogi. Wejścia do nich zablokowane były wypełnionymi deszczówką korytami, w rogach walały się przywiane przez wiatr śmieci. Po lewej stronie stał brzydki niski betonowy budynek z szerokimi stalowymi drzwiami. Kiedy je otworzył, zazgrzytały przeraźliwie.

Wewnątrz było pusto, jeśli nie liczyć gryzącego smrodu ropy i moczu oraz ptasich i nietoperzych odchodów na podłodze. Knox wjechał do środka, przeniósł do subaru to, co mogło mu się przydać, i

przykrył jeepa plandeką.

- Możesz mi teraz wszystko wyjaśnić? - zapytał Rick, kiedy ruszyli w stronę Tanty.

- Jasne. Opowiadałem ci kiedyś o ekspedycji do Malawi?

Rick parsknął głośno.

- Chyba ze sto razy.

- Więc pamiętasz podstawowe fakty - odparł Knox, uruchamiając laptopa i sprawdzając przywiezione przez Ricka płyty. - Richard Mitchell i ja znaleźliśmy archiwum ptolemejskich papirusów. Oddaliśmy je na przechowanie Jusufowi Abbasowi, obecnemu sekretarzowi generalnemu Naczelnej

Rady Zabytków. To, co zobaczył, tak mu się spodobało, że przejął całe stanowisko.

- A potem zauważyliście, że część papirusów pojawiła się na czarnym rynku.

- Dokładnie. Chodzi o to, że zapotrzebowanie na papi rusy z tego okresu nie jest duże, nawet na te, które po chodzą z legalnego źródła. A co dopiero kradzione! Na ogół kupują je instytucje akademickie. Nie tknęłyby nicze go trefnego. Ale Philip Dragoumis interesuje się -

kim, co macedońskie, zwłaszcza jeżeli ma to coś wspólnego z Aleksandrem.

- I twoim zdaniem te papirusy mają z nim coś wspólnego?

- Górny grobowiec w Aleksandrii przeznaczony był dla tarczownika z armii Aleksandra o imieniu Akylos - powie dział Knox. - Dolną komorę zbudował niejaki Kelonimus.

Oba te imiona pojawiają się w zbiorze papirusów z Malawi.

Sfotografowaliśmy je i trzymaliśmy zdjęcia na jednej z tych płyt, które pożyczyłeś.

Popatrz. - Knox obrócił laptop, żeby

Rick mógł zobaczyć spis plików, w których nazwach po wtarzały się imiona Akylos i Kelonimus. - A Nicolas i Elena rozpoznali wczoraj imię Kelonimusa. Mogę przysiąc.

- W porządku. Istnieje zatem ogniwo między papirusami z Malawi i grobowcem w Aleksandrii. Ale to nie wyjaśnia tego, co robimy w Tancie.

- Dragoumis Group finansuje tutaj prace wykopaliskowe.

To nie są ludzie, którzy sponsorowaliby coś na łut szczęścia, w obcym kraju. Oni szukają czegoś konkretnego.

Dojechali do hotelu, w którym mieszkała ekipa Macedońskiej Fundacji Archeologicznej, i zatrzymali się po drugiej stronie ulicy, żeby móc obserwować wejście.

- Moim zdaniem - podjął Knox - to wszystko ma związek z tym, że Nicolas przyleciał

do Aleksandrii. Nie zrobił tego bez powodu. Chcę wiedzieć, o co mu chodzi. Ale nie mogę tak po prostu zadzwonić i zapytać. Wszyscy członkowie ekipy zobowiązali się pisemnie do zachowania dyskrecji, więc nikt nie piśnie ani słowa, zwłaszcza mnie.

- No tak - mruknął Rick, wskazując hotel. - Ale tutaj się zatrzymali, tak?

- Właśnie. I mniej więcej za godzinę wyruszą do pracy.

A my pojedziemy za nimi.

## II

Elena obudziła się wczesnym rankiem. Przez otwarte okno mieszkania Augustina wpadały promienie słońca, z dołu dobiegał warkot uruchamianych samochodów, trzask zamykanych drzwi, odgłosy rodzinnych kłótni. Wracając wczoraj wieczorem do Aleksandrii, miała szczerzy zamiar zerwać z Augustinem, zanim ich znajomość przerodzi się w coś poważnego. Ale potem on pojawił się w hotelu, żeby zabrać ją na kolację, uśmiechnął się do niej tym swoim uśmiechem i poczuła, jak przechodzi ją gęsia skórka. Zdała sobie sprawę, że się oszukuje.

Leżała na łóżku, czule mu się przyglądając. To dziwne - i skrajnie niesprawiedliwe -

że mężczyzna może być piękny, nawet kiedy jest kompletnie rozmamłany. Włosy miał jak Meduza, chude strączki zasłaniały całą twarz. Cienka nitka śliny ściekała mu z kącika ust na pociemniałą od wilgoci poduszkę. Mimo to pragnęła go. Po raz pierwszy od dziesięciu lat nie mogła opanować pożądania. I pomyśleć, że razem z Gaille miała późnym rankiem wyruszyć do oazy Siwa! Musiała jak najpełniej wykorzystać te kilka chwil, które im zostały.

Odsunęła prześcieradło, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Sięgnęła ręką w dół i zaczęła łaskotać lekko wewnętrzną stronę jego uda od kolana aż do moszny. Penis stwardniał i napletek zsunął się z żołądzi. Augustin miał zamknięte oczy, ale na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. Nie padło ani jedno słowo. Elena pocałowała go w brwi, nos, policzek i usta. Miał kwaśny oddech, ale nie było to wcale niemiłe. Ich uściski stawały się coraz bardziej intymne. Byli zbyt spragnieni, by na siebie czekać.

Augustin przekręcił się na bok, poszukał na nocnej szafce kondomu, rozdarł

opakowanie zębami i nasunął go sprawnie jedną ręką. Wchodząc w nią jednym energicznym pchnięciem, skrzywił się, oparł ciężar ciała na rękach i wygiął plecy w łuk. A potem częściowo się wysunął i zaczął się z nią drażnić, tak że zapragnęła go aż do bólu i przyciągnęła do siebie. Znaleźli swój rytm. Elena wygięła szyję, by spojrzeć w miejsce, w którym się stykali. Jego długi czarny cień zsuwał się z niej i powoli wracał. Zapomniała już, jakim fascynującym widokiem może być ruchanie,

tak bezwzględnie zwierzęce i różniące się od mdłych rytuałów, które je poprzedzają.

Odsunął w dół jej głowę i przez dłuższą chwilę intensywnie się w siebie wpatrywali, aż w końcu, nie mogąc tego znieść, wykręciła się, krzyknęła głośno i szczytując, zsunęła się razem z nim z łóżka. Leżeli tam może przez pół minuty, spleceni ze sobą, uśmiechając się i łapiąc oddech. Augustin zerwał się w końcu lekko na nogi.

- Kawy? - zapytał.

- Czekolady.

Podreptał nago do kuchni, wyrzucając po drodze kondom do przepelnionego kosza na śmieci. Perlita nitka zawisła na jego penisie. Wytarł ją kuchennym ręcznikiem i zajrzał do lodówki.

- Merde! - zaklął. - Nie ma mleka.

- Wracaj do łóżka - powiedziała. - Już niedługo muszę odebrać Gaille z lotniska.

- Muszę się napić kawy - zaprotestował, wkładając wczorajsze spodnie i koszulę. -

Muszę zjeść croissanta. To potrwa tylko minutkę, obiecuję.

Patrzyła, jak znika w drzwiach. W jej piersiach wzbierało coś podobnego do szczęścia.

Zbyt długo już zaspokajała trawiącą ją żądzę w ramionach mięczaków i firecyków. Chryste, jak dobrze było poczuć koło siebie prawdziwego mężczyznę.

### III

Knoksowi kleiły się oczy. Zaraz po tym, jak Rick przyniósł z pierwszej otwartej kawiarni dwie filiżanki lurowatej kawy, z hotelu wyszli, ziewając i dźwigając plecaki, czterej mężczyźni i trzy kobiety w turystycznych butach, bawełnianych spodniach i rozpiętych pod szyją koszulach. Podeszła do nich grupka Egipcjan, którzy od dwudziestu minut gromadzili się pod hotelem. Egipskie prawo wymagało, by przy każdym pracach wykopaliskowych zatrudniano miejscowych robotników.

Załadowali się wszyscy na dwie odkryte cięża - rowki. Jeden z mężczyzn policzył

szybko głowy i podskakując na wybojach, odjechali drogą do Zagazig.

Rick odczekał dwadzieścia sekund i ruszył ich śladem. W Egipcie śledzenie kogoś nie przysparzało większych trudności. Dróg było niewiele i śledzący mogli się trzymać daleko z tyłu. Ciężarówki skręciły w stronę Zifty, a potem w wiejską drogę.

Rick zaczekał, aż został po nich tylko tuman kurzu, i skręcił w ślad za nimi. Po przejechaniu dwóch albo trzech kilometrów zobaczyli jedną z ciężarówek stojącą z boku drogi. Nie było przy niej żywej duszy.



- Wyośmy się stąd, zanim nas zauważą - powiedział

Knox.

Rick zawrócił i dojechali do szosy.

- Dokąd teraz? - zapytał.

- Nie wiem jak ty - ziewnął Knox - ale ja nie spałem od dwóch dni. Moim zdaniem powinniśmy znaleźć jakiś hotel.

#### IV

Mohammed elDahab miał wrażenie, że dzień wlecze się niemiłosiernie wolno, ale zbliżał się już wieczór i czekanie dobiegało końca. Od wielu godzin chodził w tę i z powrotem po korytarzu oddziału onkologicznego Aleksandryjskiego Instytutu Badań Medycznych. Czasami wciągał w płuca olbrzymie hausty powietrza, innym razem jego oddech stawał się tak krótki i płytki, że bał się, iż zemdleje. Oczekiwanie na telefon w sprawie wyników testów było trudne, ale nie dało się porównać z tym, co teraz przechodził.

Podszedł do okna i spojrzał niewidzącym wzrokiem na zapadający nad miastem i portem zmierzch. Tyle milionów ludzi, którzy komplet - nie go nie obchodzili. Allah mógł zabrać ich wszystkich, pod warunkiem że ocali Lajlę.

Doktor Serag alDin miał dla nich dobre wiadomości. Znalazł dawczynię o identycznym układzie HLA - była nią Baszira, trzecia kuzynka matki Nur, która sama ledwie uszła z życiem, kiedy przed wielu laty zawalił się jej blok mieszkalny w Kairze. Mohammed w ogóle się wtedy nie przejął, było mu wszystko jedno, czy kuzynka przeżyje, czy umrze. Ale gdyby wówczas umarła... Zamknął oczy i przystawił pięść do ust. Lepiej było o tym nie myśleć.

Jednak sama zgodność układu HLA nie była wystarczająca. Miała znaczenie tylko pod warunkiem, że profesor Rafai zakwalifikuje teraz Lajlę do operacji przeszczepu szpiku.

Mohammed czekał na jego decyzję.

- Inszallah, inszallah - mruczał bez przerwy pod nosem.

Ta mantra niewiele mu pomagała. Brakowało mu Nur, kogoś, kto by go rozumiał. Ale Nur nie potrafiła stawić temu czoła.

Została w domu i opiekowała się Lajlą, jeszcze bardziej przerażona od niego. -

Inszallah - powtórzył. - Inszallah.

Drzwi oddziału otworzyły się i pojawiła się w nich pulchna młoda pielęgniarka z wielkimi brązowymi oczyma. Mohammed próbował bez skutku wyczytać coś z jej twarzy.

- Proszę za mną - powiedziała.

## Rozdział 25

Kareem Barak miał obolałe i poobcierane stopy. Za wiele nachodził się po tych przeklętych drogach w ciasnych butach z przeciekającymi podeszwami. Przeklinał sam siebie, że zgłosił się na wezwanie Abdullaha i zgodził się na jego warunki. Sto dolarów dla znalazcy tego cholernego jeepa! Wydawało się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Jednak kiedy Abdullah przydzielał im sektory do przeszukania, Kareemowi przypadła w udziale ta zapadła dziura. Jak głośno nabijali się z niego pozostali! Chyba tylko ostatniemu głupcowi przyszłoby do głowy tu zaparkować. Nie wiedział, dlaczego nie dał jeszcze za wygraną. Trzymały go za gardło te dolary, tym bardziej że skoro Abdullah wyznaczył sto dolarów nagrody, sam musiał

liczyć na pięć albo dziesięć razy tyle, a to otwierało przed tak sprytnym młodzieńcem jak Kareem pewne możliwości. Najpierw jednak musiało się do niego uśmiechnąć szczęście.

Zmierzchało już, gdy zobaczył wiejską drogę i stojące przy niej dwieście metrów dalej rozpadające się budynki. Stopy paliły go tak mocno, że równie dobrze mogło to być dwieście kilometrów. Przed oczyma stanęła mu nagle wielka miska ugotowanego przez ciotkę kushari z dodatkową porcją smażonej cebuli i kawałkami aysh baladi, a później miękki materac, na którym mógł się wyciągnąć. Dosyc tego! Skrzywił się, zawrócił na pięcie i pokuśtykał z powrotem drogą, którą przyszedł. Po przejściu nie więcej niż dwudziestu kroków minął go minibus z uczennicami. Jedna z nich spojrzała na niego i nieśmiało się uśmiechnęła. Miała ładną cerę, wielkie brązowe oczy i błyszczące czerwone wargi. Patrząc w ślad za nią, zapomniał o kushari, łóżku i o swoich bolących stopach. Oto czego naprawdę pragnął: pięknej, uległej kobiety, która by do niego należała. A przy całym swoim romantycznym usposobieniu był w wystarczającym stopniu realistą, by wiedzieć, że nie będzie jej miał, jeżeli nie zarobi dużych pieniędzy.

Zawrócił i przygryzając wargi z bólu, powlókł się ku zabudowaniom farmy.

## II

Idąc za pielęgniarką, Mohammed stawiał z trudem kroki. Musiał przypomnieć sobie, jak to się robi: najpierw jedna, potem druga stopa. Wprowadziła go do wielkiego gabinetu, gdzie profesor Rafai przerzucał przekładki w białej szafie na akta.

Mohammed widywał go dość często podczas obchodów, lecz nigdy wcześniej nie dostąpił zaszczytu prywatnej audiencji. Nie wiedział, jak ma to rozumieć. Niektórzy ludzie uwielbiali przekazywać dobre wiadomości, inni uważali za swój obowiązek dostarczać złe.

Rafai odwrócił się do niego z nieokreślonym tajemniczym uśmiechem, który niczego nie zdradzał.

- Niech pan siada - powiedział, wskazując mały okrągły stolik w rogu, po czym wyciągnął z szafy brązowy segregator i usiadł naprzeciwko. - Mam nadzieję, że nie czekał

pan długo.

Mohammed przełknął ślinę. Czy profesor naprawdę niczego nie rozumiał? Zapragnął

nagle wyjść na korytarz i jeszcze trochę poczekać. Kiedy nadzieja jest wszystkim, co się ma, człowiek chwyta się jej jak tonący brzytwy. Rafai otworzył segregator i zerknął przez okulary do czytania na znajdującą się w środku kartkę. Nagle zmarszczył czoło, jakby trafił na informację, która nie była mu wcześniej znana.

- Rozumie pan, z czym wiąże się przeszczep szpiku kości? - zapytał, nie podnosząc wzroku. -  
Rozumie pan,

O co mnie pan prosi? Przez co musiałyby przejść pańska córka?

To była katastrofa. Mohammedowi zrobiło się jednocześnie zimno i niedobrze. Mimo to był absolutnie spokojny. Zastanawiał się, jak przekazać tę wiadomość Nur i czy Lajla zrozumie, co to dla niej oznacza.

- Nazywamy tę procedurę przeszczepem szpiku - ciągnął nieubłaganie Rafai - ale to mylące określenie. W zwykłej chemioterapii naszym celem są wyłącznie szybko dzielące się komórki rakowe. W tym wypadku celowo zatruwamy cały system immunologiczny danej osoby, aby zniszczyć wszystkie dzielące się szybko komórki, rakowe i nierakowe. W tym również szpik kostny. Przeszczep nie jest kuracją. Jest potrzebny, ponieważ po zlikwidowaniu wszystkich tych komórek pacjent umarłby bez nowego szpiku.

To traumatyczne i bardzo bolesne doświadczenie, bez gwarancji sukcesu. Mimo idealnie dobranych dawców zdarzają się odrzuty. I nawet jeśli nowy szpik się przyjmie, rekonwalescencja trwa bardzo długo. Bez końca robi się badania. To nie jest kuracja na kilka dni. Blizny zostają na całe życie. Do tego trzeba dodać bezpłodność, zaćmę, wtórne nowotwory, komplikacje w funkcjonowaniu wątroby, nerek, płuc, serca... Mohammed rozumiał w tym momencie coś ważnego. Rafai nie mówił tego wszystkiego, ponieważ operacja była taka trudna; mówił to, ponieważ napawał się poczuciem władzy.

- Niech pan mi powie to, co ma pan do powiedzenia - poprosił, zamykając segregator.

- Bez owijania w bawełnę.

I niech pan mi patrzy prosto w oczy.

Rafai westchnął.

- Musi pan zrozumieć, że nie możemy wykonać przeszczepu szpiku każdemu pacjentowi, który tego potrzebuje.

Przydzielamy nasze środki na podstawie diagnozy medycznej, kierując je tam, gdzie jest największe prawdopodobieństwo sukcesu. Niestety, w organizmie pańskiej córki chłoniak jest do tego stopnia rozwinięty...

- Bo nie wykonaliście na czas testów! - krzyknął

Mohammed. - Bo nie chcieliście zrobić testów!

- Musi pan zrozumieć, że wszyscy tutaj kochają pańską...

Mohammed wstał z krzesła.

- Kiedy pan podjął tę decyzję? Czy zdecydował pan o tym jeszcze przed badaniami?

Tak właśnie pan zrobił, prawda? Dlaczego nic pan nam nie powiedział? Dlaczego musieliśmy przez to wszystko przechodzić?

- Myli się pan - odparł Rafai. - Nie podjęliśmy ostatecznej decyzji...

- Czy jest coś, co mogę zrobić? - zapytał Moham med. - Cokolwiek. Błagam pana.

Proszę. Nie może nam pan tego zrobić.

- Przykro mi.

Profesor uśmiechnął się drętwo. Rozmowa była skończona.

Mohammed nigdy dotąd nie rozumiał fałszywych samobójstw: tych, które określa się mianem wołania o pomoc. W tym momencie pojął jednak, że nie sposób zakończyć pewnych rozmów, jeżeli nie okaże się w jakiś sposób towarzyszących im emocji. Nie śmiał przekazać Nur i Lajli tego, czego się dowiedział. Po prostu sobie tego nie wyobrażał. Złapał więc Rafaiego za klapy marynarki i cisnął go o ścianę gabinetu.

Podróż do Siwy nie przygotowała Gaille na widok samej oazy. Jazda tam trwała siedem godzin - najpierw wzdłuż porośniętego krzakami, ciasno zabudowanego wybrzeża Morza Śródziemnego, a następnie przez płaską bezludną pustynię, na której z rzadka tylko można było zobaczyć stację obsługi bądź też stado wielbłądów.

Ale potem znalazły się na szczycie wzniesienia i w miejscu pustki pojawiły się nagle rozmigotane słone jeziora i srebrzystozielone sady. Kiedy wjeżdżały na rynek Siwy, muezin wzywał wiernych do modlitwy. Słońce chowało się za ciemnoróżowymi ruinami Fort Sali.

Gaille opuściła szybę i zaczerpnęła powietrza. To, co zobaczyła, podniosło ją na duchu. Ulice były tu szerokie, przestronne i zakurzone. Prawie nie widać było samochodów ani ciężarówek. Ludzie poruszali się pieszo i jeździli rowerami albo wózkami zaprzężonymi w osły. Po aleksandryjskim zgiełku wydawało się to cudownie relaksujące i spokojne. Siwa leżała naprawdę na końcu świata. Dalej było wyłącznie Wielkie Morze Piasku. Oaza istniała sama dla siebie.

Wynajęły pokoje w hotelu wzniesionym w gaju palmowym. Były świeżo pomalowane i lśniące czystością, z wyszo - rowanymi oknami i łazienkami. Gaille wzięła prysznic i przebrała się, a potem Elena zapukała do niej i wybrały się z wizytą do doktora Alego Sajeda, przedstawiciela Naczelnej Rady Zabytków w Siwie.

## IV

Knox i Rick zsunęli się w dół na przednich fotelach subaru, gdy jedna z odkrytych ciężarówek wyjechała z obozu archeologów, omiatając reflektorami zagajnik, w którym się ukryli. Całodzienny sen naładował baterie Knoksa; w tym samym czasie naładowały się również baterie w jego laptopie. Kiedy ciężarówka odjechała, ponownie go włączył i zaczął

oglądać zdjęcia papirusów z Malawi.

- Moim zdaniem druga odjechała już wcześniej - po wiedział Rick.

- Poczekajmy jeszcze dziesięć minut. Na wszelki wypadek.

Rick skrzywił się, ale nie protestował.

- Jak ci idzie? - zapytał.

- Nieźle.

Laptop był stary, obraz na ekranie nieostry. Fotografie zrobili dla celów katalogowych, nie po to, by odczytać teksty. Oświetlenie było, łagodnie mówiąc, zmienne, większość papirusów po prostu nieczytelna. Mimo to dawało się odcyfrować niektóre wyrazy, a nawet frazy. Często były one celowo niejasne, na przykład gdy autor pisał: "a potem wydarzyło się to, co spowodowało mnie do Malawi". W innym miejscu nawiązywał

kilkakrotnie do kogoś "oświeconego", "znającego prawdę", "posiadającego wiedzę" i "strzegącego tajemnicy". A gdzie indziej...

- Nie wiem, kto to pisał - powiedział Knox - ale nie traktował tych, o których opowiadał, ze zbytnim szacunkiem.

- Co masz na myśli?

- Wszyscy faraonowie z dynastii Ptolemeuszów nosili to samo imię i dlatego, żeby się odróżnić, nadawali sobie przydomki. Pierwszy Ptolemeusz był na przykład znany jako Soter, czyli po grecku zbawca. Ale tutaj określa się go mianem Sotadesa.

- Sotadesa?

- Sprośnego aleksandryjskiego poety i dramaturga. Na pisał mnóstwo humorystycznych wierszy, wymyślił palindrom, a potem napisał sobie biedy, drwiąc z Ptolemeusza

Drugiego Filadelfosa za to, że ten poślubił swoją siostrę.

Swoją drogą, imię Filadelfos znaczy "ten, który kocha siostrę", lecz tutaj mówi się o nim "ten, który kocha grzech". Ptolemeusz Euergetes, czyli "dobroczyńca", jest tu "złoczyńcą".

Filopator, „kochający ojca”, jest „kochającym kłamstwo”.

Epifanes, „oczywisty bóg”, jest „oczywistym szachrajem”.

Rozumiesz, o co chodzi?

- Facet nie był chyba największym satyrykiem w dziejach, prawda?

- Nie. Ale samo nazwanie Ptolemeuszów w ten sposób...

Rick pochylił się w fotelu i nie mogąc usiedzieć w miejscu, zerknął przez przednią szybę na niebo, na którym świecił księżyc.

- Na pewno już odjechali - mruknął, zapalając silnik. - Ruszajmy.

- Jeszcze pięć minut.

- Dobrze - zgodził się niechętnie Rick, gasząc silnik. - Co jeszcze znalazłeś?

- Mnóstwo nazw miejscowości. Tanis, Buto, Buzyrys,

Mendes. Wszystkie ważne miasta w delcie Nilu. Jednak najczęściej powtarza się nazwa Lykon polis.

- Lykon polis. Miasto Wilków, tak?

- To grecka nazwa starożytnego miasta Asjut - przytaknął Knox.

Asjut leżało osiemdziesiąt kilometrów na południe od Malawi, w którym znaleźli papirusy, więc można to było od biedy zrozumieć. Ale coś kołatało Knoksowi w głowie i nie chodziło wcale o Asjut.

Na wiejskiej drodze pojawiły się kolejne reflektory. Obaj zsunęli się ponownie na fotelach.

- Wygląda na to, że miałeś rację - stwierdził Rick, szczerząc białe zęby. Druga ciężarówka zatrzymała się przed wjazdem na drogę, czekając, aż przejedzie pędzący nią samochód. Słyszeli jej tykający kierunkowskaz i zmęczone głosy robotników cieszących się, że dobiegł końca kolejny długi dzień. A potem ciężarówka skręciła do Tanty i zniknęła. - No dobrze - mruknął Rick, przekręcając po raz kolejny kluczyk w stacyjce. - Zabieramy się do dzieła, tak?

- Tak.

Księżyc świecił tak jasno, że wystarczyły im światła postojowe. Nie chcieli się afiszować, jednak z drugiej strony lepiej było nie sprawiać zbyt podejrzanego wrażenia.

Dotarli do rzędu drzew, przy których wcześniej parkowała ciężarówka.

Tablica na wbitym w ziemię paliku informowała po arabsku i angielsku, że wstęp mają tutaj

wyłącznie osoby upoważnione przez Naczelną Radę Zabytków oraz

*Macedońską Fundację Archeologiczną. Knox i Rick cofnęli się nieco, ukryli subaru w małym zagajniku i wyruszyli na poszukiwania. Kiedy Knox spał, Rick wybrał się na zakupy i teraz wręczył mu latarkę, choć nie było jeszcze tak ciemno, by nie mogli się bez niej obyć. Szeleściły poruszane chłodnym I wiatrem gałęzie. W oddali pohukiwał jakiś nocny ptak. Widzieli zorzę bijącą od odległego osiedla i krzyżującą się na drodze żółte światła reflektorów. Kiedy szli po polu, do podeszew przykleiła im się wilgotna ziemia. W samym rogu odnaleźli wykopaliska: doły o wymiarach cztery na cztery metry, poprzedzielane ściankami z belek, a za nimi rząd głębokich na metr pustych grobów, do których wnętrza nie sięgało padające ukośnie światło księżyca. Sprawdzenie wszystkiego zajęło im niecałe piętnaście minut.*

- Nie jest to raczej Dolina Królów - mruknął Rick.

- Nie możesz się spodziewać...

- Óóóó - syknął nagle Rick, kucając i przystawiając palec do ust. Knox obejrzał się, żeby sprawdzić, co zwróciło jego uwagę. Po kilku sekundach ujrzał pomarańczowy punkcik między drzewami. - Dwie osoby - szepnął Rick. - Palą razem skręta.

Wskazał pusty grób, którego dno spowijał mrok. Knox kiwnął głową. Zeskoczyli tam i obserwowali znad krawędzi zbliżających się dwóch mężczyzn w ciemnozielonych mundurach i czapkach. Wyglądali bardziej na prywatnych ochroniarzy niż na policjantów czy żołnierzy, ale przy pasach mieli czarne kabury. Jeden z nich trzymał na smyczy wielkiego owczarka niemieckiego, który warczał i szczyrzył kły, jakby zwiertzył podejrzaną zapach, lecz nie wiedział jeszcze, skąd dochodzi. Drugi ochroniarz zapalił latarkę i oświetlał nią kolejne doły.

Podchodzili coraz bliżej, dyskutując na temat jakiegoś filmu, który oglądali wcześniej w telewizji. Rick pomazał ziemią ręce i kark, dał znak Knoksowi, żeby zrobił to samo, i obaj położyli się na brzuchach. Strażnicy podeszli do ich grobu. Owczarek był coraz bardziej niespokojny, ale strażnik wrzasnął na niego i ściągnął smycz. Światło latarki przez chwilę błysnęło tuż nad nimi, a potem zniknęło. Niezgaszony niedopałek wylądował przy policzku Knoksa. Jeden z mężczyzn rozpiął spodnie i nie przerywając rozmowy ze swoim towarzyszem, wysikał się na ziemię nad ich głowami. Drugi opowiadał jakieś świństwa na temat swojej ulubionej aktorki. A potem obaj odwrócili się i odeszli, ciągnąc za sobą podnieconego psa. Rick poruszył się pierwszy.

- Mało brakowało, kurwa - mruknął.

- Zabierajmy się stąd - zgodził się Knox.

- W życiu - zaprotestował Rick. - Dwaj faceci i ow czarek pilnujący pustego pola.

Chcę zobaczyć, czego na prawdę strzegą.

- Mają broń, chłopie - zauważył Knox.

- No właśnie - uśmiechnął się Rick. - To zaczyna się robić ciekawe.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało. Przeze mnie.

- Mam to w dupie. Od dawna już się tak dobrze nie bawiłem - odparł Rick.

Nie dyskutując dłużej z Knoksem, wylażł z grobu i korzystając ze swojego doświadczenia, ruszył chyłkiem tam, gdzie zniknęli strażnicy. Knox podążał za nim, wdzięczny, że ma takiego towarzysza. Drzewa rzucały upiorne cienie, kiedy wspinali się po łagodnym długim zboczu. W pewnym momencie Knox dostrzegł przed sobą szarą plamę i wskazał ją Rickowi. Ten pokiwał głową, dał mu znak, żeby poczekał, i ruszył w tamtą stronę.

Po minucie pojawił się z powrotem.

- Dwa budynki - szepnął. - Jeden duży, drugi mały.

Zbudowane z betonowych bloków. Bez okien. Stalowe drzwi.

Kłódki. Obaj strażnicy pilnują mniejszego. To ten, do którego musimy wejść.

- Powiedziałeś chyba, że jest zbudowany z betonowych bloków i nie ma okien. Więc jak, do diabła, mamy wejść do środka?

Rick się uśmiechnął.

- Zobaczysz.

Doktor Ali Sajed mieszkał w imponującym piętrowym domu przy końcu wąskiej, wysadzonej drzewami alejki. Ciemnoskóry mężczyzna ze śnieżnymi włosami, brwiami i przystrzyżoną bródką siedział na dworze ze szklaneczką w jednej i pękatym piórem wiecznym w drugiej ręce. Na stoliku przed nim piętrzyła się sterta papierów.

- Hola! - zawołał wesoło. - Jesteście chyba znajomymi sekretarza generalnego.

Postawił szklaneczkę na papierach, żeby nie zwiały ich wiatr, i podszedł do gości.

Oaza leżała na starożytnym szlaku handlarzy niewolników i najwyraźniej w żyłach Alego płynęła nie tylko arabska, ale i murzyńska krew, co podkreślał swoim ubiorem: złocistoszkarłatną koszulą z krótkimi rękawami, szortami khaki i sandałami na gołych stopach.



- Pani nazywa się zapewne Koloktronis - zwrócił się do Eleny, podając jej rękę - a pani to Gaille Bonnard. No tak! Ma pani oczy swojego ojca.

- Słucham? - zapytała zszokowana Gaille.

- Jest pani córką Richarda Mitchella, prawda?

- Tak, ale...

- Dobrze! Kiedy Jusuf powiedział, że mają mi złożyć wizytę Elena Koloktronis i Gaille Bonnard, pomyślałem sobie: no tak, znam to nazwisko. Kiedy pani ojciec zginął w tym strasznym wypadku, odesłałem chyba pani jego papiery i inne rzeczy. Dostała je pani?

- To pan? Tak. Dziękuję.

Ali pokiwał głową.

- Pani ojciec był moim dobrym przyjacielem. Często u mnie bywał. Oczywiście i tak miło panią poznać. Ale córkę takiego dobrego człowieka witam tysiąc razy goręcej.

- Dziękuję.

- Chociaż dziwi mnie, muszę przyznać, że Jusuf Abbas tak ciepło panią zarekomendował. - Ali uniósł brew. - To chyba wykluczone, aby nie wiedział, kim był pani ojciec?

- Nie wiem - odparła Gaille, czerwieniąc się.

- Może powinienem mu to sam powiedzieć, kiedy się następnym razem spotkamy -

zadumał się, lecz widząc wyraz twarzy Gaille, ujął ją pod ramię. - Oczywiście żartuję.

Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Ma pani moje słowo.

A teraz wejdźcie do środka. Zaszczycie moje skromne progi.

Wchodźcie! Wchodźcie!

Gaille i Elena wymieniły spojrzenia. Nie spodziewały się tak wylewnego przyjęcia.

Ali klepnął dłonią szorstką żółtą zewnętrzną ścianę.

- To kharshif - wyjaśnił. - Błoto i sól. Mocne jak skała, ale ma jedną wadę. Kiedy pada, zmienia się z powrotem w błoto! - Zaparł się pod boki i hałaśliwie roześmiał. - Na szczęście w Siwie nie pada tak często. Ani kropli od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego! Teraz Siwa jest jednym wielkim blokiem betonu - dodał, po czym stuknął się w pierś. - Jeśli o mnie chodzi, lubię tradycję.

Przez drzwi frontowe wchodziło się do długiego holu ozdobionego setkami fotografii.

Jeszcze więcej leżało w stertach na podłodze. Jaśniejsze miejsca na ścianach wskazywały, że często je zmieniał. Jedno było pewne: nie należał do ludzi, którzy wstydzą się obiektywu.

Występował prawie na każdym zdjęciu: dyskutując na jakimś stanowisku archeologicznym na temat wykopalisk; na polowaniu z oficerem armii; trzymając białą gazelę z przestrzeloną głową ze sprzętem wspinaczkowym w połowie jakiegoś klifu; zwiedzając Paryż, St Louis, Granadę oraz inne miasta, których Gaille nie potrafiła rozpoznać; wymieniając uścisk dłoni z różnymi dygnitarzami, gwiazdami popkultury oraz egiptologami. Nie tyle ściana, ile cały dom poświęcony kultowi własnej osoby.

Weszli do kuchni, w której znajdował się szeroki kominek otwarty na nocne niebo.

Wielka, stara pozółkła lodówka zadygotała nagle i zaczęła brzęczeć. Ali kopnął ją i brzęk stał się cichszy.

- Napijcie się czegoś? - zaproponował. - Może nie wiecie, ale w Siwie obowiązuje prohibicja. Nasi młodzieńcy za bardzo lubią labgi, alkohol, który pędzimy z daktyli.

Labgi sprawia, że zaczynają się za bardzo wzajemnie lubić, więc koniec z alkoholem!

Lecz pod tym względem mój dom jest prawdziwą oazą!

Jego dobry humor wyprowadzał nieco Gaille z równowagi; nie mogła oprzeć się wrażeniu, że się z nich skrycie naśmiewa. Ali otworzył drzwi lodówki, odsłaniając dżunglę owoców i warzyw, a także okazały zapas piwa i białego wina.

- Pani ojciec wpoił mi brzydkie nałogi. Straszna rzecz, miłość do alkoholu -

powiedział, grożąc palcem Gaille. - Za każdym razem, kiedy mi się kończy, muszę wymyślać jakąś sprawę do załatwienia w Naczelnej Radzie w Kairze.

A ja nienawidzę Kairu. Wyjazd tam oznacza konieczność złożenia uszanowania sekretarzowi generalnemu, a wierzcie mi, że to zaszczyt, którego powinno się dostępować jak najrzadziej.

Nalał im po drinku, po czym zaprowadził z powrotem do holu, otworzył kluczem niebieskie drzwi, zapalił światło i wpuścił je do przestronnego pokoju. Owiało ich wspaniałe chłodne powietrze. Podłoga była wysłana puszystymi dywanami, okiennice zamknięte. Pod parapetem stał, głośno szumiąc, pojedynczy ciężki klimatyzator. Na dwóch stolikach stały komputer, płaski skaner i kolorowa drukarka, a obok nich trzy stalowe szafki na akta oraz wypełnione książkami, pomalowane na biało regały ze szklanymi, zamykanymi na klucz drzwiczkami na dole. Gaille zauważyła, że ściany są tutaj proste i gładkie. Przynajmniej ten pokój nie powinien zamienić się w błoto.

- Rozumiem, że przyjechałyście tu panie, żeby zbadać nasze stare stanowiska? Moja kolekcja jest do waszej dyspozycji - powiedział Ali, zataczając krąg ręką. - Jest tu wszystko, co opublikowano na temat oazy Siwa i Pustyni

Zachodniej. A także to, czego nie opublikowano.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała Elena.

Ali zbył jej podziękowania niedbałym gestem dłoni.

- Jesteśmy wszyscy archeologami - stwierdził. - Dla czego mielibyśmy coś przed sobą ukrywać?

- Ma pan fotografie?

- Oczywiście.

Ali otworzył najwyższą szufladę szafki, wyjął dużą mapę i rozłożył ją na stole.

Biegnące z północy na południe i ze wschodu na zachód linie dzieliły ją na opatrzone numerami kwadraty. Do każdego przypisany był oddzielny znajdujący się w szafce segregator zawierający ziarniste, czarnobiałe zdjęcia lotnicze oraz niekiedy zrobione na dole kolorowe zdjęcia wykopalisk. Ali zaczął wyjaśniać swój system katalogowy Elenie. Gaille penetrowała w tym czasie regały, przeglądając pliki wycinków prasowych na temat mumii z Al-

- Bahrii, historii Charidzi, Dahili i Farafiry oraz geologii pustyni. Poświęcone wyłącznie Siwie dwa regały były tak ciasno zapakowane, że musiała mocno pociągnąć, by wydobyć pierwsze wydanie dzieła Qibella A Visit to Siwa. Zaczęła z wielką ostrożnością przewracać poźółkłe, kruche kartki. Uwielbiała pełne fantazji podejście autorów tych książek, wydanych zanim nauka sprawiła, że fantazje wyszły z mody.

- Zna to pani? - zamruczał Ali, pojawiając się nagle u jej boku.

- Nie wszystko - przyznała. - Właściwie to...

Ali roześmiał się, lecz tym razem jego śmiech był łagodniejszy, bardziej życzliwy i autentyczny. Pochylił się i otworzył dolną szafkę. Wewnątrz piętrzyły się w drucianych koszach szare i brązowe segregatory wypełnione luźnymi papierami.

Oddzielnie stały notatniki i dzienniki. Ali wyciągnął gruby zielony segregator i podał jej.

- Zna pani manuskrypt z Siwy? Kronikę naszej oazy zapisywaną przez muzułmanów od... - machnął ręką, by dać jej do zrozumienia, że od zawsze. - Te zapiski czerwonym długopisem są moje. Mam nadzieję, że się pani przydadzą. - Odłożył segregator i wrócił do książek. - Ach! Tak! Ahmed Fakhry. Wielki człowiek. Mój mentor i dobry przyjaciel. Czytała pani jego książki?

- Tak. - Były to jedyne prace, do których zdążyła zajrzeć.

- Doskonale. Aha! I to! Travels in Africa, Egypt and

Syria from the Year 1792 to 1798 W.G. Browne'a. Pierwszy od wielu stuleci Europejczyk, który odwiedził Siwe... a w każdym razie o niej napisał. Widział w nas paskudnych brudasów.

Ciskaliśmy w niego kamieniami, ponieważ udawał człowieka wierzącego. Jak bardzo zmienił się świat. A tu Belzoni, ulubiony przez wszystkich cyrkowy siłacz. I Frederick Hor -

nemann, oczywiście Niemiec, ale piszący po angielsku. Jego podróż sfinansowało Londyńskie Towarzystwo Afrykańskie w roku... niech no spojrzą... tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym.

- Nie ma czegoś bardziej aktualnego?

- Ależ oczywiście, oczywiście. Dużo książek. Kopie każdego dziennika wykopalisk.

Ale niech mi pani wierzy, kiedy ci ludzie odwiedzali nas w poprzednich epokach, nasze pomniki i groby były w znacznie lepszym stanie. Teraz wiele rozsypało się w pył."Imię moje Ozymandias, król królów wspaniały"\*. - Ali westchnął i potrząsnął ze smutkiem głową. -

Tyle rzeczy zostało utraconych. Czyta pani po niemiecku?

- Tak.

- To dobrze. Dzisiaj nigdy nic nie wiadomo. Nawet szacowne uniwersytety nadają doktoraty ludziom, którzy nie potrafią dobrze mówić we własnym języku. Mam tu Siwah, Die Oase des Sonnengottes in der Libyschen Wuste J.C.

Ewalda. A także Voyage a Meroe Cailliauda; musi pani to przeczytać. I tego bandytę Drovettiego! Musiałem wybrać się do Turynu, żeby zobaczyć Królewską Listę. Turyn! Jest jeszcze gorszy od Kairu! Próbowali mnie zabić tymi swoimi tramwajami!

- Kiedy możemy zacząć? - zapytała Elena.

- Kiedy pani by chciała?

- Dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem! - roześmiał się Ali. - Czy pani nigdy nie odpoczywa?

- Mamy tylko dwa tygodnie.

- Niestety, dzisiaj nie. Mam plany na wieczór. Ale

Percy Bysshe Shelley, Ozymandias, przełożył Stanisław Barańczak. jestem rannym ptaszkiem. Zapraszam tutaj o każdej porze od siódmej.

- Dziękujemy.

## VI

Rick i Knox okrążyli budynki tak, żeby nie zwietrzył ich owczarek. Strażnicy wyruszyli w kolejny obchód dopiero po dziewięćdziesięciu minutach. Kiedy tylko zniknęli im z oczu,

Rick podbiegł do mniejszego budynku. Zbadał dwie potężne y kłódki przy drzwiach, po czym wyjął z kieszeni zakrzywiony kawałek grubego drutu i szybko je otworzył.

- Gdzie się, do diabła, tego nauczyłeś? - mruknął Knox.

- W australijskich siłach specjalnych, stary - stwierdził z uśmiechem Rick, chowając kłódki do kieszeni i wpychając go do środka. - Nie uczą tam szydełkowania. - W podłodze był głęboki dół z przymocowaną do jednej ze ścian drewnianą drabiną. - Do drugiego rejonu wykopalisk jest stąd szesnaście minut - powiedział. - Zmierzyłem czas. Szesnaście razy dwa daje trzydzieści dwie minuty. Musimy stąd wyjść najpóźniej po dwudziestu pięciu. Jasne?

- Więc lepiej się pośpieszmy - powiedział Knox, schodząc pierwszy i czując zastrzyk adrenaliny.

Drabina zaskrzypiała, lecz utrzymała jego ciężar i wkrótce stanął na dole. Chwilę później dołączył do niego Rick. Ruszyli razem wąskim korytarzem. Rick oświetlił latarką mijane przez nich ścienne malowidło.

- Jezu - mruknął. - Myślałem, że wilkołaka wymyślili w wydawnictwie Marvel Comics.

- To nie wilkołak - poprawił go Rick. - To bóg pod postacią wilka. Wepwawet.

Rick spojrzał na niego z ukosa.

- Co się stało? - zapytał. - Zobaczyłeś ducha?

- Niezupełnie.

- Więc co? Domyśliłeś się może, co to za miejsce?

- Tak mi się wydaje. Tak.

- Więc mów, stary.

Knox zmarszczył czoło.

- Co wiesz o kamieniu z Rosetty? - zapytał.

## **Rozdział 26**

- Szefie! Szefie!

Nessim spiorunował wzrokiem Ratiba. Odkąd wyznaczyli nagrodę, telefony dzwoniły jak szalone. Należącego do Knoksa jeepa widziano wszędzie od Marsa Matruh aż po Asuan, podobnie zresztą jak samego Knoksa. Nessim marzył

o sukcesie choćby dlatego, by móc odwołać te cholerne poszukiwania. Im dłużej jednak to trwało, tym mniej na to liczył.

- Co jest? - zapytał.

- To Abdullah, szefie - odparł Ratib. - No wiesz.

Z Tanty. Mówi, że któryś z jego ludzi znalazł jeepa.

- Gdzie?

Ratib potrząsnął głową.

- Dzieciak nie powie, dopóki nie dostanie pieniędzy.

1 chce więcej. Domaga się tysiąca. A Abdullah tyle samo.

Nessim się nachmurzył. Nie chodziło o pieniądze, które należały w końcu do Hassana.

Denerwowało go to, że ktoś stawia go pod ścianą. Ale jeżeli to prawda... Sięgnął do pasa z pieniędzmi, żeby sprawdzić, ile ma przy sobie.

- Powiedz mu, że chcemy dowodu - powiedział. - Niech prześle fotografie. Jeżeli to ten jeep, każdy dostanie siedemset pięćdziesiąt.

Ratib potrząsnął głową.

- Dzieciak nie chce tam wracać. Boi się, że Abdullah będzie go śledził i nic nie dostanie.

Nessim parsknął śmiechem. Spotkał się z Abdullahem dwukrotnie i za każdym razem instynktownie sprawdzał kieszenie, żeby upewnić się, czy jeszcze ma swój portfel.

- Każ mu opisać, co dokładnie zobaczył.

Ratib kiwnął głową i przekazał pytanie.

- Mówi, że jeep był zakryty zieloną plandeką - zrelacjonował. - Mówi, że zajrzał do środka. Zobaczył pudełko z płytami CD i książki.

Nessim zabrał komórkę Ratibowi.

- Jakie książki? - zapytał.

- Nie wiem - odparł dzieciak. Sądząc po głosie, był przerażony, sytuacja kompletnie go przerosła. - Były w obcym języku.

Nessim przypomniał sobie hotelowy pokój Knoksa i książki na temat archeologii, które stamtąd zabrał.

- Czy w środku były obrazki?

- Tak.
- Jakie?
- Ruiny - odparł dzieciak. - Wie pan. I ci ludzie, co kopią na pustyni.

Nessim zacisnął pięść.

- Nie ruszaj się z miejsca - powiedział. - Jedziemy do was.

## II

- Kamień z Rosetty? - zapytał Rick, robiąc kilka zdjęć malowidła swoim cyfrowym aparatem i ruszając dalej. - Dlaczego pytasz? Wiem to, co powinienem wie dzieć.

- To znaczy?

Rick wzruszył ramionami.

- To wielki fragment monumentalnej steli. Z czarnego bazaltu czy czegoś podobnego.

- Ze skały kwarcowej - poprawił go Knox. - Powinna być właściwie szara z różowymi żyłkami. Czarny kolor wziął się z nadmiaru wosku i londyńskiego gruzu.

- Są na niej inskrypcje w trzech językach - podjął

Rick. - W piśmie hieroglificznym, demotycznym i po grecku. I znaleźli ją w Rosetcie ludzie Napoleona. W roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym, prawda?

- Zgadza się.

Doszli do drugiego malowidła, które było podobne do pierwszego. Rick zrobił dwa zdjęcia, w ciemności błysnęło światło flesza.

- Uświadomiono sobie, że można będzie dzięki niej odszyfrować hieroglify, i zaczęto szukać innych fragmentów.

Byłyby, jak ktoś to ujął, warte swojej wagi w diamentach. - Rick spojrział z ukosa na Knoksa. - Chcesz powiedzieć, że tego tu szukamy? Zagubionych kawałków kamienia z Rosetty?

- Nie.

- Nie znaleziono niczego, ponieważ kamień nie pochodził wcale z Rosetty.

Przywieziono go tutaj w charakterze materiału budowlanego. - Mijane przez nich ściany stały się nagle czarne od kopcia; na spalonej glinie widniały wielkie pęknięcia. - Musiało się tu nieźle hajcować - mruknął Rick, robiąc zdjęcia.

- Mówiłeś o kamieniu z Rosetty - przypomniał mu

Knox.

- Tak. Zrobiono duplikaty. Ścigano się, kto pierwszy odcyfruje inskrypcję. Przełomu dokonał JeanFrancois Champollion. Ogłosił wyniki swoich prac w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku.

- W roku tysiąc osiemset dwudziestym drugim. Dokładnie dwudziestego siódmego września. Wiele osób uważa, że tego dnia narodziła się nowoczesna egiptologia.

Rick wzruszył ramionami.

- To wszystko, co wiem.

- Nieźle - pochwalił go Rick. - Ale wiesz, o czym w ogóle nie wspomniałeś?

- O czym?

- O samej inskrypcji. O czym jest.

Rick roześmiał się ze smutkiem.

- Masz rację. Jak to możliwe?

- Nie jesteś odosobniony. Wielki pomnik, symbol starożytnego Egiptu i mało kto wie, o czym mówi.

- Więc o czym mówi?

Knox skierował latarkę do przodu. W jej świetle załśnił biały marmur portalu i leżące po jego obu stronach upiorne wilki.

- Inskrypcja określana jest mianem dekretu z Memfis - podjął, kiedy ruszyli dalej. -

Miała uczcić wstąpienie na tron Ptolemeusza Piątego Epifanesa w sto dziewięćdziesiątym szóstym roku przed naszą erą. Ptolemejski złoty wiek dawno już wtedy oczywiście minął, o co można winić Ptolemeusza

Czwartego.

- Lubił balować - mruknął Rick, kucając, żeby sfotografować wilki.

- Właśnie. Król Seleukidów Antioch Trzeci uznał, że władca Egiptu jest mięczakiem i można go oskubać. Zajął

Tyr, Ptolemaidę i dużą część egipskiej floty.

- Oszczędź mi szczegółów - wtrącił Rick. - Pamiętaj, że mamy mało czasu.



- W porządku - zgodził się Knox, idąc dalej. - Doszło do wielkiej bitwy pod Rafią.

Egipcjanie wygrali. W kraju przywrócono pokój. To powinno okazać się dobrą wia domością.

- Ale?

- Podatki już wcześniej były mordercze. Ptolemeusz musiał je podnieść, żeby sfinansować wojnę i uroczystości z okazji zwycięstwa. Szerzyło się niezadowolenie. Ludzie opuszczali swoje gospodarstwa. W całym Egipcie doszło do potężnych zamieszek.

Ptolemeusz Czwarty został zamorowany, a jego następca, Ptolemeusz Piąty, był jeszcze dzieckiem. Rebelianci atakowali posterunki wojskowe i świątynie w delcie Nilu. Ludzie Epifanesa ścigali ich. Rebelianci schronili się w cytadeli.

- Zgadza się - potwierdził Rick, strzelając palcami. - Myśleli, że będą tam bezpieczni.

Pomylili się.

- Bardzo się pomylili - zgodził się Knox, kiedy zeszli po dwóch schodkach do następnego wejścia. - Według inskrypcji na kamieniu z Rosetty ludzie Epifanesa zdobyli cytadelę i wszystkich wyrznęli.

- Czarujące.

- Wiesz, gdzie to się wydarzyło? W miejscowości o nazwie Lykon polis, w nomie, którego stolicą było Buzyrys.

- W nomie Buzyrys? Czy to nie tu, gdzie jesteśmy?

- Owszem - potwierdził Knox, kiedy dotarli do portu. - Witaj w cytadeli starożytnego Lykon polis.

Rick wszedł tam pierwszy, trzymając przed sobą latarkę.

- O Jezu - jęknął, dostrzegając, co jest w środku, po czym odwrócił się i uciekł

spojrzeniem w bok, jakby zrobiło mu się niedobrze.

### III

-

Chodźcie - powiedział z uśmiechem Ali Sajed. - Nie będziemy marnować takiego pięknego wieczoru w bibliotece.

Gaille i Elena usiadły z nim przy stojącym na zewnątrz stole. Zerwał się wiatr i zrobiło się chłodniej. W oddali ćwierkały ptaki. Gaille słuchała, jak Elena i Ali gawędzą o wspólnych znajomych i egzotycznych wykopaliskach, które oboje odwiedzili. Po kilku chwilach Ali odwrócił się do niej.

- Pani biedny ojciec - powiedział. - Często o nim myślę. Jak pani zapewne wie, czcigodny sekretarz generalny nie darzył go zbyt wielkim szacunkiem. Co do mnie, pracuję wyłącznie z ludźmi, których szanuję. Nikt nie kochał bardziej od niego tego kraju.

- Dziękuję.

Ali się uśmiechnął.

- A teraz proszę mi powiedzieć, co będziecie robić w Siwie - zwrócił się ponownie do Eleny. - Jusuf na pomknął tajemniczo, że znaleźliście coś interesującego w Aleksandrii.

- Można tak powiedzieć.

- I to ma jakiś związek z Siwą?

- Owszem. - Elena wyjęła z torebki plik zrobionych przez Gaille fotografii. - Proszę mi wybaczyć, ale Jusuf nalegał, żebym poprosiła pana o dyskrecję.

- Oczywiście - pokiwał głową Ali. - Nie pisną nikomu ani słówka.

- Dziękuję - odparła.

Pokazała mu zdjęcia, wyjaśniając, gdzie je zrobili i co oznaczają, następnie zaś przeczytała tłumaczenie zaszyfrowanej inskrypcji.

- Grób odpowiedni dla Aleksandra - mruknął Ali, przeglądając zdjęcia. - I macie nadzieję odnaleźć go w dwa tygodnie?

- Mamy nadzieję, że w dwa tygodnie poczynimy jakieś postępy - stwierdziła Elena. -

Wystarczające, żeby przy znano nam kolejne dwa.

- Jak?

- W tekście jest kilka wskazówek - odparła Elena i zaczęła wyliczać je na palcach. -

Przede wszystkim to, że z grobowca widać wyrocznię Amona; że mieści się w środku wzgórza; że wejście do niego jest zasypane piaskiem; że wykopano go w tajemnicy. Jutro rano, za pańskim pozwoleniem, sporządzimy listę wzgórz, z których widać wyrocznię Amona. Następnie je odwiedzimy.

Ali podniósł brwi.

- Wiecie, ile to może być miejsc?

- Część możemy od razu wyeliminować. Grobowiec budowany był w tajemnicy; to wyklucza miejsca położone obok starożytnych osad i dróg. Poza tym ludzie, którzy ryją w skale, muszą pić dużo wody.

Musieli mieć do niej dostęp.

- Siwa to oaza tysiąca źródeł.

- Owszem. Ale wiele z nich jest słonych, a większość tych ze słodką wodą znajduje się w osadach.

- Mogli wykopać własną studnię.

- Będziemy jej szukać - zgodziła się Elena. - Mamy listę rzeczy, na które powinniśmy zwrócić uwagę. Wydobytą skałę można na przykład, jak pan dobrze wie, rozpoznać po rowkach zostawionych przez narzędzia. Duże nagromadzenie takich skał powinno nas zainteresować.

Kopanie na pustyni jest trudne. Piasek jest tak drobny i suchy, że przemieszcza się niczym ciecz. Macedońscy żołnierze byli doświadczonymi inżynierami. Być może użyli ściany oporowej. Pańskie zdjęcia lotnicze mogłyby pomóc odnaleźć jej zarys.

Kazałam również dostarczyć trochę urządzeń zdalnego rozpoznawania. Magnetometr cezowy, zdalnie kierowany minisamolot do zdjęć lotniczych.

Ali przeglądał fotografie. Gaille patrzyła na niego. Nagle stężyła mu twarz, lecz natychmiast się opanował i rozejrzał z udawaną nonszalancją, po czym obejrzał pozostałe zdjęcia i oddał im cały plik.

- No cóż - powiedział. - Życzę paniom powodzenia.

Między palmami daktylowymi zamigotały światła reflektorów. Kryta brezentem ciężarówka podjechała alejką i zatrzymała się z piskiem hamulców na podjeździe. Ali wstał z fotela.

- Jusuf zasugerował, że będą panie potrzebowały prze wodników - oświadczył. -

Pozwoliłem sobie skontaktować się w waszym imieniu z Mustafą i Zajnem. Są najlepsi w Siwie. Wiedzą wszystko.

- Dziękuję - powiedziała Elena. - To nam oszczędzi wielu kłopotów.

- Drobiazg. Musimy sobie pomagać, prawda? - Drzwi ciężarówki otworzyły się i wysiedli z niej dwaj mężczyźni. - Pomyślałem o nich, kiedy tylko Jusuf wymienił pani nazwisko - zwrócił się do Gaille.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

- Dlaczego?

- Ponieważ to oni byli z pani ojcem tamtego strasznego dnia - odparł Ali i nagle ulotniła się gdzieś cała jego serdeczność. Przez chwilę przyglądał się jej z niemal kliniczną obojętnością, tak jakby ciekawiła go jej reakcja.

Lecz potem opanował się, uśmiechnął i wszedł z powrotem w rolę idealnego gospodarza, życzliwego i tryskającego pozytywną energią.

#### IV

Knox poświecił latarką, żeby sprawdzić, co tak bardzo wstrząsnęło Rickiem.

Wszędzie na podłodze leżały ludzkie szkielety, niektóre całkiem małe. Wiele z nich miało na sobie skrawki ubrania, biżuterię i amulety.

- Och, człowieku - skrzywił się Rick. - Co tu się, do diabła, stało?

- Pamiętaj o oblężeniu - odparł Knox, udając spo kojniejszego, niż był w rzeczywistości. - Mężczyźni wal czyli. Kobiety, dzieci i starcy starali się gdzieś schronić.

Podziemna świątynia wydawała im się idealnym miejscem.

Do momentu kiedy ktoś ją podpalił, odcinając im jedyną drogę ucieczki.

- Chryste! Co za śmierć...

Knox pokiwał głową bardziej do własnych myśli niż do Ricka. Przypomniawszy sobie pewien epizod z dziejów Aleksandra Wielkiego. W Samarii doszło kiedyś do powstania i zabito macedońskiego namiestnika. Aleksander zburzył miasto, zabił wszystkich buntowników, których udało mu się złapać, po czym zagonił pozostałych dwustu do pustynnej jaskini. Zamiast wchodzić tam w ślad za nimi, rozpalili ognisko przy wejściu i zadusił wszystkich dymem. Ich szczątki zostały niedawno odkryte wraz z pieczęciami i dokumentami uważa - nimi za najstarsze z dotychczas odnalezionych zwojów znad Morza Martwego. Knox nigdy nie przywiązywał wielkiej wagi do tego incydentu, uważając go za prawie nieistotny szczegół licznych kampanii Aleksandra. Nagle zaczął jednak współczuć wszystkim ludziom, którzy stanęli na drodze jego chwalebego pochodu. Rick pociągnął go za ramię.

- Nie bujaj w obłokach, chłopie. Zostało nam tylko dziesięć minut.

Knox oderwał wzrok od sterty szkieletów i rozejrzał się dookoła. Znajdowali się rzeczywiście w podziemnej greckiej świątyni. Jońskie kolumny stały wzdłuż zewnętrznych ścian i przed pronaosem\*. Na betonowych blokach oparty był drewniany pomost, dzięki któremu archeolodzy mogli się szybciej poruszać i nie powodować szkód. Knox wszedł do pronaosu, na którego ścianach widniały płaskorzeźby przedstawiające sceny pasterskie, bluszcz, owoce oraz zwierzęta, a następnie do naosu\*\*, w którym stał marmurowy posąg Aleksandra na koniu.

- Popatrz! - mruknął Rick, pokazując mu stopnie w przeciwległym rogu. - Schody.

Stopnie prowadziły w dół do krypty. Przy ścianie stał sarkofag z umieszczonym z boku greckim napisem.

- Kelonimus - przeczytał Knox. - Posiadacz tajemnicy, fundator wiary.

- Kelonimus? - zdziwił się Rick. - Czy to nie twój znajomy z papirusów?

- Iz Aleksandrii. - Pod ścianami stały kamienne kadzie wypełnione wapiennymi i glinianymi ostrakonami. Knox

\* Część przednia świątyni greckiej stanowiąca przedsionek części głównej. \*\*

Główne pomieszczenie świątyni.

I podniósł jeden z nich i przyjrzał się niewyraźnemu napisowi. - Prośba do bogów - powiedział.

- Więc to świątynia? Ku czci Kelonimusa?

Knox potrząsnął głową.

- Ku czci Aleksandra - oświadczył. - To jego posąg stoi tam wyżej. Ale Kelonimus musiał być jej fundatorem lub głównym kapłanem. Więc co takiego mamy? - zapytał

retorycznie, kucając na piętach. - Stary człowiek w Malawi pisze o swoim dzieciństwie w Lykon polis. Składa hołd

Aleksandrowi, Akylosowi i Kelonimusowi. Gardzi Ptolemeuszami, uważa ich za kłamców i uzurpatorów. I dlaczego ludzie Epifanesa byli tacy bezwzględni, kiedy zdobyli cyta delę? Wszyscy zostali wyróżnieni albo zawleczeni na miejsce kaźni. - Knox zerknął na Ricka. - Czy to nie oznacza, że mamy tu do czynienia z czymś więcej niż zwykłymi zamiesz kami? Rebelianci na południu zostali ułaskawieni. Więc dlaczego trzeba było zabić tych wszystkich ludzi?

- Coś wiedzieli - zasugerował Rick. - Trzeba było im zamknąć usta.

- Posiadacz tajemnicy - pokiwał głową Knox. - To musiała być nie lada tajemnica.

- Przychodzi ci coś do głowy?

Knox zmarszczył czoło, czując, że świta mu możliwa odpowiedź.

- Tak naprawdę Egipcjanie nigdy nie zaakceptowali

Ptolemeuszów - powiedział. - Tolerowano ich, ponieważ byli bezpośrednimi następcami Aleksandra. Dlatego tak często się na niego powoływali. Rozsiewali pogłoski, że Ptolemeusz

Pierwszy był bratem Aleksandra i zbudował mauzoleum dla niego i dla siebie, żeby spoczywać w tym samym miejscu.

Wyobraź sobie, co by było, gdyby zakwestionowano legalność tej sukcesji.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, wyobrażę to sobie póź niej - odparł Rick, stukając palcem w zegarek.
- Spadajmy stąd.

Knox pokiwał głową. Wspięli się po schodkach i pobiegli pomostem i korytarzem do drewnianej drabiny. Rick wdrapał się pierwszy. Spiesząc się, nie dbał już tak bardzo o zachowanie ciszy. Knox starał się dotrzymać mu kroku.

- W porządku - mruknął Rick, kiedy dotarli na górę. - Wyjrzyjmy na zewnątrz.

Otworzył stalowe drzwi, dał znak Knoksowi, że droga wolna, i zamknął za nimi kłódki. Po ich lewej stronie zamigotała w pewnej odległości latarka i zawarczał pies.

- Udało się w ostatniej chwili - mruknął Rick, lecz w tym samym momencie zza rosnącego tuż przed nimi drzewa wyszedł drugi strażnik, zapinając rozporek. Spojrzeli na siebie zszokowani.

- W nogi! - krzyknął Rick. - W nogi!

-

## Rozdział 27

Knox i Rick skoczyli w stronę drzew, osłaniając twarze przed gałęziami.

- Stać! - zawołał strażnik. - Stać, bo strzelam! - Rozległ się huk wystrzału. - Stać! -

krzyknął ponownie.

Lecz oni nie zwalniali kroku, przedzierając się między drzewami. Po chwili wypadli na zaorane pole i przebiegli je na ukos, kierując się w stronę, gdzie powinno stać subaru.

Stopy zapadały im się w mokrej ziemi, buty robiły się coraz cięższe od błota.

Za sobą słyszeli wściekłe ujadanie owczarka. Knoksa ponownie złapała kolka. Nie był

tak wysportowany jak Rick i zaczął zostawać w tyle. Obejrzał się. Dystans od ścigających zwiększał się, ale ten cholerny pies zwęszył ich trop.

- Nie zwalnij - polecił Rick, wyczuwając, że Knox traci siły. - Samochód jest już niedaleko.

Biegli przez całą minutę, zanim Knox znowu się obejrzał. Mimo zachmurzonego nieba dostrzegł sylwetki dwóch strażników na grzbiecie niskiego wzgórza. Jeden z nich zatrzymał się, wycelował i posłał w jego stronę kilka kulek. Knox potknął się i upadł, kiedy zaświstały mu koło uszu. Jego uda protestowały, gdy zerwał się z powrotem na nogi.

Dalszy bieg przychodził mu z najwyższą trudnością: z trudem łapał każdy oddech, w boku kłuła go kolka. Rick coraz bardziej się od niego odsądzał.

Strażnicy musieli się zorientować, że sami ich nie dogonią, bo spuścili ze smyczy owczarka i stanęli, szcując go głośno. Pies nadbiegł po miękkiej ziemi, ziając i szczerząc kły, i złapał Knoksa zębami za łydkę. Próbując go kopnąć, Knox się przewrócił, a owczarek błyskawicznie skoczył mu do gardła, tocząc pianę z pyska.

Knox starał się go desperacko odepchnąć. Ostre kły zamknęły się tuż przy jego twarzy. Dwaj strażnicy zbliżali się, dysząc ciężko po długim pościgu. Knox myślał, że już po nim, lecz nagle usłyszał warkot silnika, zabłyśły światła reflektorów i zatrzymało się przy nim subaru. Rick wyskoczył z samochodu i zaatakował z krzykiem psa, który zostawił Knoksa i cofnął się zdezorientowany, pozwalając im wgramolić się do subaru. Chwilę później odzyskał

jednak rezon i skoczył do drzwi od strony Knoksa, wściekle ujadając. Strażnicy byli tużtuż.

Rick wrzucił wsteczny bieg i wcisnął gaz do dechy. Zatoczyli tyłem krąg po polu, a potem pomknęli do przodu. Huknęły strzały. Boczna szyba od strony Knoksa rozprysła się na kawałki, a przednia nagle zmatowiała. Rick wybił w niej dziurę pięścią, po czym wjechał z powrotem na polną drogę i popędził w stronę szosy.

Knox obejrzał się przez ramię. Strażnicy zniknęli w mroku. Strzelający z broni palnej prywatni ochroniarze nie powinni raczej zawiadamiać władz, ale mogli mieć kolegów, którzy zaczną szukać subaru.

- Lepiej przesiądźmy się do jeepa - powiedział.

/

.

- Myślisz, że to rozsądne? Może powinniśmy raczej na chwilę się przyczaić?

Knox potrząsnął głową.

- Kelonimus jest stale określany mianem posiadacza tajemnicy. Chcę wiedzieć, co to za tajemnica. Stawiam pięć dolarów przeciwko pięćdziesięciu, że odpowiedź jest na tej cholerniej inskrypcji z dolnej komory w Aleksandrii. Tej zapisanej pismem demotycznym.

- Wydawało mi się, że nie znasz demotycznego.

- Nie znam - przyznał Knox. - Dlatego musimy odwiedzić mojego kumpla.

- Aha! A gdzie go mamy szukać?

- Byłeś kiedyś w Farafirze?

- W Farafirze! - zaprotestował Rick. - To na drugim końcu Egiptu.

- Tym bardziej nie mamy czasu do stracenia.

Oczy Kareema wyszły z orbit, kiedy Nessim rozpiął pas z pieniędzmi i wyjął z niego gruby plik pięćdziesięciodolarówek. Nigdy w życiu nie widział tyle gotówki. Nie wyobrażał

sobie nawet, że można tyle mieć. Patrzył jak urzeczony na Nessima odliczającego piętnaście banknotów dla AbduUaha, a potem kolejne piętnaście, których jednak na razie mu nie wręczył.

- Prowadź nas do jeepa - rozkazał.

Kareem wsiadł do freelandera, którego tylna szyba była wybita i zaklejona folią.

Zaczęło padać i dając wskazówki, jak jechać, trochę się gubił. Nigdy w życiu nie był

taki przerażony i jednocześnie taki podniecony. Bał się, że popełnił jakiś gigantyczny błąd albo że właściciel jeepa wrócił po niego w ciągu minionej godziny. Wiedział, że nie skończy się wówczas na utracie nagrody. Wystarczyło spojrzeć na Nessima i jego ludzi, by wiedzieć, że będą musieli wyładować na kimś swoją frustrację.

Dojechali do zabudowań, zatrzymali się na podwórku i brnąc po błocie, doszli do stalowych drzwi. Kiedy je otworzyli, Kareem przez chwilę nic nie widział i rozpaczliwie zabiło mu serce. Ale potem w mroku zamajaczył jeep i chłopak przełknął z ulgą ślinę.

Jeden z mężczyzn uniósł plandekę, żeby sprawdzić znaki rejestracyjne.

- To ten - oznajmił.

- Świetnie. - Nessim ponownie rozpiął pas i wręczył

Kareemowi gotówkę. - A teraz wynoś się stąd - poradził mu. - I nie wąż się wracać.

Kareem pokiwał energicznie głową i zaciskając w dłoni banknoty, pobiegł przez kałuże, jakby gonił go go tabun diabłów. Oglądając się za siebie, zobaczył, że Nessim rozdaje latarki i pistolety, a potem rozstawia swoich ludzi, szykując zasadzkę. Komuś groziło najwyraźniej śmiertelne niebezpieczeństwo, lecz Kareem miał to w nosie.

Uszczęśliwiony wiedział, że zaczyna nowe życie.

### III

Kiedy zbliżali się do Tanty, zaczęło padać. Wodny tuman wpadał przez dziury w szybach.

- Chcesz przeczekać deszcz? - zapytał Knox.

- Nie - odparł Rick, próbując coś przed sobą dojrzeć. - Zaraz minie.

Najwyraźniej znał się na pogodzie, ponieważ deszcz przestał wkrótce padać.

Włączone na pełny regulator ogrzewanie przyjemnie suszyło ich mokre spodnie. Na południe od



Tanty zjechali z głównej szosy.

- Gdzie to jest, do diabła? - mruknął Rick, wypatrując opuszczonej farmy.

- Zaraz dojedziemy - odparł Knox, chociaż wcale nie był tego taki pewny. Z

ciemności wyłonił się nagle młody człowiek, który otworzył szeroko oczy i usta na ich widok.

Chmury były tak gęste, że minęli prowadzącą do farmy polną drogę i musieli się trochę cofnąć, żeby w nią skręcić.

Deszcz wypełnił rozpadliny, w które co chwila wpadali, rozpryskując wodę.

Zawieszenie skrzypiało, reflektory tań czyły po drzewach i ścianach obórek. Rick pochylił się nad kierownicą i jechał noga za nogą, wpatrując się intensywnie przed siebie.

Knox spojrział na przyjaciela.

- Co jest, stary? - zapytał.

- Ten chłopak, którego minęliśmy - mruknął Rick. - Coś mi się w nim nie spodobało.

- Chcesz zawrócić?

Rick potrząsnął głową.

- Kiedy znajdziemy się na głównej drodze, z taką szybkością nie przejedziemy nawet dziesięciu mil.

- Więc zwolnij.

- A co ja, twoim zdaniem, kurwa, robię?

Podenerwowani wjechali na podwórko, wpatrując się w mrok. Światło ich reflektorów odbiło się od płytkich kałuż na betonie. Przed nimi był pas błota. Obaj jednocześnie zobaczyli na nim świeże ślady stóp.

- Cholera! - zaklął Rick, po czym wcisnął gaz i ostro zawrócił.

Zapisały opony i siła odśrodkowa rzuciła Knoksa na drzwiczki.

Spomiędzy drzew wyjechał nagle biały freelancer Nessima z zapalonymi długimi światłami, które obu ich oślepiły. Rick próbował go ominąć, ale koła straciły przyczepność na mokrym betonie i oba samochody zderzyły się czołowo.

Zazgrzytały blachy, posypało się szkło i otworzyły poduszki powietrzne, przygważdżając ich do foteli. Zanim Knox doszedł do siebie, minęła chwila - chwila, która była na wagę złota. Ktoś otworzył drzwiczki i ogłuszył go ciosem w skroń.

Wyciągnięto go za kołnierz z samochodu i powleczono po szorstkim betonie. Był zbyt oszołomiony, żeby stawiać opór, w uszach dzwoniło mu niczym na wieży kościelnej. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się razem z Rickiem w środku budynku i zatrzasnęły się za nimi stalowe drzwi. Nessim kopnął go w plecy, stanął nad nim okrakiem i wycelował w jego pierś.

- Kim jest twój przyjaciel? - zapytał, wskazując la tarką Ricka, który jęczał i masował

czoło, wcierając we włosy strużkę krwi. Próbował uklęknąć, ale po chwili znowu się wywrócił i zwymiotował, co wzbudziło śmiech

Egipcjan.

- To nie jest przyjaciel - wymamrotał Knox wciąż potężnie oszołomiony. - Kierowca.

O niczym nie wie.

Puście go.

- Jasne - parsknął śmiechem Nessim.

- Przysięgam. O niczym nie wie - powtórzył Knox.

- Więc ma porządnego pecha, nie?

Knox uniósł się na łokciu. Zaczęło mu się rozjaśniać w głowie.

- Dużo zarabiasz, pracując u alAssyutiego? - zapytał.

Na policzkach Nessima pojawiły się czerwone plamy.

- Nic nie wiesz o moim życiu - odparł.

- A ty wiesz dosyć o moim, żeby położyć mu kres, prawda?

- Sam jesteś sobie winien - warknął Nessim. - Wie działaś chyba, czym to grozi.

Rickowi udało się tym razem uklęknąć.

- Co się tutaj dzieje? - wybełkotał. - Co to za ludzie?

- Nie twoja sprawa - odparł Knox.

- Mają broń - powiedział płaczącym tonem Rick. - Dlaczego oni mają broń?

Knox zerknął na przyjaciela. Jego głos brzmiał trochę dziwnie. Może wynikało to z urazu głowy, a może starał się uspić czujność Nessima i pozostałych i sprawić, że nie będą go traktowali poważnie. Nie mieli przecież pojęcia, kim był w przeszłości. W takim razie Knox powinien dać mu trochę czasu, żeby postarał się coś wymyślić. Dać mu trochę czasu i być może odciągnąć od niego uwagę.

Jeżeli sprawi, że wszystkie latarki skierowane będą na niego...

Knox spojrział z pogardą na Nessima.

- Słyszałem, jak mówiłeś tej dziewczynie w Szarm elSzejk, że byłeś kiedyś spadochroniarzem - mruknął. - Ty pieprzony kłamco.

- To nie było kłamstwo.

- Spadochroniarze mają swój honor - stwierdził szyderczo Knox. - Ludzie honoru nie sprzedają się gwałcicielom i mordercom.

Nessim walnął go lufą pistoletu w policzek i Knox padł na podłogę.

- Ludzie honoru nie odmawiają wykonania rozkazu tylko dlatego, że im się nie podoba - wycedził Egipcjanin.

- Honor! - parsknął Knox, z powrotem klęcząc. - Nie wiesz, co znaczy to słowo.

Jesteś zwykłą kurwą, która sprzedaje się za...

Tym razem Nessim uderzył go jeszcze mocniej i Knox padł półprzytomny na beton, szorując po nim policzkiem. I leżąc tam, widział niczym przez mgłę, jak Rick wchodzi do akcji. Jednym ciosem powalił na ziemię pierwszego mężczyznę. Drugi zgiął się wpół

zdziesiątym łokciem. Rick wyrwał mu pistolet, przestrzelił udo trzeciemu i wycelował w Nessima, który wciąż stał nad Knoxem.

- Rzuć broń! - wrzasnął do niego Rick. - Rzuć ją, kurwa, na ziemię! - Pistolet i latarka Nessima brzęknęły o beton. - Na kolana! - krzyczał Rick. - Wszyscy! Na pierdolone kolana!

Już! - Egipcjanie posłuchali go. Ukląkł nawet ranny w udo, jęcząc żałośnie z bólu. Jego kremowe spodnie zabarwiły się czerwienią. - Ręce na kark! - ryczał dalej Rick, rozwścieczony tym, jak potraktowali Knoksa, ale jeszcze bardziej tym, że naprawdę bał się, iż zginie.

Egipcjanie wyczytali chyba swój los w jego oczach. Krew odpłynęła im z twarzy.

Tylko Nessim spoglądał śmiało w lufę wycelowanego w niego pistoletu. Knox przypomniał sobie, jak się zaczerwienił, gdy zarzucił mu wcześniej brak honoru.

- Nie! - zawołał, łapiąc Ricka za rękę, nim ten zdążył pociągnąć za spust. - My nie jesteśmy tacy.

- Ty może, kurwa, nie jesteś - odpalił Rick, próbując wyrwać rękę. - Ale ja tak.

- Proszę cię, stary.

- A co masz, kurwa, do zaproponowania?! - krzyknął

Rick. - Jeżeli ich puszczę, będą nas dalej ścigać. To pierdolona samoobrona, chłopie.

Nic więcej.

Knox spojrzał ponownie na Nessima. Jego twarz była nieprzenikniona, lecz Knox wiedział, że Rick się myli. Jeżeli go puszcza, jego osobisty kodeks postępowania nie pozwoli mu ich dalej ścigać. Ale inni... Knox podniósł z podłogi pistolet Nessima i rozejrzał się dookoła, próbując coś wymyślić. Budynek był mały, pozbawiony okien i zbudowany z betonowych bloków.

Drzwi z solidnej stali osadzono na grubych zawiasach. Knox ściągnął plandekę z jeepa, rzucił ją na podłogę przed Nessimem i wycelował w jego pierś.

- Rozbieraj się - rozkazał.

- Nie - skrzywił się Nessim.

- Szybko. Jeżeli nie dla siebie, zrób to dla swoich ludzi.

Nessim zacisnął szczęki, lecz po chwili spojrzał na swoich towarzyszy i stracił trochę rezon. Zaczął niechętnie rozpinać koszulę i dał znak innym, żeby zrobili to samo i rzucili ubranie na plandekę. Kiedy zostali w samych spodenkach, Knox sprawdził, czy nic nie ukryli, a potem zwinął plandekę i rzucił ją na tył jeepa.

- Dasz sobie z nimi sam radę? - zapytał.

- Chyba widziałeś - parsknął Rick.

Knox podjechał jeepem do subaru i freelandera. Subaru nie dało się uruchomić, ale frelander zapalił za trzecim razem. Grzechot pod maską wskazywał na poważne uszkodzenie. Knox wrzucił z trudem wsteczny bieg i podjechał pod budynek. Silnik dławił się i szarpał. Rick wyszedł tyłem z budynku, zatrzasnął stopą stalowe drzwi i zczekał, aż Knox podjedzie tuż pod nie i zaciągnie ręczny hamulec. Nie było to może idealne wyjście, ale powinno zatrzymać na parę godzin Nessima i jego ludzi. W tym czasie oni będą już na drugim końcu Egiptu.

Pobiegli do jeepa. Rick siadł za kierownicą i odjechał z niepotrzebnie dużą szybkością, jakby chciał rozładować wypełniający go gniew. Ani razu nie spojrzał na Knoksa.

A ten był poważnie wstrząśnięty tym, że jego przyjaciel gotów był zastrzelić tych ludzi.

Milczenie między nimi stawało się coraz bardziej nieprzyjemne i Knox zaczął się obawiać, że ich stosunki nigdy już nie będą takie same. W końcu to Rick odezwał się pierwszy.

- Mówiłeś chyba, że ci faceci są naprawdę groźni - mruknął.

- Cóż ci mogę powiedzieć, stary - uśmiechnął się

Knox. - Tak mi się wydawało.

-

## Rozdział 28

Gaille i Elena wzięły Alego za słowo i pojawiły się w jego domu punktualnie o siódmej. Zastały go przy pracy na dworze. Na rozłożonych na stole papierach stał dzbanek siwańskiej herbaty oraz kilka szklanek, zupełnie jakby się ich spodziewał.

Przywitał je ciepło, zaprowadził do biblioteki i zostawił tam same.

Elena zaczęła od zdjęć lotniczych; Gaille zajęła się książkami. Biorąc z półki pierwszą, zauważyła, że wysuwa się łatwiej niż wczoraj, tak jakby nie były tak ciasno ustawione. Przyjrzała się uważniej. Owszem. Pamiętała mgliście oprawiony w czerwoną skórę tom, który poplamił jej palce. Wyciągnęła współczesną pracę akademicką i sprawdziła bibliografię na temat Siwy. Na półkach brakowało dwóch standardowych pozycji. A przecież kolekcja miała być kompletna. Przypomniała sobie dziwny wyraz na twarzy Alego, kiedy przeglądał fotografie.

- Elena - mruknęła nieśmiało.

Elena posłała jej ostre spojrzenie.

- Tak? - zapytała.

- Nic - odparła. - Przepraszam.

Znając Elenę, wiedziała, że od razu naskoczy na Alego i ich współpraca legnie w gruzach. Zamiast tego zapisała sobie brakujące tytuły. Przy pierwszej sposobności zadzwoni do Ibrahima i poprosi go o przesłanie egzemplarzy bezpo średnio do hotelu. |

## II

Knox spał twardo na fotelu pasażera, kiedy Rick potrząsnął go za ramię.

- Co jest? - zapytał półprzytomnie.

- Punkt kontrolny - powiedział Rick.

- Niech to szlag - mruknął Knox.

W okolicach Aleksandrii i w delcie Nilu kontrole były tak rzadkie, że zupełnie o nich zapomniał. Jednak w środkowym i południowym Egipcie oraz w regionach pustynnych były na porządku dziennym. Przyhamowali i zatrzymali się. Do samochodu podbiegli dwaj zmęczeni żołnierze ubrani w grube mundury, które miały ich chronić przed porannym chłodem. Jeden z nich postukał w szybę.

- Paszporty - powiedział po angielsku, całkiem słusznie biorąc ich za cudzoziemców.

Knox miał papiery na nazwisko Omara Malika, które dostał od Augustina, ale posłużenie się nimi mogło wzbudzić podejrzenia. Wyjął swój brytyjski paszport i podał go przez okno. Żołnierz ziewnął i zabrał go razem z paszportem Ricka do swojej budki.

Drugi żołnierz stał dalej przy jeepie. Zapalił papierosa, przestąpił z nogi na nogę i zajrzał przez tylne okno do środka. Knox zbyt późno przypomniał sobie o zwiniętej plandecie, w której były ubrania i inne rzeczy należące do Nessima i jego ludzi, łącznie z bronią.

Żołnierz otworzył tylne drzwiczki.

- Co to jest? - zapytał, kładąc rękę na plandecie.

- Stare ubrania - odparł Knox, starając się udawać odprężonego.

Żołnierz odwinął brzegi plandeki i zaczął grzebać w środku. Wyciągnął marynarkę i przystawił ją do ramion, żeby przyjrzeć się swemu odbiciu w szybie, a potem odłożył ją i wyjął zamiast tego kilka koszul i spodnie. Sprawdził ich kieszenie i wyciągnąwszy drogą komórkę, uśmiechnął się zachęcająco do Knoksa, jakby chciał zasugerować, że chętnie przyjąłby mały podarunek. Knoksowi zaschło w ustach. Jeśli ten dupek znajdzie jeden z pistoletów, będą się musieli gęsto tłumaczyć.

- Przepraszam, ale te rzeczy należą do nas - powiedział.

Żołnierz odchrząknął poirytowany, rzucił spodnie i komórkę z powrotem na plandekę i zatrzasnął niepotrzebnie mocno drzwiczki. Jego towarzysz w budce skończył rozmawiać przez telefon i podszedł z powrotem do jeepa.

Knoksowi serce waliło ze strachu, lecz żołnierz oddał im bez mrugnięcia okiem paszporty i przepuścił przez punkt kontrolny. Jeszcze przez kilkaset metrów jechali z przyklejonymi do twarzy uśmiechami.

- Nic nie wiadomo - powiedział Rick. - Może Hassan ci odpuścił.

- Wątpię, stary - odparł Knox. - Moim zdaniem nie chce po prostu, żeby władze wiedziały, że na mnie poluje.

- To już coś.

- Owszem - zgodził się Knox. - To już coś. Ale uważam, że powinniśmy pozbyć się tego gówna, zanim przysporzy nam kłopotów. Co ty na to?

- Uważam, że masz rację - pokiwał głową Rick.

### III

Nicolas przyjechał do biura Ibrahima, aby omówić pewną delikatną kwestię. Ojciec polecił mu nabyć kilka artefaktów z macedońskiego grobowca do swojej prywatnej kolekcji: przynajmniej jedną złotą urnę grzebalną i kilka sztuk broni. Było to jak najbardziej możliwe, zwłaszcza po przejęciu

osobistego nadzoru przez Jusufa. Rzecz sprowadzała się do sporządzenia odpowiednich replik i ich podmiany. Ale Ibrahim był odpowiedzialny za stanowisko i trzeba to było z nim uzgodnić, zwłaszcza że Jusufowi zależało na tym, by mieć kozła ofiarnego na wypadek, gdyby ktoś odkrył podmianę.

- Nie przeszkadzam panu w czymś ważnym? - zapytał

Nicolas.

- To może poczekać - uśmiechnął się Ibrahim. - Wysyłam właśnie Gaille kilka książek na temat Siwy. Choć trudno mi uwierzyć, że doktor Sajed nie ma ich w swojej kolekcji.

Nicolas usiadł przy stoliku w rogu.

- Na pewno zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo cieszymy się w Dragoumis Group z rezultatów naszej współpracy - zaczął.

- My też się cieszymy.

Nicolas pokiwał głową i wyjął z kieszeni grubą kopertę.

- Moja rodzina ma zwyczaj nagradzać ludzi, którzy odnoszą sukcesy - powiedział, kładąc kopertę na stole i dając z uśmiechem Ibrahimowi do zrozumienia, żeby ją wziął.

Ibrahim zerknął na tkwiący w środku plik banknotów.

- To dla mnie?

- W dowód naszego uznania i wdzięczności.

Ibrahim spojrzał na niego podejrzliwie.

- Czego pan chce ode mnie za te pieniądze?

- Nic. Wyłącznie gwarancji dalszej współpracy.

W rzeczywistości Nicolas miał na piersi miniaturową kamerę, której obiektyw ukryty był w drugim od góry guziku marynarki. Wszyscy w Naczelnej Radzie Zabytków brali łapówki, ale nie znaczyło to wcale, że były one legalne. Gdyby Ibrahim wziął grzecznie bakszysz, film można było wykorzystać do zmuszania go krok po kroku do dalszych ustępstw, aż w końcu zostałby całkowicie skompromitowany. Gdyby tego nie zrobił, Nicolas mógł posłużyć się innymi metodami.

Ibrahim zawahał się, a potem przesunął kopertę z powrotem w jego stronę.

- Jeśli chce pan wnieść pewną sumę na poczet naszej współpracy - powiedział -

mamy, jak pan zapewne wie, utworzone specjalnie w tym celu konto bankowe.

Nicolas uśmiechnął się cierpko i zabrał pieniądze.

- Jak pan uważa.

- Ma pan jeszcze jakąś sprawę? Czy mogę wrócić do...

Za drzwiami rozległ się nagle jakiś hałas. Drzwi gabinetu otworzyły się i do środka wpadł Mohammed.

- Przepraszam pana! - zawołała uwieszona u jego ramienia Maha. - Nie mogłam go zatrzymać.

- Nic się nie stało, Maha - uspokoił ją Ibrahim, spoglądając groźnie na Mohammeda. -

Co to ma znaczyć?

- Chodzi o Lajlę - odparł Mohammed. Łzy płynęły mu po twarzy. - Odmówili mi.

Odmówili. Nie będą jej leczyć.

- Mój drogi przyjacielu - powiedział Ibrahim, wstając niezgrabnie z krzesła. - Tak mi przykro.

- Ona nie potrzebuje współczucia. Potrzebna jej pomoc.

- Przykro mi. Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić.

- Proszę. Prosiłem już wszystkich. Pan jest jej ostatnią nadzieją.

Nicolas wstał i cofnął się o kilka kroków. Nigdy nie lubił rozmawiać o chorobach. W

rogu biurka leżały książki, które Ibrahim przygotował dla Gaille. Wziął do ręki jedną z nich i zaczął przerzucać kartki.

- Mogę chyba popytać - mówił Ibrahim. - Ale nie znam nikogo w szpitalu.

- Błagam pana. Musi pan coś zrobić.

W książce zamieszczone były czarnobiałe rysunki. Nicolas przyjrzał się jednemu z nich przedstawiającemu wzgórze i jezioro o nazwie Bir alHamman. Jezioro wydawało się dziwnie znajome. Odłożył książkę i wziął następną. Tam również było Bir alHamman, tym razem na fotografii. Wpatrywał się w nią bardzo długo. Kiedy uświadomił sobie w końcu, dlaczego ten obraz wydaje mu się znajomy, przeszedł go potężny ekstatyczny dreszcz.

- Nicolas? Nicolas? - dopytywał się niespokojnie Ibrahim. - Coś się panu stało?

Nicolas powrócił do rzeczywistości. Ibrahim dziwnie mu się przyglądał.

- Proszę wybaczyć. Po prostu przeniosłem się myślami daleko stąd. - Nicolas zorientował się nagle, że Mohammeda nie ma już w gabinecie. - Gdzie jest pański przyjaciel?



- zapytał.

- Musiał wyjść - odparł Ibrahim. - Jego żona jest podobno w fatalnym stanie.

Obiecałem, że zrobię, co w mojej mocy. Ale co ja mogę poradzić? Biedna dziewczynka!

Nicolas się zamyślił.

- Gdybym jej pomógł, zaskarbiłbym sobie pańską wdzięczność, prawda?

- Oczywiście - stwierdził Ibrahim. - Aleja naprawdę...

- To dobrze - oświadczył Nicolas, biorąc pod pachę przeznaczone dla Gaille książki. -

W takim razie proszę ze mną. Zobaczymy, co da się zrobić.

## Rozdział 29

### I

Wyrocznia Amona okazała się stertą kamieni znajdującą się około czterech kilometrów od Siwy. Mimo dawnej sławy nie było tu parkingu, budki ani opłaty za wejście.

Kiedy Gaille, Elena i ich przewodnicy przybyli tam nazajutrz rano, zastali wyłącznie zgrzybiałego starca siedzącego przy murze i wyciągającego drżącą rękę po datki. Gaille sięgnęła do torebki.

- Tylko ich ośmielisz - ostrzegła Elena. Gaille zawahała się, lecz po chwili dała staremu banknot. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Natychmiast podeszły do nich dwie dziewczynki z sięgającymi do pasa czarnymi warkoczami, oferując własnego wyrobu bransolety, którymi obwiesiły przedramiona.

Zajn łypnął na nie groźnie i chichocząc, uciekły.

Gaille nie wiedziała z początku, co ma sądzić o Mustafie i Zajnie, dość szybko jednak ich polubiła. Mieli imponującą wiedzę o Siwie. I było coś ujmującego w ich przyjaźni. W

okolicy wciąż żywa była starożytna tradycja homoseksualnych małżeństw; miejscowe pieśni i poezja wciąż opiewały takie stosunki. Gaille nie mogła ich nie podziwiać.

Mustafa był wielkim mężczyzną z szorstką niczym kora skóra, ciemną z natury, lecz również od słońca, sądząc po jaśniejszych paskach wokół szyi i pod zegarkiem.

Chociaż palił jak lokomotywa, był zaskakująco wysportowany i gibki. Specjalne stosunki łączyły go z jego antyczną i kapryśną ciężarówką. Nie działały w niej żadne zegary i wskazówki i dawno temu zniknęło całe zbędne wyposażenie, od gałki dźwigni biegów po gumę na pedałach i dywanik.

Chudy jak paździerz Zajn nie miał więcej niż czterdzieści lat, chociaż jego włosy i broda przetykane były siwizną. Kiedy Mustafa prowadził ciężarówkę, Zajn obsesyjnie oliwił i polerował swój wąski nóż z rękojeścią z kości słoniowej, który trzymał w fałdach szaty. Za każdym razem, gdy chował go z powrotem, nieskazitelne ostrze szorowało o futerał, wskutek czego wymagało powtórnego czyszczenia. Zajn wyciągał je i oglądał, mruczając pod nosem siwańskie przekleństwa.

Zakręcone strome schody prowadziły spod nadproża do głównego kompleksu wyroczni, szkieletu murów przypominających drewniany statek, który zgnił w mulistym ujściu rzeki, a potem wysechł. Gaille stanęła na chwilę z respektem w miejscu. Na świecie istniało niewiele miejsc, co do których można było mieć absolutną pewność, iż przebywał w nich Aleksander. Wyrocznia była jednym z nich.

Za czasów Aleksandra ceniono ją wysoko w całym basenie Morza Śródziemnego: konkurowała z Delfami, być może nawet od nich ważniejsza. Legenda głosiła, że odwiedził ją Herakles, którego Aleksander uważał za swojego bezpośredniego przodka. Pojawił się tutaj także Perseusz łączony z imperium perskim, które według Aleksandra należało teraz do niego. Ateński wódz Cymon wysłał tu delegację, żeby zapytać, czy jego wyprawa na Cypr zakończy się powodzeniem. Wyrocznia nie chciała odpowiedzieć, oznajmiła tylko, że osoba, która zadała pytanie, jest już razem z nią. Po powrocie do floty posłowie dowiedzieli się, że Cymon zmarł dokładnie tego samego dnia. Pindar napisał na cześć wyroczni hymn pochwalny i zmarł wkrótce potem, jak poprosił ją o największe szczęście, jakiego może dostąpić człowiek. Incydentem, który odbił się szerokim echem, był jednak najazd na Egipt perskiego króla Kambyzesa, który wysłał trzy armie: jedną do Etiopii, drugą do Kartaginy i trzecią przez pustynię do Siwy. Trzecia armia zniknęła bez śladu i wyrocznia budziła od tej pory specyficzny respekt.

- Czy tędy właśnie schodzili kapłani? - zapytała Gaille.

- Główny kapłan powitał Aleksandra słowami o pai dios - odparła Elena. - "Synu Boga". Wiesz, że Plutarch sugerował, iż użył zamiast tego słów o pai dion! Ha! Kapłan musiałby mieć wolframowe jaja, żeby zwrócić się do Aleksandra "mój chłopcze".

- Chyba że mówił w imieniu samego Zeusa.

- Tak. Chyba tak.

- Jak przepowiadała wyrocznia?

- Kapłani nieśli przy śpiewie dziewic fizyczne wyobrazienie ZeusaAmona w złotej łodzi zdobionej szlachetnymi kamieniami - wyjaśniła Elena. - Główny kapłan czytał pytania suplikantów, a Amon odpowiadał, tańcząc do przodu lub do tyłu. Niestety, Aleksandrowi zapewniono prywatną audiencję i nie wiemy dokładnie, o co pytał i co mu od powiedziano.

- Pytanie dotyczyło chyba morderców jego ojca.

- To jedna z wersji - przyznała Elena. - Legenda głosi, że zapytał, czy wszyscy mordercy jego ojca zostali ukarani, a wyrocznia odpowiedziała, że pytanie jest bez przedmiotowe, ponieważ jego ojciec

jest bogiem i jako taki nie może zostać zamordowany, lecz jeśli chodzi mu o morderców Filipa Drugiego, to wszyscy zostali odpowiednio ukarani.

Zresztą to prawdopodobnie apokryf. Na pewno wiemy, że Amon stał się ulubionym bogiem Aleksandra, że wysłał tutaj emisariuszy po śmierci Hefajstiona i prosił, aby jego również tu pochowano.

Elena wzięła do ręki szczyptę ziemi, przez chwilę jej się przyglądała, a potem wyrzuciła.

- To musiał być straszliwy cios dla kapłanów wyroczni - powiedziała Gaille. - Przez cały czas myśleli, że spoczną tutaj zwłoki Aleksandra, i nagle się dowiedzieli, że trafią do Aleksandrii.

Elena pokiwała głową.

- Ptolemeusz ukoił ich ból. Według Pauzanasza wysłał im stelę z przeprosinami i sowite dary.

Gaille wspięła się najwyżej, jak mogła, i rozejrzała dookoła. Tutejszy krajobraz różnił

się od europejskiego. W Europie wzgórza i góry wypiętrzyły się pod wpływem procesów geologicznych i czasu. Region, na który teraz patrzyła, był kiedyś rozległym piaskowcowym płaskowyżem, ale większa jego część runęła w dół. Góry, które pozostały, były po prostu ostatnimi wartownikami. Gaille stanęła twarzą na północ, mając AlDakrur po prawej i wielkie słone jezioro oraz miasto Siwa po lewej stronie. Powietrze na wprost było tak przejrzyste, że przez polową lornetkę widziała oddalony o wiele kilometrów ciemny zarys grani. Pustynia między nią

i górami nakrapiana była ciemnobrązowymi skałkami; nie które były wielkości małych samochodów, inne wielopiętro wych bloków.

- Od czego zaczniemy?! - zawołała.

- Wszystkie wielkie zadania składają się z dużej liczby małych zadań - stwierdziła sentencjonalnie Elena.

Rozpostarła mapę na kawałku płaskiego gruntu, obciążyła ją kamykami w każdym rogu, po czym ustawiła statyw, przykręciła do niego aparat z teleobiektywem i zaczęła metodyczny przegląd, począwszy od siwańskiej Góry Umarłych, przeczesując cały teren aż po horyzont, a następnie przesuwając obiektyw o włos w prawo i zaczynając wszystko od nowa. Za każdym razem, kiedy zobaczyła skałę lub wzgórze, fotografowała je i prosiła Mustafę i Zajna, żeby przyjrzeni im się przez obiektyw. Przewodnicy szwargotali chwilę między sobą, po czym mówili, jak się nazywa dane miejsce, i pokazywali je na mapie. Każdy naniesiony na nią krzyżyk oznaczał wizytę i dokładne oględziny.

Gaille siedziała na stercie kamieni i patrzyła na pustynię. Wiatr smagał ją po plecach i szarpał kosmyki włosów, które wpadały jej do oczu. I nagle ku swojemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że jest szczęśliwa.

Nicolas poprosił Ibrahima, by ten zawiózł go do swojej willi. Potrzebował miejsca, z którego mógłby poprowadzić całą operację; jego hotel się do tego nie nadawał.

- Czy mógłbym przeprosić pana na kilka minut? - zapytał, kiedy tam przyjechali. -

Muszę przeprowadzić parę ważnych rozmów telefonicznych.

- Ależ oczywiście.

Najpierw jak zawsze zadzwonił do ojca. Był na zebraniu. Nicolas kazał go wywołać.

- No i co? - zapytał Philip Dragoumis.

- Znalazłem to.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien, że znalazłem miejsce. Nie wiem, co jest w środku. - Nicolas wyjaśnił, jak do tego doszło, wspominając o ilustracjach w książkach, o których wysłanie Gaille poprosiła Ibrahima.

- Mówiłem ci, że ona to odkryje - powiedział Philip.

- Tak, ojczu, mówiłeś.

- No i co? Jaki mamy plan?

Nicolas opowiedział ojcu, co do tej pory załatwił. Omówili i dopracowali jego pomysły, uzgodnili, kto wejdzie w skład ekipy i jakiego będą potrzebowali sprzętu, broni i środków logistycznych.

- Oczywiście ja sam poprowadzę tę operację - powie dział Nicolas.

- Nie - odparł Philip. - Ja to zrobię.

- Na pewno? - zapytał z niepokojem w głosie Nico las. - Wiesz, że nie możemy ci zagwarantować bezpieczeństwa poza...

- Myślałeś, że z tego zrezygnuję? - przerwał mu Phi lip. - Marzyłem o tym przez całe życie.

- Jak sobie życzysz.

- Dobrze się spisałeś, Nicolas. Wykonałeś wspaniałą robotę. Naprawdę.

- Dziękuję.

Nicolas otarł oczy. Ojciec nieczęsto mu gratulował, lecz tym większą odczuwał

satysfakcję, gdy do tego dochodziło. Zakończył rozmowę i przez chwilę siedział, napawając się dumą. W końcu potrząsnął energicznie głową, starając się skoncentrować. Nie było czasu do

stracenia. Nic nie zostało jeszcze osiągnięte i nic nie osiągną, jeżeli nie weźmie się zaraz do roboty. Najpierw zadzwonił do Gabbara Mounima w Kairze.

- Tak? - odezwał się Mounim. - Ufam, że wszystko zostało załatwione tak, jak pan sobie życzył.

1 1

**Y**

- Jak zawsze - odparł Nicolas. - Ale chciałbym, żeby pan zrobił dla mnie coś jeszcze.

Właściwie dwie rzeczy.

- Z przyjemnością.

- Chodzi o naszego wspólnego znajomego. Chciałbym, żeby wezwał swojego kolegę, doktora Alego Sajeda z oazy

Siwa na pilne spotkanie. - Nicolas nie mógł się oprzeć podejrzeniu, że doktor Sajed celowo ukrył te książki przed

Gaille, co sugerowało, że on również skojarzył fakty. W związ - ku z tym nie powinno go być w Siwie, kiedy przystąpią do pracy.

- Jak szybko ma dojść do tego spotkania?

- Jeśli to możliwe, już jutro.

Mounim wciągnął z sykiem powietrze.

- To nie będzie łatwe, ale zobaczę, co się da zrobić. A ta druga sprawa?

- Nie przypuszczam, żeby miał pan dojścia w Instytucie

Badań Medycznych w Aleksandrii?

**III**

Elena wracała do hotelu, kiedy Nicolas zadzwonił do niej na komórkę.

- Musimy się spotkać - powiedział. - Jak prędko możesz dojechać do Aleksandrii?

- Na litość boską, Nicolas. Dopiero tu przyjechałam.

- To nie może czekać, Eleno. Coś się wydarzyło. Mój ojciec chce to z tobą przedyskutować.

- Twój ojciec? Przylatuje do Aleksandrii?

- Tak.

Elena wzięła głęboki oddech. Philip Dragoumis nie opuszczał północnej Grecji dla własnego widzimisię. Jeśli miał tu się zjawić, oznaczało to naprawdę coś ważnego.

- Dobrze - powiedziała. - Gdzie?

- W willi Ibrahima.

- Kiedy?

- Jutro rano. O dziewiątej.

- Będę tam - odparła. Rozłączywszy się, zaczęła od razu robić plany. Jeżeli wyjedzie natychmiast, być może uda jej się spędzić noc z Augustinem. - Jestem potrzebna w Aleksandrii - powiedziała do Gaille.

- W Aleksandrii? Długo cię nie będzie?

- A skąd mam to wiedzieć?

- Chcesz, żebym zaczęła szukać razem z przewodnikami?

Elena zmarszczyła czoło. Gaille miała irytujący zwyczaj odnajdywania różnych rzeczy bez jej pomocy.

- Nie - odparła. - Nie rób nic do mojego powrotu.

- Jak sobie życzysz.

#### IV

- Chcesz powiedzieć, że Knox znowu ci uciekł? - zapytał z niedowierzaniem Hassan, kiedy Nessim złożył mu raport.

- Pomaga mu przyjaciel - wyjaśnił Nessim.

- Przyjaciel?

- Znajdziemy ich - zapewnił go Nessim, starając się, żeby w jego głosie zabrzmiał

bojowy ton.

Ostatnie wydarzenia kompletnie podkopały jego pewność siebie. Tak radykalne odwrócenie sytuacji podłamałoby każdego, podobnie jak noc, którą spędzili na próbach uwolnienia się z zamkniętego pomieszczenia, i późniejsze błąkanie się północy z rannym towarzyszem. Ale ku zdumieniu Nessima w całej tej katastrofie najbardziej ugodziły go słowa Knoksa

0 jego braku honoru. Przeżył już dosyć, by wiedzieć, że obelgi nie ranią zbyt mocno, jeśli nie tkwi w nich ziarno prawdy, i teraz nie przestawał zadawać sobie bolesnych pytań. Jak do tego wszystkiego doszło? Jak to się stało, że pracował dla kogoś pokroju Hassana? Czy rzeczywiście pieniądze były dla niego takie ważne?

- Będziemy obserwować wszystkich jego znajomych

1 współników - powiedział. - Wyznamy kolejną na grodę. Znajdziemy go, to tylko kwestia czasu.

- Stale mi to powtarzasz - warknął Hassan.

- Przykro mi - odparł Nessim. - Knox okazał się lepszy, niż sobie wyobrażaliśmy. Ale teraz o tym wiemy.

Teraz jesteśmy przygotowani. Następnym razem go dor wiemy.

- Następnym razem? Skąd mogę mieć pewność, że w ogóle dojdzie do następnego razu?

- Jeszcze jeden tydzień. To wszystko, o co proszę.

- Czy możesz mi podać choć jeden powód, dla którego nie miałbym cię zwolnić i zatrudnić na twoje miejsce jego?

- Najpierw musi go pan znaleźć - mruknął cicho

Nessim.

- Co powiedziałaś?

- Nic.

W słuchawce zapadła grobowa cisza.

- Powinniśmy to chyba przedyskutować twarzą w twarz, nie sądzisz? - odezwał się w końcu Hassan.

- Twarzą w twarz? - powtórzył słabym głosem Nessim.

- Tak - odparł Hassan. - Twarzą w twarz.

312 ‘

Mohammed ze zdumieniem spojrział na profesora Rafaia, który wysiadł z taksówki i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Nie spodziewał się już nigdy ujrzeć onkologa Lajli; a już na pewno nie oczekiwał jego wizyty na placu budowy.

- Można tu gdzieś porozmawiać na osobności? - zapytał

Rafai, trzęsąc się z gniewu.

- Na osobności?

- Tak.

Mohammed zrobił zdziwioną minę.

- Teraz?

- Oczywiście, że teraz! Sądzi pan, że przyjechałem umówić się na wizytę?

Mohammed wzruszył ramionami i zaprowadził go do biura.

- Nie wiem, jak pan to zrobił! - krzyknął Rafai, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi. - Za kogo pan się uważa?

Opieram swoje decyzje na danych klinicznych. Danych klinicznych! Wydaje się panu, że może mnie pan zmusić do zmiany decyzji?

- Przykro mi z powodu mojego zachowania w pańskim

***I gabinecie - odparł Mohammed. - Już pana za to przeprosilem. Byłem w olbrzymim***

***stresie. Nie wiem, co jeszcze...***

- Myśli pan, że o to mi chodzi? - przerwał mu Rafai. - Nie o to mi chodzi.

- Więc o co?

- Liczy się tylko pańska córka! - wrzasnął Rafai. - Zawsze pańska córka! Myśli pan, że tylko ona jest chora?

Młody chłopiec Saad Gama czeka na przeszczep szpiku.

Pobożny uczeń medresy. Chce pan wyjaśnić mu, że musimy odłożyć na później jego leczenie, ponieważ ma pan bardziej wpływowych przyjaciół? Chce pan powiedzieć jego rodzicom, że musi umrzeć, aby mogła żyć pańska córka? Myśli pan, że im na nim nie zależy?

- O czym pan mówi, w imię Allaha, profesorze Rafai?

- Niech pan nie zaprzecza! Obraża mnie pan, zaprze czając! Wiem, że to pańska sprawka, chociaż nie mam pojęcia, jak pan tego dokonał... Powiem tylko jedno: krew Saada jest na pańskich rękach. Na pańskich, nie moich.

Mohammed poczuł, że przechodzi go dreszcz.

- Co pan mówi? - zapytał półprzytomnie. - Chce pan powiedzieć, że Lajla będzie miała przeszczep?



Rafai spiorunował go wzrokiem.

- Chcę powiedzieć, że nie będę z tego powodu narażał swojej kliniki.

- Ale co z przeszczepem? - nie dawał za wygraną

Mohammed. - Czy Lajla będzie miała przeszczep?

- Niech pan powie swoim znajomym w Kairze, żeby trzymali się z daleka ode mnie i od mojego personelu. Jeżeli kuracja się nie powiedzie, nie będziemy ponosić za to odpowiedzialności, słyszy pan? Niech pan to powie swoim znajomym. Niech pan to powie -

powtórzył profesor Rafai i wybiegł z biura.

Mohammedowi tak mocno trzęsły się ręce, że dzwoniąc do Nur, nie mógł utrzymać w nich telefonu.

## VI

Nicolas Dragoumis rozmawiał przez telefon ze swoim ochroniarzem Bastiaanem, kiedy Ibrahim zapukał do drzwi i wszedł, przynosząc mu filiżankę kawy i talerzyk krakersów, które postawił w rogu biurka. Nicolas nie przerwał rozmowy, ale zaczął używać eufemizmów i odwrócił się do niego plecami.

- Załatwiłeś kwestię zakupów? - zapytał Bastiaana.

- Vasileios przylatuje z pańskim ojcem. Przekazałem mu, czego potrzebujemy.

- Kiedy będziesz w willi?

- Jestem w drodze. Najpóźniej za piętnaście minut.

- Dobrze. I nie zapomnij... - Za jego plecami Ibrahim głośno westchnął. Nicolas odwrócił się i zobaczył, że Egipcjanin trzyma w rękach jedną z książek przeznaczonych dla Gaille i wpatruje się szokowany w zdjęcie Bir alHamman.

Dragoumis zamknął oczy, wściekły na samego siebie. - Postaraj się, żeby to było dziesięć - powiedział po grecku do Bastiaana. - Mamy problem. - Zakończył rozmowę i wyjął

książkę z rąk Ibrahima. - Jest coś, co muszę panu powiedzieć - oznajmił.

- Co takiego? Ale czy widział pan to zdjęcie...

- Szybko - rozkazał Nicolas, łapiąc Ibrahima pod łokieć i prowadząc go do kuchni.

- O co chodzi? - pytał zdezorientowany Ibrahim. - Co się dzieje? - Nicolas zaczął

otwierać i zamykać szuflady. Po chwili znalazł przedmiot, którego szukał. Gdy podniósł go wyżej,

ośmicalowe ostrze zabłysło w świetle lampy. Ibrahim pobladł. - Co... co pan z tym robi?

Nicolas wysunął w lewo dłoń z nożem i kiedy oczy Ibrahima pobiegły za jego złowrogim błyskiem, dzielił go prawą pięścią w twarz. Egipcjanin upadł, a Nicolas ukląkł

nad nim i przycisnął mu ostrze do szyi.

- Mój kolega Bastiaan jest już w drodze - rzekł. - Będziesz się grzecznie zachowywał aż do jego przyjazdu?

- Będę - odparł Ibrahim.

## VII

Po drodze Knox zmienił za kierownicą Ricka, który trochę się zdrzemnął. Kiedy wczesnym popołudniem dotarli do Farafiry, trącił go w bok.

- Jesteśmy na miejscu, stary.

- Zawsze tak jest - mruknął poirytowany Rick. - W środku najpiękniejszego snu.

Knox od kilku lat nie był w domu Ishaąa, ale miejscowość Qasr alFarafira była nieduża i znalezienie go nie nastęczyło większych trudności. Cieszył się na spotkanie ze starym przyjacielem. Znali się od dawna, od pierwszego sezonu archeologicznego w Malawi.

Ishaq, mały, niesamowicie inteligentny mężczyzna, spędzał większość wolnego czasu w hamaku, gapiąc się leniwie w niebo. Jednak kiedy dało mu się do przetłumaczenia zapisany pismem demotycznym tekst, nie było od niego lepszego specjalisty.

Niestety, kiedy zatrzymali się przed jego domem, wszystkie okiennice były zamknięte.

Walili w drzwi frontowe, ale nikt im nie otworzył. Przeszli kilka domów dalej do ośrodka informacji, które służyło Ishaąowi jako biuro, ale tam również go nie było.

- Musi być gdzieś na wykopaliskach - stwierdził Knox, zerkając na zegarek. - Zaraz wróci.

- Może obejrzymy tymczasem te twoje cholerne zdję cia - zaproponował Rick.

- Nie mam ich.

- Co takiego?

Knox spojrział na niego z politowaniem.

- Nie sądzisz chyba, że jestem dość głupi, żeby jechać przez pół Egiptu, mając w laptopie zdjęcia, za które mogą mnie wsadzić na dziesięć lat za kratki?

- Więc jak, do diabła, twój kumpel ma je przetłumaczyć?

- Są w Internecie, stary. Ishaq jest podłączony do sieci.

Siedli w cieniu daktylowej palmy, żeby poczekać. Opadło ich odrętwienie. Brakowało im energii, żeby odgonić siadające na nich muchy. Po jakimś czasie zbliżył się do nich niepewnie młody chłopak w galabii popychający o pięć rozmiarów za duży stary rower.

- Szukacie Ishaqa? - zapytał.

- Tak. Dlaczego pytasz? Wiesz, gdzie jest?

- Wyjechał do Kairu. Na zebranie. Ważne zebranie. Mają tam być wszyscy archeolodzy pustyni.

- Mówił, kiedy wróci?

- Jutro - odparł chłopak. - Albo pojutrze.

- Cholera - mruknął Rick. - Co teraz?

- Nie wiem - powiedział Knox. - Muszę pomyśleć.

- Nie wierzę temu skubanemu Kelonimusowi. Cała reszta była po grecku. Dlaczego musiał przerzucić się na pismo demotyczne akurat w tej jednej cholernej inskrypcji?

Knoksowi opadła nagle szczeka i wbił wzrok w przyjaciela.

- Co? - zapytał Rick. - Co takiego powiedziałem?

- Zdaje mi się, że złamałeś właśnie szyfr - stwierdził

Knox.

- 1

## **Rozdział 30**

Mohammed nadal nie wierzył we własne szczęście, kiedy zadzwonił telefon.

- Tak? - zapytał.

- Mówi Nicolas Dragoumis. Pamięta pan, pomogłem panu sfinansować badania w celu...

- Oczywiście, że pana pamiętam, panie Dragoumis. Co mogę dla pana zrobić?

- Mam nadzieję, że dotarły do pana dobre wiadomości.

- To pan? To pan jest moim przyjacielem w Kairze?

- Tak.

- Dziękuję! Dziękuję! Jestem pana dłużnikiem, panie

Dragoumis. Dozgonnym dłużnikiem. Przysięgam, cokolwiek pan zażąda...

- Cokolwiek? - powtórzył cierpko Nicolas. - Mówi pan serio?

- Oddam dla pana życie.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale proszę mi powiedzieć: czy nie ma pan przypadkiem na budowie mecha nicznej koparki?

## II

Tego popołudnia Gaille nie miała wiele do roboty. Chociaż wynajęły Mustafę i Zajna na całe dwa tygodnie, dała im dzień wolny i poszła do domu Alego w nadziei, że postudiuje jego materiały. Zastała jednak drzwi zamknięte i kartkę z informacją, że wezwano go do Kairu. Wróciła z powrotem do hotelu i spędziła całe popołudnie w hamaku, a potem wzięła zimny prysznic i wypożyczyła rozklekotany rower, którym jechała teraz do lokalnego źródła. Po drodze minęła zaprzężony w osła wóz z trzema siwańskimi żonami podobnymi do mumii w swoich haftowanych granatowych tarfottet. Jedna uniosła kaptur i posłała Gaille nieśmiały, lecz zarazem promienny uśmiech.

Opony w jej rowerze były miękkie. Pedałowanie po lepkiej od słońca jezdni wymagało sporego wysiłku. Odetchnęła z ulgą, widząc przed sobą źródło, okoloną kamiennym murkiem, niewielką, głęboką sadzawkę z przejrzystą wodą, na powierzchni której unosiły się kępy jasnozielonych alg. Dookoła siedziało kilku fellachów, którzy skończyli już pracować przy palmach daktylowych i przyglądali jej się z widocznym zainteresowaniem.

Gaille miała nadzieję, że popływa, lecz krępowały ją ich spojrzenia, poszła więc zamiast tego do sadu, by napić się z młodym stróżem gorzkiej siwańskiej herbaty.

Słońce zaszło za wielkim słonym jeziorem i wzgórzami na jego drugim brzegu, horyzont zapłonął złotem i purpurą, a potem kolory wyblakły i skończył się kolejny dzień.

Gaille przypominała sobie młode siwańskie dziewczyny, które wydano za mąż na początku okresu dojrzewania i które miały spędzić resztę życia w ukryciu przed światem oglądanym odtąd przez wąziutkie szparki. I nagle doznała objawienia: zrozumiała zmianę, jaka zaszła w niej w ciągu ostatnich kilku tygodni. Uświadomiła sobie, że już nigdy nie będzie szukała ucieczki przed życiem w wygodnym zaciszu sorbońskich sal, układając zawiłe słowniki martwych języków. Tego rodzaju praca miała olbrzymie znaczenie, ale oddalała ją od rzeczywistości. To były cienie na ścianie. Nie mogła się uważać za uczoną. Była archeologiem, córką swego ojca.

Nadeszła pora się z tym pogodzić.

## III

Rick i Knox znaleźli hotel z dostępem do Internetu i ściągnęli zdjęcia z dolnej komory z jego skrzynki pocztowej. Szyfry nie były jednak mocną stroną Knoxa i szło mu nie najlepiej. Rick przeglądał tymczasem inne zdjęcia z dolnej komory.

- Czy nie widzieliśmy tego wcześniej? - zapytał nagle, oglądając fotografię mozaiki.

- W jakim sensie?

Rick wziął swój cyfrowy aparat i znalazł zdjęcie malowidła, na którym był

Wepwawet trzymający sztandar Aleksandra. Knox od razu spostrzegł, o co mu chodzi.

Linie horyzontu na malowidle i na mozaice były identyczne. Na pierwszym planie malowidła znajdowały się dwie grupy żołnierzy; na pierwszym planie mozaiki Wepwawet oraz sztandar.

Widniejący na nim portret Aleksandra podsunął Knoksowi pomysł, jak złamać szyfr. W końcu nagryzmolił tekst i przetłumaczył go dla Ricka.

- Grobowiec zaopatrzony w dobra odpowiednie dla Aleksandra - mruknął

Australijczyk. - Jezu!

- Nic dziwnego, że zajęli się tym Dragoumisowie - powiedział Knox. - Mają nad nami przewagę czasową. Musimy jechać.

- Dokąd?

- Do domu Amona, ojca Aleksandra. Do Siwy.

- Do Siwy! - roześmiał się Rick. - Mogłem się tego domyślić!

Był jednak tak samo jak Knox podniecony postępami, jakich dokonali. Zajrzeli do przewodnika w jeepie. W linii prostej Siwa nie leżała tak daleko, lecz trasa wiodła przez pustynię. Żeby tam dotrzeć normalnymi drogami, trzeba było dojechać do Aleksandrii, następnie wzdłuż wybrzeża do Marsa Matruh i ponownie na południe.

Trzy boki kwadratu miały około tysiąca czterystu kilometrów. Mogli również wybrać stary szlak karawanowy. Zaoszczędziliby dzięki temu prawie tysiąc kilometrów, lecz jazda była o wiele niebezpieczniejsza.

- Co wybieramy? - zapytał Rick.

- Pustynię - odparł bez wahania Knox. - Nessim i jego ludzie nie zdołają nas przynajmniej znaleźć.

Rick się uśmiechnął.

- Miałem nadzieję, że to powiesz.

Pierwszą rzeczą było uzyskanie zezwolenia. Na pustyni rozmieszczone były wojskowe posterunki, których jedynym zadaniem było ściganie zapuszczających się w te strony śmiałych turystów. Wyjeżdżając bez odpowiednich papierów, sami prosiliby się o kłopoty. Po kontroli drogowej Knox wiedział jednak, że nikt nie przyczepi się do jego paszportu, a zatem było to tylko sprawą czasu i odpowiedniego bakszyszu.

Miejscowy komendant armii poprosił o kilka godzin, żeby wypełnić papiery. Knox i Rick wykorzystali je na kupno zapasów: skrzynek z wodą, koszów z jedzeniem, dodatkowej zapasowej opony, kanistrów z olejem i benzyną. Następnie wyjechali, starając się pokonać jak największy dystans w nocy, póki było chłodno.

## IV

Augustin otworzył drzwi owinięty poplamionym białym prześcieradłem niczym sarongiem. Widząc jego minę, Elena od razu się wszystkiego domyśliła. Z olbrzymim spokojem przycisnęła się obok niego i zajrzała do sypialni. Dziewczyna miała nastroszone blond włosy, mosiężne kółko w dolnej wardze, płaskie piersi z wielkimi brodawkami i ogolony wzgórek łonowy.

- Jesteś jego żoną? - zapytała, sięgając po miękką paczkę marlboro lightów i plastikową zapalniczkę.

Elena się odwróciła. Augustin chciał coś powiedzieć, ale zobaczył wyraz jej twarzy i dał sobie spokój. Zbiegła po schodach i podeszła szybkim krokiem do samochodu.

Nie żałowała, że nie uprzedziła go o swojej wizycie. Gdy ma się do wyboru ignorancję lub wiedzę, zawsze lepsza jest wiedza. Jednak z każdym krokiem ogarniał ją większy gniew. Kiedy zatrzymała się na światłach, zadzwoniła jej komórka.

Rozpoznawszy numer Augustina, opuściła szybę i wyrzuciła aparat na zewnątrz, krzesząc iskry z chodnika. Ruch był gęsty. Zaciskając dłonie na kierownicy, wrzasnęła głośno, przyciągając spojrzenia przechodniów. A potem zajęchała drogę ciężarówce i skręciła w stronę Kairu. Nie myślała o żadnym konkretnym celu.

Chciała po prostu pędzić przed siebie, aż samochód rozleci się na kawałki.

Nie chodziło wcale o Augustina. Zdała sobie sprawę, że Augustin był nikim, zwykłym ekranem, na którym wyświetlała film o Pavlosie. To Pavlos był jej mężczyzną, jedynym mężczyzną, którego naprawdę kochała. Od dziesięciu lat pragnęła się z nim połączyć. Od dziesięciu lat jej życie było w rozsypce.

Po drugiej stronie dwupasmowej drogi pojawiła się nagle ciężarówka z naczepą.

Ręce, którymi trzymała kierownicę, zadrżały, kiedy skręciła w jej stronę. Uderzyła w biegnący środkiem szosy wysoki krawężnik, odbiła się i musiała skręcić z powrotem.

Kierowca ciężarówki pogroził jej pięścią i zatrąbił. Nie teraz. Jeszcze nie. Tracąc Pavlosa, straciła

coś więcej niż męża. Straciła honor. Philip Dragoumis przylatywał do Aleksandrii. Znajdzie się poza ojczystym krajem. Nie będzie tak mocno strzeżony.

Ludzie powtarzali, że w zaułkach Kairu można kupić wszystko. Kair leżał zaledwie dwie godziny jazdy stąd. Nadeszła pora, żeby przekonać się, czy to prawda.

Elena miała do spłacenia krwawy dług.

## Rozdział 31

W nocy padało. Asfalt był śliski i czarny. Rzadko przejeżdżające samochody wzbijały za sobą tumany wody, które lśniły niczym diamenty w reflektorach ciężarówki Mohammeda. Już na obrzeżach Aleksandrii skręcało go ze zdenerwowania.

Prowadził nisko pochylony nad kierownicą, zerkając co chwila na zegarek i szybkościomierz. Bał się rozpędzać ciężarówkę z jej ładunkiem powyżej siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, lecz jednocześnie bał się spóźnić. Nicolas zaznaczył stanowczo, że ma być w Siwie przed zachodem słońca.

Od dawna nie prowadził już pojazdu o takich gabarytach i wadze, ale dość szybko się z nim oswoił, zwłaszcza gdy znalazł się na szerokiej i prostej drodze do Marsa Matruh. Wyjął

z portfela fotografię Lajli i położył ją na tablicy rozdzielczej, żeby pamiętać, dlaczego to wszystko robi. W lusterku bocznym pojawił się policyjny samochód. Wyprzedzając go, zwolnił na wysokości szoferki. Mohammed trzymał oczy utkwione w drodze przed sobą i radiowóz w końcu przyspieszył. Serce przestało mu bić jak oszalałe.

Dotknął zdjęcia Lajli. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro zacznie się intensywna chemoi radioterapia. Jej stan był tak ciężki, że nie było czasu do stracenia. Profesor Rafai i jego zespół będą systematycznie i celowo zatruwać jej organizm. Mniej więcej za dwa tygodnie, jeżeli taka będzie wola Allaha, pobiorą szpik z miednicy Basziry, usuną z niego fragmenty krwi i kości i wstrzykną go Lajli. Jeżeli to się uda, Lajlę czekają długie miesiące badań, kuracji i rehabilitacji.

Dopiero po roku będą mogli mieć pewność, że wszystko poszło dobrze. Do tego czasu musiał robić wszystko, czego zażądał Nicolas, ponieważ ten dał mu jasno do zrozumienia, że to, co zostało dane, może równie łatwo zostać odebrane.

Mohammed miał koparkę na placu budowy. O wiele trudniejsze okazało się znalezienie odpowiednio dużej ciężarówki z przyczepą, na której można by przewieźć taki sprzęt. Wszyscy jego zwykli dostawcy byli nieosiągalni, lecz on nie odkładał słuchawki, obdzwaniając znajomych, aż w końcu udało mu się ją znaleźć.

Potem trzeba było wypełnić papiery, odebrać ciężarówkę, dojechać nią na plac budowy, załadować i zabezpieczyć koparkę, wszystko samemu, ponieważ Nicolas uprzedził

go, że nikt nie może wiedzieć o ich planach.

I przez cały ten czas Mohammed zastanawiał się, do czego tego rodzaju ciężki sprzęt jest potrzebny Nicolasowi w Siwie. Żadna z możliwych odpowiedzi nie poprawiała mu samopoczucia. Wschodzące z tyłu słońce rzucało na jezdnię długi cień jego ciężarówki.

Wjeżdżając w ten cień, czuł, jak dręczą go złe przecucia.

## II

Knox wpatrywał się przez szybę jeepa w rozpościerające się przed nim morze piasku.

Pustynia była najpiękniejsza wczesnym rankiem i późnym popołudniem, kiedy padające ukośnie promienie słońca malowały intensywne cienie na złocistych wydmach i upał

nie był taki intensywny.

W ciągu dnia, kiedy słońce wisiało wysoko nad głowami, pejzaż stawał się płaski i monochromatyczny, z wyjątkiem miejsc pokrytych kryształkami soli z jakiegoś dawno wyschniętego morza, gdzie blask był tak oślepiający, że musiał mrużyć oczy.

Droga, którą jechał, wiodła tędy od starożytnych czasów; wędrowały nią karawany od Nilu do Siwy. Po obu stronach leżały szkielety wielbłądów, puste kanistry po benzynie, popękane opony i butelki po wodzie. Mogły tutaj leżeć od tygodnia lub od dziesięcioleci. Na Pustyni Zachodniej nie istniał recykling. Przedmioty zastygały jak w kapsule czasu. Knox miał spierzchnięte wargi i język przyklejał mu się do podniebienia. Przytknął do ust butelkę, którą trzymał między udami, i zanim połknął wodę, pozostawił ją przez chwilę w ustach.

Mimo to już po kilku sekundach wargi miał tak samo suche jak przedtem. Obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy mają wystarczające zapasy.

W trakcie jednej z podejmowanych wraz z Richardem wypraw śladami badaczy z Klubu Zerzura, którzy sporządzili mapy Pustyni Zachodniej i Gilf Kebir, Knox trafił

na szczątki mężczyzny w beduińskich szatach siedzącego przy popiołach ogniska w zagłębieniu między wydmami i zmarłego najprawdopodobniej na atak serca. Obok leżał

szkielet spętanego wielbłąda, który zdechł razem z nim, nie mogąc się ruszyć.

- Co to jest? - zapytał Rick, wskazując na wprost.

Przednia szyba jeepa była tak zakurzona, że Knox musiał wystawić głowę przez boczne okno, żeby zobaczyć, o co mu chodzi. Nisko nad horyzontem wisiał ciemny deszczowy tuman, lecz wyżej nie było widać żadnych chmur. Czego jak czego, ale na Pustyni Zachodniej nie należało się raczej obawiać deszczu. - Kłopoty - mruknął Knox.

## III

Wchodząc do willi Ibrahima po szybkim wypadzie do Kairu, Elena była w bojowym nastroju.



- Spóźniłaś się - mruknął poirytowany Nicolas, prowa dząc ją do kuchni, gdzie Philip Dragoumis omawiał przy kuchennym stole plan działania z grupką zahartowanych w boju weteranów wojen bałkańskich i Costisem, który od dawna pełnił funkcję szefa jego ochrony. -

Powiedziałem, że masz tu być o dziewiątej.

Sam widok Philipa Dragoumisa sprawił, że Elenie bardziej zaciężyła wisząca na ramieniu torebka. Nie był to jednak odpowiedni moment.

- Miałam do załatwienia sprawę - powiedziała. - O co ten cały gwałt?

- Musimy być w Siwie przed zachodem słońca.

- W Siwie! - wybuchła. - Kazałeś mi tutaj jechać tylko po to, żeby natychmiast wracać!

- Dla twojego własnego dobra - odparł Nicolas, wska zując jej monitor systemu bezpieczeństwa. - Kamery zarejes trowały, że przyjechałaś. Jutro wieczorem zarejestrują twój wyjazd. A Ibrahim przysięgnie, że byłaś tu przez cały czas.

- Więc jak...?

- Jest tutaj tylne wejście. Ustawiliśmy kamerę tak, żeby niczego nie uchwyciła -

wyjaśnił Nicolas i zerknął na zegarek. - Ale musimy już ruszać. Możesz mi dać swoją komórkę?

- Po co?

- Ponieważ jeżeli użyjesz jej w podróży, mogą nas namierzyć - wyjaśnił cierpliwie Nicolas. - Nie ma sensu załatwiać sobie alibi, jeżeli podważysz je, dzwoniąc z ko mórki.

- Więc jak będziemy się komunikować?

- Mamy komórki w samochodach. A teraz proszę, oddaj mi swoją.

- Nie mam - odparła lekko skrzepowana. - Wyrzu ciłam ją.

Nicolas zmarszczył czoło.

- Wyrzuciłaś ją? Dlaczego?

- A czy to ważne? O co w ogóle chodzi? Lepiej, żeby to było coś ważnego.

- Zgodzisz się chyba, że to coś ważnego - zamruczał

Philip Dragoumis, dając jej znak, żeby podeszła do stołu.

Otworzył dwie książki na temat Siwy, żeby mogła zobaczyć zamieszczone w niej ilustracje, i położył obok fotografię mozaiki.

- Chryste - mruknęła Elena.

- Otóż to. W końcu to znaleźliśmy. Teraz trzeba tylko zabrać to do domu.

Spojrzała na niego przerażona. Mimo całej sympatii, którą żywiła dla sprawy niepodległości Macedonii, była również archeologiem. Wykopaliska i artefakty były dla niej czymś świętym.

- Zabrać do domu?

- Oczywiście. A po co, twoim zdaniem, wszystko to robiliśmy?

- Ale... przecież to szaleństwo. Nigdy nam się nie uda.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze, może tam niczego nie być.

- Jeżeli nie, to trudno - wzruszył ramionami Philip

Dragoumis. - Ale czuję, że znajdziemy to.

- Po drugie, wykopaliska tego rodzaju mogą zająć całe miesiące. Jeśli nie lata.

- Mamy tylko jedną noc - uśmiechnął się Nicolas. - Dzisiaj. Będzie tam na nas czekała koparka. Eneas i Vasileios wiozą pozostały sprzęt i kontener. Jeden z naszych statków płynie do Aleksandrii. Przycumuje jutro rano. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby załadować to, co znajdziemy.

Wierz mi, nasi kapitanowie potrafią grać w trzy karty z zapieczętowanymi kontenerami. W ciągu kilku dni przewieziemy to wszystko do Salonik i będziemy mogli ogłosić, co mamy.

- Ogłosić? Nie możecie. Wszyscy dowiedzą się, że to ukradliśmy!

- I co z tego? Nikt nam nic nie udowodni. Zwłaszcza kiedy stwierdzisz, że Macedońska Fundacja Archeologiczna dokonała ważnego odkrycia w górach Macedonii.

Ludzie uwierzą ci, jesteś szanowanym archeologiem.

- Nie do wiary! - zaprotestowała Elena. - Staniemy się międzynarodowym pośmiewiskiem.

- Nie bardzo rozumiem dlaczego - zdziwił się Nico las. - Skoro Aleksander mógł mieć grobowiec w oazie

Siwa, dlaczego nie mógł go mieć w Macedonii?

- Mamy wyjaśnienie, dlaczego stało się to w Siwie.

Zaszyfrowaną inskrypcję.

- Owszem - zgodził się Philip. - I co ona dokładnie mówi? Że tarczownicy przygotowali dla Aleksandra grób nieopodal domu jego ojca; i że przebyli pustynię, by zawieźć tam jego zwłoki. To może się oczywiście odnosić do Siwy.

Amon był boskim ojcem Aleksandra, a Siwa leży po drugiej stronie Pustyni Zachodniej. Ale odnosi się również do Mace - donii. Filip był biologicznym ojcem Aleksandra. A tarczownicy musieli pokonać pustynię na Synaju, żeby do niej dotrzeć. Elena otworzyła usta. Logika tego wyводу nie pozostawiała nic do życzenia. Mimo to Elena była przerażona.

- Ludzie i tak będą wiedzieli - szepnęła słabo.

- Mamy taką nadzieję - stwierdził z uśmiechem Nicolas.

- Co masz na myśli?

- Jaka, twoim zdaniem, będzie reakcja, kiedy zmuszone przez międzynarodową społeczność Ateny spróbują nam go zabrać? Wyobrażasz sobie oburzenie? Macedonia nigdy się na to nie zgodzi.

- Wybuchnie wojna - jęknęła Elena.

- Owszem - przytaknął Nicolas.

Elena odwróciła się do jego ojca.

- Uważałam pana za człowieka pokoju - powiedziała.

- Jestem nim - odparł. - Ale każdy naród ma prawo się bronić. I my nie różnimy się od innych.

#### IV

Miejsce, w którym ojciec Gaille się zabił, spadając ze skały, leżało na wschodnim krańcu siwańskiej depresji, w odległości trzech godzin jazdy od miasta Siwa.

Większą część stu kilometrów pokonali, jadąc drogą do AlBahrii, potem skręcili na północ. Sceneria była trochę niesamowita. Wysokie urwiska wznosiły się nad Wielkim Morzem Piasku. Nie było żadnej roślinności. Biały wąż odpełził od nich w dół po spadzistej wydmie. Poza nim Gaille nie zobaczyła żadnych śladów życia, nawet jednego ptaka.

Z miejsca, gdzie zaparkowali, szło się pięć minut do podnóża stromego, wysokiego urwiska. Kopczyk z kamieni zaznaczał dokładne miejsce wypadku. Na najwyższym kamieniu wyryte było niezbyt udolnie pełne nazwisko: Richard Yosiah Mitchell. Ojciec nie znosił, kiedy mówiono do niego Yosiah. Najbliżsi przyjaciele, wiedząc o tym, bezlitośnie mu w ten sposób dokuczali. Gaille podniosła kamień i zapytała przewodników, czy napis wyrył któryś z nich. Potrzęsnęli głowami, dając do zrozumienia, że to musiał być Knox. Odłożyła kamień z powrotem, nie wiedząc, co o tym sądzić.

Kiedy tam stała, Mustafa opowiedział, jak razem z Knoksem zbiegli na dół i znaleźli jej ojca zimnego

i rozpryskaną wszędzie krew; jak zaproponowali Knoksowi, że pomogą mu zanieść ciało do ciężarówki, a on zdecydowanie odmówił.

Gaille spojrzała tam, gdzie zaparkowali.

- Macie na myśli tę ciężarówkę? - zapytała.

- Tak.

Zrobiło jej się słabo.

- Zwłoki mojego ojca były w waszej ciężarówce?

Mustafa nie krył skrepowania. Powiedział, jak bardzo on i Zajn szanowali jej ojca, jaka to była tragiczna i niepotrzebna śmierć. Gaille zerknęła w górę. Pionowa skalna ściana wznosiła się wysoko nad nimi. Na sam widok zaczęło ją mrowić w stopach i zakręciło jej się w głowie. Zawsze cierpiała na lęk wysokości.

Cofnęła się o krok, potknęła i upadłaby, gdyby Zajn nie złapał jej za ramię.

Kręciło jej się w głowie przez cały czas, gdy wraz z Mustafą wspinała się na górę.

Zajn wolał zostać przy ciężarówce, żeby pilnować jej przed rabusiami. Słyszac to, Gaille parsknęła niechętnie. Przed rabusiami! W promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie było żywej duszy. Nie mogła go jednak winić. Wzmagający się upał i strome podejście sprawiły, że wspinaczka była trudniejsza, niż się spodziewała. Nie było żadnej ścieżki, wyłącznie szereg skalnych półek zasypanych piaskiem, po którym ślizgały się buty. Mustafa szedł pierwszy, tańcząc w swoich sfatygowanych klapkach; zupełnie nie przeszkadzały mu długie białe szaty i ciężki plecak, pięć razy większy od plecaka Gaille. Wyprzedziwszy ją na wystarczającą odległość, kucnął niczym żaba na skalnym występie, żeby wypalić śmierdzącego papierosa, i patrzył uprzejmie, jak sapiąc z wysiłku, stara się go dogonić. Coraz bardziej ją to irytowało. Czy nie wiedział, że to niemożliwe, by mężczyźni w jego wieku tyle palili i mimo to byli w świetnej formie? Czy nie zdawał sobie sprawy, że powinien być fizycznym wrakiem? Spojrzała na niego spode łba. Mustafa pomachał jej wesoło. Stopy bolały jāmimo skórzanych butów; łydki i uda drżały z wysiłku, w ustach zaschło z pragnienia.

Dotarła w końcu do miejsca, w którym na nią czekał, usiadła i sięgnęła po butelkę z wodą.

- Daleko jeszcze? - zapytała, pociągnąwszy łyk.

- Dziesięć minut.

Zerknęła na niego podejrzliwie. Powtarzał to za każdym razem.

Burza piaskowa nie wydawała się z początku zbyt gwałtowna. Rick odchylił się do tyłu z uśmiechem ulgi.

- Nie jest tak źle - stwierdził.

- Jeżeli się nie pogorszy.

Mimo tumanów piasku bombardującego drzwiczki i szybę na zewnątrz było dość jasno, by Knox widział drogę. Burze piaskowe dzielą się generalnie na dwie kategorie.

Pierwsza jest w gruncie rzeczy burzą pyłową, wysoką na kilkadziesiąt metrów i zasłaniającą słońce - dezorientującą, lecz niezbyt groźną. Druga - taka jak ta - to prawdziwa burza piaskowa: gwałtowny huragan porywa piasek z wydm i strzela nim niczym śrutem.

Rick już wkrótce pożałował swojej bez troski. Podmuchy wiatru były tak mocne, że przez cały czas kołysali się na skrzypiących resorach. Okna i karoseria znalazły się pod tak silnym ostrzałem, że w każdym momencie mogły popękać stare szyby.

Widoczność pogorszyła się do tego stopnia, że Knox nie widział już prawie starego traktu. Co chwila wpadali w miękki piasek, w którym grzęzły koła, albo na ostre kamienie, które mogły przebić opony. W końcu wrzucił jedynekę i zwolnił do kilku kilometrów na godzinę.

- Może powinniśmy stanąć? - zapytał Rick.

Knox potrząsnął głową. Gdyby zatrzymali się choćby na minutę, wiatr wywiałyby piasek spod opon i ugrzęźliby na dobre w powstałych w ten sposób zagłębieniach. A potem przy boku samochodu utworzyłaby się zaspą i w końcu kompletnie by ich zasypało. Z

zablokowanymi drzwiami mogliby co najwyżej czekać na ratunek. W tym miejscu szansę na to byłyby jednak bardzo nikłe.

Wiatr wiał z niewiarygodną siłą. Kołysali się niebezpiecznie w przód i w tył. Koła po lewej stronie opadły nagle w dół, a w prawy bok uderzył wyjątkowo mocny podmuch. Przez chwilę mieli wrażenie, że jeep się przewróci.

- Chryste! - jęknął Rick, łapiąc się klamki, kiedy opadli z powrotem na cztery koła. -

Przeżyłeś już wcześniej coś takiego?

- Raz - odparł Knox.

- Jak długo to trwało?

- Siedem dni.

- Robisz sobie jaja.

Knox się uśmiechnął. Nieczęsto widywał Ricka tak roztrzęsionego.

- Masz rację - przyznał. - Właściwie to było siedem i pół.

Smużka tytoniowego dymu połaskotała Gaille w gardle i przyprawiła ją o kaszel.

Mustafa podniósł w przepaszającym goście rękę, a potem zgasił niedopałek, wciskając go w kurz kłapkami. Gaille wylała trochę wody na dłoń, otarła nią czoło i podniosła się niechętnie na nogi.

- Daleko jeszcze? - zapytała.

Mustafa pokiwał skwapliwie głową.

- Dziesięć minut.

Gaille zacisnęła zęby. Nie zamierzała dawać mu satysfakcji i prosić o więcej czasu na wypoczynek. Znużona ruszyła za nim przecinającym zbocze żlebem. Po kilku chwilach żleb nagle się skończył i zobaczyła przed sobą dziesiątki kilometrów złocistej pustyni. Wydawała się ciągnąć bez końca.

- Widzisz - powiedział Mustafa, zataczając krąg ręką niczym impresario. - Dziesięć minut.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak wysoko się wspięli. Podeszła ostrożnie do samej krawędzi. Urwisko opadało prosto ku głazom na dole, płową ścianę przecinały czarne cienie.

Skalna półka biegła nad przepaścią ku bezpiecznemu wylotowi żlebu.

Ale była nieprzyzwoicie wąska, bardziej przypominała gzyms niż ścieżkę.

- Szedłeś tędy? - chciała wiedzieć.

Mustafa wzruszył ramionami. Zsunął ze stóp klapki i ruszył szybko po półce, opierając się lewą ręką o skałę i dopasowując podeszwy stóp do niepewnego podłoża. Po drodze poruszył mały kamyk, który poleciał w dół. Gaille oparła się dłonią o skałę i wychyliła, żeby popatrzeć, jak spada. Kamyk odbił się od wystającego nawisu i poleciał w bok. I spadał. Daleko na dole widziała kopczyk z kamieni.

Mustafa przeszedł na drugą stronę.

- Widzisz - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. - To nic takiego.

Gaille potrząsnęła głową. Nie było mowy, żeby to zrobiła. Miała marne poczucie równowagi i zmęczone łydki. Pokonanie takiej półki byłoby trudne nawet na dole.

Tym bardziej tu, wysoko. Mustafa wzruszył ramionami i wrócił do niej. Już sam jego widok sprawiał, że drętwiały jej palce stóp. Egipcjanin położył jej rękę na plecach, dodając odwagi. Postawiła niepewnie lewą stopę na pierwszym małym skalnym występie i dostawiła do niej prawą. Całe wieki wpatrywała się w miej sce, w którym powinna postawić następny krok. Świat wokół niej kurczył się i tracił ostrość. Jednocześnie oddalał się i zbliżał. Chciała się cofnąć, ale nie była w stanie się poruszyć.

Zamknęła oczy, przycisnęła plecy do skały i rozpostarła ramiona, żeby zachować równowagę. Palce u rąk i stóp odmawiały jej posłuszeństwa; w każdej chwili mogły ugiąć się kolana. I w tym momencie

uświadomiła sobie w końcu, co przytrafiło się jej ojcu i jaką rolę odegrał w tym Knox. Łzy popłynęły jej z oczu, kiedy zdała sobie sprawę, jak bardzo się co do niego myliła, myliła się we wszystkim.

- Nie mogę tego zrobić - jęknęła. - Nie mogę...

Mustafa złapał ją za rękę i pociągnął w bezpieczne miejsce.

- Widzisz - powiedział. - To wszystko, co powinien zrobić Knox.

Gaille potrząsnęła głową i powstrzymując torsję, usiadła we względnie bezpiecznym miejscu. A potem położyła się na plecach i zakryła oczy ręką, ocierając jednocześnie łzy z policzków. W ubezpieczeniu na życie, które zawarł jej ojciec, była mowa o pokaźnym bonusie, gdyby poniósł śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Za pieniądze z odszkodowania Gaille kupiła sobie mieszkanie. Mieszkanie! Czowała się zdruzgotana. Wstała i na słabych, drżących nogach ruszyła w milczeniu w dół za Mustafą.

1

## Rozdział 32

Knox i Rick całymi godzinami zmagali się z burzą piaskową. Wycie, chrobot i ryk wiatru działały im obu na nerwy, wściekłe harpie wgryzały się w metalową karoserię, próbując się do nich dostać. Silnik również był przeciążony, z chłodnicy dobiegał

niepokojący bulgot. W końcu jednak burza zaczęła słabnąć, a chwilę później wiatr kompletnie ucichł i ujrzeli wokół siebie otwartą pustynię.

Już wcześniej zjechali z traktu i nie widzieli w pobliżu żadnych znaków orientacyjnych. Nie mieli też GPSu ani porządnej mapy, która pomogłaby im określić swoją pozycję.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytał Rick.

- Nie.

- Więc co teraz, kurwa, zrobimy?

- Nie przejmuj się - odparł Knox.

Wdrapał się na maskę jeepa, podniósł do oczu lornetkę i omiół wzrokiem horyzont.

Ludzie uważali, że pustynia jest płaska jak patelnia, pozbawiona tożsamości i cech szczególnych. W rzeczywistości jednak wcale tak nie było, zwłaszcza gdy ktoś ją kilka razy odwiedził. Każdy region miał swoją tożsamość i cechy szczególne. Niektóre miejsca przypominały amerykańskie słone równiny, na których bije się rekordy szybkości. Inne były niczym rozkołysane morze, które zastygło w wydmy; i chociaż piasek wciąż się przemieszczał, ukształtowanie terenu było nieśmiertelne i niezmiennie. Były tam także liczne urwiska i granie, po których Knox wspinał się w przeszłości.

W powietrzu unosił się pył, ale daleko na północy dostrzegł znajomą skarpe.

- Powinniśmy coś zjeść - powiedział do Ricka. - I dać odpocząć silnikowi.

Usiedli w cieniu jeepa i popili wodą zimny ryż z jarzynami. Stygnący silnik głośno trzeszczał i tykał. Zaspokoiwszy głód, dolali wody do chłodnicy i ruszyli w dalszą drogę.

Wrócili na trakt dokładnie tam, gdzie spodziewał się Knox, i jechali nim przez pustynię, która wydawała się bezkresna. Okazało się, że gdzieś się jednak kończy, ponieważ wkrótce po zmierzchu wjechali na utwardzoną drogę i mogli przyspieszyć.

Godzinę później zatrzymali się na głównym placu Siwy.

- Napiłbym się czegoś zimnego - mruknął Rick.

## II

Mohammed zatankował pięćdziesiąt kilometrów przed Siwą, a potem jechał przez pół

godziny z leżącą na sąsiednim fotelu komórką, czekając, aż złapie sygnał. Kiedy to się stało, zjechał na pobocze i zatelefonował do Nur. Dobrze zrobił mu sam dźwięk jej głosu. Nękające go złe przecucia były coraz silniejsze. Kiedy Nur wymieniła imię Lajli, zawołał nagle, że bardzo je obie kocha i że gdyby stało się coś złego i już się nigdy nie zobaczyli...

- Nawet o tym nie mów! - przerwała mu. Poraziła go rozpacz, którą usłyszał w jej głosie.

Odetchnął parę razy, żeby się uspokoić, po czym zapewnił Nur, że nic mu nie grozi i zobaczą się jutro wieczorem. A potem zakończył rozmowę, wyłączył telefon, zanim zdążyła oddzwonić, i zerknął na zegarek. Miał świetny czas. Wyskoczył z szoferki, obszedł

ciężarówkę i przykucnął na poboczu. Nabrał w dłoń trochę piasku i patrzył, jak sypie się między palcami. Po upalnym dniu był tak gorący, że zostawił na jego skórze czerwone ślady.

Nabrał kolejną garść, jakby wierzył, że zadając sobie teraz ból, uniknie poważniejszej kary w przyszłości.

Beduin w zakurzonej białej ciężarówce zatrąbił i wystawił głowę przez okno, żeby zapytać wesoło, czy nie potrzebuje pomocy. Mohammed podziękował i dał mu znak, żeby jechał dalej. Był tak zmęczony, że czas wydawał się biec dwa razy wolniej niż zwykle. Słońce zawisło nad horyzontem i w końcu zaszło. Szybko się ściemniło.

Mohammed obserwował drogę prowadzącą do wybrzeża. Rzymianie popłakaliby się z radości, widząc, jaka jest prosta i płaska. Dostrzegając zbliżające się dwie terenówki i tira, wstał, strząsnął piasek ze spodni i wsiadł z powrotem do szoferki.

Podjeżdżając do niego, pojazdy zwolniły i w jednej z terenówek zapaliło się wewnętrzne światło. Nicolas wychylił się przez okno i dał mu znak, żeby jechał za nimi.



Mohammed podniósł w górę kciuki i zrobił, co mu kazano. Przez kilka kilometrów podążał w ślad za konwojem do Siwy, a potem skręcił za nim w głąb pustyni.

### III

Spacerując po mieście, Gaille zobaczyła Knoksa, który wraz z innym mężczyzną pił mrożoną wodę pod markizą kawiarni. Po krótkim wahaniu podeszła do nich. Knox podniósł wzrok najwyraźniej zaskoczony jej widokiem.

- Gaille - wyjąkał.

- Daniel - odparła, pozdrawiając go skinieniem głowy.

- To jest Rick - powiedział, wskazując swojego towa rzysza.

- Miło panią poznać.

- Mnie również.

- Czy możemy porozmawiać? Na osobności? - zwróciła się do Knoksa.

- Jasne. Chcesz się przespacerować? - odrzekł, wska zując drogę. - Nie masz nic przeciwko, stary? - zapytał

Ricka, kiedy kiwnęła głową.

- Nie spiesz się. Zamówię coś do jedzenia.

Knox i Gaille ruszyli razem drogą.

- No i co powiesz? - mruknał.

- Pojechałam tam dzisiaj.

- Gdzie?

- Tam, gdzie zginął mój ojciec. Zawieźli mnie Mustafa i Zajn.

- Aha.

Gaille stanęła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę wiedzieć, co się stało, Danielu. Chcę poznać prawdę.

- Na pewno powiedzieli ci prawdę.

- Na pewno powiedzieli, co widzieli - odparła, ruszając dalej. - Ale to niezupełnie to samo, prawda?

Knox spojrział na nią z ukosa.

- Co to ma znaczyć?

- Byłeś z moim ojcem, kiedy wszyscy go opuścili. Nie zrobiłbyś tego, gdyby ci na nim nie zależało. Więc dlaczego pozwoliłeś mu spaść?

- Nie zrobiłem tego.

- Owszem, zrobiłeś. I musiałeś mieć jakiś powód. A ja chyba wiem, co to było. On był umierający, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Na co chorował? Na AIDS?

- To był nieszczęśliwy wypadek - powiedział Knox.

Gaille potrząsnęła głową.

- Mustafa i Zajn powiedzieli mi, że odmówiłeś, kiedy proponowali, że pomogą ci przenieść ciało. Tyle tam było krwi. Dlatego pomyślałam o AIDS.

- To był wypadek.

- A potem oczywiście kazałeś szybko skremować zwłoki.

- Powiedziałem ci już, to był wypadek.

- Musisz tak mówić, bo inaczej wyszłoby na jaw, że maczałeś palce w wyłudzeniu odszkodowania.

Knox otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie padło z nich żadne słowo. W

ciemnej bocznej uliczce trudno było odczytać coś z jego twarzy. Ale Gaille nie dawała za wygraną.

- Ojciec kazał ci obiecać, że do mnie napiszesz, prawda?

Napiszesz, że o mnie myślał. Proszę. Muszę to wiedzieć.

Knox przez chwilę milczał.

- Tak - powiedział w końcu.

Gaille pokiwała głową. W głębi serca wiedziała o tym już wcześniej, jednak musiała to sobie przyswoić.

- Opowiedz mi - poprosiła. - Opowiedz o wszystkim.

- Nie chodziło tylko o AIDS - westchnął Knox. - Richard cały się sypał. Miał raka.

Przestały funkcjonować organy wewnętrzne. To było tylko kwestią czasu. Czasu i bólu.

Nigdy nie był człowiekiem, który chciałby dogorywać w szpitalu albo być dla kogoś ciężarem. Powinnaś o tym wiedzieć. Chciał odejść na swoich warunkach, w miejscu, które kochał. I chciał ci coś zostawić, zrekompensować to, że był złym ojcem.

- Złym ojcem? - powtórzyła cicho Gaille. - Tak powiedział?

- Tak.

- A ty pozwoliłeś mu po prostu... to zrobić?

- Nie dał mi wyboru. To znaczy, miałem do wyboru towarzyszyć mu albo zostać w domu. Był moim przyjacielem.

Postanowiłem, że będę mu towarzyszył. Przykro mi, jeżeli twoim zdaniem to była zła decyzja - dodał ostrym tonem.

- Wcale tak nie uważam - rzekła. - Żałuję po prostu, że mnie tam nie było.

- Miałaś tę możliwość.

- Tak - zgodziła się. - Nie musisz mi mówić, że źle się zachowałam. Wiem o tym. I bardzo mi z tego powodu przykro.

Spacerując, zatoczyli pełne koło. Rick zobaczył ich i pomachał. Podeszli do niego.

- Pieczone kurczaki z frytkami - powiedział. - Więc to jest ta słynna Gaille?

- Owszem, Gaille - odparła. - Ale nie wiedziałam, że jestem słynna.

- Dla mnie jesteś. Tu obecny Knox nie przestaje o tobie mówić.

- Przymknij się, Rick - mruknął Knox.

Rick się roześmiał.

- Więc jak wam idą poszukiwania? - zapytał.

- Jakie poszukiwania?

- Daj spokój, kochanie. Poszukiwania dóbr odpowiednich dla syna Amona.

Gaille popatrzyła najpierw na jednego, potem na drugiego.

- Skąd o tym wiecie, chłopcy?

Knox wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nie tylko ty jedna źle się zachowywałaś.

- To znaczy?

- Pamiętasz, jak spuszczałaś się na linie pod cokołem? - Knox zrobił przerażoną minę.

- "Ktoś tutaj jest!" - zawołał, naśladowując jej głos.

Gaille otworzyła szerzej oczy.

- To byłeś ty! - roześmiała się. - Danielu, to okropne!

- Wiem - przyznał z uśmiechem. - Uśmiechnęło się do was szczęście?

- Nie mogę o tym mówić. Dałam słowo.

- Komu? - zapytał drwiąco Knox. - Elenie? Nicolasowi Dragoumisowi?

- Nie. Jusufowi Abbasowi.

Knox głośno się roześmiał.

- Temu oszustowi? Ten facet jest skorumpowany, Gaille.

- Jest szefem Naczelnej Rady Zabytków.

- Zniszczył twojego ojca.

- Nie wiem - westchnęła Gaille, chowając głowę w dłoń. - Nie wiem już, komu mam ufać.

- Zaufaj mi - odparł Knox. - Tak jak to zrobił twój ojciec. A jeśli chcesz porozmawiać z kimś, kto cieszy się autorytetem, zwróć się do doktora Sajeda. Na pewno cię nie zawiedzie.

- Jesteś pewien?

- O co ci chodzi?

- Zobaczył coś na moich fotografiach dolnej komory - powiedziała po krótkim wahaniu. - Przysięgam, że tak było.

A potem z jego biblioteki zniknęło kilka książek.

Knox zmarszczył czoło.

- Uważasz, że zrobił to, żebyś czegoś nie odkryła?

- Niewykluczone.

- Wierz mi, Gaille, jeżeli to prawda, nie zrobił tego, żeby powstrzymać ciebie. Zrobił to, żeby powstrzymać Jusufa.

Chodźmy do niego.

Gaille potrząsnęła głową.

- Nie ma go. Wezwano go do Kairu. A jego dom jest zamknięty.

- W takim razie to świetnie, że mamy ze sobą Ricka - uśmiechnął się Knox. - Ma talent, który może nam się przydać.

### **Rozdział 33**

Ibrahim nigdy nie miał stalowych nerwów, ale kiedy Nicolas przytknął mu do szyi nóż, do reszty stracił głowę. Łatwo jest popisywać się odwagą w marzeniach. Nicolas kazał

mu zadzwonić do biura i poinformować, że źle się czuje, a następnie podpisać na blankietach Naczelnej Rady pełnomocnictwa do prowadzenia prac wykopaliskowych na Pustyni Zachodniej, mimo że leżała ona daleko poza zasięgiem jego jurysdykcji. Od tej chwili musiał

sterczeć przy telefonie, na wypadek gdyby ktoś zatrzymał Nicolasa i trzeba było potwierdzić pełnomocnictwa.

Nie był sam. Pilnowali go Manolis i Sofronio, pierwszy i drugi pilot Nicolasa.

Zamknęli wszystkie zewnętrzne drzwi i okna, zabrali klucze i skonfiskowali mu komórkę. Chodzili za nim wszędzie, nawet do łazienki. A Sofronio znał wystarczająco dobrze arabski, by przysłuchiwać się jego rozmowom telefonicznym Ibrahima i natychmiast go rozłączyć, gdyby próbował wezwać pomoc.

Nicolas i jego ludzie mieli najwyraźniej zamiar wywieźć z Siwy jakiś bezcenny historyczny skarb. Ibrahim poświęcił życie, by strzec zabytków Egiptu, a teraz pomagał je plądrować tym gangsterom.

Odwrócił się gwałtownie i ruszył do swojego gabinetu. Manolis podążył za nim.

- Coś tylko wezmę - westchnął Ibrahim, lecz Manolis i tak wszedł razem z nim do środka.

Ibrahim zabrał jakieś papiery z szuflady i wychodząc, zerknął na drzwi. Klucz tkwił w zamku od wewnętrznej strony, tak jak się spodziewał. Wyszedł na korytarz z Manolisem i nagle zatrzymał się w miejscu.

- Zapomniałem pióra - powiedział.

Manolis czekał na korytarzu, a Ibrahim wszedł z powrotem do gabinetu, wziął z biurka grube czerwone wieczne pióro i pokazał je Grekowi. Serce zaczęło mu walić jak młot i zaschło w ustach. Wskutek siedzącego trybu życia był w beznadziejnej formie. Położył dłoń na klamce i powiedział sobie, że nadszedł odpowiedni moment.

Jego mózg nakazywał dłoni, żeby zatrzęsnęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, dzięki czemu zyska na czasie i zdoła odkupić swoje winy... ale dłoń odmówiła posłuszeństwa.

Stracił odwagę i wyszedł na korytarz. Serce zwolniło. Poziom adrenaliny się obniżył. Czuł, że musi natychmiast oddać moc. Pochylił ze wstydem głowę, uświadamiając sobie, kim jest naprawdę. Tchórzem, nieudacznikiem, kompletnym zerem. Życie człowieka jest darem Allaha. On zmarnował ten dar.

Bir alHamam. Dwa szczyty połączone niską granią. Opadające ze wszystkich stron niczym w piramidzie strome piaskowe zbocza. Słodkowodne jezioro okolone trzcinami i inną roślinnością. Księżyc w ostatniej kwadrze odbijał się w wodzie, której taflę mąciły skaczące po powierzchni owady i polujące na nie ryby.

Owocożerne nietoperze wyfruwały z piskiem ze swoich kryjówek w popękany wapieniu, żeby żerować w pobliskich sadach.

Nicolas ustawił wszystkie pojazdy w półokręgu u podnóża góry, żeby zasłoniły to, co robili. W gruncie rzeczy jednak nie sądził, by ktoś ich zaskoczył. Znajdowali się dziesięć kilometrów na północ od Siwy i trzy od najbliższej drogi lub osady.

Osobiście nadzorował rozładunek sprzętu i przydział łopat, kilofów, latarek i broni.

Kazał Leonidasowi wziąć jeden z karabinków AK-47 i wdrapać się na kontener, skąd był lepszy widok.

Księżyc świecił wystarczająco jasno, by Mohammed mógł przy nim pracować.

Nabierał łyżką koparki wielkie porcje piasku i wysypywał go za sobą. Koparka przechylała się stopniowo do przodu i w końcu musiał obrócić łyżkę o sto osiemdziesiąt stopni i wykopać dół dla siebie. Wzgórze było górą lodową - większość jego masy ukryta była pod piaskiem. Po trzech godzinach cała koparka skryła się w wykopany przez niego dole. Jednakże nic nie znalazł. Z początku Nicolas i jego ludzie obserwowali bacznie dół, lecz ich zainteresowanie słabło, w miarę jak mijały bezproduktywnie kolejne godziny. Co jakiś czas Nicolas prosił go, żeby przerwał, i schodził w dół, żeby zbadać świeżo odsłonięte skały.

W trakcie tych przerw Mohammed rozglądał się dookoła. Białe zimne wydmy przypominały śnieżne zaspy.

Leonidas zszedł ze swojego stanowiska na kontenerze i skarżył się, że marznie. Nikt nie chciał go zastąpić. Stali ze skulonymi ramionami, osłaniając dłońią papierosy.

Mohammed po raz kolejny napełnił łyżkę koparki i wysypał ją za sobą. Szmer osypującego się piasku przypominał odgłos deszczu. Mózg lasował mu się ze zmęczenia.

Wgryzając się w ziemię, miał wrażenie, iż kopie sobie drogę do piekła. Nicolas ponownie dał mu ręką znak, żeby przerwał, i podszedł ze swoim ojcem zbadać piaskowiec. Po chwili potrząsnął sfrustrowany głową i kopnął z gniewem skałę. Mohammed starał się nie okazywać radości. Najlepszym dla niego rozwiązaniem było wykonywać rozkazy i nic nie znaleźć.

Nicolas wylazł z dołu i podszedł do koparki. Mohammed opuścił szybę.

- Dosyć - powiedział Grek. - Nic tu nie ma. Musimy kończyć.

Mohammed wskazał wykopany przez siebie wielki dół.

- Mam to zasypać?

Nicolas potrząsnął głową.

- Nie. Wyręczy nas pierwszy wiatr.

- Jak pan sobie życzy.

Mohammed obejrzał się przez ramię, żeby wyjechać z dołu, ale był tak zmęczony, że zapomniał o zmianie biegu. Zamiast do tyłu koparka skoczyła do przodu, uderzając łyżką o skałę. Kawał stwardniałego piasku oderwał się nagle i runął w dół.

Mohammed potrząsnął zniecierpliwiony głową, zmienił bieg i ruszył do tyłu.

Usłyszał nagle pojedynczy okrzyk radości, a potem cały ich chór. Grecy zgromadzili się przy skale i oświetlali ją latarkami. Mohammed uniósł się w swojej kabinie.

Zobaczył gładki kawałek marmuru wielkości rozpostartej dłoni i poczuł, że upada na duchu. Czymkolwiek było to, czego szukali ci ludzie, właśnie to dla nich odnalazł.

### III

W domu Alego było ciemno i cicho. Okna były zasłonięte okiennicami, drzwi frontowe zamknięte na klucz. Rick wyjął swój stalowy drut i wkrótce znaleźli się w środku.

- Nie podoba mi się to - mruknęła nerwowo Gaille.

- Zaufaj mi. Ali to przyjaciel. Wszystko zrozumie.

Znajdźmy po prostu te książki.

Znalazł je Rick pod materacem Alego. Razem pięć tomów. Wzięli je i zaczęli kartkować. Gaille pierwsza znalazła rysunek przedstawiający Bir alHammam.

- Popatrzcie! - powiedziała, kładąc książkę na łóżku. - Ten zarys wzgórz. Taki sam jak na mozaice.

- I na malowidle z Wepwawetem - zauważył Knox.

Gaille spojrzała na niego zaskoczona.

- Tam też byłeś?

- Byliśmy wszędzie, kochanie - odparł, szczerząc zęby Rick.

- Posiadacz tajemnicy - mruknął Knox. - Wiemy zatem, co to za tajemnica: lokalizacja grobu, który tarczownicy zbudowali dla Aleksandra, ze wszystkimi znajdującymi się tam przedmiotami.

- Dokładna lokalizacja - dodał Rick, wskazując dwie skalne wychodnie, które znajdowały się w tym samym miejscu, co rozchylone kolana Akylosa na mozaice i roz stawione stopy Wepwaweta na malowidle, i między którymi tkwił w pierwszym przypadku miecz, a w drugim sztandar.

Gaille wciągnęła nagle powietrze w płuca. Knox zerknął na nią.

- Co jest? - zapytał.

- Chodzi o to, że poprosiłam Ibrahima, żeby przysłał mi egzemplarze tych książek.

Potem Elena została wezwana do

Aleksandrii. Ali do Kairu. Nie myślicie, że ktoś... próbuje coś zrobić?

- Nie wiem - odparł ponuro Knox. - Ale moim zdaniem powinniśmy to sprawdzić.

## **Rozdział 34**

Była jeszcze noc i Knox nie dodawał gazu, póki nie wyjechali z miasta. Przyspieszył

dopiero na porytym koleinami pustynnym trakcie. Stare zawieszenie skrzypiało i jęczało, kiedy podskakiwali na wybojach. Lodowate powietrze wpadało przez szpary w drzwiach i otwory wentylacyjne. Rick siedział z tyłu, nachylając się ku nim; Gaille schowała dłonie pod pachami.

- Chyba nam odbiło! - mruknęła, drżąc z zimna. - Dlaczego nie przyjedziemy tutaj rano?

- Nie możemy ryzykować.

- O jakim ty mówisz ryzyku? Nawet jeżeli ktoś wie o grobie, nie może go tak po prostu splądrować.

- Uwierz mi, Dragomisowie nie cofną się przed niczym, jeśli im się to opłaci.



- Myślisz, że rzeczywiście się opłaci? Przecież na pewno zostaną zdemaskowani. Czy narażaliby się na międzynarodowo we potępienie i dożywotnie więzienie dla jakichś przedmiotów

„stosownych dla Aleksandra”?

- Może nie chodzi im wcale o te przedmioty, lecz o coś więcej.

- Na przykład o co? - zapytał Rick.

- Jest tylko jedna rzecz, dla której ryzykowaliby wszystko.

- No dalej, stary. Wyrzuć to z siebie.

- Dragoumis chce niepodległości Macedonii. Można to osiągnąć tylko w wyniku otwartej wojny. On o tym wie. Ale ludzie nie wszczynają wojny o byle co. Potrzebują jakiejś sprawy. Czegoś większego od nich samych, czegoś, w co mogliby wierzyć. Żydzi szli na wojnę z Arką Przymierza.

Chrześcijanie stawali do walki pod znakiem krzyża. O co gotowi bylibyście walczyć, gdybyście byli Macedończykami?

- Ciało Aleksandra - wymamrotała Gaille.

- Nieśmiertelnego, niezwyciężonego władcy świata - powiedział Knox.

- Ale to przecież niemożliwe - zaprotestował Rick. - Ciało Aleksandra było wystawiane w Aleksandrii przez długie stulecia po śmierci tarczowników.

- Jesteście tego pewni?

- Oczywiście - odparła Gaille. - Odwiedził go Juliusz

Cezar. Oktawian. Karakalla.

Knox machnął niecierpliwie ręką.

- Dziękuję wam za wykład z historii, kochani - powie dział - ale popatrzcie na to przez chwilę z innej perspektywy.

Wyobraźcie sobie, że jesteście Ptolemeuszem, który zaczyna właśnie rządzić w Egipcie. Dociera do was wiadomość, że ci dranie tarczownicy zwiali ze zwłokami Aleksandra. Potrzebne są wam te zwłoki. To jedyna rzecz, która legitymizuje waszą władzę.

Ruszacie w pościg. Ale kiedy ich dopadacie, nie ma śladu po Aleksandrze, a wszyscy tarczownicy odbierają sobie życie. Co teraz, do diabła, zrobicie?

- Sobowtór - mruknął Rick. - Sugerujesz, że posłużył się sobowtorem?

- To całkiem możliwe, nie? Przecież Ptolemeusz wysłał już raz fałszywy konwój, żeby wprowadzić w błąd Perdikkasa.

Taki pomysł z pewnością przyszedł mu do głowy.

- Ale Aleksander miał najbardziej znaną twarz w starożytności - zaprotestowała Gaille. - Ptolemeusz nie mógł po prostu zabalsamować kogoś innego i liczyć, że nikt się nie połapie.

- Dlaczego nie? Pamiętaj, że nie było wtedy telewizji.

Nie było fotografii. Była pamięć i sztuka. Jedna i druga miała skłonność do idealizacji.

Posłuchajcie. Zanim Ptolemeusz przewiózł zwłoki Aleksandra do Aleksandrii, przez trzydzieści albo czterdzieści lat trzymał je w Memfis. To intrygowało archeologów przez długie dekady. Naprawdę wierzycie, że tak długo trwało zbudowanie odpowiedniego grobowca? Albo że Ptolemeusz ociągał się tak długo, żeby powiązać to wielkie wydarzenie z sukcesją swojego syna? Gówny prawda. Może to właśnie było powodem zwłoki. Może Ptolemeusz bał się sprowadzić zwłoki do greckiego miasta, ponieważ to nie był w ogóle Aleksander. Chciał poczekać, aż wszyscy, którzy go dobrze znali, wymrą lub będą zbyt zgrzybiali, żeby pamiętać, jak wyglądał.

- Bujasz w obłokach.

- Czyżby? Sama pokazałaś mi to malowidło.

- Jakie malowidło?

- W przedsionku macedońskiego grobowca. Przedsta wiające Akylosa i Apellesa z Kos. Powiedz mi jedno: po co osobisty portrecista Aleksandra miałby marnować czas, ma lując skromnego tarczownika? Nie można wykluczyć, że

Akylos pozował jako Aleksander. Nie odnaleźliśmy przecież jego zwłok w Aleksandrii. Widziałaś mozaikę, Gaille. Akylos był niski, szczupły i miał rudawe włosy. A teraz opisz mi

Aleksandra.

- Nie. To niemożliwe - zaprotestowała słabo, czując, jak przechodzi ją nagły dreszcz.

Knox zobaczył to na jej twarzy.

- O co chodzi? - zapytał. - Powiedz.

- Zawsze wydawało mi się dziwne - odparła - że

Kelonimus pochował tarczowników w Royal Quarter. Chodzi o to, że władza Ptolemeusza była tutaj akurat bardzo mocna.

Sprowadzenie ich w to miejsce równało się samobójstwu.

- Chyba że...

- Kelonimus napisał w zaszyfrowanej inskrypcji, że przysiągł, iż połączy trzydziestu trzech po śmierci tak blisko, jak byli związani w życiu. Jeżeli masz rację i w Aleksandrii naprawdę pochowano Akylosa jako Aleksandra, w takim razie nekropola z innymi tarczownikami znalazła się tak blisko Akylosa, jak to tylko możliwe. Kelonimus chciał ich w ten sposób połączyć.

Knox przycisnął gaz do dechy i pomknęli z rykiem pustynią.

## II

Elena patrzyła jak urzeczona na marmurową płytę. Mohammed oczyścił ją najpierw z piasku, po czym wbił metalowe zęby koparki między marmur i wapienne nadproże i pociągnął do przodu. Kiedy płyta runęła w dół, Elena skrzywiła się oburzona aktem tak brutalnego wandalizmu, lecz piasek był miękki i marmur nie popękał. W dalszym ciągu była zdecydowana pomścić Pavlosa, lecz jednocześnie nie mogła się oprzeć, by nie zajrzeć do środka. Pod każdym względem był to szczytowy punkt jej kariery.

Wszyscy skierowali latarki w ciemny wylot tunelu. Strome stopnie prowadziły do wykutego w skale korytarza, dość szerokiego i wysokiego, by mogło nim iść ramie przy ramieniu dwóch mężczyzn. Elena ruszyła w ślad za

Nicolasem i Philipem. Po przejściu pięćdziesięciu kroków znalazła się w przestronnej podziemnej komorze. Oświetlając latarkami wnętrze, zdali sobie jednak szybko sprawę, że oprócz grubej warstwy pyłu i kilku szczątków - rozbitego dzbanka, glinianej amfory, rękojeści sztyletu oraz kości i piór ptaka, który musiał tu wpaść w pułapkę przed wielu stuleciami - pomieszczenie jest puste. Tylko jego ściany wynagradzały w pewnym stopniu wysiłek, jaki włożyli w odnalezienie tego miejsca: pokrywały je płaskorzeźby z życia Aleksandra wyrte w surowym piaskowcu i wyposażone w prawdziwe artefakty.

Na pierwszej, po ich lewej stronie, Aleksander był niemowlakiem w kołysce, duszącym węże niczym Herakles - i najwyraźniej były to kiedyś prawdziwe węże, lecz z czasem zostały po nich tylko cienkie jak opłatek przezroczyste skóry, które zaciskał w pięściach. Na drugiej obracał swego słynnego konia, Bucefała, głową do słońca, by ten nie bał

się własnego cienia i można go było okiełznać. Na trzeciej siedział razem z innymi młodzieńcami u stóp starca, być może samego Arystotelesa, czytając coś, co mogło być kiedyś zwojem pergaminu, lecz dawno temu rozsypało się na kawałki. Na czwartej Aleksander na koniu zagrzewał swoich żołnierzy do bitwy.

Na piątej przebijał drewnianym oszczepem pierś perskiego żołnierza trzymającego topór z brązu. Następną płaskorzeźba poświęcona była słynnemu wężłowi gordyjskiemu.

Według legendy ten, kto go rozwiązał, miał panować nad całą Azją wężel jednak nie dawał

się rozwiązać. Aleksander dokonał tego z typową dla niego brawurą: rozcinając wężel

symbolizowany tutaj przez rzeźbiony pień drzewa, którego jeden koniec zaczepiony był o metalowe jarzmo rydwana, a drugi tkwił w otworze w skale. Kolejna płaskorzeźba przedstawiała Aleksandra w wyroczni siwańskiej: główny kapłan potwierdzał jego boskość. I tak to szło: triumfy i kryzysy i w końcu łoża śmierci, wszystko pięknie przedstawione. Na ostatniej płaskorzeźbie jego duch wstępował na górę, żeby dołączyć do innych bogów, którzy witali go niczym równego sobie.

Światło latarek omiatało te fascynujące rzeźby, tworząc cienie, które wydłużały się, tańczyły, kurczyły i ożywały po dwudziestu trzech stuleciach totalnego bezruchu.

Nikt nie miał odwagi się odezwać. Choć dokonali znaczącego odkrycia, to nie było to, czego szukali, to, czego potrzebowali. Albo tarczownicy w ogóle nie dotarli tutaj ze zwłokami Aleksandra, albo to miejsce odwiedził przed nimi ktoś inny.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął Nicolas, zaciskając pięści. - Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć. Tyle pracy! Tyle pracy! - Wydał z siebie nieartykułowany wrzask i kopnął

skalną ścianę.

Elena zignorowała jego atak złości i przykucnęła przy płaskorzeźbie przedstawiającej wstępującego na górę Aleksandra.

- Jest tutaj jakaś inskrypcja - powiedziała do Philipa

Dragoumisa.

- Jakiej treści?

Elena starła z niej kurz i przesunęła latarkę w bok, żeby uwydatniły się cienie i łatwiej było przeczytać napis.

- "Wstąp w tajne niebios, Aleksandrze, gdy opłakuje cię twój lud" - przetłumaczyła.

- Tu jest jeszcze jedna inskrypcja - powiedział Costis, oświetlając podstawę płaskorzeźby, na której mały Aleksander dusił węże.

Philip Dragoumis sam ją przetłumaczył.

- "Nie znasz swojej siły, Aleksandrze. Nie wiesz, kim i czym jesteś". Czy to ci coś mówi? - zapytał, patrząc z powątpiewaniem na Elenę.

- To z Iliady, prawda?

Philip pokiwał głową.

- Oba fragmenty. Ale po co je tu umieszczono?

Elena przykucnęła przy trzeciej płaskorzeźbie przedstawiającej krwawy bój.

-”Tarcza ścierała się z tarczą, włócznia z włócznią.

Zgiełk był olbrzymi i ziemia poczerwieniała od krwi”.

Philip Dragoumis stanął przy węźle gordyjskim i razem z Costisem oświetlił go latarkami, żeby lepiej widzieć.

-”Ktokolwiek rozwiąże węzeł mocujący to jarzmo, stanie się władcą całej Azji”.

-”Nie mówcie o ucieczce i o strachu, bo nie znam ani jednego, ani drugiego” -

przetłumaczyła Elena.

Chodzili przez jakiś czas wzdłuż ścian, odcyfrowując inskrypcje. Kiedy skończyli, Elena spojrzała na Philipa.

- Co o tym sądzisz? - zapytała.

- Moim zdaniem potrzebujemy więcej...

Jego słowa przerwało nagle głucho łupnięcie dobiegające z korytarza. Posadzka zatrzęsała się, kurz posypał ze ścian. Nicolas rozejrzał się i zamknął oczy, uświadamiając sobie z gniewem, co się stało.

- Mohammed - wymamrotał.

Mohammed nie marzył nawet o takiej sposobności. Wszyscy Grecy zniknęli wewnątrz pagórka. Ciekawość okazała się silniejsza od ostrożności. Odczekał kilka minut, sądząc, że któryś z nich zda sobie sprawę z popełnionego błędu i wróci na zewnątrz. Kiedy żaden się nie pokazał, w jego sercu wezbrała odwaga. Gdyby udało mu się ich zasypać, mógł wrócić do Siwy i sprowadzić policję. Wszyscy trafią na długie lata za kratki i nie będą mogli zaszkodzić Lajli ani się zemścić.

W pierwszej chwili chciał zatarasować wyjście jednym z pojazdów, lecz żaden nie miał odpowiedniego kształtu. Zamiast tego postanowił zamknąć korytarz marmurową płytą, a następnie zasypać ją piaskiem. Wsunął zęby łyżki pod płytę i próbował ją podnieść, ale była tak ciężka, że tylne koła koparki uniosły się w górę, a hydrauliczny mechanizm zazgrzytał i zablokował się. Płyta przechyliła się na bok i spadła z hukiem na piasek. Mohammed zaklął

pod nosem. Musieli to usłyszeć. Ze środka dobiegły zaniepokojone okrzyki. Za późno było teraz rezygnować. Cofnął się trochę, ruszył do przodu i tym razem udało mu się podnieść płytę. U wylotu korytarza pojawił się jeden z Greków, lecz w tym samym momencie płyta weszła gładko na swoje miejsce. Uradowany Mohammed zaczął ją zasypywać piaskiem.

Różowy marmur szybko zniknął pod jego zwałami, zamykając wszystkich w środku. Nie chciało mu się wierzyć, że to takie proste. Nur miała rację; stale powtarzała, że jeśli stawisz czoło nękającym cię demonom, możesz je śmiało pokonać...

Usłyszał stłumioną serię wystrzałów. I następną. W odrętwieniu ujrzał, jak piasek przed nim osuwa

się w dół, tworząc głęboki lej. Po chwili pojawił się niewielki otwór.

Wypełzył z niego mężczyzna. Mohammed chciał go trafić łyżką koparki, lecz on bez trudu uskoczył na bok i wycelował z AK-47 w jego twarz. Mohammed zdjął dłonie z dźwigni i powoli je podniósł. Z dołu wylazł drugi, a potem trzeci mężczyzna.

Mohammed pomyślał o Lajli, o tym, co z nią teraz będzie, i wpadł w rozpacz. Z ziemi wypełzali kolejni Grecy, podobni do szczurów. Costis otworzył drzwi kabiny, wyłączył

stacyjkę i zabrał kluczyki. Pojawił się Nicolas, strzepując piasek z rękawów i spodni.

- Gdyby któryś z moich ludzi wiedział, jak obsługiwać tę maszynę, już byś nie żył -

powiedział. - Rozumiesz?

- Tak.

- Masz córkę - przypomniał mu Nicolas. - Jej życie zależy od naszej dobrej woli.

Rozumiesz?

- Tak.

- Będziesz współpracował?

- Tak.

Nicolas skinął na Costisa, który wrócił z kajdankami. Zatrzasnął jedną obraczkę na kierownicy, a drugą na lewym przegubie Mohammeda, dając mu tyle swobody ruchów, by mógł poruszać dźwigniami, lecz nie tyle, by mógł uciec, po czym przypiął kluczyk do łańcuszka przy pasie. Nagle zastygł w bezruchu i obejrzał się przez ramię w stronę wydm.

Mohammed dopiero po chwili usłyszał to, co zwróciło uwagę Costisa: daleki warkot jadącego z Siwy pojazdu. Costis zerknął na Nicolasa, który uciszył wszystkich gestem dłoni. Hałas na chwilę ucichł, a potem odezwał się ze zwiększoną siłą. Nicolas skrzywił się, przewidując kłopoty. Był wczesny ranek.

Nikt nie jeździłby o tej porze po pustyni bez określonego powodu.

- Chce pan, żebyśmy to sprawdzili? - zapytał Costis.

- Tak - odparł Nicolas.

Costis dał znak Leonidasowi, Bastiaanowi, Vasileiosowi i Dimitrisowi, żeby z nim pojechali. Złapali broń i pobiegli do terenówek.

**Rozdział 35**

Piasek przecinały stare koleiny i ślady opon. Knox potraktował je podobnie, jak narciarz wodny traktuje kilwater, przecinając je na ukos i wszyscy troje podskoczyli na siedzeniach. Gaille postawiła sobie za punkt honoru w ogóle tego nie komentować, mimo że pasy przy jej fotelu od dawna nie działały i Knox musiał co chwila łapać ją za ramię, żeby nie spadła z siedzenia. Antyczne zawieszenie jeepa skrzypiało, piszczało i łomotało. Knox wrzucił niższy bieg, skręcił i ruszył pod górę, dopingując stary silnik do pokonania ostatnich kilku metrów. Kiedy znaleźli się na grzbiecie wydmy, zobaczyła znajomy zarys Bir alHammam. A potem zjechali w dół, pokonując zbocze pod takim skosem, że koła po prawej stronie oderwały się na moment od podłoża i zawisły w powietrzu. Knox przytrzymał Gaille, dopóki nie opadli z powrotem na cztery koła. Uśmiechnęła się do niego. Chwilę później spojrzął w tylne lusterko i na jego twarzy pojawił się niepokój. Gaille obejrzała się i zobaczyła doganiającą ich szybko terenówkę. Jej kierowca nie zapalił świateł, najwyraźniej nie chcąc się afiszować.

- Co jest, do diabła? - mruknął Rick.

- To ci cholerni Grecy - odparł Knox.

Dodał gazu i wjechał na kolejną wydnię. Przeskoczyli na drugą stronę, zjechali w dół i popędzili dalej po ubitym piasku.

- Jest i drugi - powiedział Rick

Na szczycie wydmy po ich lewej stronie pojawiła się kolejna terenówka i usiłowała przeciąć im drogę. Knox odbił w bok. Spod kół jeepa posypały się fontanny piasku i prawie stanęli w miejscu. Zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i wrzucił wyższy bieg, ale jego stary jeep nie miał szans w konkurencji z terenówkami. Dogoniły go i otoczyły z obu stron; kierowcy dawali znaki, żeby się zatrzymał. Knox skręcił nagle w lewo, zmuszając jednego z nich do ostrego hamowania. Piasek za terenówką zabłysł na chwilę czerwienią, jej tylne koła wpadły w poślizg. Knox popędził z rykiem pod górę, ale zbocze było zbyt strome, a piasek zbyt sypki. Łysiejące opony straciły przyczepność i zaczęły buksować.

Knox dał za wygraną, stoczył się na dół i znowu zakręcił

O sto osiemdziesiąt stopni. Terenówka uderzyła ich w prawy bok i oba koła jeepa uniosły się w górę. Po chwili uderzyła ich ponownie, tym razem mocniej. Jeep przewrócił się najpierw na bok, a potem na dach i sunął przez moment po piasku. Gaille krzyknęła głośno i wyciągnęła rękę, żeby osłonić głowę. Knox próbował przytrzymać ją w fotelu, lecz nie udało mu się i dziewczyna walnęła mocno głową w przednią szybę.

W końcu zaryli w miejscu. Gaille kręciło się w głowie

I miała mdłości. Otworzyły się drzwi od strony pasażera.

Stojący nad nią mężczyzna celował z AK-47 w jej twarz.

Popatrzyła na niego odrętwiała. Pokazał, żeby wysiadła.

Chciała go posłuchać, lecz kończyny odmawiały jej po służeństwa. Facet złapał ją za włosy i nie zwracając uwagi na to, że krzyczy z bólu, wyciągnął brutalnie na zewnątrz. Knox wyczołgał się za nią i chciał się na niego rzucić, ale drugi Grek zaczął się z tyłu i rąbnął go kolbą pistoletu w głowę. Knox padł twarzą na piasek.

Następny wypełził Rick, z rękoma na karku i wystraszoną miną. Była to oczywiście gra obliczona na zmylenie przeciwnika. Jego cios zwałił pierwszego Greka z nóg.

Rick wyrwał mu karabinek i odwrócił się do drugiego mężczyzny, kładąc palec na spuście. Nie zdążył go jednak nacisnąć. Z lufy tamtego bryznął żółty płomień i rozległ się perkusyjny terkot automatycznej broni. Klatka piersiowa Ricka eksplodowała czerwienią. Siła strzału rzuciła go na piasek i wypuścił z rąk AK-47.

- Rick! - krzyknął Knox, podpełzając do przyjaciela. - O Chryste! Rick!

- Jezu, stary - wybełkotał Rick, próbując podnieść głowę. - Co jest, kurwa...?

- Nic nie mów - poprosił go Knox. - Po prostu się trzymaj.

Ale było już za późno, odniesione rany zbyt poważne. Kark Ricka zwiotczał i jego głowa osunęła się bezwładnie na ziemię. Knox odwrócił się z nienawiścią w sercu i dzikim błyskiem w oku, lecz grecki zabójca obserwował go z całkowitym spokojem i splunął

niedbale na ziemię, jakby chciał pokazać, jak mało przejął się śmiercią Ricka.

- Ręce na kark - powiedział, celując w pierś Knoksa. - Albo to samo spotka ciebie i dziewczynę.

Knox spojrzał na niego spode łba, ale nie był w stanie nic zrobić. Przymknął sobie w duchu, że pomści kiedyś Ricka, po czym splótł dłonie za głowę i stał w bezruchu, podczas gdy kolejny Grek wiązał mu ręce i nogi.

Ibrahim nie mógł zasnąć. Leżał od kilku godzin w łóżku, bijąc się z myślami. Za każdym razem kiedy udawało mu się dojść ze sobą do ładu, chwycił go kolejny paroksyzm wstydu. Całe życie poświęcił studiom nad starożytnym Egiptem.

Wiedział, że udział w splądrowaniu grobu - i to takiego grobu! - na zawsze okryje hańbą nazwisko Bejumich. Nie mógł na to pozwolić. Niestety, za każdym razem, kiedy postanawiał coś zrobić, zawodziła go odwaga. Nie był tego rodzaju mężczyzną.

Nie był w ogóle mężczyzną. A poza tym cóż mógł działać? Skonfiskowali mu komórkę, telefon przy łóżku i modem. Zamknęli drzwi i okna w jego domu, i zabrali klucze.

Po raz kolejny wstał z łóżka, podszedł do drzwi sypialni i stanął z ręką na klamce. Wrócił po swój szlafrok. Wziął trzy głębokie oddechy dla kurażu i otworzył drzwi. Manolis spał na materacu w korytarzu. Ibrahim stał nieruchomo, czekając, aż uspokoi się jego serce.

Przestąpił lewą nogą Manolisa. Pod dywanem zaskrzypiała podłoga i znieruchomiał.



Manolis otworzył oczy. Widać było jego lśniąca białka.

- Co robisz? - wymamrotał.

- Boli mnie brzuch. Idę po tabletki.

- Zaczekaj. Pójdę z tobą.

- Nie trzeba. Ja tylko...

- Pójdę z tobą.

### III

Dwie terenówki zatrzymały się z piskiem hamulców przy Nicolasie, wzbijając za sobą tuman piasku. Bastiaan otworzył tylne drzwi pierwszej i wyciągnął na zewnątrz dwie osoby.

Pierwszą był zawinięty w pled martwy nieznajomy z podziurawioną pociskami, zakrwawioną piersią. Drugą Gaille, oszołomiona i blada, ze związanymi rękoma i nogami. Rozejrzała się przerażona i jej oczy spoczęły na osobie, która stała za Nicolasem.

- Elena! - zawołała płaczącym tonem. - Jak mogłaś?

- Zrobiła to, bo jest patriotką - odpowiedział chłodno

Nicolas, kiedy Elena się nie odezwała.

Costis wyciągnął z drugiej terenówki kolejnego mężczyznę, który potoczył dookoła wściekłym wzrokiem. Knox! Nicolasowi zrobiło się nagle lekko niedobrze, jakby zjadł coś nieświeżego. Coś w tym człowieku sprawiało, że czuł się czasem kompletnie bezradny.

Spojrzenie Knoksa przesunęło się z Nicolasa na Philipa

Dragoumisa.

- No tak - mruknął z pogardą. - Zwykły cmentarny rabuś.

- Nie taki znowu zwykły - odparł zupełnie niezrażony

Philip. - Podejrzewam, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Znalazłeś go? - zapytał wbrew sobie Knox.

- Jeszcze nie - przyznał Philip.

- Jeszcze nie? - zdziwił się Nicolas. - Co to znaczy

Jeszcze nie”? Przecież nic tu nie ma.

Philip spojrział kwaśno na syna.

- Nie nauczyłeś się niczego o tym człowieku, Kelonimusie? - zapytał

zniecierpliwiony. - Naprawdę uważasz, że pozwoliłby, by jego tajemnicę złamano przy pierwszej próbie?

Ona rozumie jego umysł lepiej niż ktokolwiek inny - powiedział, wskazując Gaille. -

Zaprowadźcie ją do środka - polecił swoim ludziom.

- Nie rób tego, Gaille - zawołał Knox. - Niczego im nie mów.

- Wiesz, że dotrzymuję słowa - zwrócił się do niego

Philip. - Więc pozwól, że złożę ci propozycję. Jeżeli oboje pomożecie mi znaleźć to, czego szukam, przysięgam, że puszcze was wolno.

- Jasne! - parsknął Knox. - Po tym wszystkim, co widzieliśmy!

- Wierz mi, Danielu, że jeśli znajdziemy to, czego szukamy, im więcej będziecie oboje mówić, tym lepiej dla nas.

- A jeśli odmówimy?

Philip Dragoumis wzruszył ze smutkiem ramionami.

- Naprawdę chcesz mnie wystawić na próbę?

Nicolas nie spuszczał z oczu Knoksa, gdy ten zastanawiał się nad odpowiedzią. Nie ulegało wątpliwości, że płonie gniewem po tym, co zrobili jego przyjacielowi i czeka tylko na odpowiednią chwilę, by się zemścić. Młody Dragoumis chciał ostrzec ojca, lecz ten zmroził

go spojrzeniem, jakby wszystko to sobie wcześniej przeanalizował. Nicolas wzruszył

ramionami i ponownie spojrział na Knoksa, który zmagał się ze swoim sumieniem. Poblądła ze strachu i zapłakana Gaille błagała go wzrokiem, by nie podejmował pochopnych decyzji.

Knox spojrział na nią, zamrugnął, westchnął i postanowił odłożyć zemstę na później.

- Dobrze - powiedział. - Zrobimy, co będziemy mogli.

- Świetnie - rzekł Philip i pokiwał głową. - Rozwiąż im nogi - polecił Costisowi. - Ale nie ręce. I miej go na oku - dodał, wskazując Knoksa. - Jest groźniejszy, niż na to wygląda.

Costis pokiwał z powagą głową.

- Wiem - odparł.

## IV

Ibrahim i Manolis zeszli razem na dół. Dywan był puszysty, ale Ibrahimowi zdawało się, że stopy ma zimne jak lód. Zerknął w dół, spodziewając się niemal, że lśnią błękitną bielą. Sofronio chrapał na kanapie. Kiedy Manolis zapalił światło, usiadł zdezorientowany, a potem sklął go po grecku i szeroko ziewnął.

Ibrahim udał, że szuka tabletek w kuchennych szafkach i szufladach, otwierając je, zatrząskując i mruczając pod nosem. Usłyszał, że jego strażnicy konferują ze sobą. Ich grecki był tak gardłowy, że nie rozumiał ani słowa, ale sądząc po podejrzliwych spojrzeniach, które rzucali w jego stronę...

- Nie ma ich tutaj - powiedział zdecydowanym tonem. - Muszą być w moim biurku -

dodał, ruszając rażno do gabinetu. Sofronio i Manolis wciąż mamrotali. Teraz albo nigdy.

Ibrahim pochylił się do przodu i puścił się biegiem.

- Ruszaj się, do diabła - mruknął Costis, dźgając Knoksa w plecy lufą automatu.

Knox spojrzał na niego spode łba.

- Zapłacisz za to, co zrobiłeś Rickowi - obiecał.

Ale Costis parsknął tylko śmiechemi i dźgnął go jeszcze mocniej. I prawdę mówiąc, Knox nie był w sytuacji, żeby komuś grozić. Idąc ciemnym tunelem w głąb wzgórza, widząc wokół siebie migoczące światło latarek i co chwila pochylając się, żeby nie uderzyć głową w niskie sklepienie, nie mógł oprzeć się przekonaniu, że wchodzi nie tylko do grobu Aleksandra, lecz także swojego i Gaille - chyba że zdoła jakoś odwrócić karty.

Korytarz nagle się otworzył. Grecy musieli tu być już wcześniej, ponieważ nie zaskoczyły ich wcale wspaniałe płaskorzeźby na ścianach. Lecz Knoksa zachwyciły one do tego stopnia, że przez chwilę zapomniał niemal, co mu grozi. Miał związane nadgarstki, ale ręce trzymał przed sobą. Wziął latarkę od jednego z Greków i podszedł do płaskorzeźby przedstawiającej Aleksandra wiodącego swoich żołnierzy do ataku. Gaille podeszła tam razem z nim, a po chwili zrobili to również Elena i Philip Dragoumis, i można ich było wziąć za czworo naukowców dyskutujących na temat jakiegoś tajemniczego artefaktu.

Gaille pochyliła się, żeby przetłumaczyć inskrypcję.

- "Wtedy Pallas Atena natchnęła go odwagą, by mógł pokonać innych. Ogień bił

niczym letnie słońce od jego tarczy i hełmu". Ty też to tak przetłumaczyłaś? - zapytała Elenę.

- Mniej więcej - odparła tamta. - To z Iliady, praw da? - zapytała z lekkim wahaniem.

- Tak - potwierdziła Gaille. - Trochę zmienione, ale tak.

Elena pokiwała głową z większą pewnością siebie.

- Na pewno lubił Homera - powiedziała. - Wszystkie inskrypcje są z Iliady.

- Nie wszystkie - poprawił ją Philip, wskazując ścianę po drugiej stronie. - Węzła gordyjskiego nie było w Iliadzie.

- To prawda - zgodził się Knox, po czym zbliżył się do płaskorzeźby przedstawiającej przecięcie węzła i przeczytał inskrypcję: "Ten, kto rozwiąże węzeł na tym jarzmie, stanie się władcą całej Azji".

- Nagle parsknął śmiechem i spojrzał na Philipa. - Dałeś nam słowo, tak? -

zapytał.

- Tak - potwierdził Dragoumis.

- Dobrze - mruknął Knox.

Podszedł do płaskorzeźby, na której Aleksander przebijał włócznią Persa, i złapał

oburącz topór z brązu. Był zimny w dotyku i zaskakująco ciężki.

- Zatrzymajcie go! - zawołał Nicolas.

- Cicho bądź - mruknął z irytacją jego ojciec.

Knox podszedł z toporem do węzła gordyjskiego, zamachnął się i opuścił na niego ostrze. Z drewna posypały się drzazgi. Uderzył ponownie, a potem jeszcze raz, czując, jak drżą mu palce i dłonie. Tępe ostrze okazało się jednak skuteczne, ponieważ drewno pękło i rozpadło się na dwa kawałki. Jeden koniec został tam, gdzie leżał; drugi, przyczepiony do jakiegoś ciężaru, pomknął niczym wijący się wąż w stronę skalnej ściany. Wszyscy czekali w milczeniu, ale sekundy mijały i nic się nie działo.

- To miało być to? - zapytał drwiąco Nicolas. - Nie sądzisz chyba, że...

I w tym momencie się zaczęło: w skałach nad ich głowami rozległ się niski łoskot, który potęgował się sekundy na sekundę. Ze sklepienia posypał się pył i zadrżała posadzka pod ich stopami. Wszyscy spojrzeli w górę, a potem z obawą na siebie, zastanawiając się, co się dzieje. Po chwili hałas ustał i ponownie zapadła cisza. Grecy wzruszyli ramionami i odetchnęli z ulgą. I nagle...

Ściana po prawej stronie Knoksa eksplodowała i wszędzie poleciały skalne okruchy.

Nie miał prawie czasu zareagować. Rzucił topór i padł na ziemię, pociągając za sobą Gaille i przyciskając jej twarz do swojej piersi. Odłamki waliły go po nogach i plecach i odbijały się od głowy, raniąc go do krwi.

Wszystko skończyło się, zanim zdążyli się zorientować, co się dzieje. Kanonada ustała, grzmiący łoskot ucichł i słyszeli r teraz tylko dzwonienie w uszach. Ludzie charczeli, odkastywali i krztusili się skalnym pyłem, ostrożnie sprawdzając, czy nie odnieśli żadnych obrażeń. Jeden z Greków kłął

pod nosem, tak jakby nadwzrężył sobie nadgarstek lub skręcił

kostkę.

Poza tym oraz kilkoma skaleczeniami i siniakami nikomu chyba nic się nie stało.

Dopiero po chwili Knox uświadomił sobie, że całe zdarzenie stwarza dla niego i Gaille niepowtarzalną sposobność. Obejrzawszy się, napotkał jednak wzrok trzymającego go na muszce Costisa, który uśmiechał się znacząco.

Knox dźwignął się na nogi i pomógł wstać Gaille. Ktoś podniósł latarkę i oświetlił

miejsce, w którym znajdowała się wcześniej ściana i w którym ziała teraz czarna wielka dziura sugerująca, że jest za nią znacznie większe, wykute w skale pomieszczenie. Na podłodze połyskiwały jakieś metalowe przedmioty. Podeszli bliżej, stąpając ostrożnie po sproszkowanym piaskowcu i okruchach podobnej do marmuru twardszej skały, które chrzęściły pod ich stopami.

Wchodząc do tunelu, Knox spojrzął na okrągły szyb, który wznosił się niemal pionowo w głąb skały i znikał w ciemności. Przecięcie wężła gordyjskiego musiało spowodować skalną lawinę. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo jego uwagę zajęły inne rzeczy. Wykuty w skale korytarz skręcał najpierw w lewo, potem w prawo, chroniąc przed spadającymi skałami obszerną komorę. W jej ścianach wykute były nisze, a w nich stały naturalnej wielkości alabastrowe posągi nimf, satyrów, stojącego dęba konia oraz Dionizosa, który otoczony pędami bluszczu i grubymi kiściami purpurowych winogron siedział na łożu z odchyłoną do tyłu głową i popijał z kielicha. Minęli i inne obiekty.

Brązowe, czerwone i czarne attyckie wazy ze scenami z życia Aleksandra, namalowanymi zbyt prymitywnie, by mogły być dziełem

Kelonimusa - stanowiącymi być może rodzaj hołdu oddanego przez samych tarczowników. Drewniany model rydwanu. Kilka siermiężnych glinianych figurek.

Srebrny dzban do wina i kilka kielichów. Kociołek z brązu. Złota misa wypełniona nieoszlifowanymi szlachetnymi i półszlachetnymi kamieniami: rubinami, turkusami, lazurytami, ametystami, diamentami i szafirami. Złoty puchar ozdobiony szesnastoramienną gwiazdą, a obok niego mały złoty dzwoneczek, który w bolesny sposób przypominał

Knoksowi Ricka. Na ścianie po prawej stronie widniało malowidło przedstawiające Aleksandra na rydwanie dzierżące złote berło, zupełnie jak na opisywanym przez Diodora Sycylijskiego frezie, który zdobił pogrzebowy katafalk.

W tym momencie Knox uzmysłowił sobie wreszcie, jak Kelonimus sfinansował

wszystkie swoje przedsięwzięcia. Tarczownicy mieli katafalk. Niewykluczone, że byli tymi samymi żołnierzami, którym Ptolemeusz zlecił przewiezienie zwłok do Egiptu i którzy uświadomiwszy sobie, że jest to niezgodne z ostatnią wolą Aleksandra, zmienili swoje plany.

Costis ponownie szturchnął go w plecy. Ruszyli dalej. Minęli pomieszczenie, które można było określić mianem starożytnej biblioteki: zwoje tkwiące w uchwytach z kości słoniowej i złożone w wykutych w ścianach niszach, książki w otwartych złotych i srebrnych szkatułach, z ręcznym pismem oraz rysunkami ziół, kwiatów i zwierząt wciąż widocznymi na pożółkłych papirusach i pergaminach.

- Mój Boże - mruknęła Gaille, patrząc na Knoksa szeroko otwartymi oczyma, świetnie zdając sobie sprawę z materialnej i historycznej wartości tego znaleziska.

Korytarz ponownie się otworzył. Weszli do wielkiej sklepionej sali dwa razy większej od poprzedniego pomieszczenia. Na posadzce lśniły niczym popękany kwarc metalowe ar -

tefakty. Ściany i sklepienie ozdobione były listkami złota, od których odbijało się, rażąc ich w oczy, światło latarek. Tutaj również były przedmioty grzebalne złożone na dwunastu ołtarzach: pierścienie, naszyjniki, amfory, monety i szkatuły. Także broń: tarcza, miecz, hełm, napierśnik, hełm z grzebieniem. A w środku sali, w miejscu, które otaczały wszystkie ołtarze i w którym zbiegały się snopy ich latarek, stała wysoka schodkowa piramida ze spoczywającą na szczycie wspaniałą, złotą antropoidalną trumną.

I nikt nie miał teraz cienia wątpliwości, co takiego odkryli.

## Rozdział 36

Ibrahim zatrzasnął drzwi swojego gabinetu, przekręcił klucz w zamku i dosłownie ułamek sekundy później Sofronio uderzył je ramieniem. Panele wygięły się i zadrżała framuga. Ibrahim odskoczył z krzykiem, ale drzwi wytrzymały. Sofronio uderzył ponownie, z tym samym skutkiem. Ibrahim poczuł się pewniej. Podeszedł do biurka, wziął do ręki słuchawkę i wystukał numer 122. Dyżurny odebrał po drugim dzwonku. Ibrahim podał

nazwisko i adres i zaczął właśnie wyjaśniać swoją sytuację, kiedy połączenie zostało przerwane. Jego oczy pobiegły ku białemu kablowi w miejscu, gdzie wchodził w ścianę i biegł ku innym częściom domu. Przyjrzał mu się drętym wzrokiem. Walenie w drzwi stało się ostrzejsze i głośniejsze; dwaj mężczyźni uderzali w nie teraz nie ramionami, lecz butami.

Framuga przy klamce zaczęła w końcu ustępować. Ibrahim puścił słuchawkę, cofnął się i patrzył bezradnie, jak drewno łamie się i pęka. Nie miał gdzie się ukryć. Drzwi na korytarz były jedynym wyjściem, nie licząc zamkniętych okien, do których klucz miał Manolis. Na biurku leżały nóż i przycisk do papierów. Nóż był stalowy i ostry, lecz Ibrahim wiedział w głębi serca, że brakuje mu odwagi, by go użyć. Zamiast tego cisnął w okno przyciskiem do papieru i wskoczył na biurko. Framuga w końcu ustąpiła, spod grubej warstwy lakieru wyrzało jasne żółte drewno. Dwaj mężczyźni wpadli do środka. Ibrahim skoczył w stronę wybitego okna, lecz Sofronio złapał go za kostkę i Egipcjanin runął na sterczące w górę ostre odłamki. Ból był dziwnie tępy, jak przy uderzeniu, nie przy cięciu. Stracił całą siłę w kończynach. Grecy wciągnęli go z powrotem do pokoju i jego podbródek załomotał o biurko i podłogę. Kiedy odwrócili go na plecy, poczuł, że ma rozcięty brzuch, i zobaczył z pewną perwersyjną dumą szok na twarzy Manolisa, który przyciskając go z obu stron, próbował

bezsukutecznie zatrzymać wypadające wnętrzości. Sofronio zamknął po prostu oczy.

Ibrahim leżał na podłodze, podczas gdy dwaj mężczyźni zastanawiali się, co zrobić.

Manolis ściągnął książki z półki, a Sofronio wyszedł z pokoju i wrócił z dużą butelką białego alkoholu, którym polał papiery, dywan i drewniane biurko. Następnie podpalił je plastikową żółtą zapalniczką i obaj mężczyźni wybiegli z gabinetu.

Ibrahim przypomniał sobie zupełnie bez związku słowa Proroka, że muzułmaninowi nie wolno stracić swojej krwi, własności oraz honoru, i zaśmiał się w duchu z tego, że utracił

wszystkie te trzy rzeczy w tak spektakularny sposób. W palcach nóg i rąk czuł coraz mocniejsze mrowienie. Od dawna fascynowała go "mechanika" śmierci, to, czy nicość ogarnie go wraz z ustaniem akcji serca, czy też jego mózg będzie gasł powoli niczym staroświeckie radio. Zawsze krępował się o to zapytać. Pokój wypełniły płomienie i dławiące chmury.

Piekły go oczy. Usłyszał syreny, pisk opon, zgrzyt metalu i strzały, a potem do gabinetu wbiegli mężczyźni w maskach i mundurach i uklękli przy nim. Ale było już za późno; o wiele za późno. Ku swojemu zdziwieniu odczuwał łagodną, lecz rosnącą euforię. Okrył wieczną hańbą swoje nazwisko, rodzinę i miasto; ale ludzie będą przynajmniej wiedzieli, że zrobił

wszystko, żeby to naprawić.

## II

W grobowcu w głębi góry Knox, Gaille i wszyscy Grecy weszli na szczyt piramidy.

Przez chwilę stali w nabożnej ciszy wokół trumny ustawionej na wysokim do pasa marmurowym cokole. Jej wieko zdobiły liczne rzeźbione sceny myśliwskie i bitewne. Knox starł wierzchem dłoni warstwę pyłu i piasku, która pokryła je w ciągu tysiącleci. Można odróżnić złoto od brązu po tym, że z biegiem lat brąz śniedzieje. To było złoto.

Philip Dragoumis oparł ręce na trumnie niczym główny kapłan.

- Otwórzcie ją - rozkazał.

Wieko było tak ciężkie, że wszyscy musieli się zaprzeć, żeby je unieść, przechylić na bok i ułożyć na podłodze. Uporawszy się z tym, zajrzeli chciwie do środka, przepychając się i wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć. W dopasowanej trumnie leżały zwłoki mężczyzny pokryte grubą warstwą pyłu, płatkami kwiatów i przyprawami. Miał na czole wielki diadem z rubinem, splecione na piersi ręce, miecz po jednej stronie i złote berło po drugiej. Pokryto go kiedyś listkami złota, które jednak w wielu miejscach odpadły, odsłaniając poczerńiałą pergaminową skórę i kończyny wyschnięte do samej kości. Złoto i czerń, podobnie jak u wielu innych najniebezpieczniejszych na świecie stworzeń. W cętkowanym ruchomym świetle Knox poszukał wzrokiem charakterystycznych blizn. Nawet po tylu latach można było dostrzec niewyraźny ślad cięcia w szyję spod Cyropolis, rany na ramieniu od pocisku katapulty w Gazie, rany na sutku od multańskiej strzały i rany na udzie spod Issos. Poczł, jak

piecze go twarz. Zrobiło mu się słabo. Nie było żadnej wątpliwości.

- To on - mruknął. - To Aleksander.

Philip rozejrzał się dookoła. W jego oczach zalśniły łzy.

- W takim razie nadeszła pora, żeby zabrać go do do mu - powiedział.

### III

Przeniesienie wieka do kontenera nie okazało się zbyt trudne. Było to po prostu kwestią czasu i odpowiedniego wysiłku. Zupełnie inaczej rzecz się miała z samą trumną. Była zdecydowanie zbyt ciężka, by dało się ją unieść, obwiązali ją więc linami i podsypując piasek, aby wyrównać nierówności, zsunęli ostrożnie po stopniach piramidy i powlekli korytarzem.

Za liny ciągnęli wszyscy, nawet Knox i dziewczyna, lecz mimo to za jednym zamachem udawało im się przesunąć trumnę zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów. Ostatecznie jednak dotarli z nią do wylotu tunelu, przy którym Mohammed zdążył już usypać rampę. Przywiązali grubą linę do haka jednej z terenówek i próbowali ją wyciągnąć, lecz koła boksowały w miejscu.

Dopiero kiedy podstawili drugą terenówkę i wszyscy popychali trumnę z tyłu, udało się dociągnąć ją do ciężarówki.

Jeszcze trudniejsze okazało się umieszczenie trumny w kon - tenerze. Mohammed próbował podnieść ją hydraulicznym ramieniem koparki, lecz jego maszyna pochyliła się tylko do przodu. W końcu to Philip Dragoumis znalazł odpowiednie rozwiązanie. Mohammed wykopał w piasku dół przed trumną.

Ciężarówka podjechała do niej tyłem w ten sposób, że otwarty kontener znalazł się poniżej trumny. Następnie zasypali piaskiem przestrzeń między trumną i kontenerem i ściągnęli ją w dół, aż znalazła się nad przednią osią.

Zadowolony z siebie Nicolas otarł pot z czoła i spojrzał na ojca, czekając na jego pochwałę, lecz Philip wskazał ręką na wschód. Na horyzoncie pojawiło się już słońce.

Nicolas pokiwał głową. Być może pewnego dnia wróca tutaj po inne skarby.

W tym momencie nadmierna chciwość mogła im tylko zaszkodzić.

### IV

Nikt nie zauważył, kiedy Elena oddaliła się od kontenera, podeszła do jednej z terenówek i wzięła z niej swoją torebkę. Kupiła pistolet poprzedniego dnia, zatrzymując po prostu pierwszą taksówkę, którą zobaczyła w Kairze, i wciskając gotówkę kierowcy tak długo, aż ten zorientował się, że nie żartuje i zaczął telefonować do różnych osób. Dwie godziny później dealer pokazał jej swoją kolekcję. Wiedziała, jaką wybierze broń, zanim jeszcze wziął ją do ręki. Pistolet był czarny, kanciasty i samym swoim wyglądem dodawał



pewności siebie. Kiedy go wskazała, dealer pokiwał skwapliwie głową. Mądry wybór, stwierdził. Walther 99.

Półautomatyczny pistolet z dwoma magazynkami. Zaczął jej tłumaczyć, jak jest skonstruowany. Powiedziała, żeby nie zawracał sobie głowy. Zamiast tego zabrał ją do Miasta Umarłych i pokazał, jak pracuje bezpiecznik.

Wpakowała cztery kule w mur i poczuła, jak robi jej się ciepło w żołądku. To samo poczuła teraz, biorąc broń do ręki.

Musiała zabić trzy osoby. Wtedy spłaci w końcu krwawy dług.

Odwróciła się w stronę grobowca. Mohammed zasypywał właśnie jego wylot piaskiem. Nicolas, Leonidas i Bastiaan prowadzili Knoksa i Gaille do terenówki. Inni Grecy siedzieli na kontenerze i palili papierosy, na które dobrze sobie zasłużyli.

Costis i Philip Dragoumis stali razem, obserwując spokojnie całą scenę. Costis miał

przewieszony przez ramię automat, ale sprawiał wrażenie odprężonego. Najwyraźniej nie spodziewał się kłopotów. Elena nie mogła sobie wymarzyć lepszej okazji.

Podeszła do nich ze schowanym za plecami waltherem. Obaj mężczyźni odwrócili się w jej stronę. Dragoumis zmarszczył czoło, jakby zaintrygował go wyraz jej twarzy.

- Tak? - zapytał.

Najpierw strzeliła do Costisa, pociągając za spust, zanim jeszcze porządnie wyprostowała broń. Kula trafiła go między żebrami. Siła odrzutu poderwała w górę lufę i druga kula trafiła go w pierś, tuż pod szyją, powalając na ziemię. Czas zwolnił bieg dla Eleny.

Po lewej stronie ludzie krzyczeli spanikowani i sięgali po broń. Nie zwracała na nich uwagi.

Czowała się całkowicie bezpieczna, chroniona przez siłę wyższą. Costis wydawał dziwne świszczące dźwięki. Podniósł głowę, żeby przyjrzeć się ranie na piersi, a potem próbował

zasłonić się rękoma. Elena stanęła nad nim okrakiem, wycelowwała w jego nos i znowu pociągnęła za spust. Pocisk trafił go w czoło. Głowa opadła na piasek.

Elena odwróciła się do Philipa Dragoumisa, który stał bez ruchu z pobladłą twarzą.

Przystawiła mu broń do serca.

- Rozkaż swoim ludziom, żeby się nie ruszali - powie działa.

Philip się nie odezwał. Elena podniosła walthera i przystawiła mu lufę do czoła.

Philip zadrżał i jej serce wypełniła radość. A potem zdała sobie sprawę, że drży z gniewu, nie ze

strachu.

- Nie zabiłem Pavlosa - oznajmił stanowczo.

- Owszem, zrobiłeś to.

Philip potrząsnął głową.

- Masz moje słowo: to był nieszczęśliwy wypadek.

- To nie był wypadek - zapewniła go. - Wierz mi.

Wiem wszystko. Wiem, że wynająłeś kurwę, żeby go uwiodła.

Wiem, że kazałeś ich razem sfilmować, że pokazałeś mu taśmę. Wiem, że zagroziłeś, że mi ją wyślesz, jeżeli nie przestaniesz domagać się dochodzenia.

- W takim razie wiesz również, że nie musiałem go zabijać.

Elena czuła spływające po policzkach łzy.

- Naprawdę wydawało ci się, że możesz zmusić do czegoś

Pavlosa? Nikomu to się nie udało. Ani tobie. Ani mnie.

Przyszedł do mnie. Wyznał wszystko. Stąd wiem, że to ty byłeś winien.

Na skroni Philipa drgnął mięsień.

- Daję ci słowo - powiedział. - Przysięgam na Mace donię. Na zwłoki Aleksandra. Na moją zmarłą żonę. Nigdy nie kazałem zabić Pavlosa.

- Nie - odparła Elena. - Ale ja to zrobiłam. Kazałam go zabić z powodu twojego pieprzonego filmu.

Uśmiechnęła się, widząc, jak to wszystko dociera do

Dragoumisa, jak zdaje sobie sprawę, co to znaczy i po raz pierwszy uświadamia sobie, że na pewno zginie. I delektując się tym, strzeliła mu w czoło. Okruchy mózgu i kości posypały się niczym ziarna kukurydzy na piasek. A potem, myśląc o Pavlosie, tęskniąc za nim, wsadziła sobie lufę pistoletu w usta, zamknęła oczy, wypowiedziała jego imię i pociągnęła za spust po raz ostatni.

## **Rozdział 37**

Nicolas Dragoumis zamrugał i zamknął oczy na ułamek sekundy przed tym, jak Elena zabiła jego ojca i samą siebie. Kiedy otworzył je z powrotem, ojciec leżał z jedną ręką odchyloną na bok, drugą zwiniętą pod ciałem i nogami wygiętymi niczym w swastyce. Nicolas wpatrywał się weń, nie bardzo rozumiejąc, co widzi. Kogoś takiego nie można było tak szybko i nieodwołalnie zlikwidować.

Przestąpił chwiejnym krokiem przez ciało Eleny i stanął przy ojcu, czekając, że się poruszy, wstanie, otrzepie z pyłu i wyda rozkazy.

Wzdrygnął się, czując, że ktoś dotyka jego ramienia. Leonidas mówił coś do niego.

Widział jego poruszające się usta, ale nie docierał do niego sens słów. Ponownie spojrzął na ziemię. Powoli wracał do zmysłów. Wszyscy ludzie umierają; lecz nie umiera misja, której poświęcili życie. Misja jego ojca była żywa. To on powinien ją dokończyć. Ta myśl dodała mu sił. Rozejrzał się dookoła. Słońce weszło już nad horyzontem. Wejście do grobowca zniknęło pod piaskiem. Jego ludzie patrzyli na niego wyczekująco.

- Wykopcie dół - rozkazał. - Pochowamy tutaj Costisa i Elenę. - Zaskoczył go własny spokojny i władczy ton.

Choć z drugiej strony nie powinien się chyba dziwić. W jego ojcu odrodził się Filip Drugi, ojciec Aleksandra Wielkiego.

A zatem kim był on sam? No właśnie. Kim był?

- A twój ojciec? - zapytał Leonidas.

- Myślisz, że go tutaj zostawię? - warknął Nicolas. - Zabierzemy go ze sobą. Musi zostać pochowany z honorami.

- A tych dwoje? - zapytał Leonidas, wskazując Gaille i Knoksa, których Bastiaan zdążył już wepchnąć na tylne siedzenie terenówki.

Nicolas poczuł, jak ponownie ogarnia go gniew. Miał okazję go rozładować. Zaciśnął szczęki, pochylił się i wyjął walthera z zaciśniętej dłoni Eleny. Sprawdził magazynek.

Pięć kul wystrzelonych. Zostały cztery. Podszedł do terenówki.

- Wyciągnij Knoksa - powiedział.

Bastiaan złapał Knoksa za ramię, wywlókł go z samochodu i rzucił na piasek. Nicolas wycelował w jego pierś. Dziewczyna krzyknęła, błagając o łaskę. Bastiaan uderzył ją pięścią w skroń i padła nieprzytomna na tylne siedzenie. Nicolas spojrzął na Knoksa.

- Nikt nie może powiedzieć, że cię nie ostrzegałem - stwierdził.

- Twój ojciec dał słowo, że wypuści nas, jeżeli pomożemy wam odnaleźć Aleksandra.

- Mój ojciec nie żyje.

- Tak, ale...

Knox nie zdołał dokończyć zdania. Uderzony kolbą pistoletu w tył głowy przez Bastiaana padł twarzą na piasek.

- Dziękuję - mruknął Nicolas, po czym wycelował z uśmiechem w głowę Knoksa i zacisnął palec na spuście.

## II

Mohammed pomasaował lewy nadgarstek w miejscu, w którym twarda stal kajdanek starła mu skórę. Nie znał mężczyzny, którego chciał zastrzelić Nicolas, lecz znał

Gaille, która była dla niego zawsze miła w trakcie wykopalisk, pytała o Lajlę i życzyła im pomyślnego rozwiązania problemów; zdawał sobie też sprawę, że zaraz dojdzie do morderstwa, w które będzie zamieszany.

Myślał wcześniej, że życie Lajli warte jest każdej ceny. Teraz uznał, że się pomylił.

Kajdanki były zbyt ciasne, by mógł oswobodzić rękę. I mimo że był silnym mężczyzną, nie miał dość sił, by wyrwać kierownicę z kolumny. Ale klucz do kajdanek wisiał

na łańcuszku przy pasie Costisa. To dawało mu jakąś szansę.

Uruchomił koparkę, wrzucił bieg i ruszył do przodu. Greków kompletnie zaskoczyła jego szarża. Nicolas odwrócił się i dwa razy strzelił, ale Mohammed zasłonił się łyżką koparki i kule odbiły się od niej z brzękiem. Chwilę później znalazł się tuż przy Nicolasie, który musiał uskoczyć na bok i przeturlać się po ziemi. Posypały się kolejne pociski; Mohammed skulił się, próbując jednocześnie podnieść z ziemi Costisa łyżką koparki. Kiedy mu się to udało, zakręcił i ruszył w dół po zboczu, szybko się rozpędzając. Obejrzawszy się przez ramię, zobaczył, że Grecy ścigają go pieszo i w swoich terenówkach. Koparka szarpnęła i podskoczyła. Costis przesunął się na łyżce, ale z niej nie spadł. Mohammed wjechał na równiejszy teren, zrzucił

Costisa na piasek i zatrzymał się przy nim tak, że koparka zasłaniała go przed Grekami. Otworzył drzwiczki i wyciągnął w dół rękę. Niestety, nie udało mu się dosięgnąć Costisa. Wykręcił najdalej, jak mógł, kierownicę i spróbował ponownie.

Bez skutku, choć tym razem zdołał go jednak musnąć palcami. Grecy się zbliżali, wrzeszcząc i strzelając na oślep, ryczały silniki terenówek. Mohammed wsunął prawy but pod głowę Costisa, uniósł ją i chwycił go za włosy. Potem złapał za podbródek, kołnierz i na koniec za pas i łańcuszek z czterema kluczykami. Na dwóch widniał znaczek BMW.

Pozostałe były małe, nieoznaczone. Musiał podnieść całego Costisa, żeby sprawdzić, czy pierwszy z nich pasuje do kajdanek. Nie pasował. Sprawdzał drugi, kiedy coś eksplodowało tuż za jego uchem i spowiła go ciemność.

## III

Nicolas słyszał wyjące w jego piersi demony, ale zdołał je jakoś okiełznać.

- Nowy plan - oznajmił ostro, widząc, że Mohammed jest nieprzytomny i krew płynie z rany na jego głowie. - Połóżcie trupy na przyczepie. Zatopcie ją i koparkę w jeziorze.

Vasileios podjechał do niego drugą terenówką i wskazał głową za siebie.

- A co z dziewczyną?

Nicolas zajął do samochodu. Gaille leżała nieprzytomna na tylnym siedzeniu. Jej widok uświadomił mu nagle, że w całym chaosie zapomniał o Knoksie, i ogarnęły go złe przeczucia. Rozejrzał się dookoła. Wszyscy jego ludzie byli tutaj, ani jeden nie został przy kontenerze. Bez Costisa albo ojca, który nimi komenderował, zmienili się w niezdyscyplinowaną watahę.

- Gdzie jest Knox?! - ryknął, choć w głębi serca znał już odpowiedź. - Kto, do kurwy nędzy, pilnował Knoksa?

Nikt się nie odezwał. Nikt nie spojrzał mu w oczy, kiedy potoczył po nich wściekłym wzrokiem. Nicolas zacisnął pięści, spoglądając tam, gdzie zostawił Knoksa. Nie było po nim żadnego śladu, z wyjątkiem sznurów, którymi był związany i które leżały teraz na piasku.

Zamknął na chwilę oczy, czekając, aż minie płonąca w nim furia. Czasami wydawało mu się niemal, że Bóg nie jest po ich stronie. Wskoczył do terenówki razem z Vasileiosesem i Bastiaanem i podjechał z powrotem do kontenera. Cały teren był zdeptany, znalezienie śladów stóp Knoksa graniczyło z niemożliwością. Mógł się ukryć wszędzie: zakopać w piasku, wspiać na górę. W tym momencie mógł już być po drugiej stronie. Słońce świeciło coraz wyżej i nie było bezpiecznie. W pogodny dzień widoczność była fantastyczna. Ich pojazdy rzuciły się w oczy niczym latarnie morskie. Turyści i obserwatorzy ptaków opuszczali już hotele. W koszarach grano pobudkę. Musieli się stąd wynosić.

Nicolas wyciągnął głowę Gaille z terenówki i przystawił lufę walthera do jej skroni.

- Posłuchaj! - wrzasnął. - Jeżeli na nas doniesiesz, dziewczyna zginie. Słyszysz?

Jeżeli będziemy mieli przez ciebie jakiegokolwiek kłopoty, córka twojego starego przyjaciela pożegna się z życiem.

Odpowiedziało mu echo odbite od zbocza, a potem zapadła cisza.

## Rozdział 38

### I

Knox obserwował ze skalnej półki, jak Nicolas i kilku jego ludzi odjeżdża na północ tirem i jedną z terenówek. Pozostali załadowali Ricka, Elenę i Costisa na ciężarówkę z przyczepą, którą następnie jeden z nich wjechał do jeziora. Wielki pojazd unosił się przez chwilę na wodzie, podnosząc duże białe fale, a potem przechylił się na bok i zaczął tonąć.

Knoksa ogarniały mdłości na myśl o tym, że ci dranie poczynają sobie tak bezceremonialnie z ciałem jego starego kumpla. Czuł się współwinny jego śmierci: Rick przyjechał tu wyłącznie, żeby mu

pomóc. Nie czas było jednak się użalać, oplakiwać zmarłych lub myśleć o zemście.

To wszystko mogło poczekać. W tym momencie miał do zrobienia kilka ważnych rzeczy.

Grecki kierowca dopłynął wpław do brzegu, otrząsnął się z wody, podszedł do koparki, uruchomił ją i powtórzył tę samą sztuczkę. Kiedy kabina zanurzyła się w wodzie, wy dostał się na zewnątrz przez okno. Gdy był w połowie drogi do brzegu, z jeziora wynurzył

się nagle wielki Egipcjanin, krztusząc się i kaszląc. Jego zmartwychwstanie trwało tylko chwilę; kilka sekund później zanurzył się z powrotem, przykuty kajdankami do kierownicy i pociągnięty na dno przez koparkę. Jeden z Greków rzucił kpiącą uwagę na ten temat.

Wszyscy się roześmiali, wsiedli do drugiej terenówki i ruszyli w ślad za swoimi towarzyszami.

Knox zaczekał, aż znikną z pola widzenia, po czym zszedł ze skały i puścił się biegiem do jeziora, rozbierając się po drodze.

## II

Mohammed zakrztusił się wodą i odzyskał przytomność, najwyraźniej tylko po to, by zaznać jeszcze większych katuszy. Kajdanki ciągnęły go nieubłaganie w dół. Zanim zanurzył

się w mętnej wodzie, udało mu się po raz ostatni zaczerpnąć powietrza.

Silnik koparki zgasł. Drzwiczki były otwarte i cała maszyna niebezpiecznie się przechyliła, jakby miała przewrócić się na miękkim dnie jeziora. Mohammed cofnął się do kabiny. Trochę powietrza zostało pod jej zaokrąglonym dachem. Odetchnął nim i włączył

zamontowaną na górze żółtą lampę. W jej świetle zobaczył, jak małym dysponuje zapasem powietrza. Pochylił się i próbował wyciągnąć dłoń z kajdanek, ale przeszkadzał mu kciuk.

Starał się wyrwać kierownicę z kolumny. Bez skutku.

Jedynym efektem całej szarpaniny było to, że zużył więcej tlenu. Kluczyk tkwił w stacyjce. Przekręcił go, lecz silnik nie reagował. Wyprostował się, żeby wziąć kolejny oddech. Koparka zakołysała się i jeszcze bardziej przechyliła w bok. Drogocenne powietrze uciekało z kabiny. Przypomniał sobie przeczytany kiedyś artykuł o wspinaczu, który oderzwał

sobie rękę scyzorykiem, żeby wydostać się spod skalnej lawiny. Tak. Mógł to zrobić dla Lajli.

Wziął oddech, zanurkował i zaczął szukać na podłodze odłamków szyby, którą rozbiła seria z automatu. Niestety, znalazł tylko drobne okruchy. Wynurzył się z powrotem.

Woda zakołysała się i coś pociągnęło go za rękaw. O mało nie umarł ze strachu, gdy tuż obok niego wynurzyła się czyjaś głowa. To był mężczyzna, którego chciał zabić Nicolas.

- Gdzie jest kluczyk? - zapytał krótko.

- Zabity Grek - wychrypiął Mohammed. - Przy pasku.

Mężczyzna kiwnął głową, zanurkował i zniknął.

Powietrza było tak mało, że sytuacja stała się krytyczna.

Mohammed przytknął policzek do metalowego dachu i próbował zachować spokój.

Miał wrażenie, że minęły całe wieki. Powietrze zaczęło cuchnąć. Kręciło mu się w głowie i łupało między oczyma. Starał się modlić za Lajlę, żeby jakoś przez to przeszła, żeby miała dobre życie, kiedy pokona już tę straszną chorobę. Cóż mogło wówczas stanąć jej na przeszkodzie? Wszyscy ojcowie są dumni ze swoich córek, ale który z nich ma aż tak ważny powód?

Kabina ponownie się zakołysała. Mohammed krzyknął cicho, gdy uciekł z niej kolejny bąbel powietrza. Na tym właśnie polega problem z nadzieją: łudzimy się nią kosztem wielkiego strachu. Musiał wyciągać najdalej, jak to możliwe, skutą rękę, by móc dosięgnąć ustami powierzchni wody. Powietrze było cuchnące, zatruwało go, musiał oddychać szybciej i energiczniej, by do płuc dotarła choćby odrobina tlenu.

Kabina nieubłaganie się przechylała. Przez szybę uciekły resztki powietrza.

Mohammed zatykał najdłużej, jak mógł, usta dłonią, ale w końcu je otworzył.

Zachłysnął się i łyknął wodę, która wlała się do płuc. Porwał go wir przypadkowych, lecz dodających otuchy kolorów, kształtów, wrażeń i zapachów - wszystko to skąpane w miłości do Nur i do Lajli. A potem oślepiło go jaskrawe białe światło.

### III

Prowadząc swój mały konwój drogą do Marsa Matruh, Nicolas zadzwonił do Willi Ibrahima. Nikt nie podnosił słuchawki. Zadzwonił na komórkę Manolisa, a potem Sofronia.

Żaden z nich nie odpowiadał. Coś poszło nie tak. Ze zdenerwowania zaczęło go kłuć w żołądku. Zerknął na Vasileiosa.

- Co się dzieje? - zapytał tamten.

- Nie wiem.

Nicolas spojrzął na jadącego za nimi tira. Obciążony drogocennym ładunkiem z trudem rozpędził się do szybkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, a potem z trudem ją utrzymywał. W takim tempie dotrą do Aleksandrii dopiero za dziesięć godzin. Dziesięć godzin! Chryste! Kto mógł wiedzieć, co się wydarzy w tym czasie, zwłaszcza że nie udało im się kropnąć Knoksa. A myślał, że wszystko pójdzie tak gładko. Biorąc do ręki komórkę, by ponownie zadzwonić do Ibrahima i swoich ludzi, zobaczył, że sygnał słabnie i w ogóle ginie.

Z podróży na południe zapamiętał, że pojawi się z powrotem dopiero w pobliżu Marsa Matruh i

wybrzeża.

Trzeba było jechać dalej.

#### IV

W wodzie unosiły się bąbelki powietrza i gazów wydzielających się spod dna jeziora.

Wokół plam oleju, alg i szczątków pojazdów rozchodziły się koncentryczne fale.

Knox pływał między nimi i nurkował. Przyczepa zanurzyła się głębiej niż koparka. Woda, normalnie całkiem przejrzysta, była teraz bardzo zamulona. Musiał szukać po omacku.

Brakowało mu już powietrza, gdy dotknął czegoś metalowego. Wynurzył się, żeby zaczerpnąć oddechu, a potem zanurkował ponownie i wpłynął przez otwarte okno do szoferki.

Obmacał wewnątrz rękoma. Pierwszym ciałem, które znalazł, były zwłoki Ricka.

Znowu ogarnęły go mdłości. Następne ciało miało długie włosy. Kobieta. Elena.

Odsunąwszy ją na bok, złapał za stopę trzeciego trupa i po nogawce dotarł do paska.

Obmacując go, znalazł łańcuszek z kluczami. Rozpiął pasek, zdjął z niego łańcuszek, wynurzył się z wody i popłynął tam, gdzie powinna być koparka. Nabrał jak najwięcej powietrza i zanurkował. Pod wodą piekły go otwarte oczy. Koparka leżała przewrócona na bok. Wpłynął do kabiny przez rozbite okno. Uciekło z niej całe powietrze. Mohammed leżał

bezwładnie na podłodze. Knox upuścił w pośpiechu kluczyki. Kiedy je w końcu znalazł, jego własne płuca także domagały się powietrza.

Złapał Mohammeda za nadgarstek. Pierwszy kluczyk nie pasował. Drugi też nie.

Spanikowany i zdezorientowany sprawdził je ponownie. Bez skutku. Miał ochotę głośno krzyknąć. Musiał odetchnąć. Druga obręczka kajdanek była zapięta na kierownicy.

Spróbował ją otworzyć najpierw pierwszym, potem drugim kluczykiem.

Drugi okazał się właściwy. Knox złapał wielkiego faceta za kołnierz, wywlókł go z kabiny i wypłynął z nim na powierzchnię, a potem, trzymając go jedną ręką, dopłynął na płyciznę i wyciągnął na brzeg.

Położył jedną rękę na jego piersi, drugą na szyi. Serce wielkoluda przestało bić. To oczywiste, że przestało. Przez ostatnie trzy minuty oddychał wyłącznie wodą. Knox próbo -

wał przypomnieć sobie kursy ratowania tonących, na które uczęszczał jako instruktor nurkowania. Kiedy woda dostaje się do dróg oddechowych, dochodzi automatycznie do laryngospazmu, czyli odruchowego zaciśnięcia krtani, wskutek czego woda płynie do żołądka. Jednak po zatrzymaniu akcji



serca drogi oddechowe z powrotem się otwierają i woda przepływa do płuc. Kurt, wysoki jak tyczka Austriak z brodą do samych piersi, uczył ich resuscytacji krążeniowo-oddechowej zgodnie z podręcznikiem; potem dodawał jednak zgryźliwie, że gdyby zależało od tego jego własne życie, wolałby, żeby niezależnie od obecnych poglądów na tę kwestię zastosowano rękoczyn Heimlicha, ponieważ jeżeli zablokowane są drogi oddechowe, mózg i tak nie działa. Knox objął Egipcjanina oburącz w pasie, zacisnął prawą rękę w pięść, wsadził kciuk pod żebra i energicznie ucisnął ku górze przeponę. Spieniona ciemna woda wypłynęła falami z ust i nosa. Powtarzał cały manewr, aż woda przestała płynąć, następnie zaś przechylił do tyłu głowę, aby otworzyć drogi oddechowe, zacisnął nos i zastosował dwa razy sztuczne oddychanie. Sprawdził puls, ale go nie wyczuł. Przez jakiś czas na zmianę uciskał przeponę i stosował sztuczne oddychanie.

Nagle Egipcjanin zadygotał, otworzył usta, wypuścił z ust i nosa jeszcze trochę wody i zaczął oddychać. Knox padł na błotnisty piasek obok niego, nagi, skonany i roztrzęsiony.

A potem przypomniał sobie z przerażeniem, że Nicolas porwał Gaille. Boże, nie pozwól, by zginęła.

Z trudem podniósł się z ziemi i pozbierał ubranie. Nogi miał słabe i miękkie jak z waty. Mimo to zmusił się do biegu przez wydmy, żeby sprawdzić, czy uda się uruchomić jeepa.

## **Rozdział 39**

Nicolas wychylił się przez okno i dał znak kierowcy tira, żeby zjechał na pobocze.

Musiał zatankować i skorzystać z publicznego telefonu, nie mógł jednak podjechać na stację benzynową z Gaille leżącą na tylnym siedzeniu. Otworzyli tylne drzwi kontenera.

Słońce nie weszło jeszcze wysoko i jego wnętrze nie zdążyło się nagrzać.

Zaczekali, aż droga będzie pusta, po czym wciągnęli Gaille do kontenera, zakneblowali ją i przywiązali do stalowej poręczy w samym końcu. Nicolas kazał

Dimitrisowi wejść do środka i pilnować, żeby nie wykręciła żadnego numeru.

Następnie wsiedli do terenówki i ruszyli dalej. Droga była prosta, porządna, bez policyjnych kontroli. Vasileios włączył radio i zaczął szukać muzyki. Nicolas zgasił je.

Dojechali w końcu do stacji benzynowej, przy której stało kilka ciężarówek jadących do Siwy i w przeciwną stronę. Yasileios zatankował, a Nicolas poszedł zatelefonować. W dalszym ciągu nie mógł się dodzwonić do Ibrahima, Sofronia ani Manolisa. Co tam się, do diabła, działo? Zadzwoił do swojego biura w Salonikach i kazał Katerinie zająć się tym. Wsiadając z powrotem do terenówki, był coraz bardziej zaniepokojony.

Jeep leżał na dachu na zboczu wydmy. Knox próbował go rozbijać i przewrócić na bok. Po kilku nieudanych próbach wykopał gołymi rękoma piach spod dachu, żeby zwiększyć przechył i spróbował ponownie. Jeep przewrócił się w końcu z głośnym hukem na bok, a potem przechylił się jeszcze bardziej, lecz w ostatniej chwili zakołysał się i stanął pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Knox

podparł go ramieniem; stopy ślizgały mu się po miękkim piasku, ale nie dawał za wygraną, i w końcu mu się udało: jeep opadł na koła, wzbijając chmurę pyłu i piasku.

Kluczyk tkwił w stacyjce. Przekręcił go z drżącym sercem. Silnik zapalił za pierwszym razem. Łzy wdzięczności stanęły Knoksowi w oczach. Co za kurewsko cudowny, wspaniały samochód. Popędził z powrotem do jeziora. Mohammed oddychał płytko, lecz regularnie. Nie odzyskał przytomności. Knox martwił się przede wszystkim o Gaille, ale nie mógł go tak zostawić. Facet ważył chyba tonę.

Wciągnął go na tył jeepa i ruszył do Siwy, zastanawiając się po drodze, co ma robić dalej.

Dopiero późnym rankiem Nicolas znalazł się dość blisko wybrzeża, by jego komórka złapała sygnał. Zadzwoił od razu pod domowy numer Ibrahima, a potem do Manolisa i Sofronia. Nic. Zadzwoił do Salonik, ale Katerina też nie odbierała. Strach palił mu stężonym kwasem żołądek.

Manolis i Sofronio byli jego pilotami. Bez nich utknie na dobre w tym gównianym kraju. Do Aleksandrii zostało mu jeszcze sześć godzin jazdy, ale musiał wiedzieć, co się dzieje, żeby móc ułożyć jakiś awaryjny plan. Zadzwoił do Bastiaana w drugiej terenówce i kazał mu pojechać przodem i zbadać sytuację.

#### IV

Knox podjechał pod szpital w Siwie i nacisnął klakson. Z budynku wyszła pielęgniarka, osłaniając oczy przed słońcem. Knox otworzył tylne drzwi i pokazał jej Mohammeda, który wciąż miał na przegubie kajdanki.

- Co się stało? - zapytała pielęgniarka, starając się od razu postawić diagnozę.

- Przestało mu bić serce - odparł Knox. - O mało nie utonął.

Pielęgniarka wbiegła z powrotem do budynku i wróciła po chwili z wózkiem i lekarzem.

- Będzie chciała z panem mówić policja - powiedział doktor.

- Oczywiście.

Załadowali Mohammeda ostrożnie na wózek i wtoczyli go do szpitalnego holu.

- Proszę z nami - powiedział doktor. - Niech pan zaczeka w środku.

- Za chwilę. Potrzebuję czegoś z jeepa - odrzekł Knox i wyszedł z powrotem na dwór.

Nie miał ochoty na rozmowę z policją. Nie chodziło tylko o groźby Nicolasa, który dał jasno do zrozumienia, co zrobi, jeżeli spotkają go kłopoty. Problem polegał na tym, że Egipcjanie bardzo chętnie pociągali za spust przy odbijaniu zakładników, i Knox nie wierzył, by mieli na sercu bezpieczeństwo Gaille. W żadnym innym miejscu na świecie nie mógł

liczyć, że dogoni Nicolasa, który miał nad nim tak dużą przewagę czasową. Ale to nie było żadne

inne miejsce na świecie. To była Siwa, a Siwa była jedyna w swoim rodzaju. Tir w żadnym wypadku nie mógł przejechać przez pustynię. To oznaczało, że mają do wyboru tylko jedną drogę: na pomoc do wybrzeża, a potem na wschód do Aleksandrii. W

Aleksandrii stanie przed nimi otworem cały Egipt, lecz mieli do niej jeszcze wiele godzin jazdy.

Knox dotknął czule tablicy rozdzielczej.

- Jeszcze tylko ten jeden raz. Tylko jeden - powiedział błagalnym tonem i odjechał z rykiem spod szpitala.

Komórka Nicolasa zadzwoniła, kiedy mijali ElAlamein.

- Tak?

- Mówi Bastiaan. Jesteśmy przy willi.

- I co?

- Jest spalona. Nie ma śladu chłopaków. Ale wszędzie kręcą się mundurowi. Straż pożarna. Policja. Sanitariusze.

Nicolas umilkł, zdając sobie sprawę z rozmiarów katastrofy. Alibi, które miało ich chronić, stało się teraz obciążającym dowodem. Kamery bezpieczeństwa sfilmowały ich wszystkich, jak wchodzi do willi. I nawet jeżeli jakimś cudem taśmy spaliły się w pożarze, zaparkowane na zewnątrz wynajęte samochody w nieunikniony sposób doprowadzą policję na lotnisko, do ich danych w urzędzie imigracyjnym oraz do ich samolotu. Jadąc tam, przypominaliby skaczącą do sieci rybę. Kazał Bastiaanowi zawrócić i poczekać na nich przed Aleksandrią. Następnie zadzwonił do Kateriny w Salonikach. Tym razem odebrała, ale zanim zdążył coś powiedzieć, przerwała mu i oznajmiła ostro, że nie jest upoważniona do dyskusowania strategii firmy w tej sprawie, ale może go połączyć z kimś, kto...

- Są z tobą jacyś ludzie?

- Tak.

- Policja?

- Tak.

- Słuchają tej rozmowy?

- Nie.

- Założyli podsłuch?

- Jeszcze nie.

- Możesz przejść gdzieś indziej i oddzwonić?

- Nie natychmiast, proszę pana.

- Najszybciej, jak możesz.

Nicolas czekał, obgryzając paznokcie. Katerina oddzwoniła dopiero po dwudziestu minutach.

- Przepraszam pana - powiedziała zdyszana. - Wszędzie jest policja. Mają nakazy.

Najwyraźniej Egipcjanie poprosili ich, żeby...

- Masz jakieś wiadomości od Manolisa i Sofronia?

- Nie bezpośrednio, proszę pana. Ale podsłuchałam jednego z policjantów. Doszło chyba do strzelaniny z egipską policją. Manolis jest ranny. Musieli go zabrać do szpitala.

Mówią, że kogoś zabił. Co się dzieje? Oskarżają nas o straszne rzeczy. To jakieś szaleństwo. Ludzie są przerażeni. Sprawdzają nasze dokumenty. Zamrozili konta. Słyszałam, jak dwaj z nich mówili, że nasze statki mają dostać rozkaz powrotu do portu.

- Nie mogą tego zrobić - zaprotestował Nicolas. - Niech się tym zajmie Mando.

- Już mu to przekazałam. Mówi, że kilka dni zajmie mu...

- Nie mam dwóch dni! - wrzasnął Nicolas. - Załatw to teraz.

- Tak jest, proszę pana.

- I zadzwoń do mnie. Zadzwoń, kiedy tylko czegoś się dowiesz.

- Tak jest.

- I daj mi znowu numer Gabbara Mounima. Jak naj szybciej.

- Tak jest, proszę pana.

## VI

Knoksa ogarniał coraz większy lęk. Od siedmiu godzin katował swojego biednego jeepa, pędząc nim z maksymalną szybkością, lecz mimo to nie dogonił tira. Do Aleksandrii zostało już tylko trzydzieści kilometrów. Czy mógł się pomylić w swoich obliczeniach? Czy to możliwe, że Nicolas już tam dotarł albo opuścił Egipt inną drogą? Samolotem z Marsa Matruh? Przez granicę do Libii? Nie. Obie te możliwości były absurdalne i nie dałoby się ich zrealizować w tak krótkim czasie. Jechali tą trasą.

Musiał po prostu ścigać ich dalej.

Pięć kilometrów przed pierwszym dużym skrzyżowaniem zobaczył przed sobą tira.

Przyspieszył. Tak. Jechała przed nim jedna z terenówek. Knox zdjął natychmiast nogę z gazu i wycofał się na bezpieczną odległość.

## Rozdział 40

Kiedy Bastiaan i jego ekipa wrócili z rekonesansu do Aleksandrii, Nicolas kazał

zjechać wszystkim z drogi. Podjechali piaszczystym traktem do skraju jeziora. Mgła unosiła się nad wodą, obdarci rybacy manewrowali na swoich płaskodennych łódkach między zarośniętymi sitowiem wysepkami. Miał zamiar przedstawić swoim ludziom sytuację, przedyskutować, co należy robić, ale kiedy uświadomili sobie, w jakim są fatalnym położeniu, zawiodły ich nerwy i zaczęli krzyczeć, przepychać się i wzajemnie obwiniać. W

tym momencie zadzwoniła Katerina i mogli dzięki temu nieco ochłonąć.

Miała dla Nicolasa numer Gabbara Mounima. Od razu do niego zadzwonił. Telefon odebrała kobieta. Nicolas powiedział, że chce mówić z Mounimem i podał swoje nazwisko.

Nie łącząc się nawet z kimkolwiek, odpowiedziała uprzejmie, że pan Mounim nie może w tej chwili podejść do telefonu. Poprosił bardziej stanowczo.

Udzieliła mu takiej samej odpowiedzi. Podniósł głos. Oznajmiła jeszcze raz to samo, zupełnie niezbita z tropu. Nicolas odetchnął głęboko i zapytał jak najgrzeczniej, kiedy pan Mounim będzie mógł do niego oddzwonić. Może w przyszłym tygodniu albo za dwa tygodnie. Zakończył rozmowę, uświadomiwszy sobie nagle, że mogą go namierzyć. Złe wieści rozchodzą się z prędkością światła.

Walnął dłonią w blaszany bok kontenera. Ich samolot i statek były trefne. Ich nazwiska, numery paszportów i numery rejestracyjne przekazywano w tym momencie do wszystkich punktów kontrolnych. Zamknął oczy. Obawy zmieniły się w gniew.

Knox. To musiała być sprawka Knoksa. Knox puścił farbę.

Podszedł do tyłu kontenera. Dał jasno do zrozumienia, jaka będzie kara za donos. Nie można go było winić. Na tym świecie człowiek musi spełniać swoje groźby, jeżeli ludzie mają go traktować poważnie. Drzwi kontenera były otwarte. W środku było gorąco i duszno.

Dziewczyna leżała zakneblowana na podłodze, ręce miała przywiązane do poręczy, usta suche i spękane. Nicolas odwiązał ją, złapał za łydkę i wywlókł na zewnątrz. Próbowwała się opierać, osłabiona wskutek odwodnienia. Rzucił ją na piasek. Niepotrzebny balast.

Niebezpieczny balast. Balast, który może mówić.

Zdał sobie nagle sprawę, że zostawił walthera w terenówce. Wyciągnął rękę do Leonidas.

- Daj mi automat.

Leonidas zamrugał oczyma.

- To tylko dziewczyna - mruknął.

- Zgłupiałeś?! - wrzasnął Nicolas. - Wszystko wi działa. Chcesz spędzić całe życie w egipskim pierdlu?

Dziewczyna wypluła knebel, który zawisł jej na szyi niczym stryczek.

- Proszę - zaszlochała. - Proszę. - Miała załzawioną, zasmarkaną twarz. Nicolas nie mógł na nią patrzeć. - Nie zabijaj mnie - błagała, pełznąca ku niemu na kolanach. - O Boże.

Nic nikomu nie powiem. Przysięgam. Nie zabijaj mnie. Proszę, nie zabijaj.

Nie chcę umierać. Nie chcę umierać.

- Pana ojciec nie akceptował przemocy - powiedział

Leonidas. - Pana ojciec...

- Mój ojciec nie żyje - warknął Nicolas, czując, jak drży mu ręka. Jeżeli okaże teraz słabość, stanie się po śmiewiskiem. - Daj swój pierdolony automat - powtórzył, wrywając mu z dłoni AK-47.

Leonidasowi zrobiło się chyba niedobrze i odwrócił się do niego plecami. Warto wiedzieć, na kogo można liczyć, kiedy trzeba wykonać trudne zadanie.

Dziewczyna wciąż skamlała, czepiając się spodni Nicolasa. Uderzył ją kolbą automatu, cofnął się o krok i przystawił broń do ramienia. Jeszcze nigdy nikogo nie zabił.

Zlecał zabójstwa, to jasne. Przywieźli również w góry kilka trupów z kostnic dla celów szkoleniowych. Dziurawienie ludzkiego ciała hartuje człowieka, nawet jeżeli jest martwe.

Podobało mu się niemal uczucie, którego doznawał, wbijając bagnet w brzuch. Trzeba atakować z przekonaniem, w przeciwnym razie ostrze ześlizgnie się po skórze, zamiast ją przebić. Ale to było coś innego. Wyobrażał sobie, że zabijanie jest czymś czystym, ostrym i pięknym, w rzeczywistości jednak okazało się brudne i szpetne.

Dziewczyna klęczała, obejmując go za nogi i całując stopy. Lepiej było, gdy nie widział jej twarzy. Wziął na cel ciemne włosy na szczycie czaszki. Nagle uniosła ku niemu twarz. Znowu się zawahał. Krępował się strzelić jej między oczy lub w czoło.

Dlaczego nie chciała pochylić głowy? Czy zupełnie nie liczyła się z jego uczuciami?

Pogroził jej bronią. Szlochając, przewróciła się na plecy. Miała poszarzałą, wykrzywioną z przerażenia twarz. Dał jej znak, żeby obróciła się na brzuch. Nie chciała.

Leżała tam, zwijając się perwer - syjnie, jakby zdawała sobie sprawę z udręki, jaką przez nią

przeżywał. Nicolas zazgrzytał zębami. Taka była cena przywództwa. Taka była cena wyzwolenia

Macedonii. Zmobilizował się, wyobrażając sobie przez moment chwałę i zaszczyty, jakie przypadną mu w udziale. A potem przyłożył broń do ramienia i ponownie wycelował w jej twarz.

## II

Knox zjechał z drogi w ślad za konwojem, ukrył jeepa za skalną skarpą i patrzył, jak Grecy kłócą się i panikują. Choć znajdował się za daleko, żeby słyszeć, co mówią, nie ulegało kwestii, że ich plany wzięły w łeb i są przerażeni.

Nicolas wszedł zdecydowanym krokiem do środka kontenera. Minutę później wywłókł z niego Gaille i zażądał automatu od jednego ze swoich ludzi. Knox patrzył na to przerażony, nie mogąc nic zrobić. Nie miał komórki, żeby wezwać policję albo wojsko. Poza tym był nieuzbrojony i sam jak palec. Próba ratowania jej równała się samobójstwu. Jedynym rozsądnym wyjściem było sprowadzenie pomocy. Zrobił w końcu wszystko, co mógł.

Nadeszła kolej na innych. Nikt nie mógł go winić.

Wrócił do jeepa i włączył silnik. Ruch na pobliskiej drodze zagłuszył warkot. Knox siedział przez chwilę za kierownicą. Wiedział w głębi serca, że jadąc teraz po pomoc, skazuje Gaille na śmierć. I nie mógł się z tym pogodzić. Po prostu nie mógł. Nie chodziło tylko o dług, jaki miał wobec jej ojca, chociaż to też było ważne. Chodziło o nią samą. O to, co zaczynał do niej czuć.

Uświadomiwszy sobie, co ma zamiar zrobić, dostał gęsiej skórki ze strachu. Nie bądź

dupkiem, powtarzał sobie, ale to nic nie dało. Wziął głęboki oddech i zamknął oczy, zupełnie jakby się modlił. A potem niczym jakiś dawny rycerz spinający ostrogami wiernego rumaka wcisnął gaz do dechy i ruszył do ataku.

## III

Za plecami Nicolasa zaryczał silnik. Kiedy się odwrócił, zobaczył pędzącego prosto na niego starego jeepa. Knox! Nicolas stał jak wryty w miejscu, patrząc na niego z niemym niedowierzaniem. Leonidas wyrwał mu z rąk automat i posłał serię w maskę.

Kłapa podniosła się w górę, z silnika trysnęły strumienie pary i strzeliły płomienie.

Knox próbował bezskutecznie dodać gazu, lecz jeep zatrzymał się tuż przed nimi.

Maska opadła z hukiem w dół. Knox otworzył drzwiczki i rzucił się do ucieczki, ale już po chwili padł jak długi, trafiony kulą w nogę. Bastiaan i Eneas stanęli nad nim.

Nicolas odebrał broń Leonidasowi. Zabicie Knoksa było czymś innym niż zabicie dziewczyny. Podszedł do niego, podnosząc automat do ramienia i celując w dół.

- Zaczekaj! - krzyknął Knox. - Mogę pomóc ci uciec.

Mogę pomóc ci wyjechać z Egiptu.

- Jasne, że możesz - mruknął drwiąco Nicolas, kładąc palec na spuście. - Wyrosną ci skrzydła i nas zabierzesz.

- Jak? - zapytał nagle Leonidas, odsuwając na bok lufę automatu.

- Ja tu zadaję pytania - warknął Nicolas i ponownie wycelował w Knoksa. Poczul nagle, że staje się śmieszny. - Jak? - powtórzył za Leonidasem.

- Znam różnych ludzi - powiedział Knox.

- Aha, znasz ludzi - roześmiał się Nicolas. - Wszyscy znamy ludzi.

- Znam Hassana alAssyutiego - sprecyzował Knox.

Nicolas zmarszczył czoło.

- Tego armatora?

- Uratowałem mu życie - odparł Knox, kiwając głową. - To był wypadek podczas nurkowania. Zastosowałem sztuczne oddychanie. Powiedział, że jeżeli kiedykolwiek będę potrzebował przysługi...

Nicolas spojrzał na niego z ukosa.

- Kłamiesz.

- Zabierz mnie do niego. Jest w Suezie. Sam go zapytaj.

Powie ci to samo.

- Mam cię do niego zabrać? - parsknął Nicolas. - Jest twoim najlepszym pierdolonym przyjacielem i nie znasz nawet jego numeru telefonu?

- Nigdy dotąd nie musiałem go prosić o przysługę.

Nicolas się zawahał. Knox coś kombinował. Był tego pewien. Ale jeżeli w tym, co mówił, było choćby ziarno prawdy... Wyjął ponownie komórkę, zadzwonił do Kateriny i kazał jej znaleźć telefon do alAssyutiego.

Czekając, aż oddzwoni, chodził w kółko, tupiąc nogami. Kiedy podała mu w końcu numer, sam go wybrał. W najmniejszym stopniu nie ufał Knoksowi. Powiedział, że chce mówić z Hassanem alAssyutim i kazano mu czekać. Ani na chwilę nie spuszczał z oczu Knoksa. Spodziewał się, że ze wszystkiego się wycofa, przyzna, że to blef. W słuchawce odezwała się kobieta i próbowała go zbyć sprawdzoną formułką: Hassan jest na zebraniu, czy mógłby pan zostawić wiadomość, którą postara



się mu niezwłocznie przekazać...

- Muszę z nim mówić w tej chwili - przerwał jej

Nicolas. - Proszę mu powiedzieć, że mówi Daniel Knox.

- Daniel Knox? - Kobietę najwyraźniej zamurowa ło. - Och. Tak. Oczywiście. Zaraz...

zaraz pana połączę.

Nicolas z trudem krył zdumienie. Wyciągnął telefon do Knoksa w taki sposób, żeby mógł sam słuchać rozmowy.

- Knox? - odezwał się w słuchawce głos Hassana. - To naprawdę ty?

- Zgadza się - odparł szybko Knox. - Posłuchaj, chcę do ciebie przyjechać.

W słuchawce zapadła cisza.

- Chcesz do mnie przyjechać? - zapytał z niedowierza niem Hassan.

- Zgadza się. Muszę coś wysłać poza granice Egiptu.

Czy zajmiesz się tym dla mnie, jeżeli do ciebie przyjadę?

Kolejna chwila ciszy.

- Przyjedziesz osobiście?

- Jeżeli zgodzisz się wysłać dla mnie ten fracht.

- Jaki fracht? Dokąd?

- Powiem ci, kiedy się zobaczymy.

- Bardzo dobrze. Możesz przyjechać do Suezu?

- Jasne. Daj mi sześć godzin.

- W porządku, za sześć godzin. Przy moim terminalu kontenerowym.

Hassan podał szybko, jak tam dojechać. Nicolas zanotował to. Rozmowa dobiegła końca.

- No i co? - zapytał Leonidas.

- Zgodził się pomóc - przyznał niechętnie Nicolas. Coś tu śmierdziało, ale nie wiedział

dokładnie co. Rzucono mu jednak koło ratunkowe i nie miał innego wyjścia: musiał je złapać.

- Będziesz siedział w kontenerze aż do Suezu - powiedział do Knoksa. - Piśnij tylko, a zginiesz. Zrozumiano?

- Tak.

- Jeżeli wyekspedujesz nas z Egiptu, uwolnię ciebie i dziewczynę. Masz moje słowo.

Mówiąc to, uśmiechnął się i spojrzał Knoksowi prosto w oczy. Anglik nie powinien się zorientować, że nie było po prostu mowy, by pozwolił dwojgu świadkom całej tej afery zachować życie.

## Rozdział 41

Knoksa i Gaille zakneblowano i przywiązano do poręczy na końcu kontenera. Jeden z Greków, barczysty mężczyzna, na którego mówili Eneas, dostał latarkę i rozkaz, żeby ich pilnować. Knoksa bolało przestrzelone udo, ale po krótkich oględzinach, na które mu pozwolono, stwierdził, że rana nie wygląda tak źle: kula wyłobiła głęboką bruzdę w skórze, lecz ominęła mięsień i kość.

Po zamknięciu drzwi w kontenerze zrobiło się piekielnie duszno i gorąco, zwłaszcza kiedy Eneas zapalił papierosa. Zgasiwszy niedopałek, napił się wody z butelki, a potem skropił nią obficie włosy i czoło. Dręczący był sam jej plusk. Knox zamknął oczy i marzył o wodospadach i kruszonym lodzie.

Trumna i wieko były tak ciężkie, że hamulce tira zazgrzytały przeraźliwie, kiedy zwolnili przed stacją benzynową. Podczas postoju Eneas stał przez cały czas nad Knoksem, grożąc mu kolbą AK-47. Po jakimś czasie ruszyli. Tir rozpędzał się z wyciem silnika i chrobotem skrzyni biegów. Na szczęście ten rejon Egiptu był kompletnie płaski.

Gaille zaczęła znów szlochać pod kneblem. Miała już dwa albo trzy takie ataki przeplatane dłuższymi okresami spokoju. Lęk przed śmiercią był zbyt intensywny, by można go było opanować. Knox również dwa razy oblał się zimnym potem, co jeszcze bardziej go odwodniło. Kiedy dreszcze mijały, starał się zachować jasny umysł i znaleźć jakieś wyjście z tragicznego położenia, w którym się znaleźli. Nie przychodził mu jednak do głowy żaden pomysł.

W końcu przestał go szukać na siłę. Doświadczenie podpowiadało mu, że dobre pomysły przychodzą do głowy, kiedy zaczyna się myśleć o czymś innym. Ich strażnik zapalił

kolejnego papierosa. Odbity płomyk zapalniczki zamigotał czerwienią na złotej trumnie Aleksandra. Knox zorientował się, że nie może oderwać od niej wzroku. Cóż za koniec dla takiego człowieka - stać się pionkiem w nieustającej grze politycznych i osobistych ambicji. Z

drugiej strony była w tym pewna dziejowa sprawiedliwość. Sam Aleksander również dokonał

żywota w atmosferze rozczarowania wywołanej być może okropnościami marszu przez pustynną Gedrozę, podczas którego z jego czterdziestotysięcznej armii ocalało zaledwie piętnaście tysięcy żołnierzy. Śmierć szła za nim krok w krok. Sędziwy hinduski filozof Calanus, który towarzyszył mu podczas wielu kampanii, zachorował i nie chcąc, by jego ciało zgniło, kazał się spalić żywcem, zapewniwszy uprzednio Aleksandra, że wkrótce się spotkają.

Po urządzonym na cześć Aleksandra pijackim konkursie zmarło czterdziestu jeden Macedończyków, łącznie ze zwycięzcą. Nieco później zmarł najbliższy przyjaciel Aleksandra, Hefajstion, co było największym ciosem. Potem doszło do wizyty Aleksandra w grobowcu Cyrusa Wielkiego w Pasargadach. Cyrus był największym przed Aleksandrem zdobywcą i cesarzem, półbogiem czczonym w całej Persji. Mimo to Aleksander zastał w jego grobowcu kości rozrzucone na podłodze przez rabusiów, którzy próbowali ukraść złoty sarkofag. Inskrypcja na grobie Cyrusa głosiła: "Człowieku, kimkolwiek jesteś i skądkolwiek przychodzisz - bo wiem, że przyjdiesz - jam jest Cyrus, który stworzył imperium perskie.

Dlatego nie pozbawiaj mnie tej garści ziemi, która okrywa moje ciało". Jego prośba nie została jednak wysłuchana.

Powiadają, że złożony niemocą w Babilonie, świadom, że zbliża się koniec, Aleksander próbował dowlec się do rzeki płynącej nieopodal pałacu, pragnąc, aby zabrała go woda i świat uwierzył, że wstąpił na Olimp i zajął należne mu miejsce pośród bogów. A może nie chciał dopuścić, by jego następcy potraktowali jego szczątki z taką samą pogardą, jaką okazali Cyrusowi. Więc niewykluczone, że taka właśnie była jego wola: miał spocząć w grobowcu w Siwie, Aleksandrii czy Macedonii, chciał, by jego ciało pochłonęła woda.

Chciał, by pochłonęła go woda. Tak. I w końcu Knoksowi zaświtał w głowie pewien pomysł.

Miał wrażenie, że minęły wieki, zanim ciężarówka zatrzymała się ponownie.

Zazgrzytały otwierane drzwi kontenera. Knox oparł głowę o stalową ścianę. Krople potu spływały po jego piersi niczym paciorki różańca. Nisko na horyzoncie świeciły gwiazdy.

Dzień dobiegł końca. Być może jego ostatni. Nicolas wdrapał się do środka.

Włosy sterczały mu dziwnie z jednej strony, jakby zdrzemnął się z głową opartą o szybę.

- Jesteśmy w Suezie - powiedział, biorąc Knoksa na muszkę.

Eneas rozwiązał krępujące Knoksa więzy i wyciągnął knebel. Knox zacisnął i rozluźnił kilka razy dłonie, żeby przywrócić w nich normalne krążenie, a potem ostrożnie wstał i pomasaował udo. Nicolas dał mu znak, żeby wyszedł z kontenera. Knox zignorował go i podniósł porzuconą przez strażnika butelkę. Zostało w niej jeszcze kilka łyków wody.

Odkneblował Gaille, przytknął jej do ust butelkę i zaczął, aż wszystko wypije. A potem pocałował ją w czubek głowy.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał.

- Wiem.

- Ruszaj się - warknął Nicolas, popychając go lufą walthera.

Knox pokuśtykał do wyjścia z kontenera, udając, że jest ciężiej ranny, niż był w rzeczywistości, i

mając nadzieję, że przekona o tym Nicolasa. Zeskakując niezgrabnie na asfalt, krzyknął z bólu i podskoczył kilka razy na zdrowej nodze. Stali w rogu wielkiego pustego parkingu. W powietrzu unosił się zapach spalin i spalonej gumy. Z odległej stacji benzynowej dobiegały dźwięki arabskiej muzyki. Na niebie nad drzewami wisiała pomarańczowa luna.

- Oto jak to się odbędzie - powiedział Nicolas. - Pojedziesz teraz z Leonidasem do alAssyutiego. Wynego cjujesz dla nas bezpieczny rejs do Grecji. Kiedy Leonidas uzna, że sprawa jest załatwiona, zadzwoni do mnie i...

- Chrzań się - odparł Knox. - Nie kiwnę palcem, dopóki Gaille nie będzie bezpieczna.

Nicolas uśmiechnął się cierpko.

- Kiedy Leonidas uzna, że sprawa jest załatwiona, za dzwoni do mnie i ty oraz dziewczyna będziecie wolni.

- Zapomnij o tym. Wypuść teraz Gaille, a ja zrobię wszystko, żeby wam to załatwić.

Masz moje słowo.

Nicolas westchnął.

- Dziewczyna jest naszym głównym atutem. Nie możesz oczekiwać, że ją wypuścimy.

- Moim atutem jest Hassan - odparł Knox. - Nie zacznę z nim negocjować, dopóki dziewczyna nie będzie bezpieczna.

Na głównej drodze zawyła syrena i zabłyśły niebieskie i czerwone światła. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę, starając się nie okazywać niepokoju. Okazało się, że to tylko ambulans. Zaczekali, aż zniknie im z oczu.

- Zatrzymamy dziewczynę - powiedział Nicolas. - To nie podlega dyskusji.

Knox wzruszył ramionami.

- Więc zrobmy inaczej - mruknął. - Pojadę do Hassana, tak jak chcesz. I zabiorę twojego człowieka. Ale Gaille też z nami pojedzie.

Nicolas parsknął głośno.

- Bierzesz mnie za kompletnego durnia?

- Chcesz się wydostać z Egiptu, prawda? A ja chcę wyłącznie, żeby to wszystko się skończyło. Jeżeli mi nie ufasz, możemy pojechać wszyscy razem.

- Jasne! - zawołał z przekąsem Nicolas. - Prosto w zastawioną przez ciebie pułapkę.

- Jaką pułapkę? Jak, do diabła, zdołałbym zaaranżować pułapkę? Poza tym i tak będziesz musiał w jakimś stopniu zaufać alAssyutiemu.

Nicolas piorunował go przez kilka chwil wzrokiem, starając się wyczytać coś z jego twarzy. W końcu potrząsnął głową i dał znak Leonidasowi i Bastiaanowi, żeby odeszli z nim na stronę. Cała trójka konferowała przez moment przyciszonymi głosami. Kiedy skończyli, Nicolas podszedł z powrotem do Knoksa.

- Pojedziemy wszyscy razem - powiedział, jakby to był jego pomysł. - Ale dziewczyna zostanie w kontenerze z Eneasem - dodał i podniósł komórkę. - Jeśli spróbujesz wyciąć jakiś numer, jeśli wyczuję, że to pułapka, dziewczyna zginie. Rozumiesz?

Knox spojrzał mu prosto w oczy. Zobaczył w nich wybór między dżumą i cholera, między Scyllą i Charybdą. Dodawanie nitro do gliceryny, mając nadzieję, że po wybuchu uda się człowiekowi w jakiś sposób wyczołgać z krateru, nie stanowiło może najlepszej strategii, ale nie miał innego wyboru.

- Tak - odparł.

Nicolas wskazał mu terenówkę.

- Dobrze. W takim razie jedź ze mną.

- Jeżeli Gaille zostanie w tirze, ja też jadę tirem.

- Doskonale - warknął Nicolas. - Pojedziemy w szo ferce razem z Bastiaanem.

## II

Reflektory jadących z naprzeciwka samochodów raziły w oczy Knoksa siedzącego między dwoma Grekami w wysokiej szoferce tira. Adrenalina sprawiała, że atramentowo granatowe niebo wydawało mu się powleczone błyszczącym lakierem; umysł miał prawie nienaturalnie jasny. Bastiaan jechał nerwowo, zmieniając ostro biegi, mrużąc i klnąc pod nosem, być może dlatego, że nigdy jeszcze nie transportował tak ciężkiego ładunku, a może z powodu sytuacji, w jakiej się znalazł.

Nicolas wbijał niepotrzebnie mocno lufę walthera w bok Knoksa, podpowiadając jednocześnie Bastiaanowi, jak ma jechać.

Skręcili z głównej drogi na teren przemysłowy. Między niskimi budynkami magazynowymi ciągnęły się betonowe place. Nie było widać żadnego innego pojazdu.

Wszystkie biura były zamknięte. Morze czerni rozświetlały żółte światła ustawionych mniej więcej co dwadzieścia metrów latarni. Wzdłuż wybrzeża stały w rzędzie wysokie dźwigi. Na ogro - dzeniu z siatki wisiały tablice z napisem: TEREN PRYWATNY. WSTĘP

WZBRONIONY oraz logo firmy AlAssyuti Trading. Kiedy podjechali do bramy, Bastiaan zerknął w

lusterko wsteczne i zwolnił. Zapiszczały hamulce. Bastiaan puścił je, żeby nie robić hałasu. Gdy skręcał, przednie koła wjechały na krawężnik. Stanęli przed drewnianym szlabanem. Bastiaan otworzył okno i spojrzał na strażnika w podeszłym wieku, który grał w pojedynkę w warcaby w przeszklonej budce obserwowany przez dobermana na smyczy. Mężczyzna westchnął, podreptał do nich, zerknął na Bastiaana i zapytał po arabsku, czego chce. Bastiaan wzruszył ramionami i popatrzył na Nicolasa i Knoksa, żeby mu pomogli.

- Nazywam się Daniel Knox - powiedział Knox. - Jestem umówiony z panem alAssyutim.

- Wszyscy jesteście umówieni? - zapytał mężczyzna.

- Tak.

W oddali zabrzmiała syrena statku. Strażnik wzruszył ramionami i potrząsnął głową, po czym wrócił do swojej budki i zaczął telefonować. Przez otwarte okno szoferki wpadło chłodne nocne powietrze, niosąc zapach oleju napędowego, soli i gnijących ryb. Przemysłowa kamera obróciła się w ich stronę i po chwili szlaban uniósł się w górę. Bastiaan przejechał

przez bramę, z trudem się rozpędzając. Biuro firmy znajdowało się w drugim końcu terminalu. Wszędzie stały jeden na drugim kolorowe kontenery przypominające gigantyczny zestaw dzieciennych klocków. Nigdzie nie było widać żywej duszy; ani jednego robotnika portowego, szofera, operatora wózka widłowego lub dźwigu. Otaczała ich pustka i cisza.

Terenówki zbliżyły się i jechały teraz po obu stronach tira. Wielki statek przepływał kanałem.

Światła na jego mostku i pokładzie odbijały się w wodzie i Knox nie mógł się oprzeć niejasnemu wrażeniu, że znalazł się w kul - minacyjnym punkcie minionego dziesięciolecia.

Pomyślał o śmierci swoich rodziców i siostry, konflikcie z Dragoumisami, latach spędzonych z Richardem i na poszukiwaniach grobu Aleksandra. I o Gaille. Przede wszystkim o Gaille.

Nicolas, jakby czytając w jego myślach, wybrał numer na komórce. Chwilę później Knox usłyszał w kontenerze dzwonek telefonu. Kiedy Eneas odebrał, Nicolas pokazał

Knoksowi komórkę.

- Zrobię to - ostrzegł. - Jeżeli spróbujesz wykręcić jakiś numer, każę ją zabić.

Przysięgam, że to zrobię.

Knoksa uderzyły użyte przez niego słowa. Przypomniał sobie nagle Elenę i to, co powiedziała na chwilę przed tym, nim zastrzeliła Philipa Dragoumisa; to, w jaki sposób wyjaśniała swoje motywacje.

- Elena nie zabiła Pavlosa - mruknął. - Kazała go zabić. To właśnie powiedziała twojemu ojcu.

Nicolas się skrzywił.

- Co to ma do rzeczy?
  - Elena była archeologiem, a nie jakąś żoną mafiosa. Jak mogła kazać komuś zabić Pavlosa?
  - Skąd mam to, kurwa, wiedzieć? - warknął Nicolas, lecz w jego głosie zabrzmiało zdenerwowanie.
  - Od jak dawna pracował dla ciebie Costis? - zapytał
- Knox przekonany, że jest na tropie ważnego odkrycia.
- Zamknij się!
  - Założę się, że wtedy też dla ciebie pracował. Czy Elena go znała?
  - Skąd wytrzasnąłeś te bzdury? - zaprotestował his terycznie Nicolas.
  - Elena poszła do Costisa - kontynuował Knox. - Wynajęła go, żeby zabił Pavlosa.
  - Skończ z tym!
  - I dlatego teraz go zastrzeliła. Nie dlatego, że stał koło twojego ojca, ale dlatego, że to właśnie on zaaranżował wypadek.
  - Powiedziałem, żebyś z tym skończył!
  - A Costis był na twoim żołdzie.
  - Ostrzegam cię po raz ostatni.
  - Nigdy nie przyjąłby takiego zlecenia, gdyby go wcześniej niej z tobą nie uzgodnił.

Nicolas trzasnął Knoksa w skroń lufą walthera.

- Ostrzegałem cię! - krzyknął.
- Wiedziałeś, że w tym samochodzie będzie moja rodzi na? - zapytał Knox.
- Zamkniesz się, kurwa, czy nie?
- Wiedziałeś, że będzie tam moja siostra?
- Stul dziób!
- Miała szesnaście lat - powiedział Knox. - Miała, kurwa, tylko szesnaście lat.
- To jest wojna! - wrzasnął Nicolas. - Nie rozumiesz?

Wojna! Wojna wymaga ofiar!

Na chwilę zapadła cisza, jakby obaj nie mogli uwierzyć, że doszło do tego wyznania.

Nicolas przystawił Knoksowi do czoła lufę pistoletu. Dłoń drżała mu ze wstydu i strachu, palec dotykał spustu. Gotów był go zastrzelić tylko po to, by uniknąć z jego strony wyrzutów. Ale w tym samym momencie zapiszczały hamulce ciężarówki i Bastiaan zatrzymał się przed budynkiem biura. Jakiś mężczyzna wyszedł z niego przez podwójne zaciemnione drzwi i pozwolił, by się za nim zamknęły.

- Kto to jest? - mruknął Nicolas. - To Hassan?

Knox potrząsnął głową.

- To Nessim.

- Nessim?

- Szef ochrony Hassana.

- Ochrony? - powtórzył słabym głosem Nicolas pełen najgorszych przeczuc.

Nessim zaczekał, aż wszystkie pojazdy staną w miejscu. Wtedy dał znak ręką i wszędzie dookoła na dachach kontenerów pojawili się mężczyźni uzbrojeni w skierowaną w dół automatyczną broń. W oknach biura rozchyliły się żaluzje i wysunęły się zza nich kolejne lufy.

- Jesteście otoczeni! - zawołał Nessim, przykładając dłonie do ust. - Wyłączcie silniki.

Odlóżcie broń. Połóżcie ręce na karkach. Otwórzcie powoli drzwiczki i jeden po drugim wyjdźcie na zewnątrz. Nikt nie musi zginąć.

Nicolas spojrzał na Knoksa ze skrajną nienawiścią.

- To pułapka - warknął, podnosząc komórkę. - Zabij...

Knox wyrwał mu telefon z ręki, nim zdolał wydać do końca rozkaz, lecz Nicolas trzymał w drugim ręku walthera i pociągnął za spust.

Knox odchylił się instynktownie do tyłu i kula drasnęła tylko policzek i roztrzaskała boczną szybę. Jej brzęk zadziałał niczym pistolet startera. Z terenówki po ich lewej stronie posypały się serie z automatów. Nessim rzucił się na ziemię. Ze szczytu kontenerów odpowiedziano ogniem, dziurawiąc natychmiast terenówkę jak rzeszoto.

Kule z brzękiem i wizgiem przeszywały metal i odbijały się od asfaltu. Knox złapał

Nicolasa za nadgarstek i wykręcał tak długo, aż ten wypuścił pistolet. Bastiaan wrzucił

wsteczny bieg i wcisnął gaz do dechy, starając się desperacko rozpędzić tira.



Wszędzie słyhać było krzyki i jęki bólu, ludzie biegali, w powietrzu świstały kule, lecz dziwnym trafem żadna nie trafiła tira. Druga terenówka zatoczyła koło, siedzący w niej Grecy strzelali przez otwarte okna. Ogień z kontenerów skoncentrował się na nich i ponownie rozległ się brzęk metalu i tłuczonego szkła. Otworzyły się tylne drzwiczki i wyskoczył przez niejeden z Greków. Przebiegł pięć kroków, strzelając na oślep za siebie, a potem padł

skoszony serią z automatu.

Tir nabrał w końcu trochę szybkości. Nicolas i Knox walczyli o pistolet, który ślizgał

się po podłodze. Pojedynczy pocisk przebił nagle przednią szybę, która pokryła się nitkami pajęczyny. Bastiaan stęknął głucho i odchylił się do tyłu z niewielkim otworem pośrodku czoła. Chwilę później osunął się na kierownicę, z wielką dziurą ziejącą z tyłu głowy. Zaczęli natychmiast tracić szybkość. Nicolasowi udało się złapać pistolet, ale Knox uderzył go bykiem w nos, a potem złapał za przegub i tak długo walił nim w tablicę rozdzielczą, aż Nicolas go puścił. Knox odsunął na bok Bastiaana i wcisnął stopą pedał gazu. Ponownie przyśpieszyli. Knox przekręcił kierownicę i zaczęli zbliżać się tyłem do kanału. Nicolas znowu złapał pistolet, ale w tym samym momencie tylne koła tira zjechały z nabrzeża i podwozie zaczęło głośno szorować o ścianę kanału. Ciężar złota w kontenerze ciągnął ich w dół; szoferka uniosła się w powietrze. Nicolas krzyknął, kiedy ciężarówka najpierw stanęła w pionie, a potem wpadła do wody. Złota trumna Aleksandra i jej wieko uderzyły niczym dwa tarany w tylne drzwi kontenera, wyrwały je z zawiasów

I poszły na dno.

Uwolniony od ciężaru tir zakołysał się i wynurzył z wody. Powietrze uwięzione w kabinie i kontenerze nie pozwalało mu od razu zatonać. Nicolas próbował otworzyć drzwi od strony pasażera, ale nie udało mu się to wskutek napierającej z zewnątrz wody. Zamiast tego odkręcił szybę i do środka wlała się spieniona srebrna struga.

Nicolas wypełził na zewnątrz, lecz Knox złapał go za kostkę i zakręcił z powrotem szybę, która przytrzymała Nicolasa w pasie. Szoferka przechyliła się na bok i Nicolas znalazł

się nagle pod wodą. Przez dłuższy czas wierzgał nogami, próbując się oswobodzić, ale Knox pomyślał o swoich rodzicach, siostrze i Ricku i nie pozwolił, by zmiękło mu serce. Miał

wrażenie, że minęły wieki, nim Nicolas w końcu znieruchomiał. Wtedy wylazł na zewnątrz przez okno z drugiej strony i opłynął kontener tak, by ten zasłonił go przed strzelcami, którzy stali teraz na skraju nabrzeża. Oczy zaczęły go wkrótce piec od zanieczyszczonej wody i musiał poruszać się po omacku. Ale kiedy je otworzył, miał przez chwilę pewność, że widzi dwa oczodoły spozierające na niego z czaszki, która obróciła się w końcu na bok i zniknęła w głębinie, zostawiając po sobie podobne do ostatniego tchnienia bąbelki powietrza.

Knox potrząsnął głową. Niechaj martwi grzebią martwych. On musiał ocalić Gaille.

Tylne drzwi kontenera były wyrwane z zawiasów. Wpłynął do środka. Kontener był

już w dwóch trzecich wypełniony wodą, której szybko przybywało. Kiedy tir runął do kanału, wypadło z niego wszystko, z wyjątkiem Gaille. Zgodnie z tym, o co się modlił Knox, ocaliła ją lina, którą była przywiązana do poręczy. Woda sięgała jej jednak do szyi i musiała odchyłać głowę, żeby zaczerpnąć powietrza. Knox dał nurka, żeby znaleźć i rozwiązać linę, lecz mokre węzły mocno się zacisnęły. Poziom wody stale rósł i sięgał podbródka, ust, nozdrzy. Knox nie dawał za wygraną i w końcu udało mu się wcisnąć paznokieć, a potem palec między sznury. Węzeł puścił nagle, Gaille oswobodziła ręce i oboje wypłynęli z kontenera. Kiedy zaczerpnęli powietrza i obejrzel się, kontener zniknął właśnie pod wodą i uciekała z niego ostatnia bańka powietrza.

Na nabrzeżu stali mężczyźni, celując do nich z karabinów. Nessim, który wysunął się do przodu, pokazał im prowadzące z wody schody. Wola walki, która dodawała dotąd Knoksowi siłę, nagle go opuściła. Wiedział, że dla niego to koniec. Mógł mieć tylko nadzieję, że ocali Gaille. Podpłynął zmęczony do schodów i pomógł jej wspiąć się na górę. Gaille wzięła go za rękę. Próbował się od niej odsunąć, pokazać, że nic ich nie wiąże, lecz ona wyczuła, o co mu chodzi, i nie chciała go puścić.

- Chodźcie ze mną - rozkazał Nessim.

Rana na udzie Knoksa znowu zaczęła krwawić. Ból był tak silny, że wyraźnie utykał.

Ludzie Hassana wyciągali trupy z terenówki. Nagle otworzyły się tylne drzwiczki i na zewnątrz wysunęła się głowa Vasileiosa. Jego AK-47 upadł z brzękiem na beton.

Egipcjanie natychmiast odbezpieczyli broń i wycelowali ją w stronę źródła hałasu.

Dopiero po chwili zorientowali się, że nic im nie grozi. Któryś z nich zażartował i wszyscy głośno zarechotali, odreagowując napięcie. Stojącemu w mokrym ubraniu Knoksowi zrobiło się nagle zimno. Objął Gaille, uścisnął jej ramię i pocałował w skroń. Uśmiechnęła się do niego dzielnie. Oczy piekły Knoksa od zanieczyszczonej wody, po policzkach płynęły łzy.

Otarł je ręką. Ciągle myślał o tej chwili, kiedy Nicolas zadygotał i skonał, o bramie między życiem i śmiercią, która teraz stała przed nimi otworem. Mimo lęku nie chciał uciekać. Nie miał już na nic wpływu; ława przysięgłych udała się na obrady. Nessim zaprowadził ich do obskurnego pokoju z wielką wypchaną rybą w szklanej gablocie i sfatygowanymi tablicami przedstawiającymi słodkowodne i morskie gatunki zwierząt. Na chwilę wyszedł i wrócił z dwoma brudnymi ręcznikami, które im rzucił. Knox i Gaille wytarli twarze i ręce, a potem Knox usiadł i obwiązał ręcznikiem nogę.

- Co teraz? - zapytał.

- Zaczekamy - odparł Nessim.

- Na co?

- Kiedy zadzwoniłeś, pan alAssyuti był w Szarm el - - Szejk. Zaraz tu będzie.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego - stwierdził Knox. - Wypuść ją.

- Zaczekamy na pana alAssyutiego - odparł Nessim.

- Proszę - powiedział błagalnym tonem Knox. - Wstawiłem się za tobą i twoimi ludźmi w Tancie. Jesteś mi coś winien. Wypuść ją.

Nessim potrząsnął tylko głową. Knox zamknął oczy skonany i przerażony. Nie mógł

się pogodzić z tym, że najbardziej skorzysta na tym wszystkim właśnie alAssyuti.

Wydobycie sarkofagu i wieka z mułu na dnie kanału nie powinno być zbyt trudne, a kiedy to zrobi, wydłubie z nich klejnoty i stopi złoto, niszcząc na zawsze jedno z największych znalezisk współczesnej archeologii. Kto wie, czy nie zagarnie później całego skarbu w Siwie; on lub Jusuf Abbas, a może obaj do spółki. Na myśl o tym, że ci dwaj skorumpowani dranie dorobią się na tak wspaniałym znalezisku, Knox odczuwał niemal fizyczny ból. Przez całe życie szukał takich przedmiotów nie ze względu na ich wartość materialną, lecz poznawczą; a mimo to, najpierw przecinając węzeł gordyjski, a potem wjeżdżając ciężarówką do kanału, świadomie przyłożył rękę do tej kradzieży tylko po to, by uratować życie Gaille i sobie, podczas gdy od początku powinien zdawać sobie sprawę, że nie mają żadnych szans. I rzeczywiście nic im to nie dało. Po chwili spojrzął jednak na siedzącą przy nim Gaille i poczuł, jak ogarnia go spokój. Uświadomił sobie, że gdyby musiał

ponownie zrobić to, co zrobił, nie zawahałby się ani chwili, nawet wiedząc to, co już wiedział. Wziął ją za rękę, splótł palce z jej palcami i ścisnął je, by dodać jej otuchy. Gaille uśmiechnęła się i pogładziła go kciukiem po skórze.

Minęło piętnaście minut. Za oknem zabłyśły samochodowe reflektory. Knoksowi zabiło szybciej serce. Spojrzął na Gaille, która była równie przerażona jak on. Usłyszeli głośnie kroki. Nessim otworzył drzwi i wszedł przez nie Hassan alAssyuti z założonymi z tyłu rękoma. Wydawał się większy, niż Knox go zapamiętał. Miał spuchnięte oko i szczękę, i idąc, krzywił się, jakby wciąż odczuwał skutki odniesionych obrażeń.

- Niech pan puści dziewczynę - powiedział natychmiast

Knox. - Ona nic o tym nie wie.

Hassan posłał mu wilczy uśmiech, błyskając złotem tam, gdzie wcześniej była tylko biel.

- Trudno pana znaleźć, panie Knox - stwierdził. - Moi ludzie przeczesali cały Egipt.

- Zawarliśmy umowę - przypominał Knox. - Powie działałem, że do pana przyjadę. Pan powiedział, że wyekspe diuje stąd dla mnie pewien fracht. Przyjechałem tutaj. Ona jest frachtem. Proszę dotrzymać słowa. Wypuścić ją.

- Nie sądzi pan, że złamał warunki umowy? Nie sądzi pan, że trzy pojazdy z uzbrojonymi i wrogo nastawionymi ludźmi uprawniają mnie...

- Proszę - powtórzył Knox. - Błagam pana. Niech pan zrobi, co chce ze mną, ale wypuści

dziewczynę.

- Tak? Żeby stąd wyszła i opowiedziała swoją historię mediom?

- Nie robi tego. Obiecuj mu, Gaille. Daj mu słowo.

- Chrzanię go - mruknęła Gaille, szcękając zębami. - Zostaję z tobą.

Hassan parsknął śmiechem, w którym słychać było nutkę podziwu.

- Widzę, że bardziej ceni pan u kobiet urodę, nie in teligencję - powiedział.

- Nie ujdzie to panu na sucho.

- Co nie ujdzie mi na sucho? - zdziwił się Hassan. - Właśnie uratowałem was z paskudnej opresji. Powinniście mi dziękować. A jeśli chodzi o to, co teraz zrobię...

- Tak? - zapytał Knox.

- Upokorzył mnie pan w Szarm elSzejk, panie Knox - oznajmił Hassan i żyły nabrzmiały mu na karku.

- Ludzie śmiali się ze mnie. Ze mnie, panie Knox. Ze mnie. Na pewno zgodzi się pan, że nie mogę puszczać takich rzeczy płazem. - Hassan podszedł bliżej i pochylił się. Czubek jego nosa dotykał niemal nosa Knoksa, który poczuł w nozdrzach jego kwaśny oddech. - To po prostu kwestia szacunku.

- Szacunku! - parsknął Knox. - Gwałciłeś dziewczynę!

Oczy Hassana zwęziły się w szparki. Ponownie się wyprostował i zacisnął pięści.

Knox przygotował się na cios, ale Hassan powściągnął złość i zdobył się nawet na cierpki uśmiech.

- Straciłem już niemal nadzieję, że pana znajdę - powiedział. - I nagle dziś po południu ni z tego, ni z owego dzwoni pan do mnie. Z początku myślałem, że to jakiś żart.

Że pan się ze mną droczy. Musiał pan w końcu zdawać sobie sprawę, co go czeka z mojej strony. Lecz potem pojawiły się zupełnie nieprawdopodobne wiadomości. Mężczyzna w szpi talu w Siwie zaczął bredzić coś o odkryciu grobowca Alek sandra Wielkiego, złotych trumnach i spisku Greków, a także o tym, jak uratował mu życie pewien młody człowiek o na zwisku Knox. I nagle twój telefon nabrał głębszego sensu.

Czym innym miałyby być twój fracht, jeżeli nie skarbem ukradzionym przez tych Greków?

- Musiał pan zacierać ręce z radości na wieść o tym, że dostarczę go panu prosto pod drzwi - stwierdził z goryczą

Knox. - Nie ma pan dość złota?

- Człowiek nigdy nie ma dość złota, panie Knox - odpalił Hassan. - Choć z drugiej strony ma pan w

pewnym stopniu rację. Pieniądze nigdy nie były dla mnie problemem.

Istnieją jednak inne rzeczy, których zdobycie przychodzi mi z większym trudem. Domyśla się pan, dokąd zmierzam, panie Knox?

- Myślę, że za kratki, i to na całe życie.

Hassan się roześmiał.

- Nie mógłby pan bardziej się mylić. To nie jest jakiś ordynarny skok. To oficjalna operacja. No, może półoficjalna.

Ci ludzie to spadochroniarze, najlepsi w całym Egipcie, starzy towarzysze broni Nessima. Nie spodziewa się pan chyba, że mam na każde zawołanie trzydziestu uzbrojonych ludzi? Jak pan sądzi, dlaczego wasz konwój nie został zatrzymany w drodze do Suezu?

Dlaczego nikt nie wziął na cel waszego tira, z wyjątkiem jednego strzału, kiedy kierowca próbował uciec?

- Nie rozumiem - zaprotestowała Gaille. - O czym on mówi?

- Mówię o tym, w jaki sposób możecie stąd oboje wyjść żywi - odparł Hassan. - O

tym, co zrobić, żeby wszyscy wygrali.

- Niech pan mówi dalej - powiedział Knox.

- Ambicje młodości różnią się od ambicji wieku dojrzalego, panie Knox. Pan chyba też już to sobie uświadomił.

Kiedy byłem młody, zależało mi tylko na pieniądzech, ponieważ pieniądze są niczym powietrze. Jeżeli ich nie masz, nic liczy się nic innego. Ale kiedy się je ma... - Hassan machnął lekceważąco ręką.

- Więc czego pan chce?

- Legitymacji. Szacunku. Miejsca w sercu moich rodaków. Sposobności, by im służyć.

- Sposobności, by im służyć! - parsknął Knox. - Nie mogę w to uwierzyć. Chce pan zrobić karierę w polityce?

Hassan pozwolił sobie na uśmiech.

- Nasz naród jest prowadzony przez starzejące się pokolenie - wyjaśnił. - Pokolenie, które utraciło kontakt z ludźmi. Egipt jest spragniony nowego przywództwa, ludzi z nowymi ideałami i energią, ludzi, którzy rozumieją ducha czasu.

Mam zamiar stać się jednym z nich. Niestety, w Egipcie niełatwo jest wejść do świata polityki, zwłaszcza człowiekowi z moim... pochodzeniem. Jak pan wie, bolączką Egiptu jest nepotyzm. Zbyt wielu synów czeka już w kolejce. A na pewno zdaje pan sobie sprawę, że cierpliwość nie jest moim atutem.

- Więc o to chodzi - mruknął Knox. - Chce pan zostać bohaterem dnia. Zbawcą egipskiego dziedzictwa narodowego.

- A pan mi w tym pomoże, panie Knox - pokiwał głową Hassan. - Powie pan światu, że skontaktowałem się ze mną wcześniej, ponieważ kiedy zdał pan sobie sprawę, że te wielkie egipskie skarby są zagrożone, postanowił pan zwrócić się do mnie. Wiedział pan, że zawsze stawiałem na pierwszym miejscu dobro mojego kraju i mojego narodu. I wydarzenia potwierdziły to pańskie przekonanie, ponieważ tak właśnie się zachowałem.

- A jeżeli tego nie zrobię?

Hassan pogłaskał Gaille po policzku.

- I tak już mamy krwawą jatkę, panie Knox. Naprawdę pan wierzy, że dwa kolejne trupy zrobią jakąś różnicę?

- Blefuje pan.

- Chce pan mnie sprawdzić, panie Knox?

Knox wpatrywał się przez chwilę w Hassana, próbując wyczytać coś w jego oczach, ale facet miał kamienne oblicze. Następnie spojrzał na Gaille, która szykowała się na najgorsze, zdając się jednak we wszystkim na jego decyzję; i uświadomił sobie, że nie ma żadnego wyboru.

- W porządku - powiedział. - Umowa stoi.

- Dobrze - odparł Hassan i skinął na Nessima, który tkwił nieporuszony przy drzwiach. - Musi pan podziękować mojemu szefowi ochrony - dodał. - To był jego pomysł.

Byłem na pana zły, panie Knox. Nie ma pan pojęcia jak bardzo. Kiedy pan zadzwonił, chciałem pana zastrzelić. Ale

Nessim przekonał mnie, że to nie byłoby mądre. - Hassan ponownie się nachylił, jakby chciał mu zdradzić jakąś ważną tajemnicę. - Niedobrze jest mieć we mnie wroga, panie Knox. Niech pan o tym nie zapomina.

- Będę o tym pamiętał - zapewnił go Knox. - Może mi pan wierzyć.

Hassan wbił w niego wzrok, rozbawiony hardym tonem, i dwaj mężczyźni przyglądali się sobie wystarczająco długo, by zorientować się, że nie wszystko między nimi zostało załatwione. Ale to mogło poczekać. Musiało poczekać. Za dużo mieli obaj do stracenia.

Knox wstał, pomógł Gaille podnieść się z krzesła, objął ją ramieniem i podeszli razem do drzwi, które otworzył przed nimi Nessim. Mijając go, Knox skinął lekko głową, a Nessim odwzajemnił się tym samym na znak, że dług został spłacony, a może nawet na znak szacunku. Lecz zaraz potem Knox i Gaille znaleźli się za drzwiami i zaczęło się dla nich zupełnie nowe życie.

## Epilog

A więc tak właśnie wygląda sława, pomyślał Knox, grzejąc się w świetle reflektorów i spoglądając zza rzędu mikrofonów na kucających fotografów i kamerzystów, a także na dziennikarzy, którzy wychylali się ze swoich krzeseł, robiąc notatki jedną ręką i wymachując energicznie drugą, chyba tylko po to, by pokazać szefom, jacy są gorliwi, ponieważ musieli się już dawno zorientować, że nie uzyskają żadnych ciekawych odpowiedzi na zadawane pytania.

- Przykro mi - oznajmił chyba po raz setny Jusuf

Abbas. - Jest zdecydowanie za wcześnie, żeby ustalić dokładnie, co znaleźliśmy.

Archeolodzy nie pracują w ten sposób. Potrzebujemy czasu, aby zabezpieczyć i spenetrować wykopaliska. Potrzebujemy czasu, aby wydobyć i zbadać to, co znaleźliśmy. Za rok albo dwa będziemy być może wiedzieli trochę więcej. Jeszcze tylko trzy pytania. Kto chce...

- Danielu! - krzyknęła młoda ruda kobieta. - Danielu!

Tutaj! - Knox odwrócił się w jej stronę i na chwilę oślepił go błysk flesza. - Skąd wiesz, że to Aleksander? - zawołała.

- Czy to prawda, że jest więcej złota? - zapytał japoński dziennikarz.

- Gaille! Gaille! - krzyczał jakiś siwy facet. - Czy bałaś się, że umrzesz?

- Proszę - wtrącił Jusuf, podnosząc obie ręce i delek tując się każdą chwilą. - Po kolei.

Knox podrapał się po zarośniętym policzku, który swędział go ze zmęczenia. Jakie to wszystko było dziwne. Pomyśleć, że dokładnie w tej samej chwili ludzie na całym świecie oglądali go w telewizji. Na pewno było wśród nich kilku jego starych kumpli, którzy, zezując z niedowierzaniem na ekran, klęli pod nosem, parskali śmiechem albo łapali za telefon, żeby podzielić się nowiną z ich wspólnymi znajomymi. "Oglądałeś telewizję? Pamiętasz tego Knoksa? Przysięgam na Boga, to on!".

Zerknął na Gaille, która uśmiechnęła się do niego i uniosła brew, jakby świetnie wiedziała, co chodzi mu po głowie. Minione dwadzieścia cztery godziny wprowadziły ich w oszołomienie. Przesłuchania na policji w Suezie prowadzone były początkowo w uroczystym, radosnym nastroju. Dowcipkowano, ściskano im dłonie, on i Gaille traktowani byli jak bohaterowie. Opowieść Mohammeda zawładnęła, jak widać, masową wyobraźnią. Jeszcze słodszy był widok Jusufa Abbasa, który wił się bezradnie w nadawanej na żywo telewizji, usiłując wyjaśnić, na czym polegały jego kontakty z Dragoumisami, dlaczego dał im upoważnienie do prowadzenia wykopalisk w delcie i Siwie i po co Elena Koloktronis odwiedziła go w Kairze.

Ale potem ton nagle się zmienił. W komisariacie pojawił się nowy oficer śledczy, niejaki Umar. Przede wszystkim kazał zamknąć Knoksa i Gaille w oddzielnych celach, następnie zaś zaczął ich bezlitośnie maglować. Miał krzaczaste bokobrody, bystre oczy i nie dowierzał niczemu, co mówił mu Knox. Starał się złapać go na sprzecznych zeznaniach i przekręcał jego własne słowa. Nie interesowali go w ogóle Nicolas Dragoumis i jego ludzie, jakby rabunek i wielokrotne morderstwo nie miały dla niego znaczenia.

Zamiast tego skupił się na działaniach samego Knoksa, zwłaszcza na jego obecności w miejscach wykopalisk w Aleksandrii i Siwie, próbując zmusić go do przyznania się, że się tam włamał.

- Nie wiem, o czym pan mówi - upierał się Knox. - Nie znam tych miejsc.

- Naprawdę? - zapytał Umar, unosząc teatralnie brwi. - W takim razie może pan wytłumaczy, w jaki sposób w aparacie i laptopie, które leżały w pańskim jeepie, znalazły się ich zdjęcia.

Serce podeszło Knoksowi do gardła. Zupełnie zapomniał o fotografiach. Odmawiając teraz zeznań albo prosząc o adwokata, przyznałby, że ma coś do ukrycia. Próba okłamania człowieka pokroju Umara byłaby szaleństwem, takim samym zresztą jak przyznanie się do wszystkiego. Musiał również pamiętać o reputacji Ricka. Nie mógł pozwolić, by zszargano dobre imię przyjaciela, ogłaszając go rabusem grobów - nie po tym, jak oddał w służbie archeologii swoje życie.

Umar uśmiechał się z zadowoloną miną.

- Czekam - oświadczył.

- Nie zrobiłem nic złego - tkwił przy swoim Knox.

- To pańska opinia. W moim kraju włamywanie się na teren historycznych wykopalisk uważa się za bardzo poważne przestępstwo. Zwłaszcza jeśli dopuścił się go człowiek, o którym wiadomo, że sprzedawał starożytności na czarnym rynku.

- To nieprawda! - zaprotestował z gniewem Knox. - Pan wie, że to nieprawda.

- Proszę wyjaśnić kwestię fotografii, panie Knox.

Knox się nachmurzył, odchylił do tyłu na krześle i skrzyżował ręce na piersi.

- Jakich fotografii?

Umar parsknął niecierpliwie.

- Wie pan, jaka jest kara za kradzież starożytności?

Nawet za próbę kradzieży może pan odsiedzieć dziesięć lat.

- To śmieszne. Pomogłem właśnie ocalić największy egipski skarb.



- Mimo to - nie dawał za wygraną Umar - rozsądny człowiek powinien zdawać sobie sprawę z powagi swojej sytuacji. Czy jest pan rozsądnym człowiekiem, panie Knox?

Knox zmrużył oczy, wyczuwając w jego słowach jakiś podtekst.

- Co pan ma na myśli?

- Mam na myśli, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie pańskiej obecności w tych miejscach, które mogą przyjąć z zadowoleniem do wiadomości.

- Jakie to wytłumaczenie?

- Że był pan tam z upoważnienia Naczelnej Rady Zabytków. Dokładnie rzecz biorąc, za wiedzą i z błogosławieństwem jej sekretarza generalnego Jusufa Abbasa.

Knox zamknął oczy, pojmując w końcu, o co chodzi.

- A więc to tak - roześmiał się. - Kiedy powiem, że pełniłem tajną misję na zlecenie Jusufa, okaże się nagle, że wcale nie był najlepszym przyjacielem Dragoumisów, lecz prowadził przeciwko nim dochodzenie. Niech pan mi powie, co pan z tego ma?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odparł urażony

Umar. - Ale być może powinniśmy jeszcze raz przyjrzeć się pańskim zeznaniom.

Media chcą poznać całą historię, co jest w końcu zrozumiałe. Tyle że tym razem może zacznie pan od rozmowy telefonicznej z Jusufem Abbasem, w której poinformował go pan o swoich podejrzeniach wobec Dragoumisów, i od upoważnienia, na mocy którego mógł pan działać w ukryciu na jego zlecenie.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Wtedy wszyscy stracą. Jusuf. Pan. Dziewczyna.

Knox poczuł, że robi mu się niedobrze.

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Egipt potrzebuje kogoś, kogo można by ukarać, panie

Knox, a wszyscy Grecy zginęli. Ale pańska znajoma, Gaille, pracowała dla nich. Kilka dni wcześniej poleciała do Salonik prywatnym odrzutowcem na spotkanie z Philipem Dragoumisem. Była z Eleną Koloktronis w Siwie. Może mi pan wierzyć, potrafię zrobić z niej przestępczynię na podstawie

0 wiele mniej obciążających materiałów. A taka z niej słodka dziewczyna! Wyobraża pan sobie, jak ciężki będzie dla niej nawet miesięczny pobyt w egipskim więzieniu?

- Nie wierzę własnym uszom.

Umar pochylił się do przodu.

- I niech pan weźmie pod uwagę jeszcze jedno. Jeżeli się pan zgodzi, zostanie pan bohaterem. Zostałem upoważniony do poinformowania pana, że Naczelna Rada Zabytków powita go z otwartymi ramionami w szeregach swoich badaczy i z chęcią powierzy mu każde prace wykopaliskowe, które zeche pan poprowadzić.

Przez moment Knox miał ochotę cisnąć Umarowi w twarz jego ofertę. Zrobiłby tak jeszcze pięć lat wcześniej, kiedy był młodszy i bardziej nieprzejednany. Ale banicja okazała się dobrym nauczycielem.

- Zgodzę się pod jednym warunkiem - oświadczył.

- Jakim?

- Naczelna Rada Zabytków ustanowi nową nagrodę.

Sekretarz generalny będzie corocznie przyznawał Nagrodę

Richarda Mitchella obiecującemu młodemu archeologowi. Pierwsza zostanie przyznana pośmiertnie Rickowi. Umar uśmiechnął się półgębkiem.

- Pozwoli pan, że go na chwilę opuszczę?

Czekając na powrót Umara, Knox wyciągnął nogi. Rana na udzie ładnie się goiła.

Zapewniono go, że jest powierzchowna. Po tygodniu powinny po niej zostać tylko blizna i wspomnienie. Umar wrócił.

- Nie Richarda Mitchella - oznajmił. - Po prostu

Nagroda Mitchella. W uznaniu zasług całej rodziny. Mój informator zapewnił mnie, że to wszystko, na co mogą się zgodzić. Wierzę mu.

Knox pokiwał głową. Szczerze mówiąc, dziwił się, że Jusuf zgodził się i na to.

Przyznawał w ten sposób, że Richard był niewinny, a skoro był niewinny, w takim razie winę mógł ponosić wyłącznie on sam. Naprawdę musiał mu się palić grunt pod stopami.

Właśnie z tego powodu Knox zastanawiał się przez chwilę, czy nie odrzucić propozycji. Nie chodziło jednak tylko o jego własną skórę.

- W porządku - powiedział. - Ale musi się na to zgodzić także dziewczyna.

- Mam już jej zgodę - zapewnił go Umar, klepiąc się po kieszeni. - Wygląda na to, że równie gorąco

chce pana uchronić przed więzieniem, jak pan chce uchronić ją.

- Mogę się z nią zobaczyć?

- Jeszcze nie. Kiedy napiszemy na nowo wasze zeznania, zwołamy konferencję prasową. Pan, dziewczyna i Jusuf opowiecie światu, jak współpracowaliście z Hassanem, aby pokrzyżować plany tym wrednym Grekom. Potem będziecie mogli robić, co wam się podoba.

- Ma pan na myśli, kiedy zostaniemy w to bezpowrotnie uwikłani.

Umar tylko się uśmiechnął.

I tak się tutaj znaleźli. Jusuf Abbas kończył konferencję, dziękując dziennikarzom za przybycie i dodając, że jeśli mają więcej pytań, powinni kontaktować się bezpośrednio z nim, a nie z Knoksem lub Gaille. Następnie oparł dłonie o stół, przeniósł ciężar ciała z krzesła na podłogę i uśmiechnął się promiennie do wszystkich, jakby czekał na oklaski. Kiedy się nie odezwały, dał znak Gaille i Knoksovi, by stanęli razem z nim do kilku ostatnich fotografii spleceni ramionami niczym najlepsi przyjaciele. Zaklikały migawki aparatów. Lampy łukowe zaczęły gasnąć. Dziennikarze dzwonili z komórek do redakcji, przekazując półgłosem informacje. Uwaga światowych mediów przenosiła się gdzie indziej i Knox poczuł się tak, jakby spuszczone z niego powietrze. Nigdy nie szukał światła jupiterów, ale musiał przyznać, że mają w sobie coś odurzającego.

Jusuf wyprowadził ich z sali konferencyjnej, nie zdejmując rąk z ich ramion i wypytyjąc uprzejmie o dalsze plany. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, skrzywił się, dał krok do tyłu i otrzepał z niesmakiem ręce, jakby podejrzewał, że Knox i Gaille mogą go zarazić jakąś chorobą.

- Nie ważcie się rozmawiać z prasą bez mojego po zwołania - ostrzegł.

- Daliśmy przecież słowo.

Jusuf pokiwał chmurnie głową, jakby wiedział, ile warte jest słowo takich ludzi. A potem odwrócił się do nich plecami i odmaszerował.

Knox wzruszył ramionami i spojrzał na Gaille.

- Idziemy stąd? Zamówiłem taksówkę.

- W takim razie na co jeszcze czekamy?

Ruszyli razem przez labirynt korytarzy.

- Nie mogę uwierzyć, że Jusufowi się wszystko upie cze - mruknął Knox.

- Nie mieliśmy innego wyboru - odparła. - Nie obciążają go żadne dowody. Obciążają nas. I to nie nasza wina, że Egipt mianował go sekretarzem generalnym.

- Twój ojciec nigdy by się na to nie zgodził.

- Owszem, zgodziłby się. Zawarł umowę z Dragoumisami, pamiętasz? - powiedziała z uśmiechem i wzięła go pod rękę. - Tak czy owak, jest już po wszystkim. Porozmawiajmy o czymś innym.

- Na przykład o czym?

- Na przykład o tym, co będziesz teraz robił.

Knox pomyślał o Ricku.

- Muszę iść na pogrzeb.

- O Chryste. No tak. - Gaille szła przez chwilę z pochyłą głową. - A potem? -

zapytała.

- Jeszcze o tym nie myślałem - wzruszył ramionami

Knox, ale było to kłamstwo. Perspektywa pracy przy wyko paliskach nęciła go od chwili, kiedy Umar złożył mu swoją propozycję. - A ty?

- Wracam pierwszym samolotem do Paryża.

- O! - Knox zatrzymał się w miejscu. - Naprawdę?

- Postanowiłam odejść z Sorbony - powiedziała. - Powinnam chyba powiedzieć im to osobiście, nie sądzisz?

Byli dla mnie bardzo mili.

Knox nie potrafił powstrzymać uśmiechu, który cisnął mu się na usta.

- A potem?

- Mam zamiar tu wrócić. Znaleźć pracę przy jakichś wykopaliskach. Nauczyć się podstawowych rzeczy, rozu miesz. Słyszałam, że Augustin szuka nowych asystentek.

Może mogłabym...

- Augustin! - zawołał z oburzeniem Knox. - Ten stary satyr! Nie mówisz chyba poważnie?

- Myślałam, że to twój przyjaciel.

- Oczywiście, że jest moim przyjacielem. Dlatego właśnie nie chcę, żebyś u niego pracowała.

- Muszę gdzieś pracować. Masz jakieś lepsze propozycje?

Dotarli do tylnego wyjścia i zeszli po schodkach do czekającej taksówki. Knox otworzył drzwiczki przed Gaille, usiadł koło niej i powiedział kierowcy, gdzie ma jechać.

Kiedy ruszyli z miejsca, odkręcił szybę, wpuszczając do środka zapachy Egiptu: woń przypraw, spalin i potu. To było to. Jak najdalej od polityki, cudzych ambicji, targowania się, korupcji i oszustwa. Ponownie w pogoni za surową prawdą.

- Ja sam będę potrzebował partnera, kiedy tylko wszystko przycichnie - powiedział do Gaille.

- Naprawdę?

- Tak. Kogoś, kto będzie tyrał za grosze, z czystej miłości do tej pracy. Kogoś z kwalifikacjami, które będą uzupełniać moje własne. Idealny byłby ekspert od języków.

Najlepiej ktoś, kto potrafi również robić niezłe fotografie. Dwaj specja liści w cenie jednego, rozumiesz. Nie stać mnie na więcej.

Gaille roześmiała się i zalśniły jej oczy.

- Mogę zapytać, czego będziecie poszukiwać wy dwoje?

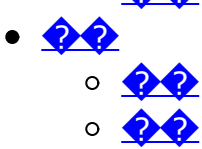
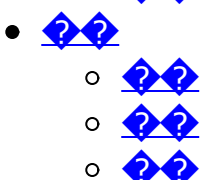
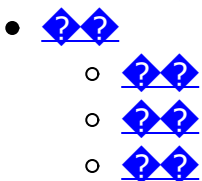
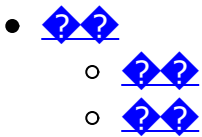
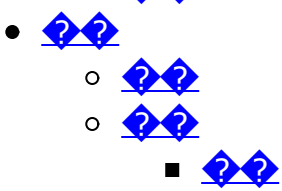
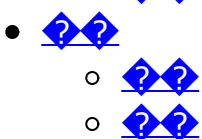
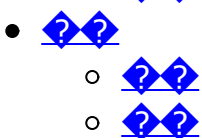
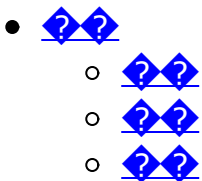
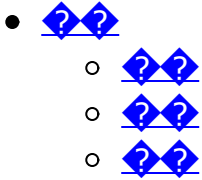
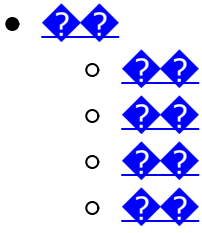
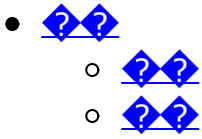
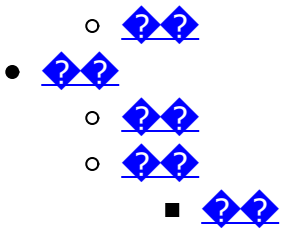
Knox uśmiechnął się do niej.

- Chciałaś chyba zapytać, czego będziemy poszukiwać my dwoje?

- Tak - odparła z radością. - Właśnie o to chciałam zapytać.

# Document Outline

- ??
- ??
  - ??
  - ??
- ??
  - ??
    - ??
  - ??
- ??
- ??
  - ??
- ??
  - ??
  - ??
- ??
  - ??
- ??
  - ??
  - ??
- ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
- ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
- ??
  - ??
- ??
  - ??
  - ??
- ??
  - ??
  - ??
  - ??
- ??
  - ??
  - ??







???

???

???

● ???

???

???

● ???

???

???

???

???

● ???

???

???

● ???

???

???

● ???

???

# Table of Contents

